

Polski naukowiec:
Przestańmy demonizować psychodeliki

▶ 26



Nowy Jork wrócił, kochanie
Jak sobie radzi burmistrz Mamdani

▶ 14



WYSOKIE OBCASY

Penelopa
mogła rządzić

FOT. SHUTTERSTOCK, JOSE PEREZ/BAUER-GRIFFIN/GETTY IMAGES, MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL PICTURES

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Cały świat uczy się wojny w Ukrainie. Tylko nie my

rozmowa Jarosława Kurskiego ▶ 4

FOT. DMYTRO SMOLIENKO/UKRINFORM/NURPHOTO/GETTY IMAGES

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 32>

Rozwój Plus i PiS
Znajdź różnicę
▶ 10

Mam w d... małe miasteczka,
pisał poeta. I wykrakał ▶ 11

Dramat jurora
Jak się wybiera książkę roku
▶ 29

W średniowieczu kobieta
miała dużą władzę
▶ 40

Leni Riefenstahl
filmuje igrzyska Hitlera ▶ 44

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

1 RP
Sobota – czwartek, 8-13 sierpnia 2026 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 184.11283, 1
Nakład 68 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl d324f0b119



Agnieszka Kublik

Głupiutka i wystraszona

Internet dał ludziom niczym nieograniczone możliwości wyplucia złości, frustracji, wyżywania się na innych, całkiem obcych. Psychologowie analizują i alarmują, pokazują konsekwencje.
Ale, rzecz jasna, nie tylko internet.

Ostatnio jest głośno o słowach uznanej psycholożki i psychoterapeutki, kobiety z ogromnym zawodowym doświadczeniem i klasą.

Otóż Ewa Woydyłło w niedzielny wieczór, w podcaście „Return" na kanale Trzeci Serwis, prowadzonym przez Lecha Sidora tak mówiła o Idze Świątek, genialnej tenisistce: „Wyskoczyła jako gwiazda, wykreowała się na rozumną, dojrzałą, mądrą dziewczynę, a najprawdopodobniej jest głupiutka, wystraszona i sama nie rozumie, co się dzieje. (...) Gdy przegrywa, jest bardzo smutna, zmartwiona sobą, zła na korcie. A była promienną, zwycięską boginią tenisa".

W ogóle psycholożka była skłonna do obrażania, o Arynie Sabalenko powiedziała, że „zachowuje się potwornie wulgarnie. Dmucha sobie tę gębę, wypindrza się. To nie jest sport". Nazwała ją „ruską babą", „ordynusem".

Podcast zniknął, Iga dostała od autora przeprosiny, ale słowa, w tym ta „głupiutka", zostały.

Woydyłło tłumaczyła się tak: „Ktoś mi zarzuca pogardę. Niestety, znam dobrze język polski. No i niech mi ktokolwiek pokaże jedno słowo, jedno zdanie w tym wywiadzie, które by świadczyło o pogardzie".

Woydyłło: „wszystko, co o tobie ktoś mówi, przenieś na tę osobę i zmartw się, że masz do czynienia z kimś nieżyczliwym, niemiłym"

Bardzo proszę: „głupiutka". Słownik Języka Polskiego odnotowuje, że to słowo służy do wyrażenia lekceważenia wobec kogoś, pogardliwego potraktowania. „Głupiutki" to „ograniczony i naiwny, świadczący o takich cechach", „bezwartościowy intelektualnie", czy „dający się wykorzystywać".

Jeszcze Woydyłło: „Że użyłam zdrobnienia głupiutka i wystraszona? To wyraża troskę. Tak, ta dziewczyna troszkę straciła panowanie nad sobą. I to nie jest pogardliwe. Jakby ktoś się nią nie martwił, to by powiedział: nie umie grać. A ja tak nie mówię. Ja mówię bardzo miłymi słowami".

Na pewno to słowo nie jest „miłe".

A sama niedawno nauczała, jak radzić sobie z oceną innych, tłumaczyła, że „wszystko, co o tobie ktoś mówi, przenieś na tę osobę i zmartw się, że masz do czynienia z kimś nieżyczliwym, niemiłym". Jej rada: „spokojna i wyważona rozmowa obu stron", a w ogóle to „otaczaj się ludźmi pogodnymi, życzliwymi. Innych – unikaj"

Piszę o tym, bo piękne, mądre, kulturalne słowa są dziś na wagę złota. Zwłaszcza u tych, którzy nauczają jak dbać o dobrostan.

Akurat ta historia ma rodzaj happy endu. Po trzech dniach od feralnego wywiadu Ewa Woydyłło przeprosiła obie tenisistki i oświadczyła: „Przyznam, że dzisiaj jest mi wstyd za moją wypowiedź. Chciałabym to naprawić, ale nie wiem, co mogę zrobić. Chciałam wyrazić zupełnie coś innego. Przyznam, że dzisiaj czuję się dokładnie tak samo, jak wypowiedziałam się o Idze. Jestem głupiutka i wystraszona".

Rekord Guinnessa
Skrzydlata emerytura



FOT. PAP/PA/ANDREW MATTHEWS

97-letnia Betty Bromage z Cheltenham ustanowiła rekord Guinnessa jako najstarsza kobieta uprawiająca akrobacje na skrzydle samolotu (tzw. „wing walking*"). Zbiera fundusze dla oddziału leczenia udarów – sama leżała tam rok temu. 4 sierpnia, lotnisko RFC Rendcomb w hrabstwie Gloucestershire

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cytat tygodnia

Uczeni stworzyli naszą rosyjską bombę atomową. Tak przez trud uczonych objawiła się Łaska i Miłość Boża dla kraju



PATRIARCHA MOSKWY CYRYL
Czytaj na wyborcza.pl

FOT. PAP/EPA/IGOR IVANKO

„Szklany klosz" między pokoleniami
Billie Eilish gra z Sylvią Plath

Do sieci trafiły pierwsze zdjęcia z planu zdjęciowego adaptacji „Szklanego klosza" przygotowywanej przez Sarah Polley. Reżyserka w głównej roli obsadziła 24-letnią piosenkarkę i wielokrotną zdobywczynię nagrody Grammy, Billie Eilish.

„Szklany klosz" to uwielbiana, częściowo autobiograficzna powieść amerykańskiej pisarki i poetki Sylvii Plath z 1963 roku. O depresji, dorastaniu oraz presji społecznej. Opowiada o młodej pisarce Esther Greenwood, która odbywa letni staż w nowojorskim magazynie dla kobiet, po czym wraca na przedmieścia Bostonu i zmaga się z kryzysem psychicznym.

Dla Billie Eilish to debiut aktorski w filmie fabularnym. Bo wcześniej pojawiła się gościnnie w serialu „Rój". Ma już też dwa Oscary – dzielone z bratem i wieloletnim współpracownikiem Finneasem – za oryginalne piosenki „Do Time to Die" do filmu „Nie czas umierać" z serii o Jamesie Bondzie oraz „What Was I Made For?" stworzoną do reżyserowanego przez Gretę Gerwig hitu „Barbie".

Reżyserka Sarah Polley to również laureatka Oscara. Kanadyjska aktorka i reżyserka zdobyła statuetkę złotego rycerza w kategorii najlepszy scenariusz adaptowany za film „Głosy kobiet" z 2022 roku. To przeniesiona na ekran książka kanadyjskiej pisarki Miriam Toews. Odbierając Oscara Polley podziękowała zgryźliwie Amerykańskiej Akademii za to, że jej śmiertelnie nie obraziły słowa „kobiety" i „mówią" ustawione tak blisko siebie. ●

Justyna Grochal



FOT. LEE WATT/AFP/ABACA/PAP

Andrzej rysuje



W poniedziałek „Duży Format"

Dawca z ogłoszenia

– Wynajęłam mieszkanie na jedną noc. Nigdy wcześniej się nie widzieliśmy, nie rozmawialiśmy nawet przez telefon. Spotkałam się z nim wieczorem i drugiego dnia rano. Bałam się strasznie. Zrobiliśmy to szybko. A potem każdy wrócił do swojego życia. Miesiąc później zobaczyła dwie kreski. Powiedziała mężowi, że się udało, że będą mieli synka.

O czarnym rynku nasienia pisze Katarzyna Stefańska



eprasa.pl d324f0b119

Kryzys migracyjny

Skrajna prawica gra Ceutą

Wiele osób uwierzy, że ta „inwazja" zakończyła się sukcesem. Mylą się. Cokolwiek sądzisz o Sánchezie lub jego rządzie, nie otworzył granic Hiszpanii dla fali Marokańczyków.

Applebaum



Przeważnie młodzi, głównie mężczyźni Marokańczycy wyczołgujący się na plaże, wspinający się po wzgórzach, po ścianach, przeskakujący przez ogrodzenia, przemykający się obok policji, by dostać się do Europy: fotografie i filmy z Ceuty, hiszpańskiej enklawy w Afryce Północnej, 29 i 30 lipca bardzo przypominały filmy migrantów-terrorystów, celowo zaprojektowane z myślą o emisji przez międzynarodową skrajną prawicę. Ten incydent tak bardzo przypominał „inwazję", o której od dawna mówią MAGA i jej europejscy przyjaciele, że trudno nie podejrzewać, iż został zaaranżowany.

W chwili, gdy to piszę, wciąż niewiele wiadomo o 60 tys. osób, które w zeszłym tygodniu przepłynęły z Maroka do Ceuty. Ale wiemy, że spora część z nich widziała posty w mediach społecznościowych zachęcające do przedostania się do Ceuty, być może w celu wywołania kryzysu. Ceuta jest miastem hiszpańskim od XVI wieku, ale nie należy do kontynentalnej Hiszpanii. Nie da się też stamtąd dostać do kontynentalnej Hiszpanii, a tym samym do strefy Schengen, czyli strefy swobodnego ruchu Unii Europejskiej, bez przekroczenia punktu kontrolnego. Nielegalni imigranci nie mogą zatem podróżować z Ceuty do Hiszpanii.

●

W zeszłym tygodniu, według „El Pais" oraz innych hiszpańskojęzycznych, a także międzynarodowych i marokańskich mediów, wielu Marokańczyków obejrzało na TikToku film, w którym twierdzono, że „granica hiszpańska jest otwarta i można ją przekraczać bez dokumentów", co oznacza, że mogą dotrzeć na kontynent europejski. Film wydawał się nawiązywać do niedawnego orzeczenia hiszpańskiego Sądu Najwyższego, które ogranicza możliwość odsyłania migrantów przybywających drogą morską do Hiszpanii, ale nie była to jedyna zachęta. Inne wiadomości, z których wiele już zniknęło, informowały ludzi, gdzie kupić pianki, płetwy, gogle, platformy, a nawet wodoodporne torby na dokumenty i telefony komórkowe. Zrzuty ekranu z Google Maps pokazywały, które odcinki plaży w Ceucie mogą być słabiej obsadzone przez policję. Marokańscy strażnicy graniczni nie mogli bądź nie chcieli powstrzymać imigrantów.

Zaskoczeni niespotykaną wcześniej liczbą uchodźców i być może obawiając się, że setki z nich utoną – ostatecznie co najmniej 70 osób zginęło w wodzie, w tej liczbie dzieci – hiszpańska policja pozwoliła im wylądować na plaży. Wtedy po sieci zaczęły krążyć fotografie i nagrania wideo. Wśród tych, którzy je promowali, byli wysocy rangą członkowie administracji Trumpa oraz czołowi liderzy europejskiej skrajnej prawicy.



• **1 sierpnia br., plaża w Ceucie. Migranci z Maroka próbują przedostać się na teren hiszpańskiej eksklawy mimo obecności policji** FOT. VIOLETA SANTOS MOURA/REUTERS

Wiceprezydent Vance zamieścił link do nierzetelnego materiału Fox News, który błędnie opisywał migrantów przybywających do „północnej Hiszpanii" zamiast do Afryki Północnej. „Dzięki Bogu", napisał, „@POTUS został wybrany i granica naszego kraju już tak nie wygląda". Inni wysuwali bardziej konkretne groźby. Robert Jenrick, członek skrajnie prawicowej brytyjskiej Partii Reform, napisał: „Ceuta to nasza przyszłość, jeśli nie zabezpieczymy granicy. Ci ludzie zmierzają do Calais". Nigel Farage, lider Partii Reform, opublikował nagranie, w którym twierdził, że Marokańczycy zmierzają do Wielkiej Brytanii. Alice Weidel, liderka skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD), oświadczyła, że „Niemcy są prawdopodobnym celem".

●

To były kłamstwa. Marokańczycy, którzy dopłynęli do Ceuty, nigdy nie dotarli do Wielkiej Brytanii, Niemiec ani gdziekolwiek indziej na kontynencie europejskim. Powtórzmy: dostęp do Ceuty nie daje nikomu automatycznego dostępu do Europy. Co ważniejsze, niemal wszyscy, którzy przepłynęli granicę, wrócili do Maroka do niedzielnego poranka. Rząd hiszpański negocjował ich powrót z rządem Maroka, a marokańska policja wznowiła blokowanie granicy. Hiszpańska policja, według „El Pais" i „Financial Times", sprawdzała dokumenty, aby znaleźć Marokańczyków, którzy nielegalnie przebywali w Ceucie.

Wciąż nie jest jasne, kto stworzył viralowe posty, które przekonywały potencjalnych migrantów, że mogą dotrzeć do Europy. Jednak ci, którzy chcą osłabić rząd hiszpański, wzmocnić europejską skrajną prawicę i wywołać zamieszanie w UE, nie zwlekali z promocją tych fotografii zaraz po ich pojawieniu się.

Ponieważ marokańska straż graniczna nie powstrzymała migrantów, niektórzy spekulowali, że to sami Marokańczycy mogli stać za tym incydentem. Premier Hiszpanii Pedro Sanchez niedawno przebywał w Algierii, gdzie odbył przyjacielskie spotkanie z jednym z największych rywali Maroka. Maroko może również chcieć wywrzeć presję na Ceutę i inne hiszpańskie miasto w Afryce Północnej, Melillę.

●

Administracja Trumpa, która kwestionowała kontrolę Wielkiej Brytanii nad Falklandami i Danii nad Grenlandią, może być zainteresowana tym samym. Niedawny raport Kongresu opisywał oba miasta jako będące „pod hiszpańską administracją", a nie jako część Hiszpanii. Sam Trump może być zadowolony z Marokańczyków, którzy dołączyli do jego Rady Pokoju i nazwali na jego cześć autostradę. Ma też powody, by nie lubić Sáncheza, który odmówił pozwolenia USA na wykorzystanie hiszpańskich baz wojskowych podczas wojny z Iranem i twierdzi, że inaczej niż reszta NATO, nie podniesie wydatków na obronę do 5 procent PKB.

Inni również mieli powody, by wykorzystać ten incydent. W Hiszpanii, gdzie administracja i partia Sáncheza są objęte śledztwem w sprawie korupcji – były lider ugrupowania jest rzekomo powiązany z chińskimi i wenezuelskimi sieciami przestępczymi – premier ma wielu przeciwników. Jeden z polityków z Vox, hiszpańskiej skrajnie prawicowej partii, odwiedził Ceutę i wezwał „wszystkich do obrony rodziny tym, co mają pod ręką". Ukraiński minister spraw zagranicznych opublikował listę rosyjskich mediów, które z entuzjazmem się do tego dołączyły.

W wyniku tych wpisów wiele osób, być może miliony, uwierzy, że „inwazja" zakończyła się sukcesem. Mylą się. Cokolwiek sądzisz o Sánchezie lub jego rządzie, nie otworzył granic Hiszpanii dla tej fali Marokańczyków. Zamiast tego mówił o „ataku na integralność terytorialną Hiszpanii". Hiszpańska policja odnalazła ciała ofiar, umieściła rannych w szpitalach i wydaje się, że odesłała niemal wszystkich do domu. Wprowadzające w błąd komentarze i zdjęcia zamieszczane przez Vance'a, Jenricka, Farage'a i Weidel pozostają jednak w sieci, bez żadnej korekty czy skasowania. Prezydent Trump, który w sobotę oświadczył, że „to samo stanie się z nami, jeśli Republikanie nie wygrają wyborów, tylko skala będzie znacznie większa", nie pochwalił hiszpańskiego premiera za rozwiązanie problemu. Podobnie Departament Stanu, który wcześniej ostrzegał przed podróżą do Hiszpanii oraz wydał oświadczenie oskarżające rząd Hiszpanii o „celowe działania mające na celu umożliwienie i ułatwienie masowej nielegalnej migracji do Europy", a po rozwiązaniu kryzysu zamilkł.

●

To nie byłby pierwszy raz, gdy fala migrantów została zainspirowana, by wywołać kryzys polityczny. W 2021 roku rząd białoruski sprowadził samolotami uchodźców z Bliskiego Wschodu, przywiózł ich pod polską granicę i nakazał ją przekroczyć, co wywołało kryzys polityczny w Polsce.

Sami Marokańczycy są oskarżani o takie postępowanie w 2014 roku, kiedy mieli złagodzić kontrole graniczne, by pokazać swoje niezadowolenie z polityki Hiszpanii.

Najważniejszym precedensem był jednak rok 2015, kiedy rosyjskie działania w Syrii wywołały masową falę migracji, która również została dokładnie sfilmowana i sfotografowana, zwłaszcza po tym, jak Niemcy ogłosiły, że przyjmą setki tysięcy ofiar wojny jako uchodźców. Posty w mediach społecznościowych pokazujące migrantów idących w stronę Europy, niektóre wzmocnione przez Rosjan, którzy zniszczyli Syrię, odegrały wtedy kluczową rolę w kampanii brexitowej w Wielkiej Brytanii, a także w rozwoju skrajnej prawicy w Niemczech. Blizny pozostawione przez to wspomnienie są tak głębokie, że kilku europejskich przywódców, w tym socjaldemokratyczna premier Danii i nacjonalistyczna premier Włoch, oskarżyły w tym tygodniu Sáncheza o spowodowanie zagrożenia strefy Schengen, mimo że integralność tej strefy nigdy nie była zagrożona.

Czytelnikom można wybaczyć silne poczucie déjà vu. Od ponad dekady europejscy, a nawet amerykańscy politycy wiedzą, że prawdziwe, fałszywe, ulepszone lub pozbawione kontekstu zdjęcia migrantów przeskakujących przez płot natychmiast wywołają falę reakcji. W użyciu będzie retoryka wojskowa – mówiąca o ataku lub inwazji – a winą obarczy się, cytując Vance'a, „radykalnych polityków lewicowo-globalistycznych". Niemal nikt nie zapyta, czemu wielu ludzi jest tak zdesperowanych, by uciec do innego kraju, że ryzykują życie. Niewielu będzie opłakiwać zmarłych.

Zamiast tego politycy, influencerzy i podcasterzy skrajnej prawicy i MAGA natychmiast użyją najbardziej polaryzującego języka, by jak najszybciej i jak najmocniej rozgniewać wyborców, niezależnie od tego, co faktycznie się wydarzyło.

Prawie wszyscy inni będą onieśmieleni ich furią. Okazuje się, że trudniej jest powstrzymać falę gniewu niż samych migrantów. ●

Anne Applebaum

• © 2026 The Atlantic Media Co., po raz pierwszy opublikowany w „The Atlantic". Wszelkie prawa zastrzeżone. Dystrybuowane przez Tribune Content Agency.

• **„Koncern autokracja"** – ostatnia książka Anne Applebaum (przekł. Michał Rogalski, wyd. Agora) jest dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz jako e-book i audiobook na Publio.pl.

• Tam też w formie papierowej i cyfrowej inne jej bestsellery – **„Gułag", „Czerwony głód", „Zmierzch demokracji"** i rozmowa rzeka z Donaldem Tuskiem **„Wybór"**.

eprasa.pl d324f0b119

TEMAT WAŻNY

Marnowanie wojny



Kto nie chce zostać w tyle, ten jedzie się uczyć od Ukraińców, jak prowadzić nowoczesną wojnę. Wszyscy już tam są oprócz nas.

Z **PRZEMYSŁAWEM KRYCHEM,** INWESTOREM W SEKTORZE OBRONNYM, ROZMAWIA **JAROSŁAW KURSKI**

eprasa.pl d324f0b119

JAROSŁAW KURSKI: Był pan w Kijowie i wizytował ukraińskie zakłady zbrojeniowe. Po co pan tam pojechał i jakie wypływają z tego wnioski?
PRZEMYSŁAW KRYCH: Dzisiaj nikt już nie pyta „po co?". Dziś jeżdżą tam wszyscy racjonalnie myślący przedstawiciele biznesu. Nie odkrywam Ameryki, formując tezę, że wojna na Ukrainie wpływa nie tylko na to, co się dzieje w tym kraju, nie tylko na to, co się dzieje w Europie – jej zasięg jest globalny. Ukraina jest największym laboratorium współczesnego pola walki. Od ponad czterech, a w zasadzie od 12 lat stawia się największemu bandycie na tym globie. Kijów obronił suwerenność i to już jest sukces sam w sobie. Ta wojna bardzo dużo Putina kosztuje.

Dlatego w Kijowie w hotelu Intercontinental słychać wszystkie języki świata. Przedstawiciele krajów wysokorozwiniętych siedzą dziś w oślej ławce i uczą się od Ukraińców, jak prowadzić współczesną wojnę.

Także Amerykanie?
– Też, choć najpierw Trump się odgrażał, że „niczego od Zełenskiego nie potrzebuje", ale, jak widać, szybko zmienił zdanie. Siedzą w Kijowie przedstawiciele krajów Zatoki Perskiej, dla których to amerykańskie bazy miały być gwarancją bezpieczeństwa, a stały się gwarancja tego, że kraje te są celem dla Iranu. Widziałem ludzi z Kataru, z Bahrajnu, ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Są też Duńczycy, Koreańczycy, Tajwańczycy, cały świat...

A język polski słychać?
– No właśnie w tym problem, że nie słychać albo słabo słychać.

Jak pan się tam znalazł?
– Jestem inwestorem w sektorze obronnym. Pojechałem zobaczyć, co ukraiński przemysł ma do zaoferowania. Zaprosił mnie Aleksander Kamyszyn, doradca prezydenta Zełenskiego i były minister przemysłu strategicznego i obronnego. Widziałem, jak w warunkach wojennych produkuje się broń, jak zorganizowana jest produkcja, jak rozwijana jest technologia i jak wygląda zabezpieczenie ciągłości produkcji przed wrogim atakiem.

Co pan widział?
– Trzy zakłady prywatne i jeden państwowy – Antonowa. Antonow produkuje już nie samoloty, ale drony. Stoi zniszczona fabryka, bo spadło na nią parę rakiet, ale cała produkcja przeniesiona została w inne miejsce. Kamyszyn mi powiedział, że jestem pierwszym przedstawicielem polskiego przemysłu obronnego, który przyjechał, żeby tego rodzaju program zapoznawczy zrealizować.

Że co?
– Nie było tam nikogo z Polskiej Grupy Zbrojeniowej czy jakiegokolwiek innego przedsiębiorstwa produkującego lub aspirującego do tego, żeby produkować uzbrojenie. To było szokujące. Myślałem, że będę ostatni w kolejce, a okazało się, że jestem pierwszy.

To jakiś nonsens. Są dwa kraje, które potrafią dziś prowadzić współczesną wojnę: Rosja i Ukraina.
– Ale od Rosji chyba nie zamierzamy się uczyć?

Jeszcze jest Iran, który stawia czoło amerykańskiej potędze, ale od nich też nie będziemy się uczyć.
– Iran uczy się od Rosji. To widać. W zamian za Szachedy Rosjanie dzielą się z Iranem swoimi doświadczeniem i dzięki temu Iran w Zatoce Perskiej odnosi sukcesy.

I zamienia konflikt regionalny w konflikt globalny. Wróćmy jednak do Kijowa.
– Kto nie chce zostać w tyle, ten przyjeżdża na teatr wojny ukraińsko-rosyjskiej. Podobnie czyni Korea Północna. Światowe media pisały lekceważąco o żołnierzach Kim Dżong Una, że zabiedzeni, że niedożywieni, że Putin nie ma kim walczyć, więc w rozpaczy sięga po żołnierzy Pjongjangu. Tymczasem, jak mówili mi sami Ukraińcy, to był najbardziej bitny żołnierz. Ci Koreańczycy zostali tam wysłani świadomie po to, by nauczyli się współczesnego pola walki, nowych technologii, nowoczesnej taktyki itp. Naturalny wniosek nasuwa się taki, że krajem, który dziś – prawdopodobnie – jest szczególnie wyeksponowany na ryzyko agresji, jest Korea Południowa. Nietrudno sobie wyobrazić, jak Koreańczycy składają w masowych ilościach drony z części wykonanych na drukarkach 3D. Kierują ich wielkie roje na Koreę Południową. Czy Korea Południowa się obroni? Czym będą do tych rojów strzelać? Przecież nie Patriotami, które kosztują miliony dolarów za sztukę. Ale jeżeli moje myślenie jest uprawdopodobnione, to znaczy, że Korea Południowa jest w poważnym niebezpieczeństwie, a my w dużej mierze polegamy na sprzęcie, który tam zamówiliśmy.

• **Ukraina, obwód charkowski, 19 marca br. Żołnierz z jednostki dronów kamikaze 42. Brygady testuje drona typu BC przed wysłaniem go na front**
FOT. JOSE COLON/ ANADOLU VIA GETTY IMAGES

Zapewne sprzęt, który świetnie by się sprawdził na ostatniej wojnie.
– Tego nie wiem, ale wiadomo skądinąd, że generałowie zawsze szykują się do wojen, które już były.

Pytałem Ukraińców na przykład, czy i jak używają czołgów. Owszem, używają, ale nie do szturmów, tylko po to, żeby się na zdobytym terenie utrzymać. Gdy raz podjęli ofensywę przy użyciu Leopardów, trzeba było je porzucić, bo utknęły w błocie. Kim pokazuje je teraz na placu w Pjongjangu jako wojenną zdobycz. Ukraińcy nie mieli wozów serwisowych, żeby je ściągnąć z pola walki. Polska też ich nie ma. Czołgi są drogie, a do tego mogą się poruszać tylko w warunkach dronowej przewagi w powietrzu.

Rosjanie napadli na Ukrainę w klasyczny sposób. To był desant na Hostomel i kolumny pancerne jadące na Kijów, a po czterech latach wszystko się zmieniło.
– Ta wojna przeszła trzy fazy. Pierwsza była tradycyjna: czołgi, artyleria, lotnictwo. Potem była wojna pozycyjna jak podczas pierwszej wojny światowej: linia frontu, transzeje, okopy, ziemianki, ostrzał. Obecnie to wojna dronowa. Utworzył się pas ziemi niczyjej szerokości 30-40 km. Dziś przeciwnicy w ogóle siebie nie widzą. Jeżeli, to tylko na ekranie. Każdy, kto wejdzie do martwej zony, ginie. Ten pas sukcesywnie się poszerza w miarę doskonalenia się dronów. Dzisiaj nie ma więc sensu kupować pocisków artyleryjskich, które mają zasięg mniejszy niż 40 km. Są producenci amunicji, którzy twierdzą, że produkują amunicję, która strzela na 70 km, a z napędem rakietowym jeszcze dalej.

Prywatne firmy optymalizują koszty i wysiłek, potrafią liczyć pieniądze.
– Nawet na Ukrainie widać różnicę między produkcją państwową a prywatną. W Antonowie zauważyłem overengineering (przeinżynierowanie) – na przykład nitowanie konstrukcji jednorazowego użycia. Nikt się nie liczy z kosztami i czasem. Tymczasem w prywatnych wytwórniach używa się najprostszych rozwiązań: sklejka, pianka montażowa, włókno szklane. Ma być tanio, szybko i skutecznie. Masz wrażenie, że jesteś w modelarni, w młodzieżowym domu kultury, tylko sto razy większych.

Zwykle, gdy państwo zawodzi albo nie nadąża, to ujawniają się jednostki kreatywne. Rzecz w tym, by państwo umiało z tego skorzystać. Patrzę na to z nadzieją, bo to może być droga dla naszego kraju.

To się pewnie stanie, dopiero gdy – odpukać – Rosjanie nas zaatakują, bo tylko w stanie wojny państwo skraca procedury biurokratyczne, stawia na szybkość i efektywność.
– W Polsce muszą powstać takie równolegle struktury prywatnego biznesu, bo uważam, że dziś nasze państwo zawodzi.

Dlaczego zawodzi?
– Na razie program SAFE został w ten sposób zagospodarowany, że prawie wszystkie środki poszły do Polskiej Grupy Zbrojeniowej, w sporej części na refinansowanie kontraktów, które już wcześniej zostały zawarte i które miały być finansowane z innych źródeł. Teraz PGZ jest jednocześnie głównym beneficjentem i wąskim gardłem. Musi szybko wyprodukować i dostarczyć. Ale czy jest w stanie? Czy ma takie moce? Stawiam tutaj wielki znak zapytania. Pewno będzie panika. PGZ będzie próbowała kupić gdziekolwiek, żeby tylko zaliczyć kupioną produkcję u Czechów, Słowaków, Niemców, Hiszpanów jako własną. Moim zdaniem tak to się skończy. Może podzlecać produkcję gdzie indziej, ale jaki to ma ekonomiczny sens? Może też niedługo płacić kary umowne Agencji Uzbrojenia, będzie to więc przekładanie budżetowych pieniędzy z jednej kieszeni do drugiej. Ale znów, gdzie tu sens? Środki z SAFE nie są za darmo – to pożyczka, korzystna, ale wciąż pożyczka. Zapłacą za nią kolejne pokolenia. Gdy porównuję, na co w Polsce wydawane są dziś pieniądze, z tym, co się dzieje na Ukrainie, to mi resztki włosów stają dęba.

Ukraina dostaje pomoc Zachodu. Ale coraz więcej broni produkuje już sama. Pięć tysięcy dronów dziennie wytwarzanych w różnych wytwórniach rozrzuconych po całym kraju to jest wielkie przedsięwzięcie

Rozumiem, że przed wojną Ukraina nie produkowała dronów.
– Myli się pan, już produkowała. Słyszał pan o Babie-Jadze? To w pewnym momencie był najbardziej popularny dron. Został wyprodukowany we Lwowie, by... przemycać przez granicę papierosy. Miał udźwig umożliwiający przeniesienie palety z papierosami. A więc technologia już była. To dual use – pokojowo-wojenny. Przewrotna prawda jest taka, że początki przemysłu dronowego były przestępcze.

Wielu byłych kiboli Dynama Kijów czy Szachtara Donieck jest dzisiaj na froncie, niektórzy zostali dowódcami brygad. Ludzie przechodzą różne przemiany, sprzęt również ewoluował.

Sukces Ukrainy wziął się z tego, że w pewnym momencie zanegowano dotychczasową hierarchię armii. Kadra oficerska wykształcona głównie w poprzednim systemie nieufnie patrzyła na ludzi z cywilnego biznesu, którzy coś potrafili, zresztą z wzajemnością.

Chce pan powiedzieć, że wojska dronowe nie powstały w strukturach armii ukraińskiej, ale jako prywatne przedsięwzięcie?
– Powiedzmy, że jako struktura równoległa. To taki przejaw aktywności społeczeństwa obywatelskiego albo raczej biznesu obywatelskiego, który się sam zorganizował.

To zupełnie inne pokolenie. Właścicielem firmy produkującej drony lądowe UGV (Unnamed Ground Vehicle) jest producent urządzeń dla przemysłu spożywczego. Młody człowiek. Potrafi liczyć, produkować tanio. Wszystko jest sprawdzane i doskonalone na bieżąco w boju. Nie trzeba wymyślać koła na nowo, wystarczy się od Ukraińców uczyć.

Co pan ma konkretnie na myśli?
– Obawiam się, że nikt wśród decydentów nie bierze poważnie pod uwagę ryzyka konfliktu zbrojnego. Liczą się tylko słupki poparcia.

Uczestniczyłem niedawno w dyskusji okrągłego stołu z naszymi oficjelami i przedstawicielami strony ukraińskiej. Nasi chwalili się, że zwiększyli efektywność zakupów o 10 proc. Na co usłyszeli od Ukraińców, że gdy wybuchnie konflikt, to nie oni będą podejmowali decyzje o zakupach sprzętu, tylko ci, którzy go używają. To pokazuje, że mentalnie jesteśmy na jałowym biegu. Inny przykład. Ukraińcy opowiadali mi o rozmowach z dowództwem naszej floty w sprawie zakupu lub wspólnej produkcji dronów morskich, które przecież unieruchomiły flotę sewastopolską. Wysokiej rangi dowódca naszej floty wyrażał zainteresowanie tymi dronami, ale i wątpliwość – bo co teraz zrobić z zamówieniami na fregaty i inne typy statków? Tymczasem wojenne doświadczenia – nie tylko z Morza Czarnego, ale i z Zatoki Perskiej — pokazują, jak szybko zmienił się charakter wojny morskiej. Nasza dumna flota raczej portów nie opuści, jeżeli na morzu będą operowały drony nieprzyjaciela.

Ukraińcy darowali nam cztery lata. Myśmy je zmarnowali.

eprasa.pl d324f0b119

Nie tylko my, śmiem twierdzić.
– To prawda, cała Europa zmarnowała. Ale Niemcy się budzą, Francuzi się budzą... Skandynawowie obudzili się pierwsi. Bogu dzięki Finlandia i Szwecja weszły do NATO.

Mówiono mi w Kijowie, że najbardziej aktywni, jeśli chodzi o transfer technologii i zakładanie *joint venture*, czyli wspólnych przedsięwzięć polegających na wymianie – tj. produkcja w kraju partnera w zamian za technologię – są Duńczycy. Z krajami nordyckimi są najściślejsze kontakty. Ale joint venture mają już w Niemczech, mają w Wielkiej Brytanii – tylko w Polsce nie mają żadnych partnerów. Jeden list intencyjny podpisany przez PGZ. Daleka droga do realizacji czegokolwiek.

Dlaczego? Skąd się to bierze?
– Może pan mi powie?

Wie pan, co to syndrom Gołoty?
– Nie słyszałem.

My, Polacy, mamy ten syndrom. Andrzej Gołota boksował w 1996 r. o mistrzostwo świata z Riddickiem Bowe'em. Był lepszy, kontrolował sytuację, wystarczyło, żeby nie faulował, a wygrałby na punkty. I oczywiście mimo ostrzeżeń sędziego w ostatniej rundzie musiał uderzyć poniżej pasa. Został zdyskwalifikowany. Po miesiącu był rewanż... i sytuacja się powtórzyła.

Ten syndrom „w ostatniej chwili spieprzyć, co się da" objawił się teraz w relacjach polsko-ukraińskich. Po czterech latach pomocy walczącej Ukrainie, przekazaniu jej 318 czołgów, 585 pojazdów opancerzonych, 137 systemów artyleryjskich, 14 MIG-ów 29, po tym, jak Polska pierwsza uznała niepodległą Ukrainę, wspierała Pomarańczową Rewolucję i Majdan, po tym, jak 77 proc. Polaków osobiście pomogło ukraińskim uchodźcom i bez jednego obozu przyjęli do swych domów 2 mln ludzi, słowem: po latach budowania przyjaźni i solidarności europejskiej wylądowaliśmy na poziome sprzed lat 30, upokorzyliśmy Ukraińców, odbierając Zełenskiemu Orła Białego, i teraz walczymy o przeszłość, a nie o przyszłość.
– To jest polski gen samozagłady. Znowu będziemy walczyć sami?

Ale za to „nie oddamy ani guzika" i „ocalimy honor".
– Hejt na Ukraińców bierze się też z tego, że dopóki to byli ludzie, którzy tu przyjeżdżali nas obsługiwać: sprzątać, pielęgnować, malować, murować, to wszystko było w porządku.

Jak każdy był obsadzony w tradycyjnej roli: my „pany", a oni byli „chamy".
– Ale gdy przyjechali tacy, którzy mają pieniądze i zakładają biznesy, są ludźmi sukcesu, mają dobre samochody, to nam się to nie podoba.

Do tego wychodzi jakieś nasze chore poczucie wyższości. Rozmawiam teraz z wieloma naszymi decydentami, bo chodzę i namawiam, żebyśmy uczyli się od Ukraińców. Na to słyszę, że „my jeszcze coś na pewno dla Ukrainy zrobimy". A to nie o to chodzi. Chodzi o to, co my zrobimy dla siebie. Mało kto pyta, czego my się możemy od nich nauczyć.

Jakie wnioski wypływają dla polskich inwestorów, którzy chcą zainwestować w polski przemysł obronny. Są na to pieniądze. A czy jest otwartość państwa na niepaństwowe inwestycje?
– Z puli, która ma być wykorzystana do 2030 roku, jest jeszcze do zagospodarowania ok. 14 mld euro, które mają służyć joint procurement, czyli wspólnym zakupom z innymi krajami. Jeśli nie wydamy tych pieniędzy do 2030 roku, będą musiały być zwrócone. Niestety, prywatny biznes jest z tych kontraktów wypychany.

Dlaczego wypychany? Względy bezpieczeństwa?



• **Wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak– Kamysz w Hucie Stalowa Wola po podpisaniu kontraktu finasowanego z progarmu SAFE na dostawy m.in. wozów bojowych Borsuk. armatohaubic Krab i moździerzy Rak (30 maja br.)** FOT. PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

– Jest jakaś absurdalna nieufność państwa wobec prywatnego biznesu. Poza tym kapitał polityczny łatwiej zbija się na ogłaszaniu kolejnych zakupów w przemyśle państwowym. Mówimy o naszych żywotnych interesach, które są zagrożone przez nieudolność rządzących – tych poprzednich i obecnych.

Przecież w razie większego konfliktu zbrojnego możesz polegać przede wszystkim na własnych zdolnościach produkcyjnych.

No jednak na Ukrainę idzie wielka pomoc. Bez niej Kijów by się nie utrzymał.
– Oczywiście Ukraina dostaje pomoc Zachodu. Ale coraz więcej broni produkuje już sama. Pięć tysięcy dronów dziennie wytwarzanych w różnych wytwórniach rozrzuconych po całym kraju to jest wielkie przedsięwzięcie. Ukraińcy decentralizują produkcję, czynią ją mobilną, przenoszą fabryki z miejsca na miejsce. Rozmawiałem z producentem tych największych dronów lądowych UGV, takich następców niemieckiego Goliata, którego znamy z powstania warszawskiego. Oni mają kilkanaście lokalizacji produkcyjnych.

Rozumiem, że idzie tu nie o same drony, ale o cały software, system, który zbudowali Ukraińcy.
– Oto istota rzeczy. Ukraińcy mieli już przed wojną rozbudowany przemysł IT w sektorze cywilnym. To była ich przewaga. Eksportowali usługi IT na cały świat. Jestem absolutnym fanem ukraińskiej etyki pracy. W jednej z firm, w której byłem udziałowcem, gdy wybuchła wojna ponad tysiąc pracowników IT pracowało nieprzerwanie w schronach, pod ostrzałem, w Charkowie, Odessie, Kijowie, obsługując klientów w Stanach Zjednoczonych i innych krajach. Wiele z tych osób – pierwszego dnia wojny – wstało od biurek. Jeden z nich jest teraz dowódcą brygady dronów, inni przeprowadzają cyberataki na rosyjską infrastrukturę.

Jednak w ukraińskich dronach i systemach większość komponentów to są komponenty chińskie. Baterie do dronów chińskie, silniki chińskie, elektronika chińska, kamery chińskie. Rosjanie też mają chińskie...
– Bo Chińczycy sprzedają jednym i drugim. Dlatego, jeśli chcemy zastosować te drony w NATO, to chińskie komponenty musimy zastąpić.

Nie idealizuje pan Ukrainy?
– Nie mówię, że tam nie ma korupcji i innych problemów, ale prawda jest też taka, że oni z tą korupcją walczą. Rozmawiałem z byłym premierem Markiem Belką, który – nie wszyscy to wiedzą – jest przewodniczącym komitetu audytu dla dwóch instrumentów finansowych Unii Europejskiej dla Ukrainy. Jeden opiewa na 90 mld euro, a drugi na 70 mld. Słowem: odpowiada za duże pieniądze. Jest tam jeszcze Holender i Niemiec. Oni jeżdżą do Ukrainy, spotykają się z ministrami. Belka twierdzi, że na serio zaczęto walczyć z korupcją. Co chwila ktoś jest aresztowany i media o tym informują. W Rosji nie. Co wcale nie znaczy, że tam nie ma korupcji, ale raczej, że nie ma mediów i nikt korupcji nie zwalcza.

Z tego, co pan mówi, wynika, że to jest nasz żywotny interes, racja stanu – mieć sojusz z Ukrainą i sojusz z Niemcami. Stworzylibyśmy wówczas potencjał równoważny konwencjonalnemu potencjałowi Rosji. Uzyskalibyśmy wsparcie w postaci ukraińskiego doświadczenia bojowego, rozumienie współczesnego pola walki oraz dostęp do zaawansowanej technologii militarnej.
– A gdzie jest nasza strategiczna głębia? Którędy będą szły dostawy do Polski w przypadku konfliktu? Przecież nie przez Morze Bałtyckie, które jest małe i płytkie i każdy może je zamknąć swoją artylerią nabrzeżną. Mogą to zrobić Niemcy, Rosjanie, Skandynawowie, a także my. Dlatego konflikt NATO – Rosja toczyć się będzie na dwóch teatrach wojny. Skandynawia będzie odcięta. Czy możemy liczyć na przychylność Czech i Słowacji, które dzisiaj sympatyzują z Rosją... Przypomnę, że w 1920 amunicję z Węgier wieźliśmy przez Rumunię, a nie przez Czechosłowację, gdzie nie chciano nam tej amunicji przepuścić. Nie zapominajmy, że 1 września 1939 roku to wojska słowackie pierwsze przekroczyły granice Polski. Mówię to po to, by wykazać absurdy myślenia w kategoriach trudnej historii. Tych rachunków nigdy nie wyrównamy.

Dziś nasza strategiczna głębia to Niemcy! Nie ma innej drogi. Najprostszy przykład: tylko Niemcy posiadają technologię produkcji najistotniejszego komponentu prochu trójbazowego zapewniającego daleki i powtarzalny zasięg artyleryjski.

Mamy zdegradowane stosunki zarówno z Ukrainą, jak i z Niemcami, choć z oboma krajami potrzebujemy sojuszu. Spieramy się o sprawy sprzed 80 lat, a zaniedbujemy przyszłość.

Nie bez powodu największą obsesją polskiej prorosyjskiej prawicy są dzisiaj właśnie Ukraińcy i Niemcy.
– W sytuacji, gdy maleje zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w NATO, to z kim niby mielibyśmy mieć taki sojusz? Czy Anglia i Francja nam pomogą? Czy widział pan kiedyś Royal Navy operującą w okolicach Częstochowy? Czy nasze doświadczenia historyczne nie powinny nas czegoś nauczyć?

Podsumuję naszą rozmowę, wyostrzając nieco tezy: 1. Nie jesteśmy gotowi do wojny. 2. Nie uczymy się od Ukraińców. 3. Zmarnowaliśmy darowane nam przez nich cztery lata. 4. Zamiast zawiązywać sojusze, kłócimy się z sąsiadami. 5. Zbroimy się anachronicznie i szykujemy na poprzednią wojnę. 6. Zbrojenia realizujemy przez ociężałe państwowe podmioty. Czy to powiedziawszy, możliwa będzie współpraca wojskowa z Ukrainą?
– Ona musi być możliwa! To najlepiej wyszkolona armia w Europie. Nie chciałbym ich mieć za wroga. Ale nie zapominajmy, że to społeczeństwa dziś prowadzą wojnę, a front jest wewnątrz każdego z krajów. Nie inaczej jest w Polsce. Nie dajmy się skłócić z naszymi naturalnymi sojusznikami.

Jak pan sądzi, co będzie dalej z Ukrainą?
– Wróciłem z Kijowa nastawiony optymistycznie. Ukraina nie przegra tej wojny. Nie wiem, co będzie oznaczała wygrana, ale wojny nie przegra. Może się ziścić scenariusz koreański, czyli ani pokój, ani wojna, tylko trwające przez dziesięciolecia zawieszenie broni. ●

Przemysław Krych



• Rocznik 1966, inwestor, filantrop, działacz opozycji antykomunistycznej. Pochodzi z Gorzowa Wlkp. Ukończył prawo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Karierę menedżerską rozpoczął w Banku Handlowym w Warszawie (dziś Citi Handlowy).
• W 2001 roku założył firmę inwestycyjną Cornerstone Partners (dzisiaj Cornerstone Investement Management), w której portfelu znajdowały się takie firmy, jak: LuxMed, Spravia (dawniej Budimex Nieruchomości) czy Avenga (globalna firma dostarczająca rozwiązania IT). Pięć lat później założył Griffin Real Estate, który stał się największym inwestorem na środkowoeuropejskim rynku nieruchomości komercyjnych.
• Wspierał i wspiera liczne inicjatywy dobroczynne, obywatelskie i artystyczne, m.in.: Fundację Pomocy Osobom Niepełnosprawnym, Open Dialog, Media Liberation Fund, Fundację Edukacyjną im. Jana Karskiego, program dziennikarstwa śledczego Fundacji „Gazety Wyborczej", Fundację im. Bronisława Geremka czy Griffin Art Space.
• W czasach rządów PiS Krych otrzymał ofertę „łapówka za święty spokój". Odmówił – miesiąc później wierna Zbigniewowi Ziobrze katowicka prokuratura oskarżyła go o wręczanie łapówek senatorowi Stanisławowi Kogutowi. Miały nią rzekomo być darowizny dla Fundacji Pomocy Osobom Niepełnosprawnym w Stróżach. 19 grudnia 2017 roku Krych został aresztowany i przez pół roku przetrzymywany w „areszcie wydobywczym", w którym nakłaniano go do „przyznania się do winy". Po wyjściu na wolność były rzecznik PiS i były członek komitetu politycznego tej partii Adam Hofman złożył Krychowi ofertę „spotkania ze Zbyszkiem (Ziobrą) i z Patrycją (Kotecką)" w celu „wyjaśnienia nieporozumienia". Dwa lata temu Przemysław Krych udzielił obszernego wywiadu „Wyborczej", w którym opowiedział swoją historię.
• Sprawa aresztowania Krycha nie została umorzona do dziś, choć w uchwale Rady Europy napiętnowano ją jako książkowy przykład nękania biznesu i łamana praw obywatelskich za czasów PiS.
• Przemysław Krych jest odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności, Medalem Pro Patria. Otrzymał również Złoty Krzyż Zasługi za zasługi w działalności społecznej i charytatywnej, a także Odznakę Honorową Działacza Opozycji Antykomunistycznej lub Osoby Represjonowanej z Powodów Politycznych.

eprasa.pl d324f0b119

Mentzen Caravaggio

Kłamstwo można sprostować, pokazując fałszywe zdanie. Znacznie trudniej sprostować obraz złożony wyłącznie ze zdań prawdziwych.



Marcin Matczak

Po tym, jak 30 lipca rosyjski pocisk manewrujący przeleciał nad Polską i spadł na pole pod Tarnawą-Kolonią, Sławomir Mentzen opublikował w internecie komentarz do tego wydarzenia. Warto przeanalizować czysto gramatycznie, kto albo co jest podmiotem w tym wpisie.

Oto ich lista: obiekt (został wykryty, uderzył w ziemię), syreny (zawyły), ludzie (mieli włączyć radio, nie wiedzieli, co robić), komunikat (był o 7.14), muzyka (była w radiu), alert RCB (służy do prognozy pogody), rząd (musi zacząć działać).

W komentarzu na temat rosyjskiego pocisku latającego nad Polską u Mentzena Rosja nie jest podmiotem ani razu. Tak jakby nikt niczego nie wystrzelił, jakby pocisk uderzył w ziemię sam. Jak grad.

Ktoś powie, że wtedy nie było jeszcze jasne, czyj to pocisk. Ale potem już było, a Rosji w wypowiedziach Mentzena dalej brakowało. Ktoś powie, że w tym wpisie nie ma fałszywego zdania. Godziny się zgadzają, zarzut jest trafny, a syreny odezwały się cztery minuty po uderzeniu. Na czym więc polega problem?

Na tym, w jaki sposób Mentzen rzuca światło na obraz zdarzeń. A robi to jak artysta propagandy. Ba, możemy w tej sprawie być bardziej konkretni – robi to jak Caravaggio manipulacji.

Putin w cieniu

Na przełomie XVI i XVII wieku Caravaggio spopularyzował i zradykalizował technikę malarską nazywaną tenebryzmem. Choć światłocień był znany wcześnie, co do zasady malarze oświetlali scenę mniej więcej równo. Widać było postaci, wnętrze, okno, pejzaż. U Caravaggia bardzo mocne światło pada na niewielki fragment sceny, na przykład na twarz czy dłoń, a cała reszta tonie w ciemności.

Tenebrysta niby niczego z obrazu nie usuwa, bo postaci i przedmioty umieszczone w cieniu nadal tam są – po prostu są nieoświetlone. Jednocześnie źródła światła nie widać, bo jest ono poza kadrem. Nie ma więc jak sprawdzić, kto lampę ustawił i tym samym zdecydował, co oświetlić. Co jednak najciekawsze: ciemność nie wygląda jak brak. Stojąc przed takim obrazem, nie masz wrażenia, że jest na nim dziura albo że jest niedokończony – sprawia wrażenie kompletnego.

W kwestii Ukrainy obrodziło nam tenebrystami. Pisałem kiedyś, że jak przeanalizujecie wypowiedzi publiczne przedstawicieli Konfederacji i zbadacie, kto w nich jest wrogiem Polski, to w czołówce jest Unia Europejska (vel eurokołchoz) i Ukraina, ale Rosji nie ma nawet w pierwszej dwudziestce. Czyli światło jest rzucone na to, na co ma być rzucone, a Putin siedzi w cieniu.

Reflektor pada na koszty pomocy Ukrainie, uszczuplenie polskiego uzbrojenia, Wołyń i nie-

W komentarzu na temat rosyjskiego pocisku latającego nad Polską u Mentzena Rosja nie jest podmiotem ani razu

wdzięczność. To wszystko są rzeczy realne, może oprócz niewdzięczności. Ale w cieniu zostaje, kto napadł i zabija, a także kto jest buforem między napastnikiem a Polską.

Tenebryści polityczni

Tenebryzm, choć selekcjonuje rzeczywistość, paradoksalnie nie wydaje się mniej realistyczny, lecz bardziej. Święci Caravaggia mają brudne stopy i twarze ludzi ulicy. Podobno pierwszą wersję św. Mateusza i anioła odrzucono właśnie dlatego, że apostoł wyglądał jak chłop. Tenebrysta jest więc odbierany jako stojący twardo na ziemi, mówiący jak jest zamiast malowania idyllicznych obrazków. Co więcej, odbiorcy zdaje się, że w końcu widzi wyraźnie to, co inni zamazują.

Tak też jest z tenebrystami politycznymi. Ci malarze relacji polsko-ukraińskich różnią się od Caravaggia w jednym – on nigdy nie udawał, że ciemności nie ma. Mrok jest główną rzeczą na jego płótnach. A u nich ruska ciemność znika.

Nie tylko Mentzen tak robi. W marcu 2024 roku mer Lwowa komentuje naruszenie polskiej przestrzeni powietrznej, mówiąc, że szkoda, iż rakiety nie zestrzelono w strefie NATO. Bosak odpowiada, że zanim mer Lwowa zacznie podpowiadać Polakom, mógłby przeprosić za upamiętnienie osób kierujących ludobójstwem na Polakach. Rosyjska rakieta nad Polską, a przedmiotem repliki jest wołyńskie upamiętnienie.

W rozmowie chodzi o pocisk wroga, ale Bosak całe światło rzuca na sojusznika.

Albo inne sformułowanie Bosaka: „inicjatorzy przeciągania Ukrainy z rosyjskiej w zachodnią strefę wpływów". Ukraina jest czymś bezwolnym, czymś przeciąganym, a sprawcami są anonimowi „inicjatorzy" z Zachodu. Rosyjska strefa wpływów występuje tu jako stan wyjściowy, naturalny, a wojna staje się skutkiem zachodniego ruchu, nie rosyjskiej decyzji.

Czego widz nie dojrzy

Ten snop światła ma zaciemnić nasze myślenie i spowodować, żebyśmy decyzje w sprawie ukraińskiej podejmowali tak, jakby Rosji nie było. To nie zwalczanie agresora wszystkimi środkami ma być kluczowe, ale koncentracja na winach sojusznika. Ruska rakieta nie jest w narracji tych ludzi historią o Rosji, bo łatwiej zrobić z niej kolejny argument antyukraiński: tak bardzo pomagamy, że nie reagujemy właściwie. Czy stąd wniosek, że powinniśmy nie pomagać? A może jednak fakt, że ta rakieta była jedna, a nie było ich tysiąc, ma jakiś związek z tym naszym pomaganiem Ukraińcom? Ale tego daleko w kącie obrazu widz już nie dojrzy.

Problemem Polaków jest dzisiaj to, że niby rozpoznają zewnętrzne zagrożenie, ale jednocześnie kierują ogromną energię polityczną przeciw partnerowi, a nie wrogowi. W efekcie to, kto jest wrogiem, staje się jakby coraz mniej jasne. Dzieje się to za sprawą ludzi, którzy tak sprytnie ustawiają lampę, żebyśmy widzieli tylko to, co mamy widzieć.

Nie można tego tak zostawić, choć profilaktyka manipulacji jest trudna. Kłamstwo można sprostować, pokazując fałszywe zdanie. Znacznie trudniej sprostować obraz złożony wyłącznie ze zdań prawdziwych, ale oświetlonych tak, by prowadziły do fałszywego wniosku. Najskuteczniejsza propaganda nie polega bowiem na wymyślaniu rzeczywistości, ale na ustalaniu hierarchii tego, co w niej widzialne. Można mówić wyłącznie prawdę, a mimo to kłamać całym obrazem.

Niemniej jednak trzeba tenebrystom politycznym dać odpór, aktywniej i lepiej retorycznie pokazywać, kto tam stoi w cieniu i na kim nasza uwaga powinna się skupić. Rosja jest podmiotem, który nam zagraża, Rosja zaczęła tę wojnę i Rosja powinna być adresatem większości naszych żądań, nie Ukraina. Bo inaczej nasze najważniejsze decyzje będą podejmowane przy całkowicie błędnych założeniach.

Podła piosenka o Ukraińcach

W „Balladzie o Ukraińcu" pojawia się na przykład – jakże popularne w propagandzie nazistowskiej – porównanie do pasożyta.



Michał Rusinek

To nie będzie zabawny felieton; to będzie felieton pełen oburzenia. Do skandalicznej antyukraińskiej retoryki prawicowych polityków dołączyła bowiem ostatnio także skandaliczna antyukraińska poetyka, a właściwie poezja śpiewana.

Widzowie TV Republiki, a ściślej programu informacyjnego Express Republiki+, usłyszeć mogli mianowicie fragment piosenki autorstwa youtuberki Liliany Wiadrowskiej („Polka na Bałkanach"), zatytułowanej „Ballada o Ukraińcu". Wygląda na to, że TV Republika zachęciła swoich widzów do obejrzenia całego teledysku – stworzonego z wydatną pomocą sztucznej inteligencji – bo do dzisiaj ma on około 100 tys. odsłon w serwisie YouTube.

Przeczytajmy uważnie tekst tej piosenki. Autorka, mieszkająca w Słowenii (w wywiadzie dla jednego z portali mówi „na Słowenii", czyli nadal uważa ją za część Jugosławii) opisuje to, co się dzieje w naszym kraju. Polska jest, jej zdaniem, „krajem usługowym:/ goście wchodzą nam na głowy". To jest oczywiście zleksykalizowana metafora i pewna abstrakcja, więc szybko dochodzi do wniosku, że potrzebny jest jakiś konkret.

Przekonuje więc, że do Polski z Ukrainy przyjechali nie ci Ukraińcy, którzy powinni byli przyjechać: „Miały być kobiety z dziećmi,/ a są ludzie »nebezpeczni«" – to dobrze już u nas zadomowiony sposób przedstawiania imigrantów i wywoływania lęku przed nimi.

Podobnie jak niektórzy politycy – o których kilka tygodni temu tutaj pisałem – uważa, że Ukraińcy nie są Polakom dostatecznie wdzięczni:

„Choć żerują na szczodrości,/ nie okażą nam wdzięczności" – czyli nie tyle nie okazują, ile nie ma co liczyć, żeby kiedykolwiek okazali. Nawiązuje przy okazji do odesłania orderu Orła Białego przez prezydenta Zełenskiego: „Już ordery odsyłacie,/ Orzeł Biały w paczkomacie,/ więc oddajcie i rakiety/ darmo dane wam, niestety" – krytykując przy okazji militarne wspieranie Ukrainy w wojnie z Rosją.

„Tu Budanow, tam Kłamczenko:/ zżarli palec z całą ręką" – pojawia się więc w tekście nieprzekręcone nazwisko szefa gabinetu prezydenta Ukrainy i przekręcone nazwisko Nataliji Panczenko, liderki ukraińskiej diaspory w Polsce. Wreszcie autorka zwraca się – z krzykiem! – do bohatera swojej ballady: „Grozisz Polsce?/ Powiedz szczerze,/ banderowski bohaterze!".

Nie powstrzymuje się przed dehumanizowaniem Ukraińców: „Stadem przyszli, już nie wrócą" i traktuje ich jako istoty, które byłyby w stanie zjeść wszystko: „Gdyby Adam i Ewa byli Ukraińcami,/ dalej żylibyśmy w raju między aniołami,/ bo zamiast posłuchać złego kuszenia,/ zrobiliby węża na grillu do jedzenia".

W tekście pojawia się także – jakże popularne w propagandzie nazistowskiej – porównanie parazytologiczne: „Gdy rozliczać będziesz PIT-a,/ dopisz w koszty pasożyta".

I wreszcie zdaniem Wiadrowskiej Ukraińcy „W samochodach po pijaku/ rozjeżdżają nam Polaków".

Warto zwrócić tutaj uwagę na zaimek, bo użyty w celowniku sugeruje, że autorka nie mówi tego jako Polka, ale albo jako przedstawicielka np. Słowian, którym ktoś rozjeżdża jakąś nację do tej grupy należącą, albo raczej jako reprezentantka innego państwa, które się uważa za większe i silniejsze, i któremu zależy na skłóceniu ze sobą Polaków i Ukraińców. Kto zgadnie, o jakie państwo może chodzić?

W skocznym rytmie tej piosenki można bowiem nie tylko podrygiwać, ale uprawiać akty przemocy ku uciesze Kremla

Mamy więc w tej piosence opis stanu rzekomo faktycznego, mamy zwrot do Ukraińców oraz zwrot do Polaków, ale mamy także inny tryb wypowiedzi: autorka żali się, że nazywają ją „onucą" (zapewne „ruską") i śpiewa, że „Ukrainiec w Polsce panem./ Prawda o tym grozi banem".

Wbrew temu, co czytamy w ponad 900 wspierających ją komentarzach (na kilka krytycznych) pod utworem – np. „Najlepsza piosenka podziemna od czasu »Siekiera, motyka, piłka, szklanka«", „Damy radę pogonić to barachło", „Tylko Braun zrobi porządek", „Powinni to grać w autobusach MZK Bielsko", „Wyślij to do wszystkich stacji radiowych, ciekawe, czy któraś puści" – nie tylko jej nie współczujemy, ale i apelujemy, by tego typu antyukraińskie rymowanki zostały potraktowane jako mowa nienawiści i poddane sankcjom prawnym. Propagowanie jej w mediach społecznościowych, na YouTube czy w telewizji – również. W skocznym rytmie tej wesołej i wpadającej w ucho piosenki można bowiem nie tylko podrygiwać, ale uprawiać akty przemocy ku uciesze Kremla.

eprasa.pl d324f0b119

POLSKA



Kaczyński NIEZJEDNOCZYCIEL

Jeszcze w czasach świetności partii Kaczyńskiego było widać, że PiS nie jest monolitem, że pod gładką z pozoru powłoką bezlitośnie ścierają się różne siły.

Bartosz T. Wieliński

Okazuje się, że dla Jarosława Kaczyńskiego byłoby znacznie lepiej, gdyby to Rafał Trzaskowski wygrał wybory. Klęska Karola Nawrockiego – przecież byłaby o włos, kilkaset tysięcy głosów – w żaden sposób PiS-owi by nie zaszkodziła.

Zaraz po ogłoszeniu ostatecznych wyników podniósłby się wszak krzyk, że wybory zostały sfałszowane. Pewnie przedstawiano by świadczące o tym dane z aplikacji, którą posługiwali się sympatycy PiS w obwodowych komisjach wyborczych. Aplikacja miała rzekomo sprawdzać, czy osoba głosująca na tzw. zaświadczenie uprawniające do oddanie głosu poza miejscem zamieszkania, nie robiła tego wielokrotnie w różnych komisjach. Apka była dziurawa, niebezpieczna i przede wszystkim nielegalna. Po wygranej Nawrockiego PiS natychmiast o niej zapomniał (notabene, ciekawe jak tam śledztwo w tej sprawie?). Gdyby Nawrocki jednak przegrał, nie mam wątpliwości, że zebrane – nielegalnie i nierzetelnie – dane posłużyłyby do dyskredytowania nowego prezydenta.

Mit sfałszowanych wyborów

Tak jak rzekome fałszerstwo wyborcze był mitem, na którym oparł się polityczny comeback Donalda Trumpa, podobny manewr zastosowałby Kaczyński, by skonsolidować i wzmocnić partię. Mit smoleński zastąpiłby mit sfałszowania wyborów. Jeszcze prostszy w obsłudze, bo udowadnianie, że w prezydenckim tupolewie doszło do zamachu, wymaga podstawowej znajomości praw fizyki. Tymczasem machina do szerzenia tego typu dezinformacji działałaby w takiej sytuacji dużo sprawniej, niż choćby obecne rozpowszechnianie fejków o dybiących na życie Polaków Ukraińcach.

Skoro wybory sfałszowano, to zły wybór kandydata Kaczyńskiemu by nie zaszkodził. A skoro postawił na politycznego nołnejma – z ostrożności nazwanego kandydatem obywatelskim – który nie został prezydentem, to o i wyhodowaniu potencjalnego Brutusa nie byłoby mowy. Nawrocki w partyjnej hierarchii stałby się co najwyżej nowym Piotrem Glińskim, niegdysiejszym kandydatem PiS na premiera technicznego. A może skończyłby w niebycie jak Jacek Saryusz-Wolski, niegdysiejszy kandydat PiS na szefa Rady Europejskiej?

Przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. wszyscy w PiS: Mateusz Morawiecki i Zbigniew Ziobro, Przemysław Czarnek i Michał Dworczyk, Tobiasz Bocheński i Marcin Horała musieliby zgodnie krzyczeć przed kamerami, że Donald Tusk przejął w państwie pełnię władzy dzięki wyborczym szwindlom.

Pełnię władzy? Brzmiałoby to jak dowcip. Przesiadka Trzaskowskiego z fotela prezydenta Warszawy na fotel prezydenta Polski oznaczałaby, że w skłóconej Koalicji 15 października pojawiłby się kolejny gracz, który próbowałby narzucać innym swój punkt widzenia. Bo chociażby patrząc na ambicje 50-letnich polityków z otoczenia Trzaskowskiego trudno sobie wyobrazić, że ten prezydent stałby się strażnikiem żyrandola.

eprasa.pl d324f0b119

Trzaskowski chciałby rządzić krajem, rozgrywać Tuska i ministrów, aktywnie wspierać poszukiwania następcy dla dobiegającego 70-tki premiera.

Z przecieków z posiedzeń kierownictwa PiS wiemy, że Morawiecki miał publicznie wyrzucać Kaczyńskiemu, że jako szef partii sobie nie radzi. Gdyby to Trzaskowski siedział w dużym pałacu, z takimi zarzutami musiałby konfrontować się Tusk. Demokratyczna koalicja pękałaby w szwach. Czy wytrzymałaby do wyborów?

Po zwycięstwie Nawrockiego pod patronatem amerykańskiej ambasady politycy PiS próbowali rozbijać koalicję, robiąc podchody pod szefa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza i Polski 2050 Szymona Hołownię. Czy również spełzłyby na niczym, gdyby demokraci byli ze sobą na noże?

Kpiny z „efektu Czarnka"

6 sierpnia 2025 r. w Sejmie grupka najaktywniejszych na portalach społecznościowych posłów PiS nagabywała dziennikarzy i polityków demokratycznej koalicji szyderczo pytając, czemu się nie cieszą z inauguracji nowego prezydenta. Pękaliby ze śmiechu, gdyby ktoś im wówczas powiedział, że rok później ich partia z hukiem rozpadnie się na dwa zawzięcie zwalczające się stronnictwa, a Jarosław Kaczyński, mimo że zainstalował w Pałacu Prezydenckim swojego kandydata, straci rząd dusz na prawicy.

Takie są jednak niezaprzeczalne fakty. Wyborczy sukces kandydata PiS był dla Kaczyńskiego zwycięstwem pyrrusowym. Głównie dlatego, że uwidocznił siłę podwójnej konkurencji PiS po prawej stronie, zwłaszcza tej pod wodzą Grzegorza Brauna; radykalnej, prorosyjskiej, posługującej się prostym, wręcz biblijnym językiem: tak, tak, nie, nie.

Kaczyński, który za rządów PiS chętnie podchwytywał skrajnie prawicowe melodie, ale w ostatniej chwili wycofywał je z repertuaru, jeszcze przed majem 2025 r. przestał być dla radykałów wiarygodny. Prezes desperacko próbował to zmienić, zaostrzając kurs partii, skręcając w prawo, stawiając na radykała Czarnka, ale nic to nie dało. Zapowiadany przez partyjnych propagandzistów „efekt Czarnka" stał się obiektem kpin. Poparcie dla PiS, zamiast rosnąć, spadało.

Bo czemu prawicowi wyborcy mieliby popierać nieautentycznego, zużytego rządzeniem polityka, skoro mogą prawdziwego Brauna? Ta niechęć będzie się pogłębiać. Wyczuł to Morawiecki, który już po rozwodzie, w ramach ostrej wojny podjazdowej z PiS-em, ostatnio zadał swojemu dawnemu szefowi cios w splot słoneczny. Oskarżył Kaczyńskiego, że to on przeforsował obowiązkowe szczepienia na Covid. W oczach zwolenników Brauna, zadeklarowanych antyszczepionkowców, nie ma większej zbrodni.

Konwent na nowo

Za rządów PiS kierowana przez Jacka Kurskiego propaganda kreowała obraz podzielonej, skłóconej opozycji, która nie jest w stanie przeciwstawić się obozowi z Nowogrodzkiej. PiS miał być monolitem, polską partią ludową i rządzić krajem. Przez dwie dekady mówił o tym sam Kaczyński. Jeszcze w czasach świetności jego partii było widać, że PiS nie jest monolitem, że pod gładką z pozoru powłoką bezlitośnie ścierają się różne siły. Dopóki partia zapewniała stanowiska i pieniądze, a Kaczyński był w stanie pilnować, by jedne frakcje nie wyrosły ponad inne, w grupie panowała względna równowaga. Runęła, gdy okazało się, że w przyszłym Sejmie, nawet jeśli udałoby się odzyskać władzę, klub PiS znacznie się skurczy kosztem obu Konfederacji.

Myślę, że nieunikniona perspektywa utraty mandatu oraz immunitetu była pęknięciem, które zapoczątkowało rozpad skały, a ten z kolei uwolnił pokłady skrywanych przez lata wzajemnych animozji i nienawiści. Efekty widzimy w telewizyjnych studiach i w internecie. Emocji tyle, że – żartuję – popcorn mi się przejadł.

Nie mam wątpliwości, że Kaczyński będzie do upadłego walczyć, by odzyskać pozycję przywódcy prawicy. W rzucanych przez niego oskarżeniach pod adresem Morawieckiego czuć sporą desperację. Wszak Kaczyński młodszy nie będzie. Ale kto uwierzy, że Morawiecki, kreowany na genialnego następcę prezesa, miałby być agentem Donalda Tuska i IV Rzeszy Niemieckiej? Takie zarzuty, stawiane przez Kaczyńskiego lub za jego wiedzą tylko potwierdzają, że gwiazda prezesa PiS przemija.

Gdy Morawieckiego wyrzucano z PiS jeden z publicystów wrzucił na X zdjęcie warszawskiego kościoła pod wezwaniem św. Katarzyny. To w jego pomieszczeniach jesienią 1994 r., pod egidą tamtejszego proboszcza, politycy prawicowych ugrupowań, znajdujących się poza Sejmem, powołali platformę dyskusyjną, która z czasem przekształcić się miała w koalicję. Data powstania tworu, który przeszedł do historii jako Konwent św. Katarzyny, była nieprzypadkowa, rok później odbywały się wybory prezydenckie, w których zetrzeć mieli się znienawidzony przez prawicę Lech Wałęsa z równie znienawidzonym działaczem postkomunistycznej lewicy Aleksandrem Kwaśniewskim. Listy ugrupowań tworzących konwent i nazwisk ich przywódców nie ma dziś sensu wymieniać, większość całkowicie zatarła się w pamięci. Faktem jest, że konwent nie spełnił swojego podstawowego zadania, prawicowym politykom nie udało się wyłonić jednego kandydata na prezydenta, a podziały między ugrupowaniami tylko się pogłębiły.

• **Prezes PiS Jarosław Kaczyński i prezydent Karol Nawrocki na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego w związku z naruszeniem przez rosyjskie drony polskiej przestrzeni powietrznej (11.09.2025)**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ile partii, tyle zdań

W połowie lata 2026 r. konwent sprzed ponad trzech dekad to trafna analogia stanu prawicy po podziale PiS. Na rok przed wyborami cztery ugrupowania mają stworzyć płaszczyznę współpracy, na której miałby się opierać ich przyszły rząd. W sondażach wszystko wygląda dobrze, Kaczyński, mimo że PiS jest w spadkowym trendzie, Morawiecki i dwie Konfederacje zbierają w przyszłym Sejmie większość mandatów. Ale jak z matematycznej większości zbudować większość polityczną?

Wspólnym mianownikiem dla tych czterech ugrupowań (a może będzie ich więcej, bo w Konfederacji Mentzena i Bosaka napięć nie brakuje) jest obsesyjna nienawiść do rządu Tuska i zemsta na jego ministrach i politycznym oraz społecznym zapleczu. W kluczowych do funkcjonowania państwa kwestiach różnice są diametralne.

Prezes będzie do upadłego walczyć o ddzyskanie pozycji przywódcy prawicy. W jego oskarżeniach pod adresem Morawieckiego czuć desperację. Wszak Kaczyński młodszy nie będzie

Polityka społeczna? Mentzen chce drastycznie ciąć budżetowe wydatki, Braun mówi o likwidacji podatków, Kaczyński chce rozbudowywać państwo socjalne.

Unia Europejska: Braun domaga się wyjścia ze wspólnoty, którą pogardliwie określa mianem eurokołchozu, Morawiecki uważa, że pozostanie w Unii i umiejętna dyplomatyczna gra w jej instytucjach przyniesie Polsce korzyści.

Konfederatom bliżej do Rosji, Kaczyński z Morawieckim po rosyjskiej napaści na Ukrainę prowadzili proukraińską i prozachodnią politykę. Dla nich fundamentem bezpieczeństwa jest NATO i sojusz z USA. Konfederaci krytykują to jako serwilizm.

Poza kwestiami programowymi partie podzielą sprawy personalne. Kto będzie premierem? Kto ministrem finansów, szefem MSZ, MON i MSWiA? Gdyby PiS miał ponad 30 proc. poparcia, wyboru dokonano by na Nowogrodzkiej, tak by nie przekazywać koalicjantom zbyt dużo władzy i pieniędzy. Ale w sytuacji, gdy różnica poparcia partii Kaczyńskiego i Mentzena jest już jednocyfrowa i maleje, trudno sobie wyobrazić sytuację, by PiS mógł cokolwiek dyktować. I kogokolwiek z konkurencji mógł kupić stanowiskiem, co kiedy, gdy formalnie Morawiecki nie miał większości w Sejmie, było normalną praktyką. Ergo: z takiej konstelacji stabilny rząd raczej nie powstanie.

Gracz wagi ciężkiej?

Prawica potrzebuje nowego przywódcy na miarę Kaczyńskiego. Polityka, który będzie w stanie zebrać rozmaite ugrupowania i frakcje i stworzyć z nich monolit. Tego zadania nie wykona ani groteskowy Czarnek, ani pozujący na technokratę Morawiecki, ani skupiający wokół siebie naprawdę szemrane towarzystwo Braun. Jedynym politykiem na scenie, który miałby mandat i możliwości do jednoczenia polskiej prawicy jest Karol Nawrocki.

Pytanie, czy temu podoła? Wielu publicystów stawia tezę, że Nawrocki (to nawiązanie do sportu, który uprawia) jest politykiem wagi ciężkiej, to samorodny talent, człowiek, który sporo w naszej polityce nie tylko namiesza, ale i zrobi. I że Nawrocki nie da się prowadzić na smyczy, tak jak to było z Andrzejem Dudą. Nie należę do tej grupy.

Karol Nawrocki pozostaje raczej politycznie niezależny od swoich promotorów, ale mimo to nie wykonał w pierwszym roku swojej prezydentury żadnego ruchu, który świadczyłby o jego politycznej sprawczości. Trudno za takowe uznać seryjne wetowanie ustaw, których – jak się okazało, analizując uzasadnienie – Nawrocki nawet nie czytał, uporczywe odmawianie nominacji ambasadorom, oficerom, profesorom czy wreszcie nieodbieranie przysięgi wobec wybranych przez Sejm sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Podobnie trudno uznać nieudane próby zagarnięcia przez urząd kompetencji rządu. Nie wiem zresztą do dziś, jaki pomysł na Polskę ma Karol Nawrocki. Odnoszę za to wrażenie, że wyobraził sobie, że sprawowanie urzędu prezydenta jest jak panowanie. Nawrocki polubił blichtr i swój potakujący dwór, gotów tłumaczyć każde jego potknięcie (po krytyce, jaka spadła na niego po ułaskawieniu skazanego na zakaz stadionowy gniazdowego Legii jego rzecznik mówił „wara od prerogatyw prezydenta!").

Zapał Nawrockiego, by zmieniać Polskę, mocno przygasł. Tak jak chęć wchodzenia z rządem w bezpośrednie konfrontacje. Co jakiś czas słychać za to znane z czasów Dudy sformułowanie „ja, jako prezydent". W moim odczuciu, gdy polityk publicznie przywołuje urząd jaki pełni, obnaża swą bezsilność. W rozmowach za zamkniętymi drzwiami prezydent tę bezsilność demonstruje, prowadząc pełne oburzenia tyrady na rządowych urzędników, którzy mimo wezwań nie stawiają się u niego na dywaniku. Nawrocki, sprawując najwyższe stanowisko polityczne, po prostu nie robi polityki. Wetowanie ustaw to zwykły wandalizm, który można porównać do wybijania szyb. Nawrocki nie ma też swojej formacji, swoich szabel.

Już ktoś taki jest

Brak sprawczości odbija się w sondażach. Nawet wzrost popularności prezydenta na fali prowadzonej przez Pałac Prezydencki antyukraińskiej kampanii ukoronowanej odebraniem prezydentowi Ukrainy Wołodymyrowi Zełeńskiemu Orderu Orła Białego nie zmienia faktu, że wyniki Nawrockiego mocno odstają od ocen jego poprzedników. A minął zaledwie rok prezydentury.

Dlatego nie spodziewam się, by to obecny prezydent konsolidował podzieloną skrajną prawicę. Ale to nie jest dla demokratów dobra wiadomość. Polityka nie znosi próżni. Bo tego zadania podejmie się ktoś inny. Nie jestem w stanie wskazać nazwiska, myślę że gdzieś w drugim, trzecim szeregu którejś z partii, wchodzącej w skład skrajnie prawicowego ekosystemu, czeka sprawny i ambitny polityk, który stworzy nową polityczną jakość. Obserwowałem z bliska narodziny niemieckiej skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD). U zarania, w 2012 r. była to partia konserwatywnych profesorów ekonomii, którzy protestowali przeciwko ratowaniu bankrutującej Grecji pieniędzmi niemieckich podatników i kontestowali istnienie wspólnej waluty. Po kilku transformacjach, wchłonięciu wschodnioniemieckich neonazistów, antyszczepionkowców z metropolii zachodnich Niemiec oraz antysystemowców i miłośników Władimira Putina AfD osiąga w Niemczech status partii ludowej. Jej przywódcy wcześniej nie byli znani, tkwili w na tylnych siedzeniach starych partyjnych organizacji. Dziś mają szansę objąć absolutną władzę w pierwszym landzie – Saksonii Anhalt. Jeśli do tego dojdzie, Niemcy czeka potężny wstrząs.

Kryzys i rozdrobnienie polskiej skrajnej prawicy, gaśnięcie gwiazdy Jarosława Kaczyńskiego będzie okazją do podobnych transformacji, do powstania machiny na wzór AfD. Partii, która przekroczy wszelkie granice wyznaczone przez obyczaj, wrażliwość, narodową i europejską rację stanu,

Chętni do budowy takiej formacji już są u nas w blokach startowych. Jestem tego pewien. ●

eprasa.pl d324f0b119

Rozłam na prawicy

Rozwój Plus i PiS. Znajdź różnicę

Można dostać mdłości, gdy Mateusz Morawiecki roztacza wizję wielkiego rozwoju Polski. Miał szansę ją zrealizować

Dominika Wielowieyska



W przeszłości w PiS bywali politycy umiarkowani, którzy z tej partii odchodzili, próbowali zbudować coś nowego, ale ponosili klęskę i ostatecznie lądowali w kręgu Koalicji Obywatelskiej, PSL albo w ogóle poza polityką. Część „normalsów" jednak w PiS została, jednak nie wychylała się, milczała wobec wypowiadanych bredni, nie reagowała na niegodziwości i łamanie prawa, zgodnie z zasadą lojalności wobec partii. Nie buntowali się, ponieważ widzieli, jaki los spotkał ich dawnych kolegów partyjnych.

Czy teraz Mateusz Morawiecki ma szansę na zbudowanie znaczącej formacji? I czym różni się jego stowarzyszenie Rozwój Plus od Prawa i Sprawiedliwości. Czy faktycznie jest czymś lepszym od partii Jarosława Kaczyńskiego?

●

Projekt Morawieckiego ma bardzo wiele słabości. PiS w swojej drugiej kadencji w latach 2019-2023 stał się symbolem niespotykanej w czasach III RP patologii, polegającej na wyprowadzaniu publicznych pieniędzy do prywatnej kieszeni, na potrzeby PiS, albo którejś z partyjnych frakcji. Kaczyński stracił nad tym kontrolę. Miał problem z utrzymaniem większości w Sejmie, więc dawał przyzwolenie na powszechne złodziejstwo.

Ekipa Morawieckiego nie odbiegała od PiS-owskiej normy, wręcz przeciwnie, sumy wyprowadzane z budżetu w przypadku afery w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, którą jako premier nadzorował, są rekordowe. O ile w sprawie Funduszu Sprawiedliwości i Zbigniewa Ziobry prokuratura mówi o defraudacji 150 mln zł, o tyle w przypadku RARS chodzi o około 700 mln zł.

Morawiecki jest niewiarygodny, gdy opowiada, że „reżim Tuska" go ściga na zasadzie politycznego odwetu. Operacja CBA przeciwko otoczeniu premiera rozpoczęła się bowiem w połowie 2023 roku, czyli kiedy szefem MSWiA był Mariusz Kamiński. Wielu współpracowników Morawieckiego ma zarzuty w tym śledztwie. Były szef RARS Michał Kuczmierowski czeka w Londynie na rozprawę ekstradycyjną. Potencjalni mali świadkowie koronni, w tym właściciel firmy Red is Bad Paweł Sz., który dostawał wielomilionowe zlecenia z RARS, dostarczają prokuraturze sporo informacji. Wiele wskazuje na to, że i sam Morawiecki będzie miał postawione zarzuty przynajmniej za niedopełnienie obowiązków, jako bezpośredni nadzorca RARS.

Były premier ma też na karku zbliżający się proces w sprawie nielegalnej organizacji wyborów kopertowych. On sam uważa, że propagandowo obciąża go to w niewielkim stopniu, ponieważ może wytłumaczyć swoim zwolennikom, że działał w stanie wyższej konieczności, czyli w pandemii. Wizerunkowo sprawa RARS jest większym obciążeniem.

●

Czy formacja z takim bagażem ma szansę powodzenia? Oczywiście wyborcy PiS, zakochani w tej partii, nie mają wielkiego wyboru, bo w zasadzie każda frakcja ma coś na sumieniu. Nie tylko Ziobro i jego ekipa, ale także otoczenie Jacka Sasina, byłego ministra aktywów państwowych, głównego rozgrywającego w operacji wyrzucania Morawieckiego z partii. Przemysława Czarnka obciąża afera willa+ czyli rozdawnictwo publicznych pieniędzy organizacjom z zaplecza PiS na zakup drogich nieruchomości. Innymi słowy, wart Pac pałaca, a pałac Paca. Cała operacja wyprowadzania pieniędzy z RARS obliczona była na zbudowanie zaplecza finansowego dla przyszłej formacji politycznej. Dał im przykład Kaczyński wiele lat temu, gdy jego środowisko uwłaszczyło się na atrakcyjnych działkach w centrum Warszawy, wykorzystując wpływy polityczne w rządzie.

Toporna propaganda Morawieckiego, jego liczne kłamstwa na temat poprzedniej ekipy rządzącej, są ciężkie do zniesienia

Morawiecki, decydując się na zwarcie z Kaczyńskim i zbudowanie swojej siły, uznał, że to jedyna droga ratunku. Jeśli uzyska około 7 proc. poparcia i wprowadzi do Sejmu 30 posłów, będzie mógł stawiać warunki, gdy prawica będzie budowała rząd. Może na przykład zyskać wpływ na obsadę prokuratora generalnego, który byłby gotów zamieść pod dywan nie tylko aferę Funduszu Sprawiedliwości, ale i RARS. Gdyby był wewnątrz PiS, jego siła nacisku byłaby mniejsza.

●

Spójrzmy na bilans rządu Morawieckiego. W jakim stanie zostawił gospodarkę w 2023 roku? Wzrost tragiczny 0,1 proc. PKB. Inflacja ponad 11 proc. i w czasie, gdy prezesem NBP był Adam Glapiński z PiS.

Luka VAT, którą faktycznie w latach 2015-2016 PiS opanował, wprowadzając w życie projekty ministra finansów Mateusza Szczurka z rządu Ewy Kopacz, wzrosła w 2023 roku dwukrotnie – do prawie 16 proc. wpływów podatkowych. Po 2023 roku luka zmalała, inflacja spadła, a wzrost gospodarczy w 2025 dociągnął do 3,6 proc. PKB. Rzeczywiście deficyt budżetowy i dług publiczny był niższy za PiS, ale mechanizm napędzający wzrost obu tych czynników został uruchomiony za rządów Morawieckiego. Były premier doskonale o tym wie, ponieważ resort finansów tuż przed wyborami w 2023 roku opublikował dokument pt. „Strategia zarządzania długiem sektora finansów publicznych na lata 2024-2027". Konkluzja tego dokumentu jest jasna: dług publiczny ze względu na bardzo rozbudowane wydatki socjalne i zmiany w podatkach będzie narastał lawinowo i – albo trzeba podnieść podatki, albo ciąć wydatki.

Nie przeszkadza to Morawieckiemu w opowiadaniu, że za jego czasów było wspaniale, a teraz ekipa Tuska rujnuje i zadłuża państwo. A ponieważ jego interlokutorzy nie znają się na gospodarce, to może im wciskać dowolny kit, żonglując liczbami.

W ocenie sytuacji gospodarczej Polski i w porównaniu polityki rządu Tuska i Morawieckiego nic nie jest proste: Morawiecki rządził w trudnym momencie pandemii, a potem wojny w Ukrainie: wysoka inflacja, niski wzrost gospodarczy był oczywistą tego konsekwencją. PiS zresztą do spółki z Koalicją Obywatelską podniósł np. 500+ do 800+. Niemniej rok 2023 mógł być dla Polski lepszy, ale rząd PiS zablokował dopływ pieniędzy z unijnego Krajowego Planu Odbudowy na dwa lata, bo dla Kaczyńskiego istotniejsze było obsadzanie sądów swoimi ludźmi.

Morawiecki dwoił się i troił, aby KPO uruchomić, ale na tyłach miał dywersję w postaci Ziobry, który robił wszystko, aby ten plan storpedować. A na koniec jeszcze nóż w plecy wbił Morawieckiemu Andrzej Duda, który zablokował nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym, będącą warunkiem wypłat z KPO.

●

Nie ulega wątpliwości, że w tej historii najgorszymi szkodnikami byli Ziobro i Duda do spółki z Kaczyńskim. Nie ulega też wątpliwości, że Morawiecki stworzył wokół siebie grono najsprawniejszych w PiS ludzi w zarządzaniu, na pewno sprawniejszych od ekipy Sasina czy Ziobry. Kaczyński zdawał sobie z tego sprawę, dlatego szybko zamienił na stanowisku premiera Beatę Szydło na Morawieckiego. Morawiecki ma sukcesy: należy do nich np. program oszczędzania na emeryturę w postaci Pracowniczych Planów Kapitałowych, czy Tarcza Finansowa, czyli akcja pomocy przedsiębiorcom w szczycie pandemii, przeprowadzona przez szefa Polskiego Funduszu Rozwoju Pawła Borysa. Ale lista porażek jest o wiele dłuższa. Obok zablokowania KPO jest też Polski Ład, który wprowadził chaos w podatkach, jest niewiarygodny nepotyzm w spółkach skarbu państwa, zapaść ochrony zdrowia w czasie pandemii i wielka liczba nadmiarowych zgonów.

Można dostać mdłości, gdy były premier roztacza wizję wielkiego rozwoju Polski. Miał szansę to zrealizować. Obejmował rządy w 2017 roku, gdy udział inwestycji w PKB wynosił 20 proc. Prezentując piękną strategię pt. „Pułapka średniego rozwoju", sam zapowiadał wzrost do 25 proc., a tymczasem za rządów PiS jeszcze przed pandemią ten wskaźnik spadł do 17 proc., mimo niesamowitej koniunktury gospodarczej na świecie. I podobny poziom inwestycji trzyma się do dziś. Ocena tego zjawiska jest złożona, nie można całej winy zwalić na PiS za niski poziom inwestycji. Ale toporna propaganda Morawieckiego, jego liczne kłamstwa na temat poprzedniej ekipy rządzącej, są ciężkie do zniesienia.

●

Rozwój Plus czymś jednak różni się od PiS. Politycy formacji Morawieckiego mają świadomość, że miejsce Polski jest w Unii Europejskiej, tymczasem PiS zamienił się w marną podróbkę Konfederacji, a wielu polityków tej partii dąży do wyprowadzenia naszego kraju z UE. Różnice dotyczą też stosunku do Ukrainy. Morawiecki nie zamierza wypierać się spuścizny swojego rządu, polegającej na znaczącej pomocy wojskowej dla Ukrainy. Problem w tym, że były premier czasem sięga po akcenty antyukraińskie, ponieważ boi się utraty wyborców.

Morawiecki ma wsparcie Jana Rokity, ostrego krytyka Donalda Tuska. Rokita napisał ostry felieton uderzający w Przemysława Czarnka, który nawoływał do wstrzymania pomocy Ukrainie, ale PiS-owski tygodnik „Sieci" odmówił jego zamieszczenia. Rokita opublikował więc go w „Rzeczpospolitej" i zerwał z „Sieciami" współpracę. A potem wystąpił na grillu programowym z Morawieckim, poparł byłego premiera i jego stowarzyszenie. Miał dla nowej formacji dwa przesłania: po pierwsze, trzeba bezwzględnie pomagać Ukrainie niezależnie od sporów historycznych i po drugie, prawica musi odejść od szkodliwej polityki nienawiści do Zachodu, którą promuje Czarnek na wzór Konfederacji. Budowanie nienawiści do Zachodu jest sprzymierzeniem się z „osią zła" – Rosją oraz innymi autorytarnymi państwami.

Morawiecki chyba chce, aby Rokita stał się intelektualną twarzą jego projektu, ale sam mówi rzeczy sprzeczne z przesłaniem Rokity: snuje opowieść o złym Zachodzie, który chce podporządkować sobie Polskę, więc także idzie drogą Konfederacji. Boi się, że wpajane elektoratowi PiS idee o opresyjnej Unii, identyfikowanej jako Zachód, tak się zakorzeniły, że jeśli za radą Rokity odejdzie od tej narracji, straci poparcie.

●

Dziś sondaże dają nowemu projektowi 7 proc. poparcia. To mocne uderzenie w Kaczyńskiego. Morawiecki, jako wieloletni premier, jest popularny w elektoracie PiS, który właśnie jego najczęściej wskazywał jako przyszłego kandydata na premiera. I dlatego Morawiecki ma większe szanse na zbudowanie swojej formacji niż wszyscy poprzedni uchodźcy z PiS. Nastawia się na długi marsz i wie, że jeśli w PiS zabraknie Kaczyńskiego, to nie będzie tam wyrazistego lidera, który zawładnąłby wyobraźnią prawicowych wyborców. Najbardziej rozpoznawalną postacią pozostanie on, Morawiecki. W swoim sprzeciwie wobec PiS o tyle jest konsekwentny, że od zawsze wojował z frakcją Ziobry, której przekonania i sposób opisu rzeczywistości zdominowały dziś partię Kaczyńskiego. Teraz gra idzie o to, czy wyborcy PiS uznają, że to Morawiecki rozbił PiS, czy też, że to Kaczyński wyrzucił Morawieckiego. Choć niektórzy politycy PiS np. Joachim Brudziński, nawołują do aksamitnego rozwodu, pewne mechanizmy już zostały uruchomione. Będziemy obserwować wzajemne okładanie się cepem i pranie brudów, więc różnice programowe zejdą na dalszy plan. ●

Dominika Wielowieyska

1 RP

eprasa.pl d324f0b119

WYMAZYWANIE MIAST

Przyszłośc polskiej prowincji jest już przypięczętowana.

Kamil Fejfer



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

1RP • **Ulica w Lanckoronie. Straszy pan wraca z pikniku promującego program „Rodzina 800+" – podniesienie świadczenia z 500 zł do 800 zł na dziecko od 1 stycznia 2024 r. (12.08.2023)**

eprasa.pl d324f0b119

Pamiętam końcówkę lat 90. na niewielkim osiedlu jednostki wojskowej w północno-wschodniej Polsce. Wchodziłem w okres nastoletni, niespokojny we mnie ciskał się duch i właśnie szykowaliśmy się do przeprowadzki.

Bardzo dobrze wspominam swoje dzieciństwo, ale ostatnie lata naszego mieszkania na podlaskim końcu świata to obserwacja powolnego rozpadu, a raczej – pustoszenia. Wojsko się zwijało, zwijali się więc i ludzie w poszukiwaniu innych zajęć. Znikali kolejni koledzy i koleżanki, niektórzy przeprowadzali się do pobliskiej Hajnówki, inni do Białegostoku. W końcu wyjechaliśmy i my – na Mazury.

Jeszcze w ogólniaku przyjechałem zobaczyć, co zostało, a raczej kto został. Widok był naprawdę smutny. Na osiedlu mieszkało ze dwóch, trzech kolegów. Nawet nie połowa z naszej niewielkiej paczki; wtedy wydawała się niemal wszystkimi ludźmi na świecie.

Osiedle składało się dosłownie z kilku bloków, każdy po kilka-kilkanaście mieszkań. Typowe niskie, wojskowe budownictwo. Kiedy się je widzi, to się wie, że tam mieszkali mundurowi.

Na początku lat dwutysięcznych Poznikali ludzie, którzy przez pół mojego ówczesnego życia siedzieli na ławkach, dreptali spacerkiem na swoje niewielkie ogródki działkowe, gdzie doglądali pomidorów i ogórków.

To, co widziałem w mikroskali, obecnie jest domeną bardzo wielu miejscowości w Polsce. Ten proces to znikanie, zwijanie się. Zjawisko będzie tylko narastać.

Ci z państwa, którzy pochodzą z mniejszych miejscowości, nie mówiąc już o wsi, i wyprowadzili się do jednego z miast wielkiej piątki, pewnie wiedzą, o czym mówię. W blokach, w których niegdyś mieszkało po kilkadziesiąt rodzin, dzisiaj co piąte lub co czwarte mieszkanie stoi puste. Jeśli jeszcze nie, to będzie tak za kilka lat. Ceny nieruchomości utrzymują się na niskim poziomie od lat, gdzieniegdzie zaczynają nawet spadać, a i tak nie widać kolejki do zakupu mieszkań w okolicach, w których jeszcze 20 lat temu kwitło małe życie.

Wdowy

To jeden z symptomów wielkiej zmiany demograficznej, która właśnie dokonuje się w Polsce. Do niedawna myślałem, że będzie ona największym problemem dla systemu emerytalnego i ochrony zdrowia. Teraz nabieram przekonania, że być może największe wyzwanie będzie stanowić dla peryferiów, gdzie coraz częstszym zjawiskiem będą miasta duchy.

Kleszczele – jedno z najmniejszych miast w Polsce i takie, które pamiętam z dzieciństwa, bo było niedaleko mojego wojskowego osiedla – od 2002 do 2024 roku straciło niemal 30 proc. mieszkańców. Hel w tym samym okresie utracił przeszło 35 proc. ludności. Dęblin skurczył się o ponad 27 proc., Sopot o podobną wartość, tak samo Bytom.

Małe miasta w Polsce dosłownie znikają. Niektóre wolniej, inne szybciej. A prędkość znikania będzie tylko przyspieszać.

O tym, jak to się przekłada na codzienność, w portalu Prawo.pl mówi Krzysztof Iwaniuk, wójt gminy Terespol, którą możecie kojarzyć z przejścia granicznego z Białorusią. Dziś co piąte mieszkanie tam zajmuje wdowa w wieku 65 lat lub starsza.

Jeszcze kilka lat temu w gminie rodziło się około 70 dzieci rocznie. W 2025 roku było ich 24. „W ciągu ostatnich pięciu lat liczba mieszkańców zmniejszyła się o 13 procent, a w okolicznych gminach nawet o 15. Współczuję temu, kto przyjdzie po mnie zarządzać gminą" – mówił Iwaniuk.

Ten cholerny wskaźnik dzietności

Zanim powiem o następstwach tego procesu, pigułka wiedzy o demografii. W ostatnich miesiącach, by nie powiedzieć latach, prawdopodobnie bardzo wiele razy słyszeliście o współczynniku dzietności (TFR, total fertility rate). Dane Głównego Urzędu Statystycznego za rok 2025 mówią o TFR na poziomie 1,068. Ale co to właściwie znaczy?

Otóż, gdyby kobiety rodziły w całym swoim cyklu rozrodczym z taką „intensywnością" jak w 2025 roku, to 100 pań urodziłoby w ciągu życia 107 dzieci. Oznacza to, ni mniej, ni więcej, że kolejne pokolenie byłoby o około połowę mniej liczne niż obecne – trzeba dorzucić do tego jeszcze mężczyzn, którzy stanowią połowę populacji.

Aby utrzymać liczebność społeczeństwa na stałym poziomie, wskaźnik dzietności powinien wynosić 2,1. Wtedy 100 kobiet rodziłoby 210 dzieci. To poziom tak zwanej zastępowalności pokoleń (o której również ostatnimi czasy wiele razy słyszeliście).

Wskaźnik dzietności w 2025 roku kolejny raz z rzędu pobił historyczny rekord szorowania po dnie. Według Eurostatu w 2024 roku (najnowsze dane) gorzej z dzietnością było tylko w trzech krajach UE – na Litwie, w Hiszpanii i na Malcie.

Jednocześnie dane z Europejskiego Urzędu Statystycznego przedstawiają nieco wyższy TFR za 2024 rok niż dane GUS. Możliwe więc, że w zestawieniu jest z nami jeszcze gorzej, niż wskazywałby na to Eurostat.

Jeśli chodzi o dzietność, jesteśmy nie tylko w ogonie Europy. Z danych Banku Światowego wynika, że jesteśmy niemal na końcu listy światowej. Gorzej niż u nas jest tylko w dziewięciu krajach.

Przyczyn tego zjawiska jest od groma, z kronikarskiego obowiązku zaznaczę pobieżnie tylko te, które są najważniejsze.

Spadająca dzietność w krajach uboższych wynika z migracji ludności ze wsi do miast, a wraz z tym procesem „podmianki" statusu dzieci z „rąk do pracy" do „inwestycji". Istotne jest również wkroczenie kobiet na rynek pracy oraz ich edukacja.

W krajach rozwiniętych, takich jak Polska, motory spadku dzietności są nieco inne.

Po pierwsze jest to wzrost zamożności i pojawienie się konkurujących wobec rodzicielstwa, alternatywnych form spędzania czasu. Kiedy stać nas na wycieczki zagraniczne, spotkania z przyjaciółmi, samorozwój i Netflixa, coraz mniej osób chce siedzieć w pieluchach.

Po drugie wydłużają się nasze trajektorie życiowe – dłużej się uczymy, dłużej budujemy kariery. A więc i zawęża się okienko, kiedy kobiety mogą rodzić dzieci.

Po trzecie, z uwagi na rozbudowany sektor parentingowy suflujący tysiące – często sprzecznych ze sobą – rad, współczesne rodzicielstwo dla wielu może się wydawać projektem niemożliwym. Potencjalni rodzice, stając wobec nieskończonej liczby wymagań, które rzekomo muszą być spełnione, żeby nie „popsuć dziecka", po prostu kapitulują.

Po czwarte ostatnio pojawiło się sporo analiz, które przypisują spadek dzietności smartfonom – mamy mniej dzieci, bo rzadziej się spotykamy twarzą w twarz. A to zmniejsza prawdopodobieństwo zawiązania relacji. Ekosystem social mediów dodatkowo zwraca kobiety i mężczyzn przeciwko sobie.

Po piąte – niska dzietność napędza sama siebie. Im mniej osób ma dzieci, tym mniej jest opcji na spędzanie czasu dla rodzin. W takim ekosystemie, decydując się na dziecko, wymiksowujemy się z grona znajomych.

Do tego dochodzą kwestie ekonomiczne, takie jak niezadowalająca dostępność mieszkań, prekarne zatrudnienie części młodych czy niezadowalające pensje. Czynniki te wymieniam na końcu, bo choć mają wpływ na dzietność, to jestem przekonany, że ów wpływ jest niewielki.

Wrzućmy pewien kontekst, żebyśmy wiedzieli, jak głębokiego procesu jesteśmy świadkami. W szczycie wyżu demograficznym połowy lat 80. – ostatnie roczniki, kiedy wskaźnik dzietności zapewniał zastępowalność pokoleń – na świat w naszym kraju przychodziło rocznie ponad 700 tys. dzieci. Obecnie rodzi się ich niecałe 250 tys. Jest całkiem możliwe, że w 2026 roku będziemy mieli około 210 tys. urodzeń. Niektóre roczniki pokolenia beta będą stanowić liczebnie jedynie 30 proc. liczebności millenialsów. Powiedzmy to raz jeszcze – jedną trzecią! To naprawdę katastrofalne wyniki. O tym, co dokładnie to oznacza, za chwilę powiem.

Ale wskaźnik dzietności to nie wszystko. Dzisiejsze niskie liczby witanych na świecie małych Polaków biorą się z nałożenia na siebie zarówno niskiego TFR, jak i małej liczebności grup wiekowych, które są obecnie w „okienku rozrodczym".

Millenialsów z wyżu demograficznego połowy lat 80. rodziły boomerki. W połowie lat 50., czyli górce urodzin powojennego wyżu demograficznego w Polsce, przychodziło na świat około 800 tys. dzieci. Teraz w wieku rodzenia są roczniki, które liczą po 400-450 tys. osób. A za chwilę zaczną rodzić kobiety z roczników liczących po 350 tys. osób. Nie muszę chyba dodawać, że przy niskim wskaźniku dzietności oznacza to pogłębianie się kryzysu.

To jeszcze jedna uwaga. W demografii przyszłość w dużej mierze już została napisana. Nie da się bowiem urodzić więcej dzieci we wczesnych latach dwutysięcznych. Ile się urodziło, tyle będzie; dlatego piramida wieku jest dość przewidywalna. Nawet jeżeli nagle młode kobiety zaczęłyby chętniej rodzić dzieci – co się nie stanie – to nie odbudujemy tych braków, które już powstały.

Jakby roczniki liczące po 250 tys. osób jakimś magicznym zrządzeniem losu doskoczyły do zastępowalności pokoleń, to kolejne pokolenie liczyłoby 250 tys. A nie ponad 700 tys., jak w przypadku millenialsów.

Ważne, żebyśmy to zrozumieli. To pozwoli nam ogarnąć, że

przyszłość polskiej prowincji jest już przypieczętowana. Niemal wszystkie powiatowe „strategie przyciągania młodych" (o których będę jeszcze pisał) po prostu szlag trafi.

Tak działa matematyka – większość gmin będzie się wyludniać. Jeżeli jakieś lokalizacje zwiększą liczbę ludności, to będą to największe miasta. Oraz ich obwarzanki.

Kryzys demograficzny, czyli właściwie co?

Ileż to razy słyszeliście Państwo, że „Polska wymiera", że zmagamy się z „katastrofą" czy wręcz „kolapsem demograficznym". Sam napisałem o „katastrofalnej" liczbie urodzeń, choć języka apokaliptycznego w swoich tekstach unikam jak ognia.

Zawsze przy tego typu czarnych wizjach warto zadać pytanie: „No dobrze, ale co to wszystko dokładnie znaczy?". Pytanie o konsekwencje danego trendu pozwalają nam poustawiać w głowie bardzo wiele.

Niski TFR na poziomie systemu generuje cztery główne problemy. Pierwszym z nich jest wspomniany system emerytalny. W uproszczeniu sprawa wygląda tak: im większą część społeczeństwa stanowią emeryci, tym więcej owoców pracy tych, którzy pozostają na rynku, będzie musiało być przekierowanych na świadczenia. Obecnie w Polsce jest około 22 mln osób wieku produkcyjnym oraz 9 milionów w wieku poprodukcyjnym. W 2050 roku będzie to odpowiednio: niecałe 19 mln osób i 11 milionów.

Ten trend trwa już od dekad. Ale od – jak to mówią ekonomiści – eksplozywnej ścieżki deficytu sektora emerytalnego uratowała nas reforma z końcówki lat 90., która de facto obniżyła emerytury (względem ostatnich pensji).

Druga sprawa – system ochrony zdrowia. Osoby starsze są po prostu bardziej „kosztowne", bo są bardziej chorowite niż młodsi. Ergo, aby jedynie utrzymać – nie mówiąc o polepszaniu – stan opieki medycznej, będziemy musieli wydawać na nią coraz większą część PKB.

Problem trzeci – obniżenie tempa wzrostu gospodarczego. Sprawa wydaje się daleka od codziennego doświadczenia, jednak PKB przekłada się na nasz dobrobyt. Nie tylko widzimy to w pensjach, ale również w jakości infrastruktury i usług publicznych.

Na końcu mamy najzwyklejszy na świecie brak rąk do pracy.

Uciekający młodzi

Wiemy już, że współczynnik dzietności dla całej Polski w 2025 roku wynosił rekordowo niskie 1,068. Ale uśrednienie dla całego kraju skrywa w sobie zróżnicowanie regionalne.

Kiedy zerkniemy na publikowane przez GUS mapy dzietności odnoszące się choćby do województwa mazowieckiego, zobaczymy, że dzietność w miastach waha się od 0,9 do (aż!) 1,8. Uśredniając – dzietność w miastach jest nieco niższa niż dzietność na wsiach. Ten trend zresztą zawsze był w Polsce widoczny. Ostatnio jednak ulega ujednoliceniu.

Ale – jako się już wyżej rzekło – współczynnik dzietności to nie wszystko. Liczy się wspomniana liczebność rodzących roczników oraz migracje, czyli po prostu exodus młodych do większych ośrodków miejskich.

O jego powodach – z osobistego punktu widzenia – na blogu Fundacji Batorego pisała Julia Kelsz, wiceprezeska fundacji „Ważne Sprawy".

„Dwa miesiące po osiemnastych urodzinach zapakowałam rodzinnego Volkswagena Passata po sam sufit i ustawiłam nawigację na Warszawę. I choć ta chwila wywołała ogromne wzruszenie moich Rodziców, ja zupełnie jej wtedy nie doceniałam. W mojej głowie decyzja o wyprowadzce nie była tak naprawdę decyzją – to była naturalna kolej rzeczy. Wszyscy moi przyjaciele zrobili to samo" – pisała. I zwraca uwagę na to, że w latach 2009-2024 72 proc. gmin w Polsce odnotowało spadek liczby mieszkańców.

Wiele osób mających w swojej biografii przeprowadzkę z mniejszej miejscowości do dużego miasta znajdzie w tym część siebie. Znalazłem i ja, sam przecież nie jestem do końca „warszawski". Chociaż stolica jest bezapelacyjnie miejscem, gdzie mieszkam najdłużej. Wyprowadziłem się z Ełku (do którego wprowadziłem się na przełomie wieków z podhajnowskiego osiedla) niemal dwie dekady temu.

Nie pamiętam co prawda, w co się zapakowałem. Jest duże prawdopodobieństwo, że po prostu w duży plecak – historie millenialsów są nieco inne niż historie zetek. Byliśmy o wiele biedniejsi niż następne pokolenie. Nie miałem więc tylu swoich przedmiotów, żeby zapakować kombiaka po dach.

Natomiast rzeczywiście wyjazd był dla mnie, i wielu moich znajomych, czymś absolutnie naturalnym. Kolejnym dorozumianym etapem życia, jak późniejsze pójście do pracy.

„Z końcem lata wspólnym wysiłkiem uszczupliliśmy liczbę mieszkańców Dąbrówki (mojej rodzinnej wioski, liczącej jedną ulicę, kościół, szkołę, sklep i niecałe 600 mieszkańców), Jabłowa, Skarszew, Rokocina i innych okolicznych wiosek.

Na tym pospolitym ruszeniu jeszcze bardziej ucierpiało nasze miasto powiatowe, Starogard Gdański (50 tysięcy mieszkańców, galeria handlowa z porządnymi sieciówkami, a od kilku lat nawet McDonald's). Tak drastyczna zmiana miejsca zamieszkania wymagała ode mnie i mojej rodziny poniesienia ogromnych kosztów, nie tylko finansowych" – pisała Kelsz.

Doskonale pamiętam, jak jeszcze dekadę-półtorej po przeprowadzce każdy powrót do mojego rodzinnego miasta łączył się z silnymi emocjami wobec miejsc, które ukształtowały moją nastoletnią tożsamość.

Julia Kelsz mówi, że „masowa migracja młodych Polek i Polaków z małych do wielkich ośrodków nie jest tylko efektem ich niepohamowanych ambicji czy podążania za modą. Jest efektem pojedynczych, racjonalnych decyzji, podejmowanych przez nich i ich opiekunów w warunkach nierównego dostępu do szans, wiedzy i zasobów. Wystarczy, że powrócimy do opowieści o ograniczonym dostępie do lekarza specjalisty i transportu miejskiego".

W tych słowach już siebie nie odnajduję; mam zresztą wrażenie, że to tożsamość przetworzona przez NGO-sowe narracje. Opowiedziana językiem dostępności usług publicz-

eprasa.pl d324f0b119



FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Ratusz w mieście Hel. Według danych z Narodowego Spisu Powszechnego z 2021 r. Hel jest najszybciej wyludniającym się miastem w Polsce

Z powodu overtourismu Hel stał się turystycznym zombie – ożywającym latem i schodzącym do krypty na czas jesienno-zimowej szarugi.

nych i barier w równości szans. Naprawdę nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek z nas, emigrujących w połowie lat dwutysięcznych, opisywał świat w ten sposób.

Wiedzieliśmy po prostu, że tam gdzieś jest lepsza praca, wiedzieliśmy, że trzeba iść na studia, iść dalej. Wiedzieliśmy też, że chcieliśmy innego życia, które obiecywało wielkie miasto: przygód, lepienia siebie na nowo, możliwości, gwaru, czegoś, co nie mogło się wyłonić ze starych śmieci.

Znikanie intensywne na obrzeżach

Dopiero „combo" niskiej dzietności, mniej licznych roczników rodzących matek, migracji wewnętrznych i śmierci osób starszych generuje zjawisko pustoszenia prowincji.

Wróćmy do tego, co GUS pokazuje na swojej mazowieckiej mapie. Otóż, jeżeli weźmiemy poprawkę na wszystkie zasygnalizowane w akapicie powyżej zjawiska, to okaże się, że w latach 2010-2024 obrzeża województwa straciły co najmniej 10 proc. ludności.

Najbardziej w kość dostały okolice Ostrowi Mazowieckiej i Sokołowa Podlaskiego. Tam spadki ludności przekroczyły 20 proc. Jednocześnie w podwarszawskim obwarzanku przybyło od 20 do ponad 33 proc. osób. Co ciekawe, w samej stolicy przyrost był niewielki – „zaledwie" kilkuprocentowy. W tym samym czasie jednak cała Polska straciła prawie 3 proc. ludności.

Przepływy wyglądają podobnie w całym kraju. Proces „znikania" jest intensywniejszy na obrzeżach województw, czyli w miejscach z reguły najdalej odsuniętych od największych metropolii. Najbardziej „wysysanie" widać na ścianie wschodniej i na północnym wschodzie.

Ważne, żeby pamiętać, że nie da się każdej głębokiej depopulacji zamknąć w opisanych megatrendach. Przypomnijmy umieszczoną wyżej wyliczankę. Wspomniane Kleszczele są trochę „miasteczkiem na końcu świata". Do tego jedno z najmniejszych w Polsce. Może się wydawać atrakcyjne dla turystów chcących odetchnąć od miejskiego gwaru, ale takie lokalizacje nie oferują żadnych perspektyw dla osób, które chciałyby wiązać z nimi przyszłość.

Hel wyludnia się z dwóch nakładających się na siebie powodów. Po pierwsze jest mniej miejsc pracy po likwidacji tamtejszej jednostki wojskowej około 2006 roku. Drugi powód nosi anglojęzyczną nazwę „overtourism". Miasteczko stało się turystyczną mekką Polski, co podbiło ceny lokalnych nieruchomości. To oznaczało, że młodych nie było stać na kupno własnego M. A starszych zachęciło do sprzedaży mieszkań i domów i przeprowadzki na przykład do Trójmiasta.

Tym samym Hel stał się turystycznym zombie – ożywającym latem i schodzącym do krypty na czas jesienno-zimowej szarugi. Bardzo podobny proces dotknął też Sopot.

Bytom z kolei zaliczył szok dezindustrializacyjny.

Każda z tych opowieści jest z jednej strony specyficzna dla konkretnej lokalizacji, a z drugiej wpisująca się w globalny trend pustoszenia mniejszych miast.

W pewnym momencie proces napędza się sam. Kiedy młodzi widzą, że wiele innych osób w ich wieku wyjechało, sami chcą wyjechać. To wysysa energię z miast, powoduje, że stają się mało perspektywiczne zarobkowo oraz po prostu nudne. Na tym etapie o wyjeździe zaczynają myśleć ci, którzy potencjalnie mogliby chcieć zostać.

Migracje powodują też, że rodzi się mniej dzieci. Bo to kobiety migrują częściej. A te, które zostały, niechętnie chcą sprowadzać dzieci na świat, który jest powiatowym domem spokojnej starości.

Likwidacja porodówek to dopiero początek

We wspomnianym Terespolu, gdzie urodziło się 24 dzieci – o ile nikt z rodziców nie wyjedzie – za kilka lat uzbiera się jedna pierwsza klasa. Dzisiaj w gminie funkcjonują cztery szkoły – zauważa Robert Horbaczewski, autor artykułu na portalu Prawo.pl o depopulacji peryferii. Kolejne roczniki mogą być jeszcze mniej liczne. Co więc z nauczycielami? Co z budynkami?

Ale to przecież tylko jedna kwestia. To samo dotyczyć będzie choćby osławionych porodówek. Lewica postuluje „ani jednej porodówki mniej". Nie chce przyjąć do wiadomości, że zaledwie dekadę temu rodziło się około 400 tys. dzieci. Obecnie rodzi się nieco ponad połowa tego.

A co z drogami, mostami, wyludniającymi się blokami, co z całą infrastrukturą, z której będzie korzystało coraz mniej osób, a którą będzie trzeba remontować? I tu wkracza kolejny jeździec demokalipsy, czyli rzesze emerytów, którzy przy dzisiejszym systemie będą mieli niskie świadczenia. To z kolei oznacza mniejszą bazę podatkową dla samorządów.

Warto jednak dodać, że ta matematyka nie jest – na szczęście! – aż tak prosta. Nieunikniona spadająca stopa zastąpienia – czyli niższe emerytury w stosunku do ostatnich pensji – nie musi oznaczać realnego spadku wartości świadczeń.

Mamy bowiem do czynienia z nieprzerwanym wzrostem wydajności gospodarki, który przekłada się na wzrost płac realnych. A to oznacza, że 25 proc. zastąpienia za 10 lat może przekładać się na większe środki w kieszeni niż 40 proc. zastąpienia dzisiaj.

Problem jednak pozostaje. Eksperci zwracają uwagę na tak zwaną spiralę depopulacyjną. „W pewnym momencie zaczynają znikać usługi publiczne. Najpierw te najmniej „wydajne": małe szkoły, rzadziej uczęszczane linie autobusowe, lokalne punkty opieki zdrowotnej. Każda taka decyzja wydaje się racjonalna z punktu widzenia budżetu" – pisze na stronie Fundacji Batorego proc. Marian Kachniarz, geograf z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

Jedną z fałszywych ścieżek, na które wchodzą samorządy próbujące sobie radzić z wyludnieniem, jest konsolidacja gmin. „To dość powszechnie wyrażana w debacie publicznej intuicja: skoro gminy są małe i słabe, należy je połączyć. Większa jednostka – większa efektywność, potencjał rozwojowy... Logika wydaje się oczywista. A jednak badania sugerują coś mniej oczywistego: takie reformy nie tylko nie powstrzymują procesu depopulacji, ale wręcz go dynamizują, dokręcają spiralę" – pisze Kachniarz.

Mało który z polityków lokalnych jest na tyle odważny lub ma wystarczającą wiedzę, żeby powiedzieć, że to droga donikąd. Powstają liczne projekty, których zadaniem jest przyciągnięcie młodych do mniejszych miejscowości. Problem w tym, że niemal żadne nie działają. I działać nie mogą!

Powiedzieliśmy już, że matematyka działa na niekorzyść planów „repopulacji" mniejszych miejscowości. Nawet jeżeli samorządowcom w jakiś sposób udałoby się przełamać trendy migracyjne, to nie uda im się zmienić trendu bardzo niskiego współczynnika dzietności. To się po prostu nie stanie.

Ogromna większość mniejszych miejscowości jest więc skazana na „zarządzanie kurczeniem się". Nawet jeżeli lokalni politycy nie zdają sobie z tego sprawy. Lub zdają, ale nie chcą tego głośno powiedzieć.

Choć strategie na rzecz przyciągnięcia młodych i kapitału z pewnością w jakichś, dobrze zbadanych sytuacjach się przydadzą, to trzeba wiedzieć, jaki scenariusz obstawiać. Zawsze bowiem reakcja musi być poprzedzona solidną analizą. W przeciwnym wypadku para pójdzie w gwizdek – zostaną zmarnowane pieniądze i zasoby ludzkie, które mogłyby się przydać gdzieś indziej.

Jeżeli ktoś myśli o tym, że migracja zagraniczna „zalepi" nam dziury po miejscowych, to już mogę powiedzieć, że tak się nie stanie. A mówiąc precyzyjnie – migranci nie wypełnią całości wyrw demograficznych.

Ale z pewnością będą nam potrzebni. I wszyscy politycy, którzy teraz wykorzystują antyimigrancką retorykę, są zwykłymi szkodnikami. Albo pozbawionymi wyobraźni i wiedzy, albo cynicznie okłamującymi swoich potencjalnych wyborców, by dorwać się do koryta.

Ścieśnianie miast

Co więc robić? Jednym z przykładów tego, w jaki sposób można zarządzać kurczącą się populacją, jest niemieckie miasto Lipsk, które proces depopulacji zaliczyło po zjednoczeniu Niemiec. Otóż część miasta po prostu... została zburzona, a mieszkańcy zachęceni do „komasowania się" bliżej centrum.

To pozwoliło ścieśnić usługi publiczne i ożywić, również kulturalnie, miasto cierpiące na syndrom cieplnej śmierci – „stygnięcia" z powodu braku energii potrzebnej do trzymania w kupie tkanki miejskiej. Taka strategia jest jednak niezwykle kosztowna. Wyobraźmy sobie, ile środków pochłonie takie „ścieśnianie miast".

Innym interesującym pomysłem choćby dla wsi są mobilne usługi publiczne. Być może w ramach kurczącego się zasobu zarówno ludzi do pracy, jak i jednostkowej opłacalności, zamiast dotować transport publiczny wożący powietrze oraz utrzymywać przychodnie i urzędy, może powinniśmy się zastanowić nad tym, żeby lekarze i urzędnicy dojeżdżali do pacjentów i interesariuszy? Taki model trzeba byłoby oczywiście dobrze przeliczyć i przetestować.

Jeszcze inną propozycją pojawiającą się na stole jest postawienie na wielozadaniowość przestrzeni. Być może już wkrótce będziemy mieli wysyp nie tylko szkoło-biblioteko-centrów kultury, ale również szkoło-biblioteko-przychodnio-poczt?

Takie komasowanie funkcji może spajać administrację, zmniejszać jej kosztowność. I załatwiać jeszcze jedno, trudne do policzenia, ale niezwykle ważne zadanie: spajanie lokalnych społeczności oraz wzmacnianie więzi międzyludzkich.

Jedno jest pewne – czekają nas poważne wyzwania. Depopulację odpowiedzialni politycy powinni wkalkulować w swoje strategie. A nas – przyjezdnych z mniejszych miejscowości – czeka jeszcze wiele gorzkiej nostalgii po powrotach do małych ojczyzn. Będziemy obserwowali ich obsychanie.

Za każdym razem, kiedy będziemy mieli do kogoś o to pretensje, warto spojrzeć w lustro. To my wyjechaliśmy. ●

eprasa.pl d324f0b119

ŚWIAT

Siedem prac Zohrana

„Niech Bóg błogosławi socjalizmowi kanalizacyjnemu”. Przyglądałem się z bliska pierwszym 6 miesiącom Zohrana Mamdaniego w Nowym Jorku.



Alek Korab

Było tuż po godz. 22 w sobotę 13 czerwca. Właśnie skończył się mecz koszykówki w telewizji. Szybko zszedłem z psem na ostatni spacer, zanim rozpęta się pandemonium.

Ale było za późno. Zaraz pod drzwiami naszego brooklińskiego budynku zaszło nam drogę czterech równie umięśnionych, co podchmielonych dryblasów w sportowych koszulkach. Największy pochylił się nad Prymką i pocałował ją w nos, krzycząc na cały regulator: „Niu Jauk iz bek, bejbi!” z najbardziej nowojorskim akcentem, jaki istnieje.

W tym momencie na niebie eksplodowały pomarańczowe i niebieskie fajerwerki. Pryma popatrzyła na mnie z niemą skargą: „O co ten okropny zgiełk?”.

Ale ja musiałem najpierw odpowiedzieć intruzom. „Knicks in Five!”, krzyknąłem jeszcze głośniej i przybiłem piątkę z całą czwórką. Powtórzyłem jeszcze „New York is Back!” i w nagrodę dostałem od każdego niedźwiedzi półuścisk.

Nowy Jork wrócił, kochanie. Knicksi wygrali w piątym meczu i zostali mistrzami NBA, pierwszy raz od 53 lat. Miasto przemalowało się na niebiesko. Na oficjalnym zakończeniu roku w LaGuardia, artystycznym liceum naszej córki Stefci, uczniowie puścili klip z meczu i cała sala: rodzice, dzieci, nauczyciele i politycy, poderwała się z miejsc, krzycząc wniebogłosy i klaszcząc.

Knicksi byli wszędzie. Nie było innego tematu.

5 dni później koszykarzy witały 2 miliony nowojorczyków – to była największa parada w historii miasta. Ludzie ustawiali się w kolejkach już o 2 w nocy, żeby zająć lepsze miejsce. Platformy przejechały w górę Broadwayu przez Canyon of Heroes aż pod ratusz na Dolnym Manhattanie.

Nowy burmistrz stał na scenie w niebieskiej koszulce Knicksów pod marynarką. Obok niego Alicia Keys śpiewała nieoficjalny hymn miasta „Empire State of Mind”, a center Karl-Anthony Towns prezentował trofeum mistrzowskie oraz statuetkę MVP – czyli nagrodę dla najwartościowszego gracza w lidze – dla Jalena Brunsona. Na schodach ratusza tłoczyli się kibice-celebryci: Spike Lee, Ben Stiller i Timothée Chalamet.

Ale scenę dzielili z nimi też pracownicy miasta: parkowi kowale, którzy naprawiają obręcze koszy na miejskich boiskach, i urzędnik ratusza zatrudniony w 1973, ostatnim roku, gdy Knicksi sięgnęli po tytuł, od 53 lat na posadzie. Tak, tyle się pracuje w Stanach – tutaj to normalka.

Trzy dni wcześniej, w czwartym meczu finału, Knicksi przegrywali 29 punktami, ale mimo to odrobili największą różnicę w historii finałów NBA. Wygrali dobitką OG Anunoby’ego na 1,2 sekundy przed końcem, 107-106.

Ze sceny burmistrz Zohran Mamdani, który wcześniej w podobnie zaskakujący sposób wygrał wybory, przywołał zdanie Brunsona: „Wolno ci myśleć o najgorszym możliwym scenariuszu, ale musisz wyjść i coś z tym zrobić”. Każdy nowojorczyk, z którym rozmawiałem, przyznawał, że to zwycięstwo odwróciło nastrój w mieście o 180 stopni. Nowy Jork powrócił.

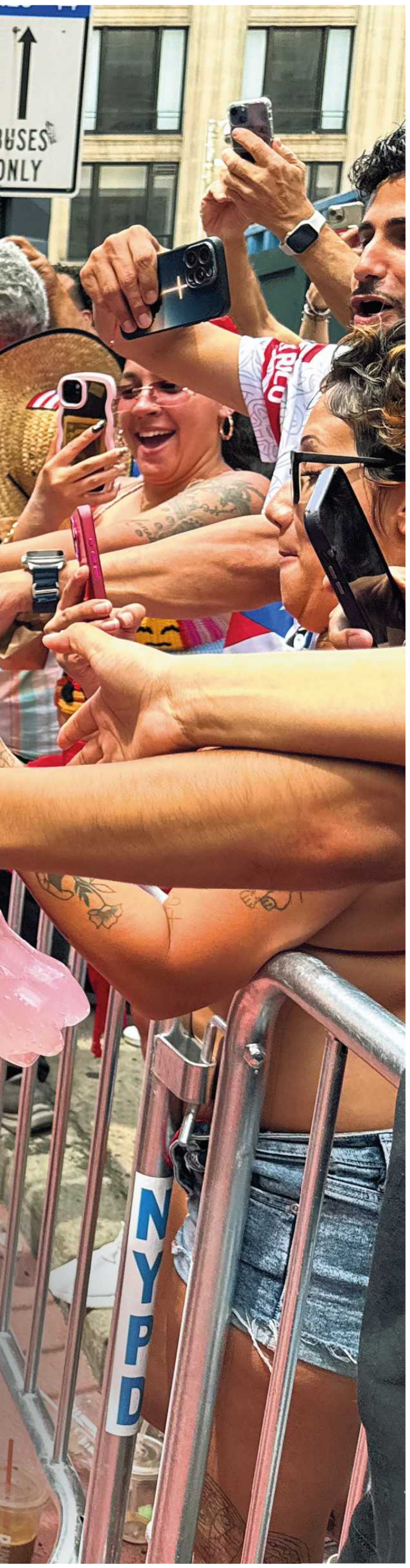
Ale za każdą wielką zmianą stoją dziesiątki małych, niewidocznych. Tak było i tym razem. Miasto nie tylko gościło finał Mistrzostw Świata i setki tysięcy turystów. Maklerzy z Wall Street znów zaczęli inkasować rekordowe premie, biznesy wracały na Manhattan, nawet przestępczość spadła do rekordowo niskich poziomów. Nagle lepiej się w Nowym Jorku mieszka.

A na to nakładała się największa zmiana – nowy burmistrz, który nawet dla tych, którzy na niego głosowali, pozostawał zagadką. Nikt nie wiedział, jak sobie poradzi.

Ten 34-latek nie odpowiadał wcześniej za żaden duży projekt. Były raper, który nagrywał jako Mr. Cardamom i sprzedawał swoje płyty w autobusach, przez chwilę pracował jako doradca ds. zapobiegania eksmisjom, po czym wszedł w mikrolokalną politykę. Przekonał nowojorczyków obietnicą, że ceny wynajmu i mieszkań przestaną wariować i przeciętny człowiek znów da radę jakoś się utrzymać. Ale zanim został burmistrzem, jego największym sukcesem był roczny program darmowych autobusów i to tylko na 5 liniach, po jednej w każdej dzielnicy.

Hipster i muzułmanin bez doświadczenia biznesowego ani menedżerskiego, który w styczniu przejął zarządzanie być może najbardziej skomplikowanym miastem świata, z zapętlonymi powiązaniami biznesowo-politycznymi i największą diasporą żydowską na świecie. Nowojorczycy pytali jedni drugich, niczym bohater horroru sięgający do klamki w drzwiach na strych: co może pójść nie tak?

eprasa.pl d324f0b119



• **Burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani podczas parady z okazji Dnia Portorykańskiego (Puerto Rican Day) na Piątej Alei na Manhattanie, 14 czerwca br.**
FOT. JOSE PEREZ/BAUER-GRIFFIN/GC IMAGES

A mogło pójść wiele. **Oto 7 głównych egzaminów, które musiał zdać nowy burmistrz. Czy zdał?**

TEST 1: Śnieg

Pierwszy test przyszedł już niedługo po zaprzysiężeniu. 1 stycznia 2026 r. jako pierwszy nowojorski burmistrz w historii przysięgał na Koran. A już trzy tygodnie później miasto zmierzyło się z burzą śniegową Fern. Prognozowano, że Fern dotknie ponad 230 mln osób w USA. Tysiące odwołanych lotów, przerwy w dostawie prądu dla ponad miliona ludzi.

Mamdani wiedział, że może obiecywać mniejsze czynsze, ale jak miasto nie wywiezie śniegu na czas, to mieszkańcy mu nie wybaczą. W Nowym Jorku nie ma czasu na naukę. Zarządził alarmowe spotkanie w ratuszu. Podarł własny kalendarz, wysyłając sygnał, że ważna jest tylko śnieżyca, i kazał swoim menedżerom porozwieszać na biurkach nagłówki starych gazet, przypominając im, jak jego poprzednicy Michael Bloomberg, Bill de Blasio oraz Eric Adams spartaczyli reakcje na własne śnieżyce – „dla motywacji".

Operację planowano niczym wojskową obronę przed inwazją. Mamdani zlecił swojej zastępczyni, Julii Kerson, koordynację działań wszystkich agencji, bo wiedział, że najbardziej irytuje mieszkańców, kiedy lewa ręka nie wie, co robi prawa. A sam skupił się na tym, co robi najlepiej – na komunikacji publicznej, pojawiając się w telewizji, radiu i w serwisach społecznościowych. W czasie kryzysu nawet zła informacja jest lepsza niż żadna.

W końcu tysiące pracowników sanitacji, tysiące pługów, setki solarek i 318 tys. ton soli czekało w gotowości na atak zimy. Kiedy spadł śnieg, a spadło ok. 30 cm, mróz minus 11 stopni zmroził go na amen. Mamdani opuścił konferencję prasową i chwycił za łopatę, odkopując auta na Brooklynie i w Queens. Wiadomo było, że grał pod publiczkę, ale skoro każdy kierowca robił to samo, to z burmistrzem na mrozie było jakoś raźniej.

Gdyby zamrożenie czynszów dobijało właścicieli, ich nieruchomości traciłyby na wartości. Tymczasem w 2025 r. budynki objęte stabilizacją zdrożały o 20 proc. Właściciele płaczą nad kosztami ich utrzymania, nad inflacją, paliwem, ubezpieczeniami – i sprzedają te nierentowne budynki coraz drożej

No i miasto nie zamarzło. Nowy Jork sobie radził w przeciwieństwie do Filadelfii i Waszyngtonu, które miały duże problemy. Nawet przeciwnicy polityczni burmistrza chwalili ratusz za reakcję. W końcu też tu mieszkają. A lokalne media dały mu najwyższą szkolną notę „A" oraz nagłówki typu „OK Zohran, zdałeś celująco".

„Niech Bóg błogosławi socjalizmowi kanalizacyjnemu" – napisał historyk David Austin Walsh na X. Miał na myśli taki socjalizm, który skupia się na rozwiązywaniu przyziemnych problemów ludzi.

Wtedy, niczym w hollywoodzkim thrillerze, nastąpił zwrot akcji. Kilka tygodni później zima powróciła, i to ze zdwojoną siłą. W niektórych rejonach miasta spadło nawet 71 cm śniegu, zamieć osiągała w porywach 97 km/h. Takiej burzy miasto nie widziało od dekad. Ratusz znów zamienił się w sztab operacji militarnej. Zarządzono zakaz ruchu pojazdów nieuprzywilejowanych. 2 600 pracowników pracowało na 12-godzinnych zmianach.

500 tys. uczniów w ponad 1100 szkołach dostało wolny od szkoły „śnieżny dzień" – pierwszy od czasu pandemii. Co jest o tyle interesujące, że politycy progresywnej lewicy, z której wywodzi się Mamdani, optują przeciwko zamykaniu szkół przy takich okazjach, bo to duży kłopot dla pracujących rodziców, zwłaszcza singli. Ponadto wiele dzieci dostaje tam jedyny posiłek w ciągu dnia.

Mamdani ogłosił „śnieżny dzień" przez FaceTime z ósmoklasistką z Brooklynu. Nagranie wrzucił do sieci. Zaskoczona dziewczynka krzyknęła: „O mój Boże, to burmistrz!" Mamdani: „Mamy jutro »śnieżny dzień«. Żadnej szkoły online, żadnej nauki zdalnej, pełny klasyczny dzień wolny od śniegu; moja jedyna prośba to, żebyś była bezpieczna, została w domu podczas burzy, a potem możesz pójść na sanki".

Po czym przyznał się dziennikarzom: „Wiem, co to znaczy dla uczniów, dlatego zaprosiłem ich, żeby rzucili mi śnieżką w twarz". Dodał, że na razie nikt nie trafił, ale dzień jest młody. Szef związku nauczycieli Michael Mulgrew (UFT) zgodził się, że „śnieżny dzień" był słuszną decyzją. Dzieci – jak nasza Stefcia – i rodzice – jak my – mu wtórowali.

Po operacji został jednak cień. Z powodu mrozu w NY zmarły 22 osoby. Dla porównania: w typowym roku z zimna umiera w mieście od 10 do 20 ludzi przez całą zimę.

A przecież miasto nie stało z założonymi rękami. Od 19 stycznia obowiązywał alarm zimowy, do schronisk trafiło około 1400 osób, straż pożarna odebrała 5700 zgłoszeń o ludziach na mrozie, ratusz apelował, żeby dzwonić po pomoc na widok kogoś na ulicy. Mamdani obiecywał, że każdy, kto szuka ciepła, je znajdzie.

Jednak przewodnicząca rady miasta Julie Menin, Demokratka, nie żaden republikański krytyk z Foxa, powiedziała krótko: te śmierci nie były nieuniknione.

TEST 2: Budżet

Wtedy przyszedł czas na problem numer dwa, ale właściwie numer jeden. Budżet miasta się rozlatywał.

Mamdani na wejściu odziedziczył po burmistrzu Ericu Adamsie gigantyczną dziurę 12 mld dol. – mniej więcej tyle, ile przez rok ma do wydania polski minister zdrowia – tylko rozłożoną na dwa lata budżetowe.

Sytuacja była alarmowa, bo Nowy Jork w latach 70. już raz otarł się o bankructwo. Miasto nie było w stanie pokrywać bieżących kosztów, nikt nie chciał mu więcej pożyczać, a prezydent Gerald Ford – niby dlatego, że cały kraj nie może bez końca utrzymywać samozadowolonej metropolii, ale wszyscy wiedzieli, że to okazja dla Republikanina, by dać prztyczka Demokratom rządzącym „Wielkim Jabłkiem" – odmówił federalnej pomocy, co nowojorski tabloid „Daily News" podsumował nagłówkiem „Ford do miasta: zdychaj".

Ford nigdy tych słów nie wypowiedział i obwiniał ten nagłówek za przegraną w wyborach prezydenckich.

Mamdani zaczął od kreatywnej księgowości. Przyznał, że jego zespół nie doszacował wpływów z pensji i premii na Wall Street, znalazł miliard dolarów oszczędności i sięgnął do rezerw. I obniżył dziurę z 12 do 7 mld. Ale resztę trzeba było jakoś zasypać. Udał się więc do stolicy stanu w Albany prosić o dofinansowanie.

11 lutego miejscowi nazywają „Dniem Puszki na Datki", bo wtedy burmistrzowie z całego stanu zjeżdżają do Albany błagać o łatanie dziur budżetowych. Dla burmistrza Nowego Jorku jest to połknięcie żaby, nie tylko dlatego, że miasto samo w sobie ma gospodarkę rozmiaru małego państwa, ale też dlatego, że między urzędem gubernatora a miastem od lat jest zła krew.

Długoletni gubernator Andrew Cuomo nie raz wstrzymywał wielkie projekty w NY po kłótniach z kolejnymi burmistrzami – mimo że byli z tej samej partii. A do tego przegrał właśnie z Mamdanim, i to dwa razy, najpierw w prawyborach, potem w wyborach powszechnych, do których wystartował jako niezależny.

Szczęście w nieszczęściu, że teraz na jego dawnym fotelu gubernatorskim siedziała Kathy Hochul, która przejęła urząd, gdy Cuomo odchodził w niesławie po poważnych zarzutach o molestowanie seksualne. A Hochul reprezentuje bardziej centrową frakcję Demokratów niż jej poprzednik.

W Albany Mamdani zaproponował domknięcie budżetu przez podwyżkę podatku od nieruchomości o 9,5 proc. oraz podniesienie podatku dochodowego o 2 punkty procentowe dla zarabiających powyżej miliona dolarów, choć Hochul z góry powiedziała, że podatku dochodowego nie podniesie. W końcu się dogadali. Mamdani wycofał się z podwyżki podatku od nieruchomości, a stan dołożył do puszki 4 miliardy dolarów.

Częścią kompromisu był podatek pied-à-terre, który zaproponowała sama Hochul, czyli od luksusowych drugich domów w Nowym Jorku wartych 5 mln dol. i więcej, wymierzony w ultrabogatych spoza miasta. Liczy się, że przyniesie 500 mln rocznie.

Burmistrz musiał jeszcze przekonać do tego radę miejską, co nie było łatwe. Ale w końcu dziura została zasypana, drugi test zdany. Tyle że wykreował on kolejny problem. Te działania uraziły osoby o wyjątkowej wrażliwości: miliarderów, którzy zaczęli pakować walizki, grożąc, że przeprowadzą się do mamy.

TEST 3: Miliarderzy

A było to tak. Kiedy Mamdani po raz pierwszy pokonał Cuomo i to aż 12 punktami procentowymi w prawyborach, po burżujskich restauracjach, modnych klubach i innych miejscach, gdzie spotyka się 1 proc. najbogatszych nowojorczyków, przeszedł dreszcz niepokoju.

Należący do grupy wiekowego globalnego magnata medialnego Ruperta Murdocha tabloid „New York Post" zaczął, niczym ludzie chodzący obwieszeni apokaliptycznymi tablicami po Times Square, przekonywać o nad-

eprasa.pl d324f0b119

chodzącej katastrofie. Głosił, że Mamdani i jego socjalistyczni sojusznicy wypłoszą z miasta miliarderów, biznes i miejsca pracy.

„Nie chcemy, by jeszcze więcej ludzi opuszczało Nowy Jork. Nie chcemy, by firmy stąd odchodziły", wtórował miliarder i inwestor John Catsimatidis. „Jeden procent nowojorczyków płaci 48 proc. podatków. Jeśli dojdzie do exodusu, machine kaput", dodał jeszcze po niemiecku, zapewne wierząc, że czytający w oryginale Marksa socjaliści zrozumieją go lepiej.

Ale jednoprocentowcy z doświadczenia wiedzieli, że nie ma problemu, którego nie da się pozbyć, wysypując na niego górę zielonych. Zameldowali się w obozie rzucającego po raz kolejny wyzwanie Mamdaniemu Cuomo. Sięgnęli po sprytny wynalazek: super PAC.

Kampania każdego kandydata ma limit wydatków, ale super PAC jako „obywatelski" komitet wsparcia działający „niezależnie" może zebrać i wydać, ile chce, o ile obie strony udają, że się nie znają.

Komitety pracujące na zwycięstwo Cuomo zebrały ponad 40 mln.

Miliarderzy Bill Ackman (finansista, inwestował w Ubera i Amazona), Michael Bloomberg (szef globalnej agencji informacyjno-wydawniczej dla biznesu, jeden z poprzedników Mamdaniego), Ronald i William Lauderowie (dziedzice kosmetycznej fortuny), Barry Diller (inwestor telewizyjny, współzałożyciel Fox) i Dan Loeb (inwestor) dorzucili duże wpłaty.

Dokładali się nawet bogacze spoza Nowego Jorku, jak Steve Wynn (deweloper, budowniczy kasyn w Las Vegas) i Alice Walton (spadkobierczyni części WalMartu), wspomagając jednoprocentową międzynarodówkę.

Sam Bloomberg wyłożył 8,3 mln, czyli tyle, ile przez cały rok przed wyborami mogła legalnie wydać cała kampania Mamdaniego, który grał według reguł miejskiego systemu publicznego finansowania.

Ackman ostrzegał, że polityka Mamdaniego stworzy „więcej przestępczości, mniej bezpieczeństwa, mniej miejsc pracy".

Mamdani zauważył, że to nowojorczycy, a nie miliarderzy mieszkający głównie gdzie indziej, powinni decydować o przyszłości swojego miasta. I zażartował, że Ackman wydaje przeciwko niemu więcej pieniędzy, niż zapłaciłby podatku.

Ale mimo lawiny zielonych Cuomo znów przegrał wybory w Wielkim Jabłku. Na okładce „The NY Post" znalazł się nagłówek „Czerwone jabłko", a nad nim Mamdani w zwycięskim geście wznosił sierp i młot.

Zaledwie kilka tygodni po zaprzysiężeniu Mamdaniego, 11 marca, agencja ratingowa Moody's zmieniła perspektywę dla finansów miasta ze „stabilnej" na „negatywną", powołując się na „znaczące i uporczywe" luki budżetowe. Wtórowały jej kolejne tytuły w „Post": „Gorące komunistyczne lato", „Spirala śmierci", „166 proc. wzrostu eksodusu do Miami".

Inwestor nieruchomości i szef ekskluzywnej sieci hotelowej Starwood Barry Sternlicht powiedział CNBC, że jego firma rozważa relokację i że spodziewa się, iż inni zrobią to samo.

Wtórował mu Jamie Dimon, szef finansowego giganta JPMorgan. W dorocznym liście do akcjonariuszy pochwalił się, że bank zmniejszył zatrudnienie w Nowym Jorku z 30 tys. sprzed dekady do 24 tys. dziś, a w tym czasie w Teksasie podniósł je z 26 do 32 tys. „Ten trend prawdopodobnie się utrzyma", dodał. Osobno swoje robił konkurent Goldman Sachs, który zbudował wielki kampus w Dallas i przesuwa tam kolejnych menedżerów.

W pierwszych dniach nowej administracji lokalna prasa donosiła, że miliarderzy nie wiedzą, jak umówić się z nową władzą na spotkanie. Wydali ponad 40 mln, by pokonać Mamdaniego, a teraz musieli wymyślić, jak z nim współpracować. Ludzie, którzy przyszli do ratusza, byli hipsterami spoza systemu, bez koneksji w świecie biznesu. W tym sensie byli rewolucjonistami, tyle że w adidasach.

Po wygranej Zohrana część miliarderów natychmiast zmieniła front. Ackman, który wydał ok. 1,75 mln na walkę z Mamdanim, pogratulował mu we wpisie na X: „Teraz masz wielką odpowiedzialność. Jeśli mogę pomóc Nowemu Jorkowi, daj znać".

Ale ośmielony nowicjusz nie zamierzał odpuścić. Atak na klasę miliarderów był jednym z jego głównych postulatów wyborczych. W dodatku opinia publiczna była coraz bardziej zaszokowana jawnie kleptokratyczną naturą federalnej administracji Donalda Trumpa, która faworyzowała bogaczy.

15 kwietnia Mamdani opublikował wideo nakręcone przed budynkiem przy 220 Central Park South, gdzie Ken Griffin, miliarder i założyciel funduszu hedgingowego, w 2019 r. kupił penthouse za ok. 238 mln dol., bijąc rekord najdroższego domu w historii USA. Burmistrz zapowiedział podatek pied-à-terre, „zaprojektowany dla najbogatszych z bogatych, tych, którzy przechowują majątek w nieruchomościach Nowego Jorku, ale tak naprawdę tu nie mieszkają". „Kiedy startowałem na burmistrza, zobowiązałem się opodatkować bogatych. Dziś opodatkowujemy bogatych".

Zdenerwowało to Griffina. Nazwał wideo „dziwacznym" i „w złym guście", uznał to za osobisty atak i „głęboki brak rozsądku". Zagroził wycofaniem się z planowanej inwestycji na Manhattanie, która „stworzyłaby tysiące miejsc pracy", i zaznaczył, że wideo skłoniło go do zwiększenia inwestycji na Florydzie.

Zresztą nie robił tego pierwszy raz. Podobne naciski wcześniej wypchnęły go z Chicago, skąd przeniósł biznes i miliardy. „To, co Mamdani zrobił mnie i Nowemu Jorkowi, uruchomiło traumę, którą przeszedłem w Chicago".

Rzecznik Mamdaniego odpowiedział spokojnie. „Burmistrz chce sukcesu wszystkich nowojorczyków. Dotyczy to również właścicieli firm i przedsiębiorców, którzy tworzą dobrze płatne miejsca pracy, w tym Kena Griffina, znaczącego pracodawcy w naszym mieście. Nie zmienia to faktu, że nasz system podatkowy jest fundamentalnie zepsuty. Jeśli chcemy, aby to miasto stało się miejscem, na które stać ludzi pracy, potrzebujemy istotnej reformy podatkowej, w której najbogatsi wnoszą swój sprawiedliwy wkład".

Griffin tymczasem udzielał wywiadów zagrzewając jednoprocentowców i powtarzając niczym biznesowy Che Guevara, że liderzy biznesu muszą walczyć o swoje miasto.

„Fajnie mieć w końcu burmistrza z kręgosłupem" – liberalni komentatorzy chętnie przywoływali takie komentarze z serwisów społecznościowych. Ale narracja miliarderów działa, bo trafia nie tylko do bogaczy. Członek mojej rodziny napisał mi: „Trzeba być baranem, żeby demonizować ludzi takich jak Griffin, który zatrudnia w mieście tysiące osób. Bez takich firm bieda będzie jeszcze większa".

Krewniak pracuje w jednej z firm inwestycyjnych, dostaje słone bonusy, ma drugi dom poza miastem. Pytam go, czy nowy podatek dotknie jego rodzinę. Okazuje się, że nawet nie sprawdził, bo żaden z domów na pewno nie jest wart 5 mln baksów.

Trzeba im przyznać, że liderzy biznesu posłuchali Griffina i zawalczyli o swoje miasto – tyle że razem z Mamdanim. Ci sami, którzy grozili ucieczką, usiedli z nim do stołu.

Mamdani odbył osobne spotkania z Jamiem Dimonem z JPMorgan i Davidem Solomonem z Goldman Sachs, a wcześniej z prezesem słynnego funduszu Blackstone Jonathanem Grayem oraz szefami Bank of America i mleczarskiego potentata Chobani. Rzecznik JPMorgan zapewnił, że rozmowa z Dimonem była „konstruktywna, a ton przyjazny".

Ten sam Dimon, który dwa tygodnie wcześniej chwalił się przenoszeniem etatów do Teksasu, teraz siedział z socjalistycznym burmistrzem i dyskutował o współpracy. Jednoprocentowcy zdali sobie sprawę, że funkcjonują w symbiozie z mieszkańcami miasta, którzy dla nich pracują, korzystają z ich usług i kupują ich produkty. Ci mieszkańcy wybrali Mamdaniego. Bez nich maszynka do zarabiania pieniędzy zwana Manhattanem nie może działać.

Ale Mamdani też doskonale wie, że nie da się utrzymać miasta, odwracając się plecami

Nowy Jork: miasto, na które nie stać nowojorczyka

Zohran Mamdani wygrał wybory na burmistrza obietnicą, że przeciętny człowiek znów da radę utrzymać się w mieście. Oto, z czym się mierzy.

Przeciętnego nowojorczyka nie stać na przeciętne mieszkanie

Jeden żeton ($) to **10 tysięcy dolarów rocznego dochodu**. Amerykańska reguła mówi, że na mieszkanie nie powinno iść więcej niż 30 proc. dochodu – i z niej wynikają dwa pierwsze progi.

Ile trzeba zarabiać, żeby wynająć medianowe mieszkanie na Manhattanie **195 000 dol.**

$ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $

czynsz: ponad 5000 dol. miesięcznie

To samo poza Manhattanem **140 000 dol.**

$ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $ $

czynsz: 3500 dol. miesięcznie

Tyle naprawdę zarabia przeciętne nowojorskie gospodarstwo domowe **85 800 dol.**

$ $ $ $ $ $ $ $ $

mediana dochodu wszystkich domowników razem

Żeby zmieścić się w tej regule na Manhattanie, przeciętne nowojorskie gospodarstwo domowe musiałoby zarabiać 2,3 raza więcej.

67%
nowojorskich gospodarstw wynajmuje mieszkanie. W całych Stanach – około 35 proc.

1,4%
pustostanów. Rekordowo mało, więc prawie nikt się nie przeprowadza

2,4 mln
ludzi mieszka w lokalach z czynszem stabilizowanym. To 27 proc. zasobu miasta

Żłobek dla dwulatka za cztery pensje rodziny

Miejski kontroler policzył, ile trzeba zarabiać, żeby opieka nad dzieckiem nie zjadała więcej niż 7 proc. dochodu.

334 000 dol.
tyle trzeba zarabiać rocznie, żeby w Nowym Jorku było cię stać na opiekę nad dwulatkiem

= $

Cztery przeciętne nowojorskie rodziny (po 85 800 dol.) zarabiają razem tyle, ile jedna musi zarabiać, żeby stać ją było na żłobek za 26 000 dol. rocznie.

Same koszty rosną przy tym dwa razy szybciej niż wszystko dookoła. Zmiana od 2019 roku:

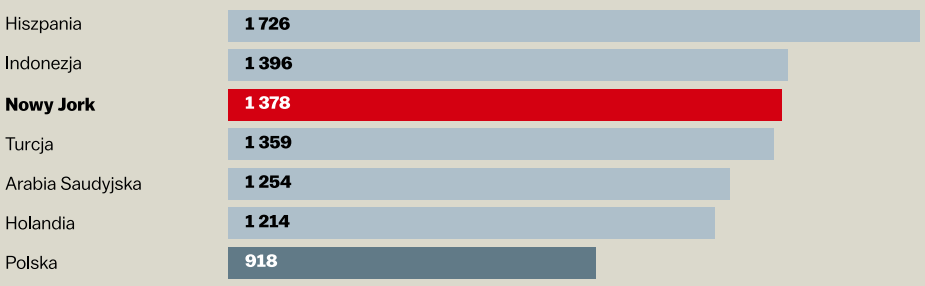


−19%
tyle ubyło w Nowym Jorku dzieci do trzech lat w latach 2020–2023

2000
miejsc w darmowej opiece dla dwulatków. Jesienią 2027 ma być 12 tysięcy

Gdyby Nowy Jork był państwem, byłby 17. gospodarką świata

Produkt krajowy brutto pięciu dzielnic to **1 378 mld dolarów**. Miasto weszłoby do światowego rankingu między Indonezję a Turcję – i byłoby półtora raza większe od Polski.



PKB nominalne w 2024 roku, w miliardach dolarów.

8,5 mln
mieszkańców – więcej niż w 117 z 217 państw świata

440 mld zł
wynosi roczny budżet miasta. To prawie połowa wydatków całego budżetu państwa polskiego

36,6%
mieszkańców urodziło się poza Stanami Zjednoczonymi – 3,1 mln osób

48,3%
mówi w domu innym językiem niż angielski

Na 778 km² mieszka tam 10 900 osób na kilometr kwadratowy – trzy razy gęściej niż w Warszawie (około 3 600).

Czynsze, dochody i koszty opieki nad dzieckiem – za reportażem „7 testów Zohrana" (Curbed, US Census, miejski kontroler finansowy Nowego Jorku). PKB dzielnic – Bureau of Economic Analysis 2024, suma pięciu hrabstw. PKB państw – Bank Światowy 2024. Ludność, urodzeni za granicą, języki i struktura własności mieszkań – Census, ACS 2024. Budżet miasta – uchwała Rady Miasta na rok obrachunkowy 2026, po kursie 3,80 zł. Budżet państwa polskiego – ustawa budżetowa na 2026 r. Piktogramy – Phosphor Icons (MIT).

INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA, WYBORCZA.PL/BIQDATA, 30.07.2026 • ŹRÓDŁO: BEA, US CENSUS, BANK ŚWIATOWY, RADA MIASTA NOWY JORK

eprasa.pl d324f0b119

do wielkiego biznesu. Wall Street odpowiadał za ok. 19 proc. wpływów podatkowych stanu w latach 2024-25. Tyle że chce działać z biznesem na swoich zasadach.

I to jest fundamentalna różnica w porównaniu z poprzednikami. „Zawsze będę świętował dalsze inwestycje w tym mieście", mówił. „Ale zadbam też o to, żeby coraz więcej nowojorczyków mogło korzystać z ich owoców".

Ale żeby mogli z nich korzystać, musi ich stać na utrzymanie się w mieście.

TEST 4: Czynsze

W niedawnym w sondażu 95 proc. Amerykanów przyznało, że kraj stał się za drogi do życia. Koszty były wysokie, zanim Trump zaczął nakładać cła na produkty z innych krajów i prowadzić „operację militarną" w Iranie. A gdy zaczął majstrować przy międzynarodowych zależnościach gospodarczych, ceny wystrzeliły w górę: emblematyczne jajka, benzyna i reszta. O kosztach medycznych nawet nie wspominając.

Nowy Jork jest jednym z najdroższych miast w Ameryce, a sporą część budżetów nowojorczyków takich jak ja, zżerają czynsze.

Ten problem dobrze odczytał kandydat Zohran Mamdani, kiedy 1 stycznia 2025, jeszcze wtedy z poparciem bliskim zeru, wbiegł w garniturze w lodowaty ocean u wybrzeży Coney Island. W nagraniu obiecał zamrozić czynsze i wyjaśnił, że jako burmistrz będzie kontrolował nominacje do rady, która o tych czynszach decyduje. Zakończył toastem za nowy rok, nowego burmistrza i zamrożony czynsz.

Od tamtej pory wracał do czynszów przy każdej okazji. W maju 2025 jego kampania wypuściła reklamę poświęconą tej obietnicy: zamrożenia czynszu każdemu najemcy w mieszkaniu stabilizowanym. Trafił w dziesiątkę, bo czynsze wypalały nam dziury w kieszeniach.

Mediana czynszu na Manhattanie to ponad 5 tys. dol. miesięcznie. Amerykańska reguła mówi, że aby bezpiecznie utrzymać się z miesiąca na miesiąc, na mieszkanie powinno się wydawać nie więcej niż 30 proc. dochodu. Żeby temu sprostać na Manhattanie, trzeba zarabiać ok. 195 tys. dol. rocznie (w USA podaje się zarobki rocznie i brutto, w Polsce byłoby to ok. 61 750 zł miesięcznie, wciąż bez podatków).

Tymczasem mediana dochodu nowojorskiego gospodarstwa domowego – czyli wszystkich domowników razem, a nie jednej pensji – wynosi ok. 85,8 tys.dolarów rocznie.

Nawet tańsze mieszkanie poza Manhattanem, kosztujące przeciętnie 3,5 tys. dol., wymaga dochodu ok. 140 tys. dol. rocznie – wciąż o 2/3 więcej niż mediana.

Para etatowców ze średnimi pensjami w stanie Nowy Jork – po ok. 70, 8 tys. dol. rocznie na osobę – ledwie do tego progu dobija, a do Manhattanu, gdzie praca najczęściej jest, wciąż jej daleko. Single nie mają szans.

Okazuje się, że przeciętnego nowojorczyka zwyczajnie nie stać na przeciętne mieszkanie.

To ten fakt, a nie podatek dla miliarderów, wypchnął z miasta wielu długoletnich mieszkańców z klasy średniej. Znamy wiele takich rodzin. Mieszkają na Florydzie, w Georgii, Pensylwanii, na północy stanu Nowy Jork czy w Kalifornii – bo tam jest taniej, choć niewiele.

Rozmawiamy o tym ze zajomymi w barze na Greenpoincie. Sączymy piwo i oglądamy mecz mistrzostw świata.

Eva, szefowa małej, ale prężnej firmy z branży AI, mieszka z rodziną w Downtown na Manhattanie i wynajmuje mieszkanie na wolnym rynku. W jej strefie szkoły publiczne są wyjątkowo dobre i darmowe, więc klasa średnia, jak ona i mąż, haruje jak woły, żeby być jak najbliżej tych placówek, aby jej chłopcy łapali się tam z automatu. Ale brakuje mieszkań, więc czynsze rosną co roku o kilka procent. „Wiele z nas żyje na krawędzi", mówi, choć i ona, i jej sąsiedzi zarabiają naprawdę dużo. Kiedy jedno z rodziców traci pracę, rodzina po 2-3 miesiącach musi się wyprowadzić. Widziała to wielokrotnie.

Mimo to jest negatywnie nastawiona do Mamdaniego. Uważa, że wszystko, co w mieście dobre, zaczęło się przed nim, a jego polityka tylko podniesie jej podatki i ceny wynajmu. Ale docenia „śnieżny dzień".

Tom, wzięty konsultant z Brooklynu, były dyrektor zarządzający dużego magazynu, też wynajmuje na wolnym rynku i właśnie się przeprowadza, bo właściciel zażądał 8-procentowej podwyżki. Jego diagnoza jest krótka: „System mieszkaniowy po prostu padł na pysk". „Każdy czuje się wyciśnięty, czy zarabia rocznie 80 tys., czy 300. Różnimy się tylko co do tego, jak to naprawić".

Dlaczego jest tak drogo? Bo brakuje mieszkań. Miasto cierpi na rekordowo niską pustostanowość (tak, to jest legalne polskie słowo), wynoszącą ok. 1,4 proc., więc prawie nikt się nie przeprowadza. Prawie 90 proc. nowojorskich najemców mieszka w tym samym lokalu, co rok wcześniej, wobec średniej krajowej wynoszącej 78,4 proc. Właściciele na wolnym rynku dyktują więc ceny.

A te rosną, bo popyt nie ustaje, gdyż wciąż przyjeżdżają tu nowe pokolenia z Ameryki i świata, szukać szczęścia w „betonowej dżungli, w której rodzą się marzenia", jak to ujęła Alicia Keys, śpiewając Knicksom na paradzie.

Istnieje mechanizm ochronny, który miasto wprowadziło na przełomie lat 60. i 70. To czynsz stabilizowany. Uwaga, to nie jest przydział mieszkań jak w „Alternatywy 4", tylko regulacja podwyżek w prywatnych budynkach.

Dotyczy około miliona mieszkań, w których miasto ogranicza podwyżki, a mieszka w nich 2,4 mln nowojorczyków. Nie wchodząc w szczegóły: obejmuje budynki z co najmniej 6 lokalami wybudowane przed 1974 r., choć trafiają się i nowsze, jeśli korzystają z ulg podatkowych. W sumie to ok. 27 proc. całego zasobu mieszkaniowego miasta. Reszta mieszkańców albo musi kupić mieszkanie – z czym też są ceregiele – albo wynajmować na wolnym rynku, jak Eva i Tom.

Miliarderzy zwalczający Mamdaniego zdali sobie sprawę, że funkcjonują w symbiozie z mieszkańcami miasta, którzy dla nich pracują, korzystają z ich usług i kupują ich produkty. Bez których maszynka do zarabiania pieniędzy zwana Manhattanem nie może działać

Ale nawet przy stabilizacji rada, która ustala te podwyżki, Rent Guidelines Board, potrafiła podnosić czynsze co roku. Za Adamsa wzrosły łącznie o 12 proc. Mamdani zwracał uwagę, że rada reprezentowała interesy właścicieli, a nie mieszkańców. Sam Adams był zresztą właścicielem wynajmującym i wkrótce po tym, jak jego rada podniosła czynsze w 2022 r., zebrał 156 tys. dol. od osób z branży nieruchomości na kampanię reelekcyjną.

To właśnie te regulowane czynsze Mamdani obiecał zamrozić. Sam jeszcze do niedawna mieszkał z żoną w takim mieszkaniu w Astorii, w Queens, zanim przeniósł się do rezydencji burmistrza, Gracie Mansion.

Jak obiecał, tak zamroził. Obsadził 6 z 9 miejsc w radzie swoimi ludźmi, a rada 25 czerwca 2026 r. zagłosowała 7:1 za zamrożeniem. Zero procent na umowach rocznych i, po raz pierwszy w historii, na dwuletnich.

Właściciele odpowiadają, że przy tak wyśrubowanych kosztach nie opłaca im się wynajmować. I mają swoje argumenty. Z raportu samej rady wynika, że koszty utrzymania budynków stabilizowanych wzrosły w ciągu roku o 5,3 proc., wyprzedzając krajową inflację – 2,7 proc. – głównie przez paliwo, które poszło w górę o 11 proc., i ubezpieczenia, które skoczyły o 10,5 proc.

W tym samym raporcie czytamy też, że gdyby zamrożenie faktycznie dobijało właścicieli, ich budynki traciłyby na wartości. Tymczasem w 2025 r. budynki w całości objęte stabilizacją zdrożały o 20 proc. Właściciele płacą więc nad kosztami i sprzedają te same budynki 1/5 drożej. Przy czym Mamdani nie zignorował ich zupełnie: ogłosił program, który ma obniżyć im koszt ubezpieczenia nawet o 30 proc.

Głos „przeciw" padł też wewnątrz samej rady. Arpit Gupta, profesor NYU Stern, argumentował, że zamrażanie cen przy rosnących kosztach powoduje niszczenie budynków, a w końcu bailouty – czyli wymuszone wsparcie z publicznego budżetu – lub przejęcia. Zwrócił też uwagę, że tzw. stabilizowana umowa to w praktyce nie tylko dożywotni, ale i dziedziczony przywilej. Z którego skorzystają, niczym stara burżuazja z jej kapitału społecznego, w kolejnych pokoleniach tylko wybrani. „Wygrana na loterii, a nie równa dla wszystkich pomoc socjalna".

Jest w tym ziarno prawdy. Odczuwają to Eva i Tom.

Zero procent na rynku regulowanym jeszcze mocniej konserwuje system, w którym ludziom ze stabilizowanym czynszem nie opłaca się przeprowadzka, nawet gdy potrzebują większego mieszkania i byłoby ich na nie stać. Znam nieźle radzące sobie rodziny gnieżdżące się w kawalerkach mimo narodzin i dorastania dzieci. A im mniej mieszkań krąży, tym trudniej tym, którzy szukają na wolnym rynku, czyli właśnie Evie i Tomowi. Zamrożenie, które pomaga milionowi ludzi, pośrednio dokłada się do tych 8 proc. podwyżki, przez którą Tom się wyprowadza.

Eva mówi też, że w jej budynku kilka mieszkań przerobiono na lokale dla niezamożnych, co ją uwiera. „Czy dostęp do najlepszej szkoły za ułamek ceny to prawo dla wszystkich?" pyta. Może to brzmi brutalnie – przyznaje – ale tak to widzi. Za to Tom, liberalny kapitalista, przyznaje: to „jedyny burmistrz za moich 15 lat w NYC, który w ogóle odważył się zmierzyć z problemem".

To nie jest spór prawica kontra lewica. To spór wewnątrz samej klasy średniej.

I rzecz najważniejsza: zamrożenie czynszu nie wyczaruje ani jednego nowego mieszkania – a tylko one rozwiążą problem. Prawdziwy egzamin dopiero przed Mamdanim. Jego plan mieszkaniowy „Block by Block" liczy 112 stron i obiecuje prócz 200 tys. utrzymanych w przystępnej cenie, żeby nie wypadły z rynku, także 200 tys. nowych mieszkań w ciągu dekady. Do tego dochodzi 5,6 mld dol. dla miejskiej agencji mieszkaniowej NYCHA.

Tylko że jej potrzeby są szacowane na 78 mld. Skala jest monumentalna. Dla zobrazowania rozmachu planu Mamdaniego: w 2024 oddano w mieście ponad 34 tys. mieszkań, najwięcej od 2010 r.. Od początku lat 90. zbudowano ich ok. 700 tys., co daje miasto nieco większe od Łodzi. Mimo to wciąż mieszkań brakuje. Zbudować kolejne 200 tys. w dekadę to zadanie, przy którym zamrożenie czynszu to fraszka.

Co nie zmienia faktu, że Mamdani dowiózł swoją najważniejszą obietnicę wyborczą, i to ekspresowo, co zaskoczyło nowojorczyków przywykłych do politycznego wodolejstwa.

TEST 5: Dzieci

Czynsz można zamrozić, ale kosztów dziecka się nie da. A te w NY doszły do absurdu.

Miasto nie potrafi zaoferować dobrych i przystępnych cenowo szkół i wpada w spiralę, z której trudno wyjść. Rodzice, tak jak Eva, chcą mieszkać jak najbliżej dobrych szkół, żeby dać dzieciom jak najlepszy start. Kiedy trudno w pobliżu o dobrą szkołę albo edukacja staje się zbyt droga, rodziny się wynoszą, czyli przestają płacić miejskie podatki, a miasto powoli obumiera. Sam Mamdani zwracał w kampanii uwagę, że to jeden z głównych mechanizmów zmieniających miasto w muzeum. Dane to potwierdzają: w latach 2020-23 liczba dzieci do trzeciego roku życia w NY spadła o 19 proc., a większość wyprowadzających się rodzin to była klasa średnia.

Piąty egzamin Mamdaniego zaczął się od miniaturowej mównicy.

W sali konferencyjnej ratusza, w której od dekad ogłasza się rzeczy naprawdę poważne, ustawiono drugi pulpit, o połowę niższy, bo clou programu była wiercąca się przy nim czwórka przedszkolaków.

W pierwszym rzędzie, wśród dziennikarzy, siedział Julian Shapiro-Barnum, autor internetowej serii, w której przepytuje małe dzieci, oglądanej przez 3,2 mln osób. Zapytał małych gości burmistrza o ulubione zwierzę. Chłopiec o blond włosach zaczął gorączkowo opowiadać o złotym wężu ze złotymi oczami, który potrafi porywać auta i je rozbijać. Burmistrz nie stracił rezonu. „To też jest ten złoty wąż", w domyśle, obdarzony supermocami – tak płynnie przeszedł do zapisów na darmowe, publiczne programy wczesnej edukacji dla trzy- i czterolatków.

Ale autentyczne wyluzowanie rozbijające biurokratyczną rutyny nie poprawi sytuacji rodziców w mieście, w którym pary, zanim zdecydują się na dziecko, najpierw muszą w excelu sprawdzić, czy będzie je na nie stać, tak jak bank sprawdza, czy stać ich na kredyt na mieszkanie.

Mamdani niedawno powiedział, że żeby rodziców było stać na opiekę nad dwulatkiem w Nowym Jorku, muszą zarabiać 334 tys. dol. rocznie. Miejski *comptroller*, czyli kontroler finansowy, doszedł do tej samej liczby. Przyjął, że opieka nad dzieckiem nie powinna zjadać więcej niż 7 proc. dochodu gospodarstwa domowego i wyliczył, ile trzeba zarabiać, żeby się w tym progu zmieścić. Wyszło 4 razy tyle, ile wyciąga przeciętna nowojorska rodzina.

Tymczasem ceny szybują w górę. Miejsce w żłobku czy przedszkolu kosztuje 26 tys. dol. rocznie, aż o 43 proc. więcej niż w 2019. Opieka domowa, i to z tańszych, podrożała jeszcze mocniej, o 79 proc.. W tym samym czasie inflacja w mieście wyniosła ok. 20 proc., a płace rosły zaledwie o 13. Opieka nad dzieckiem drożała więc ponad dwa razy szybciej niż wszystko dookoła.

Zapytany, co zrobiłby, gdyby pieniądze w budżecie nie grały roli, Mamdani mówi, że to, co już robi, tyle że szybciej. Mając magiczną różdżkę, rzuciłby zaklęcie z Harry'ego Pottera, i uczynił opiekę nad dziećmi darmową natychmiast. Bez różdżki, za to wspólnie z gubernator Kathy Hochul, udało mu się już ósmego dnia urzędowania ogłosić darmową opiekę dla dwulatków. Ale nie dla wszystkich, bo pieniędzy starczyło na 2 tys. miejsc. Użył przy tym triku – skłonił do zapłacenia za program stan, nie miasto. Jesienią 2027 miejsc ma być 12 tys., a do końca jego kadencji programem ma być objęty każdy dwulatek.

Jest jeden haczyk: stan zobowiązał się finansować opiekę tylko przez dwa pierwsze lata. Co dalej, zdecydują politycy w Albany.

Mamdani kończy też nabór do programów dla dzieci zdolnych i utalentowanych, *gifted-and-talented*, ale tylko w zerówkach, dla 5-latków. Program obejmuje raptem 2,4 proc. uczniów, a mimo to rozpala każdego rodzica, bo dla niego jego dziecko jest zawsze i zdolne, i utalentowane. Ci, których pociechy się dostały, bronią programu własną piersią. Ci, których dzieci odpadły, mówią, że test i tak niczego nie mierzy, że o miejscu decyduje loteria i zamożność rodziców. James Borland z Teachers College na Uniwersytecie Columbia ujął rzecz tak: – Powinniśmy przestać pytać, czy dziecko jest zdolne, a zacząć pytać, czego potrzebuje.

Mamdani wykonał ruch we właściwym kierunku, ale 2 tys. miejsc wobec dziesiątek tysięcy uprawnionych to kropla w morzu potrzeb. Prawdziwa ocena z tego egzaminu zostanie wpisana za wiele lat. Wtedy, kiedy dzisiejsze 2-tki dorosną i zamiast złotymi wężami zaczną interesować się inżynierią, medycyną albo prawem. Albo walczyć o najmniej płatne prace.

eprasa.pl d324f0b119

TEST 6: Nowojorscy Żydzi

Poprzedni egzamin dotyczył pieniędzy, których w największym mieście USA brakuje na żłobki. Kolejny dotyczył amerykańskich pieniędzy, których gdzieś daleko na pustynnym drugim końcu świata nie brakuje nigdy.

Mamdani lubi zestawiać jedno z drugim. Z jednej strony liczył koszt opieki nad dwulatkiem, a z drugiej wypominał miliardy, które rząd co roku wysyła izraelskiemu wojsku. A potem złożył obietnicę, która z lokalnym budżetem nie miała nic wspólnego.

W grudniu 2024 r. Mamdani, wtedy jeszcze kandydat z marginesu, obiecał, że jako burmistrz aresztuje premiera Izraela Benjamina Netanjahu. Nie że nie zaprosi. Boom! Aresztuje – na podstawie nakazu Międzynarodowego Trybunału Karnego. Deklarację powtórzył jako burmistrz elekt w listopadzie 2025, dorzucając, że miasto uszanuje nakazy Trybunału, czy to wobec Netanjahu, czy Putina. Piekło zamarzło – oto burmistrz amerykańskiego miasta obiecywał, że jego policja założy kajdanki urzędującemu premierowi obcego państwa.

I to jakiego miasta. Mieszka tu ok. 960 tys. Żydów, to ok. 10 proc. mieszkańców. To największe żydowskie skupisko na świecie poza Izraelem oraz niezwykle wpływowa politycznie i biznesowo społeczności w mieście, i Ameryce. Najwyższy rangą żydowski polityk z wyboru w historii USA, Chuck Schumer, zasiada w Kongresie od 1981 r. Były burmistrz Michael Bloomberg maszerował w dorocznej Paradzie Izraela przez 12 lat swojej kadencji.

Zresztą od 1964 r. szedł w niej każdy burmistrz. Mamdani zignorował paradę i poszedł na zderzenie z grupą równie bojową, co rodzice trzylatków, a politycznie jeszcze ważniejszą. I odczuł tę kolizję w wyborach. Nowojorscy Żydzi oddali na Mamdaniego zaledwie 26 proc. głosów, a Cuomo dali aż 55. Wśród ortodoksów Mamdani zdobył marginalne 7 proc.

Czy Mamdani atakuje Izrael z przekonania, czy z wyrachowania?Ww jego przypadku jedno gra z drugim. Przekonanie jest szczere i udokumentowane. Sam nazwał wyzwolenie Palestyny rdzeniem swojej polityki i sprawą, która przyciągnęła go do Demokratycznych Socjalistów Ameryki. I ta szczerość akurat się opłaciła, bo jedyna i niemała, grupa, która mogłaby go za nią ukarać przy urnach, już to zrobiła – a wygrał mimo tego.

Ale nawet jemu nie wszystko wychodzi. 20 lipca prezydent Trump uprzedził jego ruch, ogłaszając, że Netanjahu nie zostanie aresztowany w USA. Karta federalna zawsze bije miejską. W odpowiedzi Mamdani nagrał wideo, w którym przyznał, że miasto nie ma niezależnej władzy prawnej, by wykonać nakaz, i przerzucił sprawę na rząd federalny. Retoryka była przy tym ostra, bo nazwał Netanjahu zbrodniarzem wojennym i architektem ludobójstwa.

Obietnica była pusta i doradcy mówili to kandydatowi na burmistrza. Za to na nagraniu Mamdani ma na ręku zegarek Casio A1000MA-7, dostępny na polskim Amazonie za 154 zł. Nikt, kto urodził się w latach 70. i 80. poprzedniego wieku, nie przejdzie obojętnie obok Casio na nadgarstku. Ani – już bez względu na rocznik – obok oskarżeń o ludobójstwo.

Może właśnie to, że polityk mówi na głos rzeczy, które inni myślą, zrobiło różnicę. I to nie tylko wśród tych, którzy się z nim wcześniej zgadzali. W lipcowym sondażu AP-NORC 44 proc. amerykańskich Żydów ocenia Mamdaniego pozytywnie, a Netanjahu tylko 32 proc. Amerykańscy Żydzi wolą socjalistę z Queens od premiera Izraela.

Tyle że to Żydzi z Ohio i Florydy. Żydzi z jego miasta są ostrzejsi, bo w marcowym sondażu Marista tylko 38 proc. oceniło go dobrze, a 55 źle – i była to jedyna grupa religijna z werdyktem na „nie". W tle, choć to nie wina burmistrza, tylko gruntu, po którym stąpa, jest fakt, że Nowy Jork nie jest dla Żydów bezpieczny – przez pierwsze półrocze 2026 antysemickie przestępstwa stanowiły 55 proc. potwierdzonych przestępstw z nienawiści w mieście.

Ten egzamin ma haczyk. Poza ortodoksami większość nowojorskich Żydów, jak i większość nowojorczyków, jest liberalna. Ale liberalne poglądy a porzucenie wspierania Izraela to dwie różne rzeczy, a Mamdani wszedł dokładnie w szczelinę między nimi. Rozłupał żydowski Nowy Jork i zagarnął jego lewą stronę.

Jego komisarka policji, Jessica Tisch, odziedziczona po Ericu Adamsie i zostawiona na stanowisku, jest Żydówką, syjonistką, centrystką i miliarderką – czyli wszystkim, czego burmistrz podobno nie znosi. Ale chroni i jego, i nas wszystkich w Nowym Jorku. Zaś progresywni rabini z organizacji T'ruah bronią go, nazywając łączenie krytyki Izraela z antysemityzmem „groźnym uproszczeniem".

Mamdani mówi, że nowojorczycy chcą polityka, któremu można ufać, obojętnie, czy się go lubi i z nim zgadza. Nawet ludzie, którzy na niego nie głosowali, doceniają, że potrafili wyrecytować, o co chodziło w jego kampanii.

I to, że w sprawie Izraela nie był chorągiewką. Wcześniej poszedł na kompromis w niejednym: chwalił policję, negocjował z Trumpem – ale tu nie drgnął o milimetr na drodze od kandydata z marginesu do burmistrza.

Jak więc ocenić ten egzamin? Z wykonania obietnicy pała, bo obiecał kajdanki, a dostarczył komunikat prasowy i zegarek za 154 złote. Za wierność samemu sobie piątka, bo akurat tego jednego zdania nie zmienił.

TEST 7: Miasto dla ludzi

Ale ostatecznie zadaniem burmistrza jest po prostu poprawa codziennego życia mieszkańców. I właśnie od tego zaczął swoją kadencję Zohran Mamdani. Nie od wielkich obietnic, nie od geopolityki. Tylko od zasypania dziury.

6 stycznia, kilka dni po zaprzysiężeniu, chwycił łopatę i dorzucił ostatnie porcje asfaltu na słynny uskok u wylotu ścieżki rowerowej z Williamsburg Bridge.

To główna arteria rowerowa łącząca Brooklyn z Manhattanem. Zjeżdżając z mostu każdy rowerzysta, włącznie z niżej podpisanym, wpadał tam z głośnym „ał!". Przez lata wjazd na Manhattan wiązał się z bólem krocza.

Internet szybko ochrzcił nową rampę „Zohramp". Była prowizorką przed właściwym remontem Delancey Street za 70 mln dol., który ruszy jesienią i ma potrwać cztery lata. Mamdani sam jest rowerzystą i chętnie o tym przypomina reporterom. Co prawda po robocie odjechał wielkim czarnym SUV-em z włączonymi kogutami, ale rowerzystom akurat ulżyło. Mała rzecz, ale od razu odczuwalna.

Ale jedna załatana dziura wiosny nie czyni. Po śnieżycach nowojorczycy złożyli do marca ponad 11 tys. skarg na dziury, o 33 proc. więcej niż rok wcześniej. Miasto zaczęło je łatać. Tylko w marcu naprawiono 3 946 dziur, najwięcej w jednym miesiącu od 2020 r.

Były też dziury, które kosztowały więcej niż oponę. 9 marca wieczorem w Queens zginął 46-letni Jaikarran Seenarian. Jego elektryczna hulajnoga wpadła w dziurę, a on uderzył głową o asfalt. Ratusz ruszył z *blitzem* naprawczym cztery dni później. W kolejne soboty ponad 80 ekip zamykało nawet 8 tys. dziur dziennie – tyle, ile normalnie w tydzień. Na 100. dzień urzędowania Mamdaniego administracja ogłosiła 100 tys. zasypanych dziur. Naprawy szły w takim tempie, że okrągła liczba wypadła akurat na rocznicę. Przypadek? Ale kierowcy nie mieli powodów do narzekania.

Setny dzień burmistrza świętowano w Bronksie. Były cheerleaderki i maskotka przebrana za kosz na kompost. Mamdani nazwał swoje podejście „polityką dziur w jezdni". Prowadził też konkurs, w którym nowojorczycy głosowali, który problem burmistrz ma rozwiązać osobiście.

Osobiście rozwiązywał je czasem w środku nocy. Między 98. a 99. dniem urzędowania, po godzinie 23, jego kolumna objeżdżała Queens. W Forest Park burmistrz w kasku i służbowej wiatrówce departamentu transportu wszedł do maszyny rozścielającej asfalt, chwilę posłuchał pracownika, który wykonuje tę robotę dłużej niż on swoją, i rzekł: „No dobra, robimy to". Operator z nowojorskim akcentem krzyknął w dół do zebranych: „Burmistrz to robi!".

Krytycy przypominali, że nie wszystko zaczęło się od niego, uśmiechniętego Zohrana. Rampa, pasy autobusowe na 34. ulicy, budki dla kurierów rowerowych, pilotaż darmowych żłobków – przymiarki do tego były jeszcze za jego poprzednika Erica Adamsa. Były zastępca Adamsa ujął to na X zwięźle: „Mamdani przepisuje pracę domową Adamsa".

Ale kierowcom i rowerzystom jest wszystko jedno, kto łatał. Liczy się, że mogą jeździć po mieście bez wstrząsów i bez strachu.

Autobus to inne zwierzę, a te nowojorskie są jak żółw najwolniejsze w Ameryce – wloką się 13 km na godzinę, niewiele szybciej od roweru. Razem z gubernator Kathy Hochul burmistrz ogłosił plan przyspieszenia najwolniejszych linii o maks. 6 minut na jeden przejazd.

6 minut – niby nic, ale dla kogoś, kto jeździ autobusem do i z pracy, to w skali roku jakieś 50 godzin odzyskanych z życia. To właśnie taki rodzaj polityki działa najlepiej: nie wielkiej, tylko odczuwalnej w czasie rzeczywistym.

W 97. dniu urzędowania burmistrz wrócił z ratusza do swojej siedziby w Gracie Mansion pieszo. Przeszedł Manhattan wzdłuż, prawie 10 km. Zatrzymywał się, rozmawiał z ludźmi i pozował do zdjęć. Zobaczył przy okazji to, czego z tylnego siedzenia SUV-a nie widać: jak wygląda miasto z poziomu chodnika.

Ale nie wszystko się udało. Autobusy mają jeździć szybciej, ale nie są – jak głosiła jedna z trzech sztandarowych obietnic – darmowe. Szef MTA, czyli metropolitalnego zarządu komunikacji publicznej, tego nie poparł – i nie musi. On nie podpada pod miasto, a pod stan. Jego szefowie siedzą w Albany, gdzie mało kto korzysta z transportu miejskiego.

Są też rzeczy, których żaden *blitz* nie zasypie. Metro się rozpada, ale tym, jak autobusami, rządzi stan, nie ratusz. Za to śmieci, szczury i telefon skarg 311 to już jego działka. Ta sama skala małych rzeczy, od której zaczął.

Jak zauważył Mamdani, koszty życia idą w górę. Nawet u rządzących. Żeby je zrekompensować, w lipcu Rada Miasta podniosła sobie i burmistrzowi pensje. Po raz pierwszy od dekady, głosami 42 do 6. Pensja burmistrza wzrosła z 258 750 do 305 800 dolarów, o 18 proc. Mamdani nie przyjął podwyżki. „Kiedy pukałem do drzwi w Nowym Jorku i pytałem mieszkańców, nikt nie powiedział, że ich problemem jest to, że burmistrz zarabia za mało" – tłumaczył. Ale podwyżki dla innych nie zablokował, ustawę podpisał. I nikt nie ma wielkich pretensji, bo inflacja od poprzedniej podwyżki sięgnęła 31 proc.

●

Jak na razie burmistrz zręcznie omija miny i nawet jeśli nie zdaje każdego egzaminu na piątkę, widać, że się stara. Tak też odbiera go większość nowojorczyków. Może dlatego, że Zohran jest po prostu dobrym burmistrzem. A może tylko tak wygląda na tle poprzednika – na koniec kadencji Adamsa 7 na 10 nowojorczyków uważało, że był fatalny.

Tak czy siak, nowojorczycy po raz pierwszy od lat mają lepsze humory. Popularny podcaster i multimilioner Scott Galloway twierdzi, że Nowy Jork nieświadomie wszedł w swoją Złotą Epokę. Bo, jego zdaniem, świadomość takiej epoki przychodzi dopiero, kiedy już się ją straciło – niczym mickiewiczowską Litwę i zdrowie. New York is Back, Baby!

Tyle że między jednym tytułem Knicksów a drugim minęły 19 392 dni. Udany sezon nie gwarantuje kolejnego, tak samo udane 6 miesięcy burmistrza nie znaczy, że reszta też taka będzie. Czy ta drużyna biurokratów amatorów obroni tytuł, czy każe czekać kolejne pół wieku – okaże się pewnie już za rok. ●

Wielkie Jabłko, wielkie kłopoty

12 mld dol.
• wynosiła dziura budżetowa Nowego Jorku, gdy Mamdani obejmował rządy

500 mln dol.
• rocznie miał przynosić miastu proponowany przez Mamdaniego podatek od domów i mieszkań wartych powyżej 5 mln dol.

ponad 40 mln dol.
• wyłożyli miliarderzy – i ci bliscy Republikanom, i ci bliscy Demokratom – na kampanię przeciwko Mamdaniemu

8,3 mln dol.
• wyłożył na zwalczanie Mamdaniego Michael Bloomberg, dawny burmistrz Nowego Jork. To tyle, ile wynosił budżet całej kampanii wyborczej Mamdaniego

za ok. 19 proc.
• wpływów podatkowych do budżetu stanu Nowy Jork odpowiada Wall Street

334 tys. dol.
• rocznie musi zarabiać para, które chce pozwolić sobie na dziecko w Nowym Jorku

95 proc.
• Amerykanów uważa, że ich kraj stał się zbyt drogi do życia

11, 3 tys. skarg
• na dziury w jezdniach i chodnikach – o 33 proc. więcej niż rok wcześniej – złożyli nowojorczycy od stycznia do marca 2026

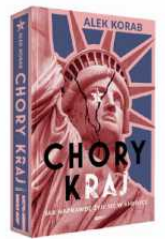
8 tys. dziur
• w jezdniach i chodnikach dziennie łatają w tym roku ekipy naprawcze w Nowym Jorku – tyle, ile za poprzednich burmistrzów przez miesiąc

13 km/h
• nowojorski autobus jest w czołówce najpowolniejszych pojazdów w Ameryce

Do 305 800 dol
• z 258 750 dol. wzrosła – pierwszy raz od dekady – pensja burmistrza. Ale Mamdani nie przyjął podwyżki

Żyjemy na krawędzi, czy zarabia się rocznie 80 tys. dolarów, czy 300 – skarżą się przy piwie moi nowojorscy znajomi. Wśród nich szefowa firmy AI i wzięty konsultant

Alek Korab mówi, jak jest, z Ameryki i o Ameryce: 23 września nakładem Wydawnictwa Znak Literanova ukaże się jego książka **„Chory (k)raj. Jak naprawdę żyje się w Ameryce"**



eprasa.pl d324f0b119

Kaprys cara ważniejszy od ludzkiego życia

Bez wojny nie razbieriosz

Z rosyjskiego punktu widzenia Zachód żyje jedynie resztkami swojej dawnej cywilizacji i nie tworzy już nic nowego

Jerofiejew

Obecna sytuacja na wojnie rosyjsko-ukraińskiej przypomina starą rosyjską baśń o trzech bohaterach, którzy zatrzymali się przy kamieniu na rozstaju dróg i zastanawiają się, którą drogę wybrać. Pójdziesz w prawo – przeżyjesz, ale stracisz konia. Skręcisz w lewo – zginiesz. Okazuje się jednak, że istnieje jeszcze trzecia droga: pójdziesz prosto, przeżyjesz, lecz zostaniesz nagi i głodny.

Ta baśń nie należy do optymistycznych, ale pokazuje, że nawet w najgorszych sytuacjach istnieją różne odcienie wyboru – jedno rozwiązanie jest złe, inne jeszcze gorsze.

Wojna weszła już w piąty rok i niczym jaszczurka zrzuca starą skórę. Z konfliktu dwóch światów, zderzenia odmiennych wyobrażeń o dobru i złu, o źródłach agresji i marzeniach o zwycięstwie, przeobraziła się w śmiertelną udrękę.

Wszyscy są nią zmęczeni – wojna po prostu wszystkim obrzydła. Na niewielkim skrawku ziemi dwa narody wyniszczają się nawzajem, praktycznie stojąc w miejscu. Zginęły lub zostały ciężko ranne rzesze żołnierzy i cywili, nie wspominając o zrujnowanych miastach i terenach, które nie nadają się do życia.

Przeciwnicy rosyjskiej agresji domagają się od Rosji uznania zbiorowej odpowiedzialności za wywołanie wojny. W odpowiedzi nie słyszą nawet słynnego „nie doczekacie się", lecz zdumione: „o czym wy właściwie mówicie?".

Od pierwszego dnia wojny aż do dziś oficjalna doktryna Kremla nie zmieniła i nic nie wskazuje, że się zmieni.

Putin pozostaje konsekwentny do granic możliwości: wojna nadal nie jest wojną, lecz „specjalną operacją wojskową", w Kijowie wciąż rządzą neonaziści.

A naród rosyjski milczy. Tyle że jedni milczą z poparcia dla Putina, a inni – przeciwko niemu.

Zmęczenie graniczące z nerwowym wyczerpaniem wyczuwa się nawet w otoczeniu Putina. Ale tam ziewnięcie mogłoby zostać źle odebrane, więc każdy stara się je ukryć. W takich warunkach trudno wyobrazić sobie pałacowy przewrót. Rosja Putina zamierza przejść przez to zmęczenie i – jak to się mówi – sięgnąć gwiazd.

●

PIERWSZA DROGA Rosji to droga kontynuacji wojny.

Rosja może prowadzić wojnę bez końca i właśnie tak postępuje w XXI wieku. Najpierw były wojny w Czeczenii, potem w Gruzji, następnie zajęcie Krymu i rozpętanie wojny w Donbasie w 2014 roku. Oto droga ku przyszłości – niekończąca się wojna. Która nie jest przedstawiana jako bezsensowna rzeź, lecz jako przedsięwzięcie przynoszące korzyści – nie tylko rosyjskiemu władcy.

Wojna jest korzystna dla Chin – pozwoliła im podporządkować sobie Rosję. W pewnym stopniu opłaca się też Stanom Zjednoczonym, którym Rosja jako trzecie supermocarstwo nie jest potrzebna.

Z Europą sprawa jest bardziej skomplikowanie. Początkowo wydawało się, że także dla niej wojna była korzystna, skoro Rosja ugrzęzła na Ukrainie. Dziś jednak Europa coraz częściej szuka drogi do negocjacji, bo pełnoskalowy konflikt może z czasem przenieść się również na jej terytorium.

W relacjach z Europą Putin znalazł się w korzystniejszej pozycji. To Europa chce z nim rozmawiać, nie odwrotnie. Ale o czym miałyby być takie rozmowy? Dla Putina najważniejsze byłoby okazanie mu osobistego szacunku oraz uznanie jego prawa do przedstawiania wojny jako obrony przed Zachodem. A na to Europa się nie zgodzi.

Pozostaje również pytanie: kto miałby zostać mediatorem?

Najbardziej rozsądnym kandydatem wydaje się Aleksander Stubb. Prezydent Finlandii wie z doświadczeń wojny fińsko-radzieckiej z 1940 roku, że czasem można oddać część terytorium, by ocalić niepodległość państwa. Czy jednak podobny scenariusz byłby możliwy w przypadku Donbasu? Putin nigdy go nie odda. Zełenski również nie. Z kolei zjednoczona Europa jest zbyt podzielona, by podejmować tak niejednoznaczne decyzje.

Niekończąca się wojna jest szczególnie niebezpieczna dla Ukrainy, której zasoby są ograniczone, a kraj dodatkowo zmaga się z aferami korupcyjnymi. Samymi nowoczesnymi dronami nie uda się dotrwać do zawieszenia broni.

Inaczej wygląda sytuacja Rosji, która może liczyć na tradycyjnie ogromną cierpliwość własnego społeczeństwa. Rosjanie zniosą wszystko. Być może żyje im się dziś gorzej, ale co z tego? Państwowe hasło jest jasne: wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa.

Jedyna rzecz, która mogłaby okazać się dla Putina naprawdę bolesna, to otwarta mobilizacja. Dlatego prowadzi się ją w sposób możliwie ukryty. Śmierć za ojczyznę zawsze przedstawiana jest jako najwyższa wartość – lepiej polec na polu bitwy niż zginąć w pijackiej bójce albo od narkotyków. O tym Putin mówił na Kremlu do elegancko ubranych wdów po żołnierzach poległych w Ukrainie.

Pomaga mu propaganda. Która w Rosji nie jest traktowana jako coś haniebnego, jak na Zachodzie, lecz jako narzędzie ideologii państwowej. Rosyjska Cerkiew popiera Putina. Walczący żołnierze otrzymują – jak na rosyjskie warunki – niewyobrażalnie wysokie wynagrodzenia. Setki tysięcy ludzi pracują w przemyśle zbrojeniowym. W tej sytuacji dalsze prowadzenie wojny wydaje się całkowicie logiczne.

●

DRUGA DROGA – droga do pokoju – mogłaby sprowadzić na Rosję ogromne problemy.

Produkcja zbrojeniowa gwałtownie by się zmniejszyła, pojawiłoby się masowe bezrobocie, a setki tysięcy żołnierzy wróciłyby do domów z doświadczeniem przemocy i zabijania.

Nie wiadomo także, co państwo miałoby zrobić z wciąż istniejącymi i całkiem licznymi liberałami. W czasie wojny są oni „milczącymi zdrajcami". Ale gdy wojna się skończy, mogą ponownie zacząć domagać się liberalizacji życia publicznego – czego obecna władza zdecydowanie sobie nie życzy.

Największy problem z pokojem polega jednak na tym, że z samej natury jest oparty na kompromisach. A kompromis nie pasuje ani do cara, ani do rosyjskiej mentalności.

Poza tym perspektywa pokoju pozostaje mglista. Nawet jeśli uda się uzgodnić zawieszenie broni, to co dalej? Rosja nigdy nie zgodzi się oddać Ukrainy Zachodowi. Rosja bez Ukrainy jest jak ciężarówka bez koła. A gdzie podziało się to ukraińskie koło? Zachodni wrogowie Rosji je ukradli. Właśnie dlatego próby skłonienia Rosji do uznania zbiorowej winy są skazane na niepowodzenie.

●

Pozostaje TRZECIA DROGA – eskalacja wojny.

Już nie tylko systematyczne bombardowanie Kijowa, lecz bezpośrednia konfrontacja z Zachodem, który dostarcza Ukrainie broń i tym samym, zdaniem Kremla, już uczestniczy w wojnie.

Taka strategia oznaczałaby tworzenie na Zachodzie atmosfery niestabilności poprzez groźby, sabotaż i działania dywersyjne – aż po wywołanie paniki.

Graniczące z nerwowym wyczerpaniem zmęczenie wojną wyczuwa się nawet w otoczeniu Putina. A jednak dalsze jej prowadzenie wydaje się Rosjanom całkowicie logiczne

Zachód, jak powszechnie się uważa, nie chce wojny. Nie dysponuje wystarczającą liczbą żołnierzy ani odpowiednimi środkami, a od 1945 roku jego społeczeństwa przesiąknięte są pacyfizmem do tego stopnia, że Europejczycy – według tej wizji – prędzej ustąpią Rosji, tak jak wielu Francuzów podczas II wojny światowej zdecydowało się na kolaborację.

Niektóre partie – zarówno skrajnie lewicowe, jak i skrajnie prawicowe – mogłyby dodatkowo poprzeć rosyjską wojnę przeciwko Europie.

A jeśli, choć to mało prawdopodobne, Zachód zdecydowałby się na otwartą wojnę, nie należy zapominać, że Rosja dysponuje bronią jądrową. Wystarczyłoby – według tej logiki – użyć jej w sposób „ograniczony", tak aby wszystkich zastraszyć, ale nie wszystkich zniszczyć. Wówczas Europa pogrążyłaby się w całkowitej ciszy, a zwycięstwo przypadłoby Moskwie.

Pełnoskalowa wojna nuklearna może wybuchnąć jako rezultat całego łańcucha przypadkowych wydarzeń.

Kremlowscy propagandyści chętnie snują wizje jej skutków: z Europy zostaną jedynie zgliszcza, Wielka Brytania zniknie pod wodą. Sugerując między wierszami prawdziwe piekło dla całej ludzkości – przekształcenie wojny w globalną katastrofę nuklearną. Z nadzieją na efekt mrożący, mimo to porażka może być dla mentalności rosyjskiego władcy jeszcze straszniejsza niż wojna atomowa.

Lepiej umrzeć niż okryć się hańbą kompromisu.

Dlatego ani problemy gospodarcze, ani lawina sankcji, ani ukraińskie drony latające nad Rosją nie są w stanie pokonać mentalności człowieka, który nie znosi przegrywać. Kaprys cara okazuje się ważniejszy od ludzkiego życia.

„Chcę Ukrainy, która będzie podobna do Białorusi – a jeśli nie, to wszystko zniszczymy w diabły". Albo przeciwnie: „Kończymy wojnę!". Co zechcę, to zrobię.

Przy takiej mentalności słowa nie mają żadnego znaczenia – dokładnie tak, jak przystało na byłego oficera wywiadu. Mów tylko to, co jest dla ciebie w danej chwili korzystne, i nic więcej.

●

Jeśli zaś chodzi o ideologię, to ona istnieje. Putinizm jest mieszaniną bardzo różnych składników, niczym barszcz: są w nim buraki, czyli stalinizm, jest mięso, czyli imperializm, jest śmietana, czyli patriotyzm. Ale skoro – jak powiedział przewodniczący Dumy Państwowej Wiaczesław Wołodin – „Rosja to Putin", to właśnie Putin staje się uosobieniem Rosji. Taka jest ta ideologia.

Jeśli chodzi o zagrożenie utraty władzy, rosyjskie elity uważają emigrację za grupę ludzi, którzy jedynie dużo mówią. Są wprawdzie szkodliwi i zdradzieccy, ale nie stanowią realnego zagrożenia.

Jedynym prawdziwym niebezpieczeństwem pozostaje nieprzewidywalność wydarzeń.

Tak było w lutym 1917 roku, kiedy rewolucja przyszła niespodziewanie – z kolejek po chleb w Piotrogrodzie. Nieprzewidywalny okazał się także Gorbaczow ze swoją pierestrojką.

Natomiast zagrożeń zewnętrznych Kreml właściwie nie dostrzega.

Stany Zjednoczone, za prezydentury Trumpa, przestały wydawać się wystarczająco groźne. Europa jest słaba. Chiny są sojusznikiem na całe stulecie – choć wobec nich i tak należy zachować czujność. Pozostali to przyjaciele: ogromne Globalne Południe, od Indii po Amerykę Łacińską.

Nie ma więc zagrożenia. Jest jedynie opóźniające się zwycięstwo, ponieważ to nie jest wojna z Ukrainą – w rzeczywistości Rosja walczy z całym światem zachodnim.

Świat ten rosyjska świadomość pogardliwie odrzuca. Widzi w nim wyłącznie konsumpcjonizm i hedonizm, całkowity brak duchowości.

Z punktu widzenia rosyjskiej duchowości Zachód żyje jedynie resztkami swojej dawnej cywilizacji i nie tworzy już nic nowego. Bo czy sztuczna inteligencja naprawdę jest tym, czego potrzebuje człowiek? To pusty, bezsensowny postęp, więc żaden postęp.

Dlatego w tej narracji Rosja nie pozostaje w tyle za innymi, lecz po prostu podąża własną, suwerenną drogą.

Chiny również mają swoją drogę. Ale droga Rosji jest lepsza.

Dlaczego?

Bo my jesteśmy najlepsi.

Z definicji.

Dlatego dla Rosji niekończąca się wojna nie jest ślepą uliczką, lecz – używając młodzieżowego slangu, którym chętnie posługuje się najważniejszy człowiek na Kremlu – czymś, co „napędza akcję" i utrzymuje wszystko w ciągłym ruchu. ●

Wiktor Jerofiejew

Tytuł tekstu – Wyborcza.
Przełożyła Patrycja Eiduka



FOT. A.SAVIN / WIKIPEDIA

Wiktor Jerofiejew

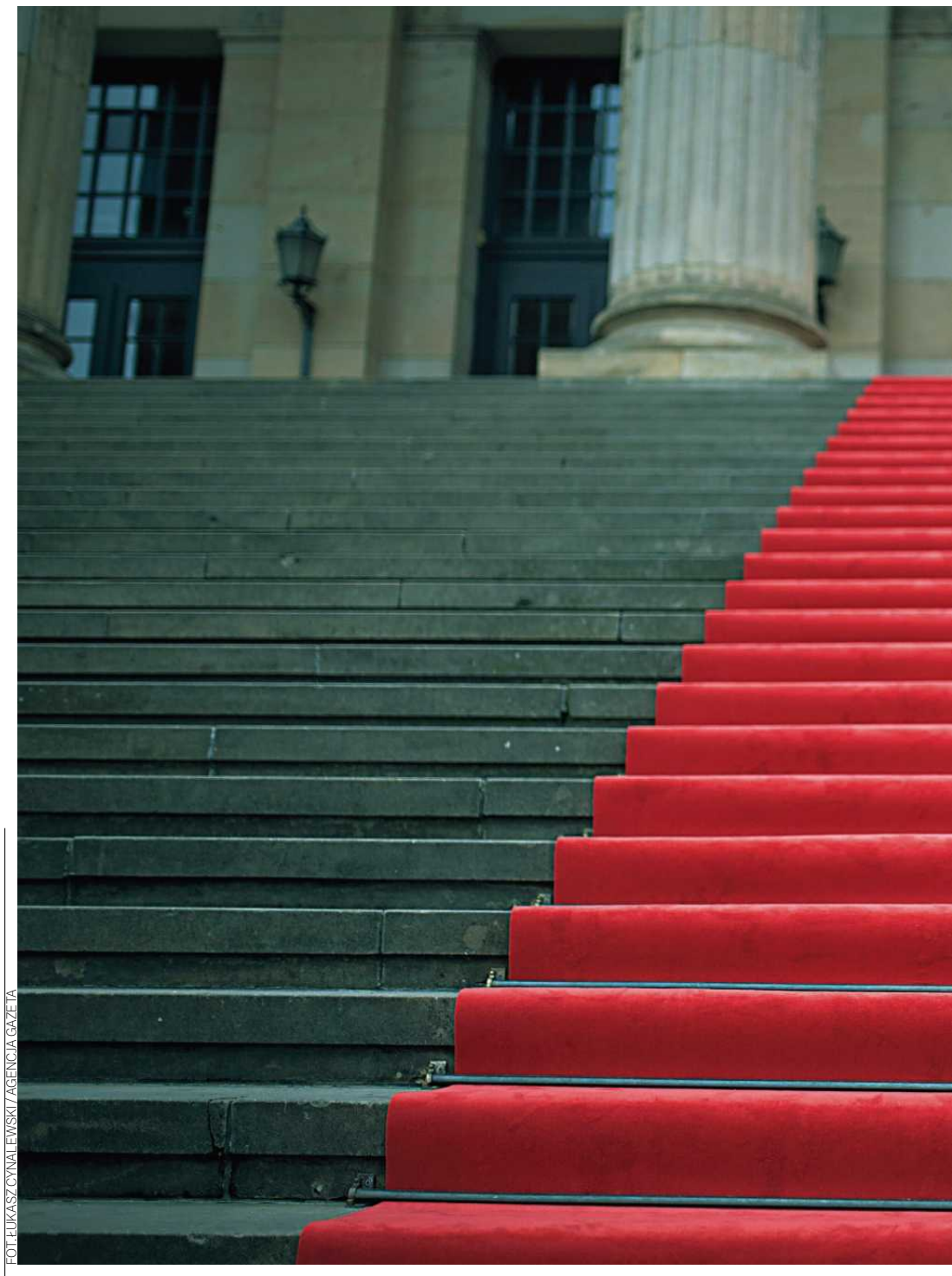
• Ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce wydano m.in. jego mroczną baśń dla dorosłych „Różowa mysz". Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę otwarcie potępił politykę Kremla i na stałe zamieszkał poza Rosją.

eprasa.pl d324f0b119

NIE ZAMIERZAM OPUSZCZAĆ STATKU

W Niemczech obywatele odnotowują powolną, codzienną erozję państwa od środka.

Magdalena Parys



FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA GAZETA

Jeszcze dwa lata temu sądziłam, że fale zachwytów nad Polską, które nieustannie zalewały mój ekran, są jedynie sprawką algorytmu. Algorytm znał mój język, pochodzenie i zapewne także najwrażliwszy punkt migrantki: potrzebę potwierdzenia, że kraj, z którego pochodzi i za którym tak kiedyś tęskniła, jest absolutnie wyjątkowy.

Na filmikach anglo- i niemieckojęzycznych influencerów widziałam w warszawskim metrze ludzi czytających książki, polskie ulice tętniły życiem, pociągi pędziły coraz szybciej, restauracje były pełne pięknych dziewcząt i chłopców.

Polska – piękna homogeniczna wyspa na wzburzonym europejskim morzu.

Trudno przyjąć ten obraz bez zastrzeżeń. Polska widziana nie z lotu drona, hotelowego lobby czy wypolerowanych starówek wygląda trochę inaczej. Jeździłam, i nadal jeżdżę, polskimi pociągami, znam stan kolejowych toalet, wiem, że z punktualnością bywa różnie, a dopiero co przed chwilą w składzie, którym podróżowałam, wybuchł pożar w wagonie restauracyjnym. Wiem też, co kryje się za fasadami wielkomiejskich ulic: ponure podwórka, zaniedbane oficyny i przemoc samozwańczych „prawdziwych Polaków" wobec Ukraińców.

Bezpardonowo zaglądam we wszystkie polskie i niemieckie kąty, a Polsce stawiam poprzeczkę szczególnie wysoko, być może właśnie dlatego, że „jest moja". Dlatego kiedy kuzyn z Gdańska zapewniał mnie: „Wszyscy mówią, że Polska jest wyjątkowa", przewracam oczami. Wewnętrzny sceptyk podpowiada mi, że najwyraźniej za dużo nasłuchał się Mentzena i Ziemkiewicza w roli przewodników po polskiej wyjątkowości.

Z czasem jednak ten sam refren zaczął dobiegać także spoza ekranu. Brytyjski tygodnik „The Economist" poświęcił Polsce okładkę opatrzoną tytułem „The Remarkable Rise of Poland" („Niezwykły awans Polski"). Niedługo później „Neue Zürcher Zeitung" pisała, że Polska „stała się wzorem do naśladowania".

„Die Zeit" opublikował tekst pod znamiennym tytułem „Wo Polen Deutschland längst überholt hat" („Gdzie Polska już dawno prześcignęła Niemcy"), „Der Spiegel" pisze często w podobnym tonie. A po wydarzeniach w Ceucie pojawiają się niezliczone nagrania, w których polskie zasieki, szczelna granica i bezkompromisowa polityka wobec nielegalnej migracji stawiane są za wzór, jak państwo powinno chronić własne terytorium.

Piękna siostra Warszawa, zmęczony brat Berlin

Tymczasem w Niemczech obywatele odnotowują powolną, codzienną erozję państwa od środka. Remonty ciągnące się latami, chroniczny brak rąk do pracy, archaiczne urzędy, a w przestrzeni publicznej brud, bezdomność i nieustanne napięcia związane z migracją.

Równolegle obserwuję przyjaciół i znajomych, którzy po latach spędzonych w Niemczech wracają do Polski. Niektórzy zdecydowali się na ten krok po odejściu PiS od władzy, przekonani, że teraz znowu będą mogli tam spokojnie żyć. Jeszcze niedawno taki powrót wydawałby się czymś niezwykłym, przez dziesięciolecia kierunek był przecież odwrotny. To Polacy wyjeżdżali w poszukiwaniu pracy, bezpieczeństwa i lepszego życia do Niemiec, Wielkiej Brytanii czy Francji.

W zeszłym roku prowadziłam wykłady na uczelni w Gdańsku, regularnie odwiedzałam Warszawę, Kraków, Wrocław, przez kilka tygodni mieszkałam w Gdańsku-Oliwie.

I po raz pierwszy zrozumiałam, co mieli na myśli niemieccy i angielscy influencerzy. Oto każdego ranka widziałam człowieka zamiatającego ulicę, w Parku Oliwskim późną jesienią ogrodnicy pochylali się nad roślinami, zabezpieczali je, przycinali, przygotowywali do nadejścia zimy.

Najpierw pomyślałam, że to przecież Park Oliwski, jedna z wizytówek miasta, więc nic dziwnego, że otacza się go szczególną troską. Ale potem zobaczyłam ludzi pieczołowicie zgarniających liście z niewielkiego osiedlowego skweru, różnokolorowe, olbrzymie wory na odpady, wszędzie wstawiano nowe okna, odnawiano elewacje, naprawiano chodniki.

Czułam jakiś ożywczy ruch, nie gorączkowy, nie chaotyczny, lecz spokojny i konsekwentny. Zobaczyłam coś, czego nie doświadczyłam już dawno: w Sopocie, Gdyni, Gdańsku i w Warszawie mieszkańcy traktowali swoje miasta z szacunkiem i miłością.

Patrzyłam na pięknie oświetlony Park Oliwski, zadbane ulice i miasto przygotowywane z troską do zimy, a myślałam o berlińskim osiedlu, na którym mieszkam od lat i które kiedyś również sprawiało wrażenie uporządkowanego, doglądanego, po prostu czyjegoś. Dziś przy wyjeździe rosną chaszcze tak wysokie, że zasłaniają widok na ulicę i nadjeżdżające samochody. Od miesięcy nikt ich nie przycina. Miasto najwyraźniej nie ma na to pieniędzy, a mieszkańcy przywykli już do tego, że wspólna przestrzeń stopniowo staje się niczyja.

Co jakiś czas pojawiają się wyjaśnienia, że ze względu na suszę, owady i ochronę przyrody najlepiej kosić jak najmniej. Rozumiem tę argumentację, naprawdę. Trudno jednak w nią wierzyć, kiedy zeszłoroczne badyle sterczą przez całą zimę i nie służą już ani przyrodzie, ani mieszkańcom, a miasto zarasta.

Myślałam także o budowie, którą mijam niemal codziennie i na której prawie nigdy nie widzę robotników. Tablica informuje, że prace potrwają do 2031 roku. Równie dobrze mógłby tam widnieć rok 2061, w Berlinie nikogo by to już nie zdziwiło.

Kontrast pomiędzy odradzającymi się dzielnicami Gdańska a tym, co zobaczyłam po powrocie w stolicy Niemiec, zabolał mnie bardziej, niż się spodziewałam. Berlin, moje ukochane miasto, na tle pięknej energicznej siostry ze Wschodu wyglądał jak zubożały, zmęczony brat. I pomyśleć, że przez lata spoglądał na Wschód z protekcjonalną wyższością.

Kiedyś

Przyjechałam do Berlina w 1984 roku. Miałam trzynaście lat. Polska była wtedy biedna, szara i smutna, mimo to tęskniłam za nią bardzo. Berlin wydawał mi się światem z zupełnie innej planety: pełne sklepy, kolorowe wystawy, czyste ulice, wszędzie porządek i dostatek.

Dziś, ponad czterdzieści lat później, próbuję zrozumieć, jak doszło do tak wyraźnego odwrócenia perspektywy. Jak to możliwe, że Polska, z której przez lata wyjeżdżało się w poszukiwaniu lepszego życia, jest dziś przez wielu Niemców przedstawiana jako przykład rozwoju i sprawności? Dlaczego coraz częściej słyszę, że Polska to „nowe Niemcy", podczas gdy same Niemcy mówią o własnym zastoju?

Dzisiaj

W lipcu 2025 roku Peter Bosek, Austriak, prezes Erste Group, napisał wprost: „Polen ist das neue Deutschland". To on użył tego sformułowania po raz pierwszy. Nie chodziło mu o porównanie poziomu zamożności, nie miało też oznaczać, że Polska zamieniła się z Niemcami w rankingu

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl d324f0b119



Magdalena Parys na schodach Konzertause Berlin na Gendarmenmarkt , gdzie dzieje sie akcja jednej z jej książek

gospodarczym miejscami; Bosek opisywał coś trudniejszego do uchwycenia: zmianę dynamiki.

Mówił, że w dzisiejszej Polsce dostrzega energię, pracowitość i głębokie przekonanie, że dobrobyt nie jest stanem raz na zawsze zagwarantowanym, lecz rezultatem wysiłku, który trzeba podejmować każdego dnia. Tę mentalność porównał do postawy Niemców z czasów powojennego cudu gospodarczego, a Polskę nazwał jednym z nowych motorów wzrostu Europy.

Określenie szybko zaczęło żyć własnym życiem, trafiło w Niemczech na podatny grunt i odnoszę wrażenie, że Niemcy powtarzają je częściej niż Polacy.

Z czego to wynika?

W wyobraźni Niemców wciąż jeszcze pokutuje obraz Polski sprzed dwudziestu albo trzydziestu lat: w ich przekonaniu Polska jest jeszcze wciąż szara, chaotyczna, z nienajlepszymi drogami i usługami.

Powstaje więc osobliwy paradoks: ci, którzy wracają z Polski, mówią o czystości, porządku i gościnności, podczas gdy ci, którzy nigdy tam nie byli, wciąż posługują się obrazem sprzed kilku dekad. Przez lata jednym z najbardziej uporczywych niemieckich skojarzeń z Polską było określenie „polnische Wirtschaft" – dosłownie „polska gospodarka", w praktyce synonim bałaganu, chaosu i organizacyjnej niewydolności.

Kiedy więc Niemiec po raz pierwszy jedzie do Gdańska, Warszawy, Wrocławia, Poznania albo nawet do mniejszego polskiego miasta, nie odkrywa kraju trochę lepszego, niż przypuszczał. Odkrywa kraj zupełnie inny, niż sobie wyobrażał, i dlatego mówi: „To szok".

Dlaczego nie Czechy?

Aby lepiej zrozumieć skalę niemieckiego zaskoczenia Polską, najlepiej posłużyć się przykładem Czech. Dlaczego o czeskim sukcesie nie mówi się dziś z podobnym zdumieniem?

W chwili wejścia do Unii Europejskiej w 2004 roku Czechy osiągały już około 78 procent średniego unijnego PKB na mieszkańca, podczas gdy Polska znajdowała się na poziomie zaledwie 51 procent. Dziś Czechy nadal są zamożniejsze, osiągają około 92 procent średniej UE, Polska zaś około 81, jednak rozwój Czech przebiegał mniej spektakularnie. Nasz sąsiad startował z wyższego poziomu, dlatego zmiana nie była aż tak widoczna.

Jest jeszcze jeden powód; w Niemczech obraz Czech nigdy nie był tak obciążony jak obraz Polski. Praga od dawna uchodziła za piękne, historyczne miasto europejskie, a czeski przemysł, rzemiosło i stosunkowo wysoki poziom rozwoju budziły respekt jeszcze przed rozszerzeniem Unii. Czechy nie musiały więc dokonywać podobnej rewolucji w niemieckiej wyobraźni. I właśnie dlatego polski awans wywołuje dziś znacznie silniejszy efekt.

175 starych mostów

Przez wiele lat Polska inwestowała przede wszystkim w rzeczy konieczne, choć niezbyt widowiskowe: kanalizację, oczyszczalnie ścieków, obwodnice. Była to żmudna praca od podstaw, nie od razu odczuwalna przez mieszkańców i turystów, tym bardziej że poprzedzona długoletnią budową. Dziś coraz więcej środków inwestuje się również w to, co widać gołym okiem: odnowione ulice i place, nabrzeża, kamienice, parki, nowoczesną komunikację, hotele, restauracje, sklepy i całą przestrzeń publiczną.

W pewnym momencie suma tych zmian tworzy zupełnie nowy obraz. Nie chodzi już o jeden odrestaurowany rynek czy kilka reprezentacyjnych ulic, coraz częściej ma się wrażenie, że cały kraj systematycznie podnosi swój standard.

Wrażenie jest tym silniejsze, że znaczna część polskiej infrastruktury jest po prostu nowa: wiele dróg, dworców, mostów i obiektów publicznych powstało w ciągu ostatnich lat. W Niemczech natomiast ogromną część infrastruktury zbudowano kilka dekad temu i dziś wymaga ona kosztownych, nieustannych napraw.

W 2026 roku niemieckie samorządy oszacowały zaległości inwestycyjne na rekordowe 231,2 miliarda euro. Tylko w samym Berlinie z planu remontów mostów wynika, że wiele z nich ma ponad sześćdziesiąt lat, niektóre ponad sto. Aż 175 trzeba zastąpić nowymi konstrukcjami, przy kolejnych 125 konieczne są prace naprawcze lub zachowawcze. Nie jest to więc seria przypadkowych awarii, lecz moment, w którym skutki wieloletnich zaniedbań stają się widoczne naraz. Naprawy, które odkładano jedną po drugiej, dziś trzeba prowadzić jednocześnie.

Wsiadamy więc w Niemczech do pociągu – albo, co dziś raczej bardziej prawdopodobne, do autobusu (komunikacji zastępczej) – mając jeszcze pod powiekami obraz popękanych chodników, dworca z rozkopanymi torami i nieczynnymi windami. Kilka godzin później wysiadamy w Polsce na nowoczesnym dworcu, korzystamy ze sprawnych wind, kilka kroków dalej wita nas odnowione miasto.

Ktoś jechał do Polski, wracał zaskoczony, pokazywał zdjęcia i mówił znajomym: „Musicie tam pojechać, to już nie jest kraj, który pamiętacie"

I znów: kontrast jest uderzający nie dlatego, że Polska stała się bogatsza od Niemiec, lecz dlatego, że znaczna część jej infrastruktury jest niedawno zbudowana, mniej zużyta i niewymagająca jeszcze nieustannych napraw.

Kontrast ekonomiczny jest uderzający, Polska gospodarka wzrosła realnie o 3,6 procenta w 2025 roku, Komisja Europejska przewiduje na 2026 rok około 3,5 procenta. Niemcy zanotowały w 2025 roku zaledwie 0,2 procenta wzrostu, a prognoza na 2026 rok wynosi 0,6 procenta.

W Polsce powstają firmy, mieszkania, drogi, hotele, restauracje, nowe dzielnice, usługi. W Niemczech dominuje natomiast rozmowa o kryzysie przemysłu, brakach inwestycyjnych, niedoborze mieszkań i biurokracji.

To zmienia psychologię patrzenia: kiedy kraj bogatszy patrzy na biedniejszy, który szybko go dogania, jest nim bardziej zafascynowany niż krajem, który od dawna pozostaje na stabilnym, niezmiennym poziomie.

Łotwa czy Estonia?

Zanim uwaga przesunęła się ku Polsce, Niemców fascynowały dwa inne kraje. Początkowo Estonia, niewielkie państwo, które udowodniło, że kontakt z urzędem nie musi oznaczać teczki dokumentów, kolejki i kilku tygodni oczekiwania. Niemiecka prasa regularnie pisała o Estonii jako wzorze cyfryzacji, podziwiając administrację, w której niemal wszystkie usługi publiczne można załatwić przez internet. Trudno się dziwić, skoro w niemieckich urzędach jeszcze do niedawna faks uchodził za niezawodne narzędzie nowoczesnego państwa.

Następnie Niemcy odkryli Łotwę, głównie Rygę. Zachwycano się secesyjnymi kamienicami, piękną starówką, kawiarniami i bliskością morza. Było w Rydze coś znajomego, europejskiego i eleganckiego, a zarazem jeszcze niedrogiego i nieprzejętego przez masową turystykę. Ryga jawiła się więc niczym ukryty skarb: miasto, o którym nie wszyscy wiedzą, choć powinno wymieniać się je jako jedną z najpiękniejszych stolic Europy. Ale była to opowieść tylko o jednym niezwykłym mieście.

Polska zdeklasyfikowała wszystko

W ofercie ma Warszawę, Gdańsk, Wrocław, Kraków, Poznań, Szczecin, Łódź, Mazury, Bałtyk i góry. Jest dużym krajem graniczącym z Niemcami, wielkim rynkiem i coraz ważniejszym państwem w zakresie politycznym oraz militarnym. Po rosyjskim ataku na Ukrainę znaczenie Polski w europejskim bezpieczeństwie i logistyce dodatkowo wzrosło.

Już w 2023 roku do Polski przyjechało około pięciu milionów niemieckich turystów. W 2025 roku liczba noclegów turystycznych w Polsce wzrosła o około 7 procent, był to jeden z najwyższych wyników w UE.

Powstał mechanizm kuli śnieżnej: ktoś jechał do Polski, wracał zaskoczony, pokazywał zdjęcia i mówił znajomym: „Musicie tam pojechać, to już nie jest kraj, który pamiętacie".

Jadą następni i przeżywają to samo.

Surowa szkoła samodzielności

Wiadomo, że ogromna część dróg, dworców, oczyszczalni, linii tramwajowych, odnowionych rynków i przestrzeni publicznych nie powstałaby w takim tempie bez europejskich funduszy. Unia dała Polsce kapitał pozwalający nadrobić wieloletnie zaległości cywilizacyjne.

Same pieniądze nie wytłumaczą jednak wszystkiego. Otrzymały je również inne państwa naszego regionu, a przecież nie wszędzie ich wpływ jest dziś równie wyraźny. Polska potrafiła wykorzystać tę szansę na wielką skalę: umiała przygotowywać projekty, zapewniać wkład własny, łączyć środki europejskie z lokalnymi potrzebami i prowadzić inwestycje nie tylko w największych miastach, lecz także w gminach, miasteczkach i regionach, które przez dziesięciolecia pozostawały na uboczu.

Zanim pojawiły się wielkie fundusze europejskie, Polska zdążyła już przejść długą i bolesną szkołę samodzielności. W latach transformacji zarówno państwo, jak i samorządy, przedsiębiorcy i zwykli ludzie uczyli się działać bez gotowych instrukcji, często bez wystarczających środków i bez pewności, że kiedykolwiek wejdziemy do Unii.

Piszę o tym z perspektywy kogoś, kto od ponad czterdziestu lat żyje pomiędzy Polską a Niemcami, dlatego muszę dokonać jeszcze jednego ważnego porównania: między Polską a dawną NRD.

Wracam myślami do studiów pedagogicznych na Uniwersytecie Humboldtów i do koncepcji Reinholda Bernharda Jachmanna – ucznia Kanta, pedagoga i jednego z jego pierwszych biografów. Jeden z moich profesorów, wielki miłośnik Jachmanna, tak zadręczał mnie lekturą jego rozpraw, że po egzaminie obiecałam sobie, że nigdy już do Jachmanna dobrowolnie nie wrócę. Tymczasem po latach coraz częściej myślę, że właśnie jemu zawdzięczam jedną z najważniejszych lekcji, jakie wyniosłam ze studiów.

Ze stworzoną przez niego koncepcją wychowania kojarzy się bowiem przede wszystkim pojęcie Selbsttätigkeit – własnej aktywności człowieka. Samodzielności nie można nikomu podarować. Człowiek rozwija ją wtedy, gdy nie zostaje wyręczony, lecz sam musi rozpoznać problem, znaleźć rozwiązanie i ponieść konsekwencje własnych decyzji. Brzmi banalnie. Nie kiedy rozłoży się to na czynniki pierwsze.

To nie unijna manna z nieba

Po upadku komunizmu Polska nie otrzymała gotowego planu Marshalla, nie pojawił się też żaden bogaty zachodni krewny, który przejąłby odpowiedzialność za emerytury, bezrobocie, administrację, drogi i przebudowę całej gospodarki.

Trzeba było niemal równocześnie stworzyć wolny rynek, zbudować samorządność, zre-

eprasa.pl d324f0b119

formować banki, przedsiębiorstwa i instytucje państwa, spłacić olbrzymie długi, a przy tym nauczyć się funkcjonować w systemie kapitalistycznym, którego zasady trzeba było dopiero poznać i wprowadzić w życie.

Reformy, niezwykle boleśnie odczuwane przez „zwykłych" Polaków, obejmujące prywatyzację, bankowość, ubezpieczenia od bezrobocia oraz autonomię samorządów, rozpoczęto niemal natychmiast już na początku lat dziewięćdziesiątych.

Podobny chrzest Polska przeszła już w 1918 roku. Po 123 latach zaborów nie odzyskała przecież jednego, spójnego państwa, lecz musiała scalić ziemie polskie, które pod panowaniem Rosji, Austrii i Prus funkcjonowały w trzech odmiennych porządkach prawnych, administracyjnych i gospodarczych, miały różne waluty, szkoły, urzędy, a nawet różnorodne niespójne sieci kolejowe.

Z tej różnorodności miał powstać znów jeden kraj, nie w teorii, lecz w najbardziej dosłownym sensie: ujednolicić prawo, stworzyć wspólną armię, szkolnictwo i administrację. Wymagało to nie tylko niezwykłego talentu organizacyjnego, ale przede wszystkim umiejętności działania ponad podziałami. Stworzenie tego w tak krótkim czasie pozostaje jednym z największych, moim zdaniem wciąż zbyt rzadko docenianym, osiągnięć w historii Polski.

Siedemdziesiąt lat później, po upadku komunizmu, Polska stanęła przed innym, lecz pod pewnymi względami równie fundamentalnym zadaniem: ponownym urządzeniem państwa i gospodarki.

Owszem, nie była całkowicie pozostawiona sama sobie, korzystała z redukcji zadłużenia, zagranicznych inwestycji, kredytów instytucji międzynarodowych oraz programów przedakcesyjnych, takich jak PHARE. W 1991 roku wierzyciele Klubu Paryskiego zgodzili się umorzyć znaczną część polskiego długu, a europejska pomoc przedakcesyjna zaczęła napływać jeszcze przed wejściem do Unii.

Były to ważne podpory transformacji, ale czym innym jest stworzenie państwa od podstaw, a czym innym przejęcie przez bogatsze państwo całej jego konstrukcji, jak miało to miejsce w przypadku wschodnich Niemiec. Po zjednoczeniu nowe landy zostały włączone do istniejącej Republiki Federalnej. Otrzymały jej walutę, prawo, administrację, system emerytalny i ubezpieczenia społeczne.

Już sam Fundusz Jedności Niemieckiej przewidywał do końca 1994 roku 155 miliardów marek na odbudowę Wschodu, a łączne nakłady i transfery związane ze zjednoczeniem osiągnęły w następnych dekadach skalę liczoną w bilionach euro.

Nie piszę tego, by pomniejszać cenę, jaką zapłacili za to mieszkańcy dawnej NRD. Przeciwnie: upadek zakładów, masowe bezrobocie, utrata pozycji zawodowej, migracja młodych ludzi i poczucie, że czyjeś dotychczasowe



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA GAZETA

• Magdalena Parys w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie

życie zostało unieważnione, były doświadczeniem dramatycznym. Do 1992 roku bez pracy pozostawało już ponad milion mieszkańców wschodnich Niemiec, a w pierwszych latach po zjednoczeniu setki tysięcy ludzi przeniosły się na Zachód.

Różnica nie polega więc na tym, że Polacy cierpieli, a Niemcy ze Wschodu wszystko otrzymali bez wysiłku. Leży gdzie indziej, w samej konstrukcji transformacji. Wschodnie Niemcy zostały włączone do gotowego systemu, nawet jeśli wejście w ten system okazało się dla wielu ludzi bolesne i upokarzające. Polska musiała natomiast ten system w znacznej mierze zbudować sama, i to w biegu, nie przerywając przy tym codziennego funkcjonowania państwa.

Była to surowa szkoła samodzielności, tej samej, którą Jachmann, wychowany w duchu oświeceniowej pedagogiki Kanta, uważał za warunek ludzkiej dojrzałości. W jego rozumieniu wychowanie nie powinno wyręczać człowieka, lecz przygotować go do samodzielnego działania.

Polska po 1989 roku przeszła podobną lekcję nie w teorii, ale w skali całego państwa. Czesne okazało się boleśnie wysokie, płacono za nie bezrobociem, upadkiem wielu zakładów, nierównościami, poczuciem krzywdy i masową emigracją. Ale właśnie w tych latach rozwijały się polska przedsiębiorczość, zaradność i umiejętność szybkiego dostosowywania się do nowych warunków. Powstawały firmy bez wielkiego kapitału, samorządy uczyły się odpowiedzialności za własne miejscowości, a ludzie uczyli się, że problemy muszą rozwiązywać sami.

Kiedy więc po 2004 roku popłynęły do Polski wielkie fundusze europejskie, nie trafiły na pustą kartę. Trafiły do państwa, które miało już za sobą piętnaście lat praktycznej nauki gospodarki rynkowej, i do społeczeństwa wyćwiczonego w organizowaniu się, szukaniu możliwości i nadrabianiu niedoborów. Pieniądze unijne nie spadały zresztą jak manna z nieba.

Trzeba było przygotować projekty, zapewnić współfinansowanie, przeprowadzić przetargi, spełnić normy i rozliczyć każdą inwestycję. Już w pierwszych latach członkostwa samorządy stały się głównymi odbiorcami funduszy, a ponad dwie trzecie gmin współfinansowało przedsięwzięcia korzystające ze środków europejskich.

I być może właśnie to odróżnia pomoc, która rozwija, od pomocy, która zastępuje własne działanie. Pierwsza daje człowiekowi albo państwu narzędzia i pozwala mu zwiększyć skalę tego, co już potrafi. Druga może, nawet w najlepszej wierze, utrwalić oczekiwanie, że rozwiązanie zawsze przyjdzie z zewnątrz.

Unia dała Polsce kapitał, dostęp do rynku i historyczną szansę. Nie dała jej jednak zaradności, ambicji ani głodu rozwoju. Kiedy europejskie pieniądze zaczęły płynąć szerokim strumieniem, te cechy były już w Polsce dobrze wyćwiczone.

Polska już dawno prześcignęła Niemcy

W Polsce, czterdzieści lat po upadku komuny, wciąż istnieje głód poprawy: wciąż dąży się do tego żeby wyremontować, rozwinąć, dogonić, otworzyć i zbudować. Niemcy przez dziesięciolecia żyli w kraju już zbudowanym. Przyzwyczaili się, że porządek, dobrobyt i infrastruktura są stanem naturalnym; teraz odkrywają, że to wszystko może się zużyć.

Dlatego określenie „nowe Niemcy" jest w istocie tylko pozornie komplementem dla Polski. Polska nie stała się Niemcami, Polska jest krajem w nieustannym ruchu. A Niemcy, patrząc na nią, przypominają sobie, jacy sami byli wtedy, gdy wierzyli, że można własnymi rękami zbudować lepsze państwo.

Na koniec jeszcze jedna refleksja. Czytając opublikowany w „Die Zeit" artykuł „Gdzie Polska już dawno prześcignęła Niemcy", pomyślałam, że jego zakończenie mówi o Niemczech więcej niż cała wcześniejsza opowieść o Polsce.

Autorzy z uznaniem opisują polskie start-upy, rozwijający się przemysł i rosnącą sprawność gospodarczą kraju, by ostatecznie zaznaczyć, że dalszy rozwój Polski zależy również od kondycji silnie powiązanej z nią gospodarki niemieckiej.

Być może z gospodarczego punktu widzenia mają częściowo rację: oba kraje są ze sobą silnie powiązane.

Uderzyło mnie jednak, jak trudno Niemcom wyobrazić sobie Europę, w której nie są już głównym punktem odniesienia, centrum i warunkiem powodzenia innych.

Nawet kiedy podziwiają polski sukces, próbują wpisać go we własną historię. Ta pewność siebie przez dziesięciolecia była jednym ze źródeł niemieckiej siły, dziś jednak coraz częściej zaczyna przypominać pułapkę. Kraj przekonany, że wszystko nadal obraca się wokół niego, może zbyt późno zauważyć, że świat dawno ruszył dalej – bez niego.

Uważam tę niemiecką skłonność do postrzegania siebie jako miary wszystkiego za wadę. Z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że z punktu widzenia stricte politycznego wydarzenia w Niemczech mają niebagatelne znaczenie dla całej Europy.

Gdy władzę przejęła w Polsce prawica, Europa dała sobie radę, jeśli w Niemczech władzę przejmie AfD, skutki takiej zmiany z pewnością nie zatrzymałyby się na niemieckich granicach. To jednak temat na osobny, znacznie mniej optymistyczny felieton. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała go napisać.

PS

Na koniec osobista myśl skierowana do tych, którym szczęśliwy los zaoszczędził emigracji. Mimo trzeźwej oceny kondycji Niemiec nie zamierzam opuszczać statku, który dziś wyraźnie nabiera wody. Przyjechałam do Berlina jako niespełna trzynastoletnia dziewczynka. To w tym mieście dorastałam, chodziłam do szkoły i zakładałam rodzinę. Berlin nie jest więc jedynie miejscem mojego zamieszkania – jest moim miastem.

Mam prawo pisać o nim i o Niemczech z miłością, niepokojem i krytycyzmem. Jestem rodowitą Polką, ale po tylu latach nikt nie może odbierać mi prawa do troski o kraj, w którym mieszkam. Niech pomyślą o tym ci, którzy prawo do zabierania głosu wciąż uzależniają od miejsca urodzenia lub od skali nienawiści w stosunku do sąsiada. W tym do ludzi, którzy urodzili się wiele lat po wybuchu II wojny światowej. Pamiętajmy, ale i myślmy. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015



1 RP

eprasa.pl d324f0b119

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Połącz Kropki

Idealna gra na krótką przerwę

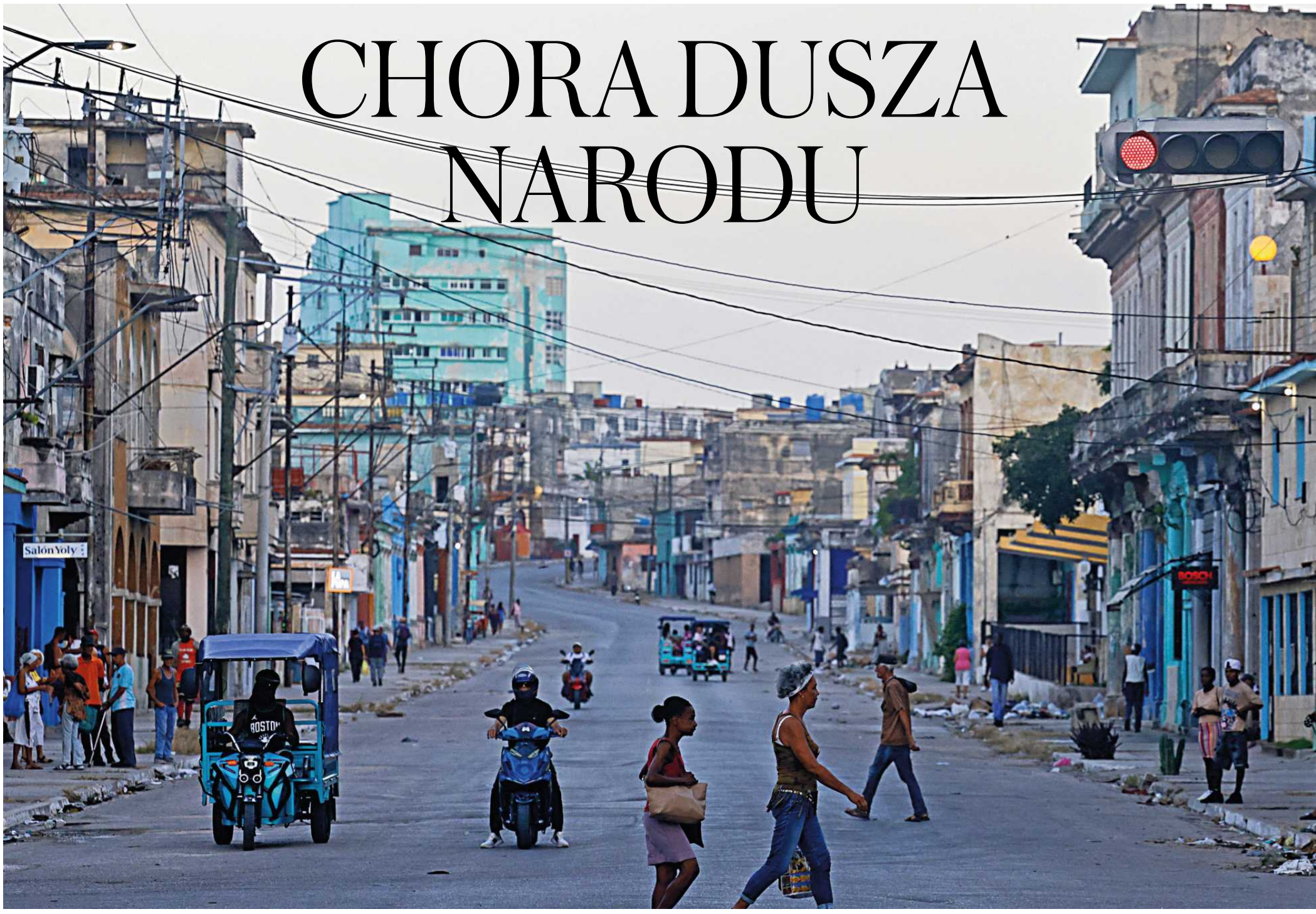


Zeskanuj QR kod i graj

APLIKACJA WYBORCZEJ

eprasa.pl d324f0b119

CHORA DUSZA NARODU



Cokolwiek Kubańczyk robi, dokądkolwiek pójdzie, ma koło siebie innego Kubańczyka, który go pilnuje, śledzi, donosi.

Z **DAGOBERTO VALDESEM,** KUBAŃSKIM INTELEKTUALISTĄ KATOLICKIM, ROZMAWIA **MACIEJ STASIŃSKI**

Od pół roku rząd USA trzyma Kubę w paliwowym klinczu. Przestarzałe, jeszcze sowieckie elektrownie, już wcześniej zdewastowane, to demobil. Kuba gaśnie raz po raz. Amerykanie nałożyli sankcje na koncern nomenklatury GEASA zawiadujący ostatnimi zyskownymi fragmentami gospodarki. A dyktatura trwa. Jak to się dzieje?

– Komunistyczny totalitaryzm wytrzymuje tę najcięższą zapaść kraju od rewolucji 1959 roku dzięki żelaznej kontroli nad społeczeństwem. I tym właśnie różni się od zwykłych dyktatur. Dyktatura kubańska ma władzę absolutną nad życiem, pracą, nauką, sąsiedztwem, przyjaźniami, modlitwą w kościele, czasem wolnym i każdą inną działalnością i fizycznym poruszaniem Kubańczyków.

Cokolwiek Kubańczyk robi, dokądkolwiek pójdzie, ma koło siebie innego Kubańczyka, który go pilnuje, śledzi, donosi, co robi. Bezpieka ma na to specjalne określenie: każdy Kubańczyk ma „towarzysza, który się nim opiekuje".

Po drugie, panuje ogromny aparat propagandy opartej na kłamstwie. Nie chodzi o przeinaczanie tego czy tamtego faktu, liczby czy danych. Chodzi o to, że propaganda stwarza cały sztuczny świat, fałszywy i fikcyjny. Już niemal nikt nie daje się na to nabrać, ale jeszcze zdarza się, że jak coś mówi rządowa telewizja, to ktoś uwierzy. Ten aparat już właściwie się wali, ale dyktatura jeszcze się podpiera tym życiem w kłamstwie.

Po trzecie, Kubańczycy zawsze mieli wentyl bezpieczeństwa. Jeszcze całkiem niedawno słyszało się w rozmowach w pracy i w domu: – Jak ci się nie podoba, to wyjeżdżaj.

Fidel Castro mawiał: – Nie chcemy takich, nie potrzeba nam takich, którym się nie podoba.

Ten wentyl działał długo na masową skalę. Reżim sterował falami wychodźców – Camarioca, Mariel, „tratwiarze" (balseros) w latach 90. XX wieku itd. – pozbywając się „złej krwi". Czy to jeszcze działa?

– Masowy exodus z wyspy taką funkcję pełnił. Ale ten wentyl się zamyka. Rząd USA sam zmienił politykę imigracyjną jeszcze za rządów Joe Bidena, który przyznawał pule legalnej imigracji. Dzisiaj jeszcze niektórzy Kubańczycy, którzy za wszelką cenę chcą uciec, jadą byle gdzie, choćby do Rosji, Białorusi czy Australii. Ten zamykający się wentyl zwiększa tylko ciśnienie w krajowym garnku.

Jak dotąd nadzieje na demokratyczną transformację Kuby zawsze zawodziły. Ani pierestrojka w ZSRR, ani jego upadek, ani pokojowe przemiany demokratyczne w Hiszpanii, Chile czy w Polsce i innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej nie dotarły na Kubę. Dyktatura kubańska okazała się odporna i nie do ruszenia. Czy to się może zmienić?

– Rozpad obozu realnego socjalizmu nie pociągnął za sobą upadku dyktatury na wyspie, bo my żyliśmy w innej rzeczywistości geopolitycznej. Utrzymywał się wówczas jeszcze mit rewolucji kubańskiej jako oryginalnej, specyficznej, wyrosłej na rodzimym gruncie, a nie przyniesionej przez obce mocarstwo na czołgach, jak w krajach Europy Wschodniej, lub wymuszonej przez obcą interwencję.

Dzisiaj rzecz wygląda już inaczej. Mamy na Kubie do czynienia z katastrofą doskonałą, na którą składa się wiele kryzysów naraz.

Zapaść gospodarcza jest całkowita i nieuleczalna. Socjalistyczny ustrój gospodarki państwowej i scentralizowanej nie jest w stanie zaspokajać podstawowych potrzeb społeczeństwa.

Kryzys społeczny doprowadził do zaniku podstawowych wartości, załamania wszelkich aspiracji czy planów życiowych obywateli, głównie młodych.

Nakłada się na to głęboki kryzys polityczny. Reżim wyczerpał swoje możliwości, nie ma nic do zaoferowania. Komunizm jest niereformowalny i niczego nie zmienią kosmetyczne zabiegi.

I mamy wreszcie antropologiczną katastrofę, czyli osłabienie lub wręcz załamanie właściwości osoby ludzkiej, jej zdolności poznawczych, inteligencji emocjonalnej, wolnej woli, i „zasuszenie ducha". Nazywam ten syndrom „krzywdą antropologiczną" („dano antropologico"), dewastacją moralną, społeczną, duchową. Próba stworzenia na Kubie nowego człowieka, homo sovieticus, skrzywdziła osobę ludzką, doprowadziła do wytworzenia ludzi moralnie i społecznie przetrąconych.

Nie znaczy to, że zatraceniu uległa natura ludzka, stworzona na wzór i podobieństwo Boga, i że nie można tej krzywdy uleczyć.

Wszystko to razem nie stanowi matematycznej sumy, lecz składa się na całościową zapaść, holistyczną martwicę. Czegoś takiego Kuba nie zaznała od 67 lat.

No i świat dookoła się zmienił. Wenezuela przestała być sponsorem Kuby, którym została po ZSRR. Do amerykańskiej blokady paliwowej dochodzi fakt, że kilka krajów Ameryki Łacińskiej, które były sojusznikami Kuby, skręciło na prawo.

Czasem wydaje się, że dyktatura kubańska trwa w jakimś śmiertelnym skurczu. Nie ma nic do zaproponowania oprócz bezwładnego własnego trwania u władzy. Chyba już nikt na Kubie, w tym nikt z hierarchów dyktatury, nie wierzy, że socjalizm ma jeszcze przyszłość.

– Rzeczywiście, kryzys wewnętrzny i zewnętrzny sprawiają, że reżim dogorywa, ledwo dycha, jak żywy trup. Nic nie ma do zaproponowania, bo komunistycznego totalitaryzmu nie da się zreformować, a on sam nie umie się zmienić. Jak pisała Hanna Arendt, totalitaryzmy noszą w sobie zalążki własnej destrukcji. To wrak na oddziale intensywnej terapii, ale w nieuniknionej terminalnej zapaści.

A jednak próbuje ogłaszać jakieś reformy ekonomiczne, nie ruszając ustroju. Czy państwowy kapitalizm pod kontrolą par-

eprasa.pl d324f0b119



• Ulica w Hawanie 15 lipca br. podczas wielogodzinnej przerwy w dostawie prądu. Wtedy była to trzecia poważna awaria systemu energetycznego w ciągu dziewięciu dni. Takie przerwy trwają nadal

FOT. NORLYS PEREZ /REUTERS, ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

tii komunistycznej, rodem z Chin, jest na Kubie do pomyślenia?
– Owszem, opublikowano 176 konkretnych propozycji zmian w gospodarce. Moim zdaniem to przedśmiertne rzężenie.

Władze sądzą, że można poskładać ustrój Frankensteina, hybrydę z elementami dzikiego kapitalizmu, którego dziś nie ma nigdzie, pod kontrolą państwowej oligarchii.

Przy tym ani słowa o reformach politycznych. Niektórym się wydaje, że jak taka gospodarka się utrwali, to reformy polityczne same przyjdą.

To mrzonka. Żadne inwestycje zagranicznego kapitału nie napłyną, jeśli nie będzie prawnych ram i gwarancji bezpieczeństwa inwestycji, własności prywatnej i prywatnych przedsiębiorstw. To się nie składa na żaden spójny projekt, to jakaś sprzeczna składanka.

Model chiński ani wietnamski, ani putinizm nie pasują do naszego sposobu życia, naszej kultury, naszej wrażliwości. Nie da się ich przeszczepić na wyspę, która 90 mil od swoich brzegów ma ogromne wychodźstwo, diasporę, politycznie zmobilizowaną i z potencjałem gospodarczym wystarczającym do zebrania funduszu inwestycyjnego zdolnego do postawienia na nogi i odbudowy kraju.

Ta emigracja ma silne wpływy w administracji USA. Tam pracuje ponad dziesiątka Amerykanów kubańskiego pochodzenia, których misją jest uwolnienie Kuby.

Długo wydawało się, że społeczeństwo kubańskie było przytłoczone tropikalnym stalinizmem, pogrążone w strachu i beznadziei, rezygnacji i apatii. Tym czasem w lipcu 2021 nastąpiło zbiorowe przebudzenie, bunt. Co z niego dzisiaj się ostało?
– Akurat mieliśmy piątą rocznicę pokojowych, masowych demonstracji, które przeszły przez Kubę 11 lipca 2021. To było jak domino, społeczeństwo połączyło się w internecie i zbuntowało się w całym kraju. Potem przyszły masowe represje i masowy exodus.

Ale zapaść wewnętrzna osiągnęła taką skalę, że nie da się dłużej żyć. Nie ma prądu, wody, zakłady stoją, transport nie jeździ, turyści zniknęli, przekazy pieniężnie od emigrantów nie płyną, skurczyły się misje lekarzy, których reżim wysyłał za granicę, płacąc im grosze, a samemu zarabiając ciężkie dolary.

I sprzeciw społeczny się zmienił. Niezadowolenie i rozgoryczenie jest stałe, systematyczne, niemal codzienne nie tylko w Hawanie, ale praktycznie we wszystkich miastach. Ludzie wykrzykują żądania materialne: „Chcemy prądu, żywności, lekarstw i wody", ale kończą się niezmiennie krzykiem „Wolność!", „Ojczyzna i Życie!" (Patria y Vida), „Demokracja!".

W 2021 roku setki tysięcy Kubańczyków wyszły na ulice bez żadnego przywództwa ani planu. To były protesty żywiołowe, toczące się jak lawina, ale pokojowe i bez konkretnego celu.

Dzisiaj podobne protesty wybuchają prawie codziennie i kierują się pod lokalne siedziby partii komunistycznej. W Moron w prowincji Camaguey tłum wtargnął do siedziby partii i spalił meble. Gdzie indziej do takiej przemocy nie doszło, ale coraz częściej ludzie idą pod budynki zajmowane przez władze.

Na razie to rozproszone protesty lokalne, ale one się kumulują i niewykluczone, że dojdzie do skoordynowanych demonstracji w całym kraju.

Czy fakt, że społeczeństwo kubańskie jest podzielone na mieszkańców na wyspie i wychodźstwo, nie utrudni jego działania, kiedy dojdzie do transformacji demokratycznej, np. wystawienia reprezentacji politycznej?
– Nie uważam, żeby społeczeństwo było podzielone na kraj i emigrację. Wychodźstwo współżyje z mieszkańcami na wyspie, bierze udział w życiu społeczeństwa obywatelskiego. Nie chodzi tylko o protesty, ale i o projekty.

Ośrodek Studiów Convivencia (centroconvivencia.org) od 11 lat organizuje debaty i konferencje na temat odbudowy Kuby w poszczególnych dziedzinach, z udziałem naukowców, wykładowców intelektualistów, artystów, ludzi różnych zawodów i obywateli zarówno z emigracji, jak z wyspy.

Staliśmy się najważniejszym ośrodkiem i organizacją społeczeństwa obywatelskiego przygotowującym kraj do przyszłych przemian. Do tej pracy wciągnęliśmy ludzi z całego spektrum: od lewicy, centrum, po prawicę, i różnych środowisk ideowych: katolików, protestantów, agnostyków, ludzi z elit i dołów społecznych.

Mamy na naszej stronie 20 raportów o odbudowie Kuby. Dotyczą ustroju gospodarczego, konstytucji, ram prawnych, mapy drogowej do demokracji, stopniowej i uporządkowanej transformacji, prawdy i pamięci historycznej, wymiaru sprawiedliwości okresu przejściowego, pojednania narodowego, kultury, edukacji, zdrowia, rolnictwa, środków przekazu, polityki zagranicznej itd.

Zastanawiamy się, jak stawić czoła korupcji, narkobiznesowi i przestępczości zorganizowanej. W przygotowaniu każdego z tych raportów brało udział 50-60 osób.

Inne ugrupowania z emigracji, przede wszystkim w Miami, także się tym zajmują. Potencjał zdolności, talentów, fachowości i myśli strategicznej Kubańczyków gotowych do odbudowania kraju jest wielki i daje nam wiele nadziei.

A jeśli do uporządkowanej transformacji demokratycznej nie dojdzie, to czy możliwy jest nagły upadek dyktatury i gwałtowna rozprawa z oprawcami?
– Nie jestem przekonany, że pokojowa transformacja się nie uda albo nie wchodzi w grę. W Ośrodku Convivencia

bierzemy pod uwagę cztery możliwe wyjścia z obecnego krytycznego położenia. Można je streścić krótko: samolot, wulkan, rozłam władzy i transformacja pokojowa.

Wulkan to wybuch społeczny i upadek reżimu. Już jesteśmy na początku takiego procesu; coraz więcej dymu i pyłu, coraz bardziej grzmi, płomienie, lawa się gotuje. Społeczeństwo się dusi i zmaga.

Samolot to wyjście, jakie Kuba zaznała za wcześniejszych dyktatur: Gerardo Machado w latach 30. XX wieku, który wyjechał z rodziną i pieniędzmi, oraz Fulgencio Batisty, który z rodziną i pieniędzmi uciekł 31 grudnia 1958 roku, otwierając drogę rewolucji komunistycznej.

Trzeci wariant to rozłam we władzy. Coraz wyraźniej widać jego oznaki. Wnuk Raula Castro nagle oświadcza, że może negocjować z administracją Trumpa. Inni dygnitarze nawołują do „zwarcia szeregów".

Niewykluczone że dojdzie do mieszanki wulkanu, samolotu i rozłamu.

My wolelibyśmy pokojową i wynegocjowaną transformację przy okrągłym stole, gdzie spotkają się wszyscy Kubańczycy. Tylko że taka transformacja staje się coraz trudniejsza wobec bezwładności władz, które niczego nie chcą zmienić.

Mówi pan, że komunizm wyrządził Kubańczykom „krzywdę antropologiczną". Jak można ją naprawić?
– To jest sprawa kluczowa dla przyszłości, odnowy i odbudowy Kuby. Wszystkie reformy, których potrzebuje kraj: gospodarcze, polityczne, kulturalne, edukacyjne, są w rękach obywateli, którzy będą je wprowadzać w życie.

Tymczasem podmiot tych przemian jest ranny, poszkodowany. Dlatego priorytetem jest uleczenie obywateli. Tą obywatelską i moralną edukacją zajmujemy się w Pinar del Rio od 30 lat, najpierw w czasopiśmie „Vitral", Ośrodku Kształcenia Obywatelskiego i Religijnego, a teraz w Ośrodku Studiów Convivencia.

Tej antropologicznej rany nie można wyleczyć bez edukacji etycznej i obywatelskiej. Nie da się Kubańczyków uzdrowić bez pomocy rodziny, w której dotąd rodzice mówili dziecku, co może mówić w domu, a co w szkole, co na podwórku, a co w kościele.

Potrzeba udziału organizacji społecznych, szkoły, kościołów, mediów. Bez zniesienia tej wielomowy, maskarady i zakłamania uzdrowienie nie będzie możliwe. Napisałem o tym doktorat na Uniwersytecie im. Francisco de Vitoria w Madrycie.

Wydaliśmy podręcznik etyki obywatelskiej dla wychowawców i uczniów zawierający 14 kursów. Można go ściągnąć z naszej strony internetowej.

W tym procesie ozdrowienia osoby ludzkiej musimy wszyscy wziąć udział. Uleczenie duszy narodu jest największym wyzwaniem Kościoła katolickiego, innych kościołów i całego społeczeństwa.

Pan był członkiem papieskiej rady Iusticia et Pax (Sprawiedliwość i Pokój) za pontyfikatu Jana Pawła II. Jaką rolę ma Kościół katolicki do odegrania w przemianach na Kubie?
– Papież Polak jest bardzo wspominany na Kubie od czasu swojej wizyty w 1998 roku. To był krok historyczny, który otwierał drogę do dzisiejszych przemian na Kubie, bo papież swoim słowem, gestem i charyzmą przekazał nam wtedy program na życie. Na Kubie byli po nim także Benedykt i Franciszek, ale do dziś dnia, kiedy mowa o „wizycie papieża", myśli się o tamtej, Jana Pawła II w 1998 roku.

Po ostatniej mszy na Placu Rewolucji albo Placu Obywateli papież ofiarował mi Biblię. A w 1999 mianował mnie do rady Iustitcia et Pax, w której brałem udział przez osiem lat. To była dla mnie wielka szkoła.

Kościół katolicki może uczynić więcej niż jakakolwiek inna organizacja społeczeństwa obywatelskiego, bo ma na Kubie sieć, która pokrywa cały kraj, najodleglejsze zakątki i wioski, oraz dociera do wszystkich warstwy i grup społecznych.

Po drugie, Kościół niesie przesłanie, by – jak mówił Paweł VI w encyklice „Populorum Progressio" – prowadzić „człowieka z warunków nieludzkich do bardziej ludzkich".

A Jan Paweł II mówił nam: „Wy jesteście i musicie być podmiotami waszej własnej historii, osobistej i narodowej". Zwłaszcza miał na myśli nas, katolików świeckich, którzy musimy być obecni w życiu społecznym. Ja tę obecność uznaję za swoje powołanie.

A Kościół jest ekspertem w sprawach ludzkości i ma wszelkie narzędzia antropologicznego nawrócenia i uzdrowienia oraz promocji człowieka integralnego. ●

Nie da się Kubańczyków uzdrowić bez pomocy rodziny, w której dotąd rodzice mówili dziecku, co może mówić w domu, a co w szkole, co na podwórku a co w kościele



Dagoberto Valdes

• kubański intelektualista katolicki, nieformalny przywódca laikatu, założyciel i redaktor naczelny czasopisma „Vitral" oraz Convivencia przy diecezji Pinar del Rio. Za czasów pontyfikatu Jana Pawła II był członkiem papieskiej rady Iusticia et Pax. Dziś kieruje Centrum Studiów Convivencia. Jest rzecznikiem demokratycznych przemian na Kubie i łącznikiem między kubańską diasporą i Kubańczykami na wyspie.

eprasa.pl d324f0b119

Jesteśmy blisko tabletki na depresję



Gdyby jakiś światły decydent uznał, że depresja to poważny problem, to proszę – nasz kraj ma najlepszą na świecie jednostkę zajmującą się tym zagadnieniem.

Z **PROF. ANDRZEJEM PILCEM,** NEUROFARMAKOLOGIEM
ROZMAWIA **MONIKA REDZISZ**

Według Scholar GPS, platformy analizującej osiągnięcia naukowców z całego świata, Instytut Farmakologii z Krakowa, w którym pan pracuje, znalazł się na pierwszym miejscu na świecie w dziedzinie badań nad antydepresantami!
– Sam nie mogłem w to uwierzyć.

Można tam znaleźć profile naukowe ponad 30 mln badaczy na całym świecie oraz 55 tys. instytucji naukowych. Za nami jest Oxford, Yale, Harvard, National Institute of Mental Health i prawie sto innych ośrodków.

Jesteśmy na pierwszym miejscu w trzech zagadnieniach badawczych: antydepresantach, receptorach asparaginowych i antagonistach receptorów NMDA, czyli przede wszystkim ketaminie.

Czyżbyście wynaleźli nowy lek na depresję, tylko przeciętni zjadacze chleba jeszcze o tym nie wiedzą?
– Jesteśmy blisko!

Ale myślę, że pierwsze miejsce na podium zawdzięczamy również temu, że badaniami nad antydepresantami zajmujemy się już naprawdę długo.

Ja zacząłem pracę w Instytucie w 1979 roku i już wtedy z profesorem Jerzym Vetulanim prowadziliśmy eksperymenty nad rozmaitego rodzaju antydepresantami, za co w roku 1982 profesor dostał Nagrodę Fundacji Anna-Monika przyznawaną za szczególne osiągnięcia badawcze w zakresie biologicznych przyczyn depresji.

Badania nad depresją rozwijają się od kilkunastu lat bardzo intensywnie na świecie, bo bardzo potrzebujemy nowych, szybko działających leków.

Depresja jest ogromnym, narastającym problemem, cała masa ludzi na nią cierpi, a klasyczne antydepresanty działają tylko w 50-60 proc. przypadków i efekty czuć dopiero po kilku tygodniach leczenia. Na pozostałych pacjentów nie działają w ogóle.

Jeśli placebo działa w 30-40 proc. przypadków, bo wiara, jak to się mówi, czyni czasem cuda, to różnica pomiędzy placebo a klasycznymi antydepresantami nie jest wcale taka duża...

Ale o antydepresyjnym działaniu ketaminy wiadomo już przecież od dawna; także w Polsce stosuje się ją do leczenia depresji lekoopornej.
– To prawda. Ketamina, substancja syntetyzowana chemicznie, to bardzo silnie działający halucynogen. W grupie halucynogenów mamy całą masę aktywnych substancji: dysocjantów, czyli na przykład ketaminę, deliriantów, czyli na przykład skopolaminę, czy psychodelików.

One wszystkie wykazują silne i szybkie działanie przeciwdepresyjne. Ketamina jest blokerem receptora NMDA dla glutaminianu. Glutaminian to pobudzający neuroprzekaźnik; około 60 proc. neuronów naszego mózgu używa go jako neuroprzekaźnika.

Ketamina, która jest w tej chwili dostępna na naszym rynku, to esketamina. Działa bardzo szybko – efekt przeciwdepresyjny pojawia się już po 90 minutach po podaniu i utrzymuje przez tydzień. Wystarczą dwie dawki w tygodniu w pierwszym miesiącu, potem raz w tygodniu w kolejnym, żeby wyleczyć człowieka z depresji lekoopornej.

Oczywiście nie jest to stuprocentowa skuteczność, ale jest bez porównania wyższa i szybsza niż klasycz-

eprasa.pl d324f0b119



FOT. GOAMI / SHUTTERSTOCK

nych antydepresantów. Tyle tylko, że koszty leczenia są bardzo wysokie, rzędu 40 tys. zł.

Czy takie leczenie nie powinno być refundowane przez NFZ? Depresja jest ogromnym problemem społecznym; w Polsce choruje półtora miliona osób. Potrzebują wsparcia, wypadają z rynku pracy. To są kolosalne koszty.
– Myślę, że tak się stanie. Toczą się rozmowy na temat refundacji w przypadkach depresji lekoopornych. Wszystkie nowe leki są niestety bardzo drogie. Wprowadzenie nowego leku na rynek wiąże się z ogromnymi kosztami. W związku z tym w okresie, kiedy lek jest opatentowany, firma wycenia go tak, żeby zwróciły jej się koszty, które poniosła. Dopiero kiedy wygasa patent, na rynku pojawiają się preparaty o podobnym działaniu i cena spada wielokrotnie.

Tak będzie i w tym przypadku. Wkrótce nie będzie kosztować 40 tys., tylko 4. Poza tym być może niedługo będziemy mieć nowy lek...

Jaki?
– Z jednej strony już na początku lat 90. wykazaliśmy – jako pierwsi na świecie – że również związki działające na receptory metabotropowe dla glutaminianu dają efekt przeciwdepresyjny i przeciwlękowy.

Z drugiej strony wiadomo, że ketamina ma silne działanie przeciwdepresyjne, ale wywołuje potężne zaburzenia świadomości – aż do całkowitego odpłynięcia, kompletnej nieświadomości. To potencjalnie bardzo niebezpieczna substancja; gdyby dosypać komuś po kryjomu trochę takiego proszku do szklanki, można by zrobić z tą osobą wszystko.

Dlatego nie mogłaby być sprzedawana w formie tabletek w aptece jak wiele leków; musi być podawana pod ścisłą kontrolą lekarza, pielęgniarki, psychoterapeuty.

Niedawno odkryliśmy, że kiedy połączymy ją z naszymi związkami, które działają na receptory metabotropowe dla glutaminianu, to jej dawkę można obniżyć dziesięciokrotnie. Efekt przeciwdepresyjny jest wciąż znakomity, a tak mała dawka halucynogenu prawdopodobnie nie wywoła żadnych objawów niepożądanych – pacjent zachowa świadomość, będzie przytomny, nie będzie miał zaburzeń poznawczych.

W związku z tym prawdopodobnie będzie można stworzyć lek w tabletkach – na receptę, ale dostępny w aptekach. Taka kombinacja może być przyszłością leczenia depresji.

Wspaniale!
– Ale od odkrycia naukowego do wprowadzenia na rynek nowego leku droga jest daleka. Potrzebujemy pieniędzy na badania. Gdyby jakiś światły i dysponujący pieniędzmi decydent uznał, że depresja to poważny problem, to proszę – nasz kraj ma najlepszą na świecie jednostkę zajmującą się tym zagadnieniem. Trzeba ją tylko dobrze finansować.

Brakuje państwu środków na badania?
– Instytut jest w stosunkowo niezłej sytuacji finansowej, ale nie mamy 100 mln na jeden program badawczy, a tego rzędu sumy są potrzebne, żeby doprowadzić do powstania nowego, skutecznego leku na depresję.

Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdybyśmy stworzyli taki lek! Gdyby zażyło go 100 mln ludzi na świecie, płacąc za kurację po tysiąc złotych, dałoby to nam 100 mld przychodu rocznie. Pomnożone przez 20 lat, bo tyle trwa ochrona patentowa? Zyski byłyby olbrzymie.

Niestety wygląda to tak, jakby politycy niczego nie rozumieli – jakby tam na górze panowała kompletna nieświadomość tego, jak Polska mogłaby funkcjonować, gdyby nasza nauka była dobrze finansowana. Liczba grantów spada, już tylko 5 proc. badaczy dostaje granty na swoje badania.

Naukowcy zabiegają, żeby 3 proc. PKP było przeznaczone na naukę. Gdyby na naukę dać 5 proc. – tyle, ile na wojsko, zyski mogłyby być tak wysokie, że finansowanie wojska przestałoby być jakimkolwiek problemem.

Polska mogłaby się stać nadwiślańską równiną krzemową i wzbogacać siebie i całą Europę. Ale politycy musieliby przestać kierować się chwilą i zacząć myśleć perspektywicznie.

Ja mam taką teorię, że każdy, kto chce kandydować do parlamentu, powinien przejść obowiązkową kurację psychodelikami. Zmieniłoby się jego podejście do polityki. Chciałby działać dla dobra ludzkości, a nie tylko siebie samego czy swojej partii.

Dlaczego? Co nam robią psychodeliki?
– Psychodeliki uruchamiają procesy neurogenezy: tworzenie nowych połączeń synaptycznych, aktywację sieci neuronalnych, które niekoniecznie się ze sobą łączą na co dzień. Nasz mózg jest bardziej złożony niż kosmos – to 10 do 29 potęgi rozmaitych połączeń, 10 tys. razy więcej niż gwiazd we wszechświecie! Można powiedzieć, że w mózgu każdego z nas siedzi 10 tys. wszechświatów. Psychodelik może spowodować, że nagle przeniesiemy się do innego mózgowego wszechświata.

Brzmi jak coś, co przydałoby się każdemu z nas...
– To bardzo pożyteczne substancje, które mogłyby i powinny mieć zastosowanie w leczeniu wielu schorzeń: depresji, stanów lękowych, stresu posttraumatycznego, uzależnień, w zapobieganiu samobójstwom. Rocznie zabija się w Polsce 5 tys. osób – dwa razy więcej, niż ginie w wypadkach samochodowych. A przecież taka osoba najczęściej cierpi na depresję.

Gdyby dostała psychodelik, najprawdopodobniej uaktywniłyby się nowe sieci neuronalne i zrozumiałaby, że problemy, z którymi się mierzy, nie są wystarczającym powodem, żeby odbierać sobie życie. A może nawet – że w ogóle są nieistotne?

Ale są uważane za substancje niebezpieczne.
– W Polsce zaliczane są do grupy I-P, są zatem całkowicie wyłączone z obrotu, mogą być używane jedynie w celach badawczych. Tak owocują lata przedstawiania ludziom fałszywych informacji. Ale to się zmienia. Coraz głośniej mówi się także o tym, że psychodeliki są najskuteczniejszym lekarstwem na bardzo silne bóle.

Ja po raz pierwszy zetknąłem się z nimi w dzieciństwie. Mój ojczym, lekarz, stracił obie nogi i cierpiał na straszne bóle fantomowe – jedne z najsilniejszych obok bólów klasterowych, jakie zna medycyna. Pomagało mu LSD, które w latach 50. i 60. było dostępne w tabletkach w aptekach. Zniknęło z rynku dopiero w latach 70. – po wprowadzeniu zakazu.

Ma pan na myśli decyzję prezydenta Nixona, który psychodeliki postawił w jednym rzędzie z twardymi narkotykami i zdelegalizował?
– Tak, w roku 1971 wszystkie substancje halucynogenne zostały wpisane na listę środków niebezpiecznych, trujących, uzależniających. Badania kliniczne stanęły na 30 lat. A przecież już wtedy, w latach 60., wiadomo było, że są to związki raczej nieszkodliwe. To była epoka hipisowska, brało je mnóstwo ludzi.

David Nutt, angielski psychofarmakolog, uważa psylocybinę za najmniej szkodliwy z narkotyków. Najbardziej niebezpiecznym i uzależniającym narkotykiem jest bez wątpienia alkohol dostępny na każdym rogu. Podobnie jak tytoń, który zabija w Polsce 70 tys. ludzi rocznie. Podczas pandemii zmarło 120 tys. osób; od czasu jej zakończenia, przez ostatnie 5 lat, tytoń zabił już 350 tys. osób.

Silnie uzależniające i potencjalnie bardzo niebezpieczne są opioidy – w wyniku ich przedawkowania następuje wyłączenie ośrodka oddychania i śmierć. Tymczasem psychodeliki nie uzależniają w ogóle, a nawet więcej – pomagają wyzwolić się z innych uzależnień.

Rozumiem, że w Polsce badania nad nimi też stanęły? Czy państwo w Instytucie Farmakologii mogli się zajmować tym obszarem?
– Możliwe były tylko badania na zwierzętach. W 1980 r. opublikowaliśmy na przykład z profesorem Vetulanim pracę na temat LSD i elektrowstrząsów. Elektrowstrząsy były i na razie wciąż są najskuteczniejszą metodą leczenia ciężkich form depresji; dopiero psychodeliki mogą się okazać lepsze. Użyliśmy wtedy LSD do badań nad receptorami serotoninowymi typu 5-HT2A. Stwierdziliśmy, że kiedy stosuje się elektrowstrząsy, w mózgu rośnie ich liczba. To właśnie na te receptory działają psychodeliki. Okazuje się, że nasz mózg produkuje endogenne psychodeliki. Być może dlatego elektrowstrząsy są tak skuteczne w leczeniu depresji.

Silnie uzależniające i niebezpieczne są opioidy. Tymczasem psychodeliki nie uzależniają w ogóle, a nawet pomagają wyzwolić się z innych uzależnień

eprasa.pl d324f0b119

Na czym dokładnie polega działanie przeciwdepresyjne psychodelików?
– Z jednej strony pobudzają receptory serotoninowe 5HT2A, z drugiej – powodują uwalnianie kwasu glutaminowego. Najpopularniejszym wytłumaczeniem działania psychodelików jest to pierwsze – stymulacja receptorów serotoninowych typu 5HT2A.

Serotonina nazywana jest transmiterem szczęścia, ale wiele antydepresantów działa na ten układ i robi to niezbyt skutecznie. Natomiast receptory serotoninowe typu 5HT2A umiejscowione są na neuronach glutaminianowych.

Glutaminian, jak mówiłem, to transmiter, który tworzy 60 proc. naszego mózgu. Pobudzenie receptorów 5HT2A na neuronach glutaminianowych powoduje uwalnianie kwasu glutaminowego i to także ma działanie przeciwdepresyjne. Prowadzimy właśnie w tej chwili nad tym badania i mamy dużo pozytywnych wyników.

Jak to się stało, że ketamina czy skopolamina nie wpadły do tego samego worka co psychodeliki i nie zostały zakazane? Działają przecież podobnie.
– Ketamina tym się różniła od psychodelików, że można było podawać ją jako środek znieczulający. Było inne zastosowanie dla tego związku. Podobnie skopolamina, powszechnie stosowana jako lek przeciwskurczowy w formie niepenetrującej do mózgu. Działanie przeciwdepresyjne ma inna jej forma, która dostaje się do mózgu.

Ketaminę jako środek znieczulający ogólnie odkrył w 1964 r. amerykański naukowiec Edward Domino, z pochodzenia Polak zresztą. To on jako pierwszy podał ketaminę człowiekowi. Działała bardzo szybko, nie wymagała intubacji czy podawania tlenu, można było ją podawać przy zabiegach operacyjnych w trudnych warunkach, na przykład na polu walki.

Już pierwsi pacjenci Domina zauważyli, że oprócz działania znieczulającego ketamina działa na nich także antydepresyjnie. Depresja znikała natychmiast, po jednym podaniu. Ale Domino uważał ją wówczas za związek niebezpieczny, wywołujący efekty psychotyczne, schizofrenopodobne.

Po latach powiedział, że gdyby wtedy, w '64 czy '65 r., posłuchał swoich pacjentów, historia leczenia depresji potoczyłaby się zapewne zupełnie inaczej. A tak musieliśmy czekać prawie 40 lat, aż po raz pierwszy podano ją pacjentowi jako lek przeciwdepresyjny.


FOT. KONRAD KOZŁOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ja mam taką teorię, że każdy, kto chce kandydować do parlamentu, powinien przejść obowiązkową kurację psychodelikami

Kiedy?
– W 1990 r. Phil Skolnick, amerykański neurobiolog, wraz z Ramonem Trullasem z Barcelony opublikowali przełomową pracę, udowadniając, że antagoniści receptora NMDA działają u zwierząt przeciwdepresyjnie. Skolnick jest z nami zaprzyjaźniony, bywał wielokrotnie u nas w Instytucie, a my bywaliśmy u niego w laboratorium.

Potem kolejne badania, w tym także prowadzony w naszym Instytucie, to potwierdzały. W roku 2000 w Stanach po raz pierwszy podano ją pacjentowi jako lek przeciwdepresyjny. Podobnie skopolamina, którą jako lek przeciwdepresyjny zaczęto podawać w latach 2005-10.

A psylocybina? Jest już w wielu krajach stosowana w leczeniu depresji.
– Tak, jest podawana pacjentom w Australii, Nowej Zelandii, Holandii, Szwajcarii i Portugalii. Ma znakomite działanie przeciwdepresyjne, choć musi być podawana pod kontrolą, bo istnieje obawa, że może wywołać atak psychozy u osób ze skłonnością schizoidalną.

Kiedy będzie to możliwe u nas?
– W najbliższym czasie także w Polsce ruszają badania kliniczne. Wkrótce będziemy mieć nasze własne wyniki.

Czy jest szansa, że państwa kombinacje związków umożliwią podawanie mniejszych i bezpieczniejszych dawek psylocybiny?
– To kwestia przyszłości.

Bo z drugiej strony ludzie po kryjomu eksperymentują. Profesor Paweł Holas szacował w 2022 r., że przeszło 2 mln Polaków spróbowały jakiejś psychodelicznej substancji.
– Oczywiście, bo to są substancje występujące naturalnie i stosowane od tysiącleci. Psylocybina występuje w grzybkach, także tych rosnących w Polsce – *Psilocybe semilanceata,* łysiczce lancetowatej. Ludzie sobie je po prostu zbierają i dzielą się nawzajem informacjami, ile i jak należy ich zażyć, ale z całą pewnością bezpieczniejsze byłoby podawanie psylocybiny pod kontrolą, w czystej chemicznej postaci, w odpowiedniej dawce – 25 mg dla człowieka ważącego 70 kg.

Dzisiaj wiemy na ten temat dużo więcej niż w latach 60. Mamy coraz lepsze narzędzia do badania naszego mózgu. Wiemy, na jakie receptory działają te substancje, jakie dawki są bezpieczne, jakie warunki muszą być spełnione. Ludzie zaczną się stopniowo dowiadywać, że psylocybina jest bardzo pożytecznym, skutecznym lekiem przeciwdepresyjnym i przeciwuzależniającym. Stygma trucizny zacznie powoli zanikać. Szala zacznie się przechylać w drugą stronę – dostępności, wręcz konieczności zastosowania tych substancji w leczeniu wielu schorzeń.

Dla mnie to jest oczywista oczywistość, ale żeby to przeniknęło do świadomości ogółu, musi być nagłaśniane: trzeba o tym mówić podczas konferencji, robić o tym programy w telewizji, pisać w gazetach. ●

*Prof. Andrzej Pilc

• Pracuje w Zakładzie Neurobiologii Instytutu Farmakologii im. Jerzego Maja Polskiej Akademii Nauk. Zajmuje się neuro- i psychofarmakologią, badając podstawy i metody leczenia zaburzeń psychicznych, ze szczególnym uwzględnieniem receptorów metabotropowych glutaminianu (mGlu) oraz interakcjami tych receptorów z lekami halucynogennymi. Do jego najważniejszych osiągnięć naukowych należą między innymi odkrycie regulacji ekspresji receptorów GABA B przez leki przeciwdepresyjne, opis działania przeciwdepresyjnego blokerów receptorów mGlu5 lub mGlu2/3 oraz pierwsze badania nad psychotropowym działaniem ligandów receptorów mGlu grupy III. Zajmuje się też przeciwdepresyjnym działaniem halucynogenów i ich interakcjami z receptorami dla glutaminianu. Opublikował ponad 300 prac, cytowanych ponad 15 500 razy, z indeksem H = 71 (wg ScholarGPS). Jest w gronie 3 najczęściej cytowanych polskich farmakologów i znajduje się w grupie 2 proc. najczęściej cytowanych naukowców na świecie według rankingu Uniwersytetu Stanforda.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W PIĄTEK „WYBORCZA" NA DŁUGI WEEKEND



1 RP

eprasa.pl d324f0b119

CENTRALA LITERATURY



• Gala nagrody Nike 2025. Eliza Kącka nagrodzona – przez jury i przez czytelników – za książkę „Wczoraj byłaś zła na zielono”

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nike została ufundowana jako nagroda literacka, ale pomyślana była jako instytucja jednocząca.

Z **PROF. PRZEMYSŁAWEM CZAPLIŃSKIM,** LITERATUROZNAWCĄ
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Przed nami już 30. edycja Nike. Byłeś w jury tej nagrody 11 razy. Jak zmieniały się kryteria wyboru nagradzanej książki?
– Wydaje mi się, że od początku istnienia Nike najważniejsze pozostają trzy kryteria: wartość poznawcza, antydyskryminacyjność i literackość. W kontekście tych kryteriów największe szanse mają dzieła, w których wartość literacka – oryginalność, styl – łączy się z jedną z dwóch pozostałych.

Może zaczniemy nie od kryterium literackiego, ale od wartości poznawczej?
– Akurat tutaj nie możemy tego rozdzielać, bo pytasz o serce Nagrody Nike: połączenie wartości poznawczej z literacką stawia w pozycji uprzywilejowanej prozę, a zwłaszcza powieść realistyczną o szerokich horyzontach. Nieprzypadkowo pierwsza nagroda przypadła powieści Wiesława Myśliwskiego „Widnokrąg”.

Ale kryterium poznawcze sprzyja także literaturze o nastawieniu dokumentalnym – autobiografiom, wspomnieniom, reportażom. Czyli książkom, które wyjaśniają świat.

Związek wartości poznawczej z literackością to najsilniejsze i najtrwalej obecne kryterium w obradach jury. Jeśli obejmiemy cały okres istnienia Nike, zauważymy jednak pewną zmianę: mniej więcej od pierwszej dekady XXI wieku jury docenia wartość literacką gatunków niefikcyjnych. Wybory czytelników niemal od początku zacierały granicę między gatunkami fikcyjnymi i niefikcyjnymi – stąd już w drugim roku istnienia nagroda czytelników przypadła „Mitologii” Zygmunta Kubiaka. Jury natomiast nieco opierało się temu zrównaniu.

Stąd chyba dość późne wpuszczenie reportażu. Pierwszym zwycięskim reportażem była książka Cezarego Łazarewicza „Żeby nie było śladów” w 2017 roku. Cztery lata później, w roku 2021, reportaż stanowił ponad połowę finałowej siódemki! Od 2014 roku, kiedy nagrodzono autobiografię polityczną „Zajeździmy kobyłę historii” Modzelewskiego, książki niefikcyjne zwyciężają mniej więcej co drugi, co trzeci rok: Modzelewski, Łazarewicz, Szczygieł, Rokita, Kącka…

Drugie kryterium?
– Drugie kryterium ma charakter światopoglądowy. Jakiś światopogląd w ocenianiu literatury zawsze jest obecny, więc działa we wszystkich gremiach przyznających nagrody.

Czy to nie grozi stronniczością?
– Uprzedzenia to coś mniej niż światopogląd. Ale nawet jeśli jest w tym problem, to mniejszy niż udawanie, że jury nie ma przekonań. Jurorzy Nike radzili sobie z tym – mówię o obradach, w których brałem udział – ujawniając istnienie takich preferencji i włączając je do rozmowy, czyli poddając krytycznej analizie ich wpływ na wybór poszczególnych książek.

Gdzie dowód, że kryterium antydyskryminacyjne działa?
– Dowodem na to, że Nike operuje w ramach ogólnie pojętego światopoglądu emancypacyjnego, jest nieobecność książek dyskryminacyjnych.

Do 20-tki nie wejdzie książka „fobiczna” jakiegokolwiek rodzaju – a więc antyfeministyczna, homofobiczna, antysemicka, faszystowska, rasistowska czy nacjonalistyczna. Szeroko rozumiana emancypacyjność niczego książkom nie gwarantuje, ale naruszenie tej normy je wyklucza.

Szanse rosną, jeśli autorowi udaje się fortunnie połączyć postawę antydyskryminacyjną z wartością literacką.

W przeliczeniu na awangardowe pojęcia oznacza to, że jury Nike wysoko ceni dzieła,

eprasa.pl d324f0b119

które potrafią być równocześnie zaangażowane i autonomiczne.

Dawniej były to ogień i woda, w literaturze dzisiejszej obie wartości nie wykluczają się już tak ostro.

Dzieła, w których pojawia się wyjątkowe połączenie tych wartości, trafiają do finału. Stąd wśród zwycięskich dzieł są książki dotyczące emancypacji chłopskiej, kobiecej, żydowskiej, dziecięcej, regionalnej – od Myśliwskiego, poprzez Olczak-Ronikier, Kuczoka, Masłowską i Tokarczuk, aż po Rokitę i Kącką. Kryją się w tym liczne różnice i problemy, więc historię Nike można by opowiedzieć właśnie jako dzieje rosnących kłopotów z emancypacją.

Przed nami trzecie kryterium – literackość.

– Sprzyja ono książkom, w których indywidualne przedstawienie świata opiera się na jednostkowym stylu. Stąd np. zwycięstwa książek bardzo niepowieściowych – poezji Barańczaka i Tkaczyszyna-Dyckiego, poematu prozą Bronki Nowickiej czy esejów Marka Bieńczyka.

Czy te kryteria działają razem? Nie ma między nimi napięć?

– Najsilniej przeciwstawia się temu wszystkiemu autonomia – bo ma prawo lekceważyć panoramiczność czy emancypację. Ale napięcia między poszczególnymi wartościami są nieuniknione. Ideałem byłaby więc książka nie tyle spełniająca wszystkie trzy kryteria, ile je problematyzująca. Byłaby to książka, która wyjaśnia świat, ale aktywizuje zmysł nieufności w czytelniku; ma charakter emancypacyjny, a zarazem osłabia działanie ogólnych kategorii (chłopstwo, kobiety, Żydzi...); jest autonomiczna, ale nie fetyszyzuje stylu.

Pojawiła się taka?

– Raczej nie. Byłaby to jakaś niezwykła hybryda łącząca niepoprawny realizm Masłowskiej z ambiwalentnym zaangażowaniem Mariana Pilota i poetyckością Tkaczyszyna-Dyckiego... Nawet jednak jeśli taka książka powstanie, jurorzy i tak będą toczyli o nią spór. Na argumenty i interpretacje.

Który moment podczas obrad jest najważniejszy?

– Wybór „dwudziestki". To jest też najpiękniejszy moment obrad – moment, gdy Nike jeszcze się waha. Dzięki zestawieniu 20 książek czytelnik otrzymuje stosunkowo szeroki wgląd w dorobek minionego roku. Może konfrontować ten spis z własnymi lekturami, wytknąć jurorom nieobecność jakiegoś ważnego dzieła albo uzupełnić własne braki.

„Dwudziestki" z kolejnych lat pokazują też, że jury usiłuje stworzyć swoisty balans międzygatunkowy. Na tym etapie literatura jest silniejsza od konkurencji. Potem zaczyna się rozważanie, która z książek jest najlepsza. Która przejdzie do historii.

Gdy przyjrzymy się liście nagrodzonych, wydaje mi się, że czasem udaje się takie książki nagrodzić. Myślę choćby o „Księgach Jakubowych" Tokarczuk czy „Widnokręgu" Myśliwskiego. Ale są też książki, jak choćby „Kajś" Zbigniewa Rokity czy „Baśń o wężowym sercu..." Radka Raka, które za jakiś czas mogą okazać się doraźne. Albo już, jak „Nakarmić kamień" Bronki Nowickiej, takimi się okazały.

– Wszystkie nagrody przyznawane za „książkę roku" mają ten sam problem co wybory Miss Świata. Jurorzy mogą mieć w pamięci Wenus z Milo, ale konfrontują się z kandydatkami, które stanęły do konkursu.

Na każdym wyborze odciska się pieczęć roczna. Gwarancji nieśmiertelności w kulturze od dawna już nie ma.

W 1998 roku Nike otrzymał Czesław Miłosz za „Pieska przydrożnego". Był to moment, gdy w polskiej literaturze wznawiano i odnawiano wspaniałą tradycję sylwy. „Piesek..." to zbiór zapisków, notatek czynionych przez Miłosza od czasu do czasu. Nawiązuje on w nim do tradycji swobodnego pisania, w której mieszczą się między innymi Konwicki i Brandys. Czy to jest książka wciąż dzisiaj czytana? Niekoniecznie.



FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Przemysław Czapliński: Miarą trafności Nike jest to, że większość nagrodzonych książek została w pamięci czytelniczej, w nowych odczytaniach, adaptacjach scenicznych bądź filmowych

Miarą trafności Nike jest chyba to, że większość nagrodzonych książek jednak pozostała – w pamięci czytelniczej, w nowych odczytaniach, w adaptacjach scenicznych bądź filmowych.

Wydaje mi się, że do historii przejdzie Nike dla Elizy Kąckiej za „Wczoraj byłaś zła na zielono". To, jak wiele uwagi poświęcono tej książce po przyznaniu jej Nike, było niezwykłe. Gdy „Wczoraj..." się ukazała, chyba nikt nie myślał o takim scenariusza. Moim zdaniem świadczy to o tym, że choć przez 30 lat śmierć Nike ogłasza się co dwa lata, nagroda wciąż żyje i potrafi elektryzować.

– Nic tak nie pomaga żywotności nagrody, jak ogłaszanie jej śmierci. Rzeczywiście, książka Kąckiej w nietuzinkowy sposób łączy kilka bardzo istotnych aspektów i problemów polskiej kultury ostatnich lat.

Proszę mi wybaczyć krótki wykład historycznoliteracki, ale...

W latach 90. polska literatura intensywnie dobierała się do rodziny. Mam tu na myśli „Absolutną amnezję" Izabeli Filipiak, „Tabu" i „Obciach" Kingi Dunin, „Pannę Nikt" Tomka Tryzny, „Siostrę" Małgorzaty Saramonowicz, książki Małgorzaty Holender, Hanny Samson...

Ukazana w tych książkach polska rodzina w jej tradycyjnym kształcie okazywała się nie do zaakceptowania. Socjologicznie upraszczając: proza rozebrała rodzinę na części pierwsze. W rezultacie najpierw została zdenaturalizowana Matka, czyli figura fetyszyzowana w kulturze polskiej. Proza mówiła, że nie istnieją naturalne predyspozycje do zachodzenia w ciążę, rodzenia i wychowywania dzieci. Polska kultura stworzyła taki wizerunek, a społeczeństwo wychowuje dziewczynki do posłuszeństwa wobec tego wzorca. Ale konieczność wychowywania dowodzi, że matczyność ma charakter kulturowy, a nie naturalny.

Denaturalizacja stała się warunkiem uspołecznienia i uczłowieczenia funkcji matki.

A ojcowie?

– Delegitymizacja figury Ojca postępowała w prozie równolegle.

Polegało to przede wszystkim na rozwiązywaniu zagadki: dlaczego ojcowie wychowani przez polską kulturę tak bardzo nie potrafią uczestniczyć w wychowaniu swoich dzieci?

Fabularne śledztwo prowadziło do odsłonięcia braku kulturowych wzorców bycia dobrym tatą. Polska tradycja do połowy XX wieku przygotowywała ojców do walki albo do wymyślania szklanych domów, ale nie do przewijania dziecka czy nocnego karmienia. Dlatego ojcowie potrafili rozkazywać swoim dzieciom, nie potrafili natomiast być z nimi – opiekować się nimi, troszczyć się o nie, szanować je, bawić się z nimi. A skoro nie potrafili, izolowali się od życia rodzinnego albo, przymuszeni do udziału w wychowywaniu dziecka, stosowali przemoc.

Tę fabułę w wersji najpełniejszej stworzył Wojciech Kuczok w powieści „Gnój", doprowadzając kompromitację Ojca do końca.

Od tego poziomu zero zaczęła się odbudowa. I stała się rzecz podwójnie niezwykła: po pierwsze, pojawiły się książki przedstawiające nowe wiązania rodzinne. Po drugie, odbudowę zaczęto od zmarłych.

Pamiętamy takie dzieła, jak „Kato tata" Halszki Opfer, „Bezmatek" Miry Marcinów, „Kochałam, kiedy odeszła" Anny Augustyniak i „Rzeczy, których nie wyrzuciłem" Marcina Wichy, laureata Nike w 2018 roku. I jeszcze „Jak nie zabiłem swojego ojca" Mateusza Pakuły, „"Król Warmii i Saturna" Joanny Wilengowskiej. I dziesiątki innych.

Chodziło w tych książkach nie o proste pożegnanie, lecz o dopełnienie rozmowy – zrozumienie roli, którą rodzice odegrali w życiu dzieci, rozliczenie się z nimi, obrysowanie pustki.

W tym „wiązaniu przez zmarłych" było coś fascynującego. Ale też i logicznego.

Nie jesteśmy przecież w stanie stworzyć dobrej więzi z żywymi, jeśli mamy niezałatwione sprawy z naszymi przodkami.

To wariant obrzędu zadusznego: trzeba zapytać duchy, czego od nas chcą, ale trzeba też powiedzieć duchom, gdzie przebiega granica ich żądań.

W książce Kąckiej na pierwszym planie są samotna matka i jej córka: brak ojca, brak starszego pokolenia, słabo obecne są również instytucje pomocowe. To faktycznie rodzina po kulturowym przenicowaniu. Nie ma tu jednak rozmowy ze zmarłymi, więc więź powstaje inaczej.

– Kącka robi następny krok. Wiązanie rodzinne tworzy od strony tego, co atypowe.

Za sprawą książki, która jest opowieścią, esejem i autobiografią, widzimy, że najtrudniejsze wyzwanie rodzinne ma charakter komunikacyjny. Wyzwanie stwarza nie ten, kto mówi i myśli tak jak my, ani ten, kto ma poglądy odmienne od naszych, lecz ten, kto ma kłopoty komunikacyjne. Kącka opowiada więc o życiu w kłopotach, ale nie robi tego triumfalistycznie. Książka nie jest opatrzona happy endem, bo trud wiązania niemal każdego dnia trzeba podejmować od nowa.

Istotnym wątkiem w książce jest też praca nad językiem.

Książka Kąckiej mówi, że język jest zawodny, a zarazem, że nie ma wyjścia poza jego granice. Kluczowe dla więzi rodzinnej jest stworzenie – choćby cząstkowego – języka wspólnego. Problem polega na tym, że idiom rodzinny wymaga zakłócenia systemu językowego i częściowej wyprowadzki z systemu społecznego. Związek między nimi polega na tym, że język wpływa na społeczne postrzeganie różnicy między zdrowiem a chorobą, między tym, co normalne, a tym, co nienormalne.

Autorka opowiedziała więc konkretną historię, zachowała suwerenność, utrzymała opowieść w postaci niedomkniętej, a jednocześnie opatrzyła całość refleksją językową wbudowaną w codzienność. Z tych powodów książka Kąckiej stała się tak ważna dla wielu czytelników. Nawet jeśli mamy inne problemy, chcielibyśmy o nich z równą niezależnością myśleć i opowiadać.

W 1997 roku wszedłeś w skład pierwszej kapituły przyznającej Nagrodę Literacką „Nike". Jak było za pierwszej Nike?

– Wspaniale! Nagroda została ogłoszona w 1996 roku, a po raz pierwszy przyznano ją w 1997 roku. W skład pierwszego jury wchodzili Maria Janion, Ryszard Kapuściński, Piotr Bratkowski, Stefan Chwin, Henryk Samsonowicz, Stanisław Bereś i Józef Tischner.

Obrady przekształcały się w seminaria. Wszyscy byli sumiennie przygotowani i przychodzili na obrady z własnymi listami, preferencjami oraz mocnymi argumentami. Maria Janion przygotowywała właściwie mikrowykłady na temat książek, o których rozmawialiśmy. Żeby uczestniczyć w tych sporach, trzeba było mieć siłę przekonywania i pewność co do swoich sądów.

Zgodnie z regulaminem obrady toczyły się w dniu ogłoszenia werdyktu do ostatniej chwili. Jeszcze dwie godziny przed galą trwał spór. Podczas pierwszych obrad do samego końca spierali się ze sobą zwolennicy „Widnokręgu" Wiesława Myśliwskiego i „Zawsze fragment" Tadeusza Różewicza.

Obradowaliśmy niemal do ostatniej chwili, więc przewodniczący jury, Jan Błoński, miał bardzo mało czasu na napisanie laudacji. Poradził sobie znakomicie, jakby miał przemówienie już częściowo ułożone w głowie. Wynikało to pewnie stąd, że powieść Myśliwskiego spełniała jego oczekiwanie dotyczące utworu realistycznego – panoramy prowincjonalnej Polski w okresie powojennym.

eprasa.pl d324f0b119

Kiedy Błoński wygłaszał laudację, uświadomiłem sobie niezwykłość sytuacji: w Pałacu na Wodzie w Łazienkach Królewskich, gdzie odbywała się gala, obecni byli prezydent państwa, marszałek Sejmu, marszałek Senatu, kilku ministrów, parlamentarzyści, intelektualiści, przedstawiciele większości mediów. Gdyby ktoś zablokował Pałac, zatrzymując ludzi, którzy się tam zgromadzili, sparaliżowałby państwo.

Dziś gala Nike odbywa się w Bibliotece Narodowej w obecności rektora UW i kilku stacji telewizyjnych. To pozwala dostrzec różnicę między rolą odgrywaną przez Nike w latach 90. a tą, którą odgrywa dziś.

Nike została ufundowana jako nagroda literacka, ale pomyślana była jako instytucja jednocząca.

Dzięki jej działaniu literatura miała stać się płaszczyzną prowadzenia i rozstrzygania najważniejszych sporów, a nagroda miała wskazać dzieło, które przekroczyło zróżnicowane i skonfliktowane narracje społeczne. Dziś znaczna część kultury jest adresowana do poróżnionych grup społecznych, więc aktywność kulturowa służy praktykowaniu tego, co niewspólne.

W tej sytuacji Nike powinna chyba wymyślić się na nowo.

Podczas pierwszych obrad jury miałeś 35 lat. Przy całym szacunku dla tego, kim już wtedy byłeś, ciekawi mnie, jak odnalazłeś się obok takich gwiazd jak Janion, Błoński, Kapuściński i Tischner?
– Z pewnym trudem. Do jury zaproszono mnie w związku z moją ówczesną aktywnością krytycznoliteracką. Mam wrażenie, że na początku obrad wszyscy byliśmy sobą nawzajem onieśmieleni. Ale sekretarzem był Michał Cichy, który wspaniale opiekował się przebiegiem obrad. Zadawał pytania zmuszające do wyostrzenia argumentów, zderzał przeciwstawne opinie jurorów, umiejętnie podsumowywał. A przy tym pilnował czasu, nie poganiając nas. Dobra atmosfera pozwalała skupić się na książkach, więc lody szybko puściły. I po prostu rozmawialiśmy. Tak, jak rozmawiają ludzie głęboko zaangażowani w literaturę.

Chciałbym nawiązać do innej twojej książki, a mianowicie „Powrotu centrali" z 2007 roku. Nike jest – chcąc nie chcąc – centralą polskiej literatury. Radosław Romaniuk, członek kapituły tegorocznej nagrody, powiedział mi takie zdanie: „Myśmy się przecież wychowywali na książkach, które były w tych trzydziestu finałach".
– Szkoda, że część jurorów pierwszej Nike już tego nie usłyszy. To piękna pochwała.

Centralizm w kulturze jest jednocześnie pożądany i niebezpieczny. Pożądany, ponieważ dzięki niemu powstają wyraziste hierarchie. Centrala jest źródłem informacji o tym, co warto obejrzeć, czego warto posłuchać i co przeczytać. Wiadomościom płynącym z głównego źródła przysługuje większa wiarygodność, a więc siła zobowiązania. Im więcej instancji polecających, tym mniejsza moc oddziaływania.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że instytucje mające ambicje i możliwości centralistyczne monopolizują życie kulturalne. A monopol w kulturze zakrywa faktyczne zróżnicowanie społeczne – nierówne kompetencje kulturowe, ograniczenia w dostępie do kultury, wpływ wykształcenia na życiowe szanse. Dla kultury wskazane jest, by istniały rywalizujące ze sobą ośrodki, umożliwiające różne style ekspresji i dające dostęp odbiorcom o różnych kompetencjach kulturowych. W odniesieniu do Nike oznacza to, że najlepiej, abyśmy jako społeczeństwo bardziej przejmowali się „dwudziestką" niż książką zwycięską.

Tymczasem w polskim życiu kulturalnym łatwo przychodzą akty krytyki cudzych lektur.

To też przejaw myślenia centralistycznego – zgodnie z którym powinno istnieć jedno dominujące źródło wiedzy o kulturze, jedna hierarchia i jeden kanon.

Mnie też drażni zawstydzanie czytelników. Prowadzenie rozmowy o literaturze tak, by ci, którzy czytają coś, co nam się nie podoba, mieli czuć się gorsi. Ale o dyskursach wokół czytelnictwa może porozmawiamy jeszcze przy innej okazji. Teraz chciałbym cię zapytać, czy któraś z książek nienagrodzonych powinna była, twoim zdaniem, zdobyć nagrodę?
– „Sąsiedzi" Jana Tomasza Grossa. Pewnie każdy z jurorów ma w pamięci taką książkę. Ale tak jest skonstruowana nagroda – z siedmiu finalistów sześcioro odpada.

W nagrodę Nike wmontowany jest jednak wartościowy mechanizm osłabiający okrucieństwo zasady „zwycięzca bierze wszystko". Chodzi mi o Nike przyznawaną przez czytelników.

Dziewięć razy zdarzało się, że głosy jurorów i czytelników się pokrywały. Czyli częściej się różniły. Już w pierwszym roku czytelnicy wybrali „Prawiek i inne czasy" Tokarczuk, a nie książkę Myśliwskiego. Rok później w głosowaniu zwyciężyła „Mitologia Greków i Rzymian" Zygmunta Kubiaka, a nie Miłosz. Wtedy wielu komentatorów mówiło, że czytelnicy wybrali mądrzej niż jurorzy. Ale trzeba by sprawdzić, czy książka Kubiaka weszła do polskich domów i czy zastąpiła książkę Parandowskiego w roli wprowadzenia do mitologii.

„Matka odchodzi" Różewicza była pierwszą książką nagrodzoną przez obie instancje. Ale to zbieżność o charakterze doraźnym. Bo różnice dotyczą gustów i metod: jury dokonuje wyboru eksperckiego, czytelnicy wybierają w systemie plebiscytowym. To w ciekawy sposób rozdwaja jedność nagrody i czyni z niej historię dwutorową. Dopiero oba werdykty łącznie powinny być traktowane jako „nagroda Nike", dzięki czemu pamiętalibyśmy o rozbieżnościach.

Ostatnią powieścią nagrodzoną przez czytelników były – w 2015 roku – „Księgi Jakubowe" Tokarczuk. Od tego czasu w plebiscycie czytelników wygrywają reportaże lub literatura bardzo osobista, autofikcja. Niektóre z tych książek związane są z emancypacją, jak choćby „Oni. Homoseksualiści w czasie II wojny światowej" Joanny Ostrowskiej, która została nagrodzona w momencie zaostrzenia przez rządzący wówczas PiS homofobicznej retoryki. Dzięki czytelnikom nagroda cały czas prowadzi ożywioną dyskusję z otaczającą nas rzeczywistością.
– Wydaje mi się, że jesteśmy już dalej. Czytelnicy wybierają książki, które mówią raczej o kłopotach z emancypacją. Zarówno o tych kłopotach, które emancypacja może wywoływać, jak i o tych, na które natrafia.

Nie istnieje ostateczna emancypacja od problemu, o którym pisze Eliza Kącka. Nigdy nie będzie takiego momentu, w którym matka wyzwoli się od kłopotów komunikacyjnych z córką. To samo dotyczy książki Grzegorza Piątka o Gdyni. Autor opowiada o narodzinach modernistycznego miasta, o rozmachu projektów, o wyzwolonej wyobraźni. Ale zarazem mówi o okrutnych warunkach, w jakich miasto powstawało – o niefrasobliwości zarządców, którzy traktowali robotników i zwierzęta jak pracujące mięso.

Jedno z najważniejszych osiągnięć Polski międzywojennej miało swój rewers, który trzeba uważnie zbadać, aby nie powtarzać mitu zakrywającego okrucieństwo. Emancypacja od przeszłości wymaga tu przejścia przez terapię.

Właśnie to wydaje mi się symptomem szerszego zjawiska: emancypacja stopniowo słabnie, a jej kosztem wzmacnia się kultura terapii. Oczywiście powinny one iść ze sobą w parze, wspierać się nawzajem. Problem polega na tym, że terapia staje się kulturą dominującą.

Coraz liczniejsze dzieła kultury – filmy, książki, spektakle – nie dają się czytać w kluczu emancypacyjnym.

Dziełom tym odpowiada w kulturze polskiej wymiana słownika podstawowych pojęć.

Dla emancypacji kluczowe terminy to: kolektyw, tożsamość zbiorowa, dyskryminacja, równość praw, aktywizm, obywatelskość.

Kultura terapii z kolei preferuje pojęcia: jednostka, osobowość, samospełnienie, trauma, symptom, przepracowanie.

W tej wymianie słownika widać dalsze implikacje – zmianę koncepcji człowieka oraz wyobrażeń o tożsamościach społecznych. W myśleniu terapeutycznym jest raczej jednostka niż społeczeństwo, a identyfikacje zbiorowe, takie jak klasa społeczna, znikają na rzecz „grup wsparcia" i „grup wyparcia". Wreszcie zwieńczeniem piramidy koncepcyjnej jest nowe podejście do historii. Historia, mówiąc najprościej, staje się wyzwaniem dla detraumatyzacji.

Przykłady?
– W 2024 roku ukazały się dwie ważne – bez złośliwości powiedzieć można: symptomatyczne – książki: „Traumaland" Michała Bilewicza oraz „Koniec" Marty Hermanowicz.

Pierwsza jest analizą podstawowych zranień pamięci polskiej, druga to powieść o dzisiejszej rodzinie tkwiącej w wołyńsko-syberyjskich koszmarach. Obie uwzględniają powojenne dzieje emancypacji edukacyjnej i pracowniczej, historię awansu klasowego i zmiany ustrojowej. A zarazem obie mówią o prześnionej ewolucji – o społeczeństwie, które nadal tkwi w traumach przeszłości, toczy symboliczne wojny o zranioną przeszłość i grzęźnie w dawnych dyskursach.

Przeszłości tak postrzeganej nie da się włączyć w budowanie teraźniejszości, trzeba natomiast się z niej wyleczyć. ●

Nagroda Literacka „Nike"

- Jest przyznawana za najlepszą książkę roku. Siódemkę finalistów poznamy 4 września, a laureata lub laureatkę podczas gali, która odbędzie się 4 października br. w gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. Wtedy dowiemy się także, której książce swoją Nike postanowili przyznać Czytelnicy „Wyborczej". Transmisja gali na antenie TVP2 i TVP Kultura o godz. 20.30 oraz na Wyborcza.pl.
- **Organizator:** Fundacja Nagrody Literackiej Nike
- **Współorganizator:** „Gazeta Wyborcza"
- **Współorganizator gali:** Telewizja Polska
- **Mecenasi strategiczni:** Fundacja Roberta Dobrzyckiego, Panattoni
- **Partner główny:** Totalizator Sportowy
- **Mecenasi:** Orlen, KRUK
- **Partner wydarzenia:** Grupa Agora
- **Patroni medialni:** Radio ZET, Radio TOK FM, Chilli Zet, Gazeta.pl, AMS

Najpiękniejszy moment obrad? To wybór „dwudziestki", gdy Nike jeszcze się waha. Ale te 20 książek daje czytelnikowi dość szeroki wgląd w dorobek minionego roku

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34446545


1 RP

eprasa.pl d324f0b119

TROKI TRÓJOKIENNE



Większość przyjeżdża tu na kilka godzin: robi zdjęcie zamku, zjada kybyny i wraca do Wilna. My zostaliśmy dłużej i odkryliśmy miejsce, gdzie legendy rosną w ogródkach.

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

Wjechaliśmy na Litwę przez dawne przejście graniczne Ogrodniki-Łoździeje i od razu dostrzegliśmy różnicę. Dziurawy asfalt, gorsza infrastruktura. Poczuliśmy drobną satysfakcję, że u nas lepiej... która jednak szybko minęła, bo przejeżdżając przez pierwszą większą miejscowość, Łoździeje, nie zaatakowały nas billboardy.

Reklamy oczywiście są, ale mniej niż w Polsce i nie tak nachalne. Za to wystarczy się zatrzymać w lesie, aby od razu docenić litewskie okoliczności. Pobocza czyste, a im dalej w las, tym lepiej. Co prawda i u nas się poprawia, ale w litewskich lasach po prostu nie ma śmieci.

Co jeszcze? Tuż za znakiem informującym, że wjeżdżamy do miejscowości, jest próg zwalniający i często także kontrola prędkości. Więc kto w obszarze zabudowanym wrzuca na luz i czeka aż samochód wytraci prędkość – niech zmieni nawyki.

I last but not least – Litwin, przynajmniej nam z czasów dzieciństwa spędzonego na Podlasiu, kojarzył się z pędzącą ciężarówką. Tymczasem Litwini na Litwie jeżdżą zgodnie z przepisami, ledwie kilku gnających na złamanie karku. Ale ruch jest też wyraźnie mniejszy niż w Polsce.

Za miejscowością Aukštadvaris, Wysoki Dwór, jakieś 30 km od Troków krajobraz się zmienia. Las i jeziora. Droga się wije i są nawet miejsca, gdzie jest bardziej pagórkowato niż na Suwalszczyźnie.

Przed zjazdem do Trok widzimy migające światła. Mijamy leżący na jezdni motocykl i uwijające się obok służby. Nie ma już karetki, więc motocyklista zapewe już trafił szpitala. Jeśli urazy nie były poważne, to do tutejszego, ale jeśli były groźne, to pojechali do oddalonego o 30 km Wilna. Oczywiście my chcemy zwiedzać a nie chorować, ale warto wiedzieć, że 5-tysięczne Troki gwarantują podstawową opiekę zdrowotną.

Trzeba też pamiętać o podaniu właścicielom kwatery lub w hotelu numerów rejestracyjnych samochodu. Oni wprowadzą je do bazy i tylko wtedy otworzy się przed wami automatyczny szlaban. Dzięki temu historyczne centrum nie tonie w samochodach i nawet w sezonie zachowuje spokojniejszy charakter.

Fotokomórka za Świętym

Szlaban jest na wysokości kapliczki św. Jana Nepomucena, stojącej na kolumnie pośrodku drogi. To jeden z symboli Trok. Już w XVII wieku była tu kolumna z figurą tego patrona żeglarzy, rybaków i wszystkich, którzy żyją nad wodą. Ale także tych, którzy jak on, woleli umrzeć, niż wyjawić przekazane im tajemnice.

Z kapliczką wiążą się legendy.

Pierwsza o kupcu, który ocalał podczas burzy na tutejszym jeziorze Galvé i z wdzięczności ufundował figurę.

Druga o tym, że po powstaniu styczniowym carscy urzędnicy kazali figurę zniszczyć. Miejscowy, który miał wykonać polecenie, spadł z drabiny i złamał nogę, więc ostatecznie to kozacy musieli ściągnąć posąg.

Jest też trzecia historia ponoć absolutnie prawdziwa. W czasach sowieckich ateistyczni aktywiści wrzucili figurę do jeziora, ale pracownicy zamkowego muzeum ją wyłowili i przechowali. Święty wrócił na swoje miejsce w 1990 roku, kiedy Litwa odzyskała niepodległość i znów spogląda na miasteczko, którego jest patronem.

Od niedawna towarzyszy mu też skaner rejestracji. Trudno o bardziej współczesny obraz Trok. XVII-wieczny Święty i XXI-wieczna kamera pilnują wjazdu ramię – nomen omen – w ramię szlabanu. Dyskretnie i skutecznie.

Poranek w karaimskim domku

Od kapliczki do naszej kwatery jest 200 m. Zależało nam na miejscu w historycznej części, a jednocześnie szukaliśmy czegoś niedrogie-

eprasa.pl d324f0b119



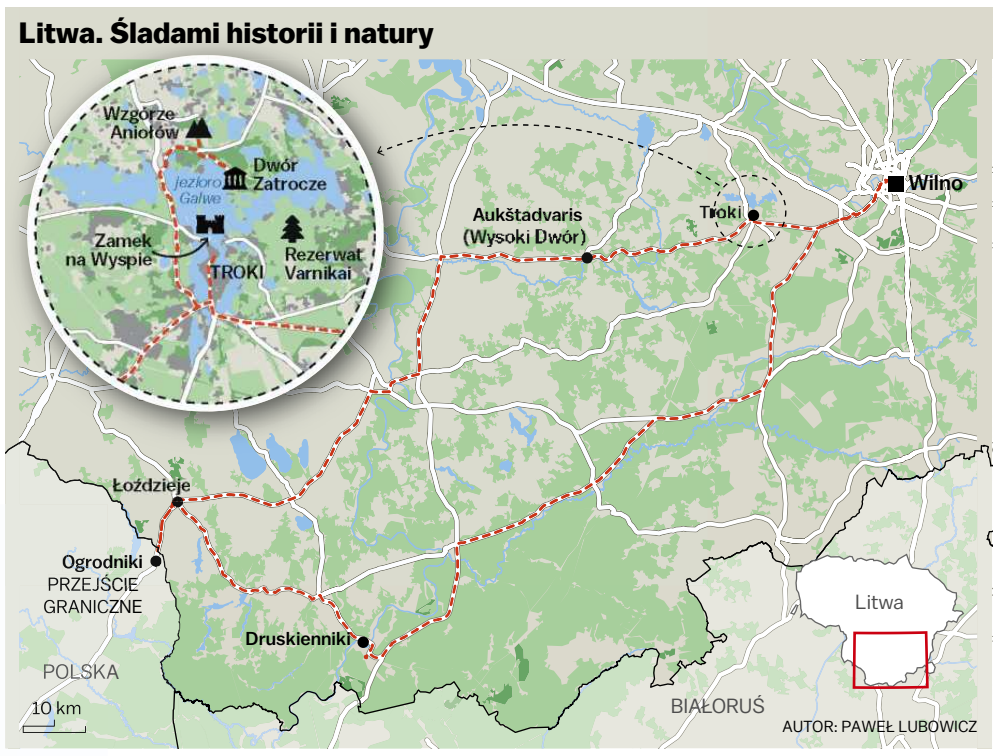
◀ Gotycki zamek w Trokach zbudowano w XIV w. na jednej z 20 wysp jeziora Galvė. Z lądem łączy go system mostów. W latach 50. i 60. XX w. gruntownie zrekonstruowany

▼ Kybyny to przysmak z Troków. Pieczone pierogi tradycyjnie nadziewane były siekaną baraniną, ale dziś nadzienia są przeróżne. Na Litwę przywieźli je ze sobą Karaimi

▼ Karaimskie domy w przy ulicy Karaimskiej prowadzącej z centrum Troków do zamku na jeziorze. Ich najbardziej charakterystyczną cechą są trzy okna wychodzące na ulicę.

▼ Wzgórze Aniołów we wsi Būda koło Troków – plenerowa galeria sztuki sakralnej, z która powstała w 2009 r. m.in. po to, żeby uczcić 1000-lecie pierwszej wzmianki o Litwie

FOT. SHUTTERSTOCK (3)







go i przestronnego, bo podróżujemy z trójką dzieci, które chcą już spać w osobnym pokoju. Zarezerwowaliśmy więc dwa pokoje w charakterystycznym karaimskim domku; o specyfice tych budynków jeszcze opowiemy.

Osobna kuchnia i łazienka, jeden pokój na parterze, drugi na poddaszu. Warunki? Zawsze można się do czegoś przyczepić. Jednak ogólna ocena: zdecydowanie na plus. Zwłaszcza biorąc pod uwagę cenę – 400 zł za dobę – i lokalizację: 50 m od jeziora i 300 m od pierwszego z dwóch mostów do zamku.

Rano budzi nas światło. Pokój, w którym śpimy jest w drewnie, stylizowany na leśniczówkę, z zaślepką-kominkiem, ale dla nas, nawykłych do boazerii lat 80. i 90., wygląda swojsko. I właśnie światło, odbijając się od polakierowanych deseczek, daje niezwykły miodowo-złoty efekt. Przez uchylone okno czuć pobliskie jezioro. Na Litwie jest o godzinę później niż w Polsce i wczesny ranek nie jest porą aż tak nieludzką, bo kwadrans przed siódmą.

Wychodzimy boso na próg karaimskiego domku i patrzymy na ulicę, a jakże, Karaimską. W nocy słyszeliśmy śpiewy przechodzących ludzi, jakieś krzyki, ale nie były tak intensywne, żeby nas wybudzić. Teraz rozglądamy się – parafrazując Kazika – po piątkowych balach chodniki wcale nie zabrudzone, bez śladów nocnych ekscesów.

Paspirtukas czyli hulajnoga

Podziwianie Troków o poranku przerywa nasza 9-letnia córka, która już w kasku na głowie chce objechać okolicę na hulajnodze. Ulica jest prosta, pusta – mogą tam wjechać tylko samochody, które przepuści Nepomucen, więc zgadzamy się, żeby pojechała „o, tam tam, do tego niebieskiego domu i z powrotem".

Wczesnym sobotnim rankiem to nie jest miasteczko turystyczne. Obserwujemy, jak dziewczynka zupełnie sama robi na ulicy kolejne kółka. Jak się okaże, o tej porze w Trokach to najlepszy środek lokomocji i następnego dnia do hulajnogi ustawi się kolejka, łącznie z nami.

Mijają minuty, pojawił się pan z pieskiem. Po przeciwnej stronie pani otworzyła okno i pomachała przyjaźnie. Wyszli też gospodarze naszego domku – to Ukrainki, które proszą, żebyśmy przesunęli nieco samochód, bo niebawem przyjadą kolejni turyści. Zaglądamy na podwórze i okazuje się, że za naszym domkiem jest jeszcze jeden, nowszy, ale też stylizowany na karaimski, a za nim zadaszony taras i przebłyskujące błękitne jezioro.

eprasa.pl d324f0b119

Okna na ulicy Karaimskiej

Drewniane domy stoją jeden przy drugim, kolorowe, niskie, najwyżej z pięterkiem, z gankami. Rosną przy nich kwiaty i drzewa owocowe. Na wysokości oczu – okna. Gdy będziemy rozmawiać z Dominyką Semionové, wieloletnią przewodniczącą Stowarzyszenia Kultury i Rzemiosła Regionu Trockiego,powie nam:

„Tradycyjne domy na ulicy Karaimskiej nie bez powodu mają trzy okna. Niosą przesłanie: pierwsze dla gości i gospodarza, drugie dla Boga, trzecie dla Witolda", czyli Kiejstutowicza, wielkiego księcia litewskiego.

Krąży też inna opowieść. Według niej trzy okna miały przypominać poborcom podatkowym o szczególnych przywilejach Karaimów i ułatwiać rozpoznanie ich domów. Ile w tym prawdy, a ile miejscowej legendy, trudno dziś rozstrzygnąć.

W drodze na śniadanie dzieci zatrzymują się przed kolejnymi domami i liczą okna. Czy aby na pewno trzy? Czy nikt się nie pomylił? A my zaglądamy na ganki, do ogródków i przez uchylone furtki.

Z otwartych okien słychać rozmowy po litewsku, polsku i ukraińsku. Większość to turyści a nie stali mieszkańcy, zaś głosy ukraińskie należą najczęściej do obsługi domków przekształconych w pensjonaty i hoteliki. Choć później spotkaliśmy też grupy ukraińskich turystów, którzy także upodobali sobie Troki.

I nagle – a to co? Czyżby miniaturowe domki dla Sylvanian Families, japońskich miniaturek znanych kolekcjonerom na całym świecie? Oto w niewielkich gablotkach umieszczonych pod oknami można oglądać dioramy z innego świata. Tu maleńka poczta, tam karczma z Żydem karczmarzem, gdzie indziej szkoła. Jakie to śliczne, zachwycają się i dzieci, i my, dorośli.

Choć jest coś jeszcze. Przypomina nam to zwyczaj z naszego Podlasia, kiedy przed zimą między dubeltowe okno, wkładane specjalnie by ocieplić mieszkanie, upychało się watę i umieszczało bombki, choinkowe gałązki i nieraz właśnie małe zabawki. Więc tym bardziej nas to wzrusza.

Karaimskie dziedzictwo

Przy jednym z takich domków na ścianie wisi tablica informacyjna, więc czytamy.

„Karaimi – społeczność, która przybyła tu w XIV wieku z Krymu, na zaproszenie księcia Witolda. Mieli strzec zamków, pilnować granic, ale z czasem stali się czymś więcej – gospodarzami tego miasta."

Dziś na Litwie ta społeczność to kilkaset osób. W Trokach kilkudziesiąt, reszta mieszka w Wilnie i w innych miastach. Ale ich obecność wciąż jest odczuwalna. W architekturze, w lokalnej kuchni, w języku, którego nikt już prawie nie używa na co dzień, ale który wciąż się słyszy podczas nabożeństw w kienesie.

A kienesa to świątynia karaimska. Jest przy ulicy Karaimskiej 30 i nie rzuca się w oczy. Wybaczcie porównanie – nasz synek, z którym niedawno przejeżdżaliśmy przez Rumunię, nazwał ją transformatorem z Transylwanii i trafił w dziesiątkę. Z małą wieżyczką, bez kopuły, fasada żółto-pudrowa, z zielonym dachem. Gdyby nie tabliczka, można by uznać ją za stary większy dom mieszkalny.

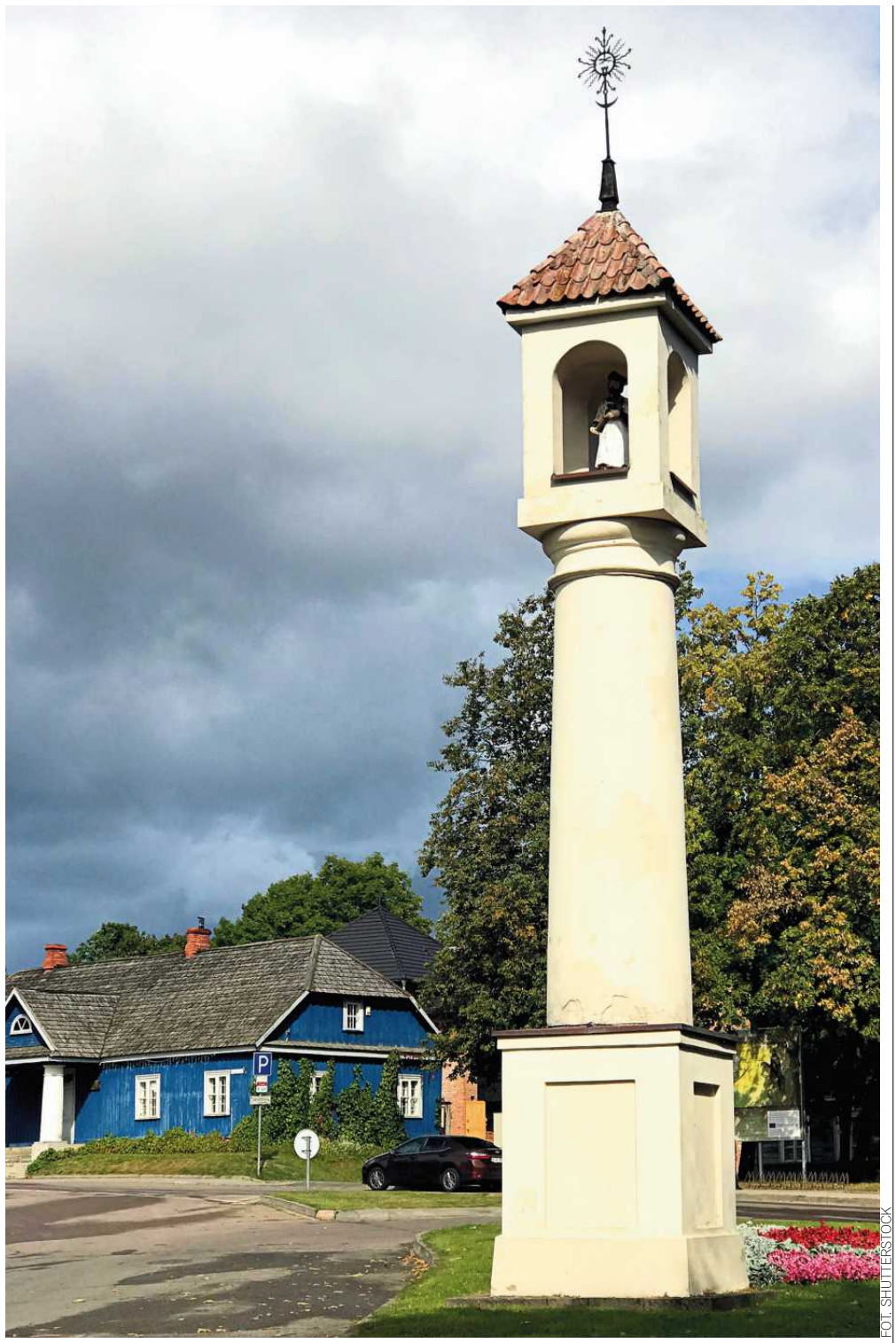
Niepozorna, choć to jedno z najważniejszych miejsc w Trokach; arcyrzadka, podobnych świątyń karaimskich w Europie zachowało się ledwie kilka. Wewnątrz podzielona na trzy części: przedsionek, główną salę dla mężczyzn oraz galerię na piętrze dla kobiet.

Drzwi tej czynnej do dziś świątyni rano są jeszcze zamknięte. Ruszamy zatem dalej i rozmawiamy po drodze o... różnorodnościach na leśnej polanie nad jeziorem.

Trzy rzeczy, które trzeba wiedzieć

Pierwsza: Kiejstut i Witold.

Dzisiejsze Troki nie były pierwszą osadą w tym miejscu. Według legendy Wielki Książę Giedymin podczas polowania zapędził się na leśną polanę, która tak mu się spodobała, że postanowił wznieść tu gród. Nazwał go Trakai – od litewskiego słowa trakas, oznaczającego właśnie leśną polanę. Później przeniósł stolicę do Wilna, a Stare Troki przekazał synowi Kiejstutowi. To Kiejstut i jego syn Witold wznieśli Nowe Troki – te, które znamy obecnie. I to Witold sprowadził nad jeziora Karaimów. Tu zmarł w 1430 roku, i tu, według legendy, jego duch wciąż pojawia się nad zamkową wieżą.



FOT. SHUTTERSTOCK

• **Kapliczka św. Jana Nepomucena stoi na dawnym placu ratuszowym, przy skrzyżowaniu ulic Karaimskiej i Witolda. Święty jest szczególnie czczony w miastach nad jeziorami i rzekami, bo to patron mostów oraz ludzi i miejsc związanym z wodą, które chroni przed powodziami**

Obecność Karaimów wciąż jest tu odczuwalna. W architekturze, w lokalnej kuchni i w języku, który wciąż się słyszy na nabożeństwach w kienesie

Druga: Karaimi.

Jak już wspominaliśmy, przybyli z Krymu. Według karaimskiej tradycji – 383 rodziny. Mieli być strażnikami, rzemieślnikami i rolnikami, ale przede wszystkim mieli być lojalni wobec władcy. Karaimi z Trok przez wieki służyli Wielkiemu Księstwu Litewskiemu, a później Rzeczypospolitej. Otrzymali liczne przywileje, w tym własny samorząd na prawie magdeburskim w 1441 roku, o było wówczas ogromnym wyróżnieniem dla tak niewielkiej społeczności. Wyznają karaimizm – religię, która wywodzi się z judaizmu, ale uznaje wyłącznie Stary Testament i odrzuca Talmud oraz rabiniczną tradycję ustną. To przez wieki odróżniało Karaimów od Żydów rabinicznych. Etnicznie i językowo to naród pochodzenia tureckiego.

Trzecia: wielokulturowość.

Troki nigdy jednak nie były miastem jednego narodu. Mieszkali tu obok siebie oprócz Karaimów, Polacy, Litwini, Żydzi, Tatarzy, Rusini, Niemcy. Mówi się, że dobrym zwyczajem było tu przywitać sąsiada w jego języku. „Dzień dobry" po litewsku to Labas rytas (rano) lub Laba diena (w ciągu dnia). Po karaimsku: Kiuń jachszy – wymawia się kiuń jach-szy, gdzie „kiuń" to dzień, a „jachszy" znaczy dobry. W jidysz: Gut morgn, czyli po prostu dobry poranek. I tak właśnie wyglądały Troki – jedno miasto, wiele języków, jedno powitanie.

Galvé: głowa, skarb i duch

„Zamiast lodów i waty ze straganów, idźcie puszczać kaczki" – prosimy dzieci i dodajemy – „słodycze będą po obiedzie". Ale przy brzegu są żywe kaczki, więc rzucania kamieniami nie będzie. Za to najmłodsza córeczka krzyczy „kaczkasy dajcie mi kasy!", co jej zdaniem naśladuje język litewski. Zaczynamy zwracać na siebie uwagę, ale z pomocą przychodzi nam Justinas Janickas, kierownik Działu Obsługi Zwiedzających w Trockim Muzeum Historycznym. Ma dla naszej miłośniczki językowych szarad – językową ciekawostkę. Jezioro Galvé, nad którym właśnie jesteśmy – to głowa, czyli litewskie galva, mówi Janickas. Według legendy, woda nie zamarza, dopóki ktoś nie straci w niej życia. Ofiara z głowy – to cena, jaką jezioro pobiera za to, że zimą skuwa się lodem, a wiosną może odtajać. Dzieci słuchają z otwartymi ustami.

Najmłodsza pyta, czy w jeziorze są rekiny? Rekinów nie ma, ale są za to kamienne głowy. Bo w 1923 roku na dnie jeziora znaleziono dwie kamienne głowy – nikt nie wie, skąd tam się wzięły. Janickas wspomina, że „choć są to znaleziska archeologiczne, to stawały się częścią różnych legend i tajemniczych opowieści".

A nad tym wszystkim krąży duch Witolda. Ponoć pojawia się nad zamkową wieżą w chwilach, gdy miasto potrzebuje opieki. Kto go ujrzy, ten ma szczęście przez cały rok.

Zamek i najpiękniejsza z jego komnat

Trzeba przejść dwa mosty z wysepką po środku, łącznie ok. 300 m, żeby dostać się na wyspę, gdzie stoi zamek. Pomarańczowe cegły, gotyckie wieże, a dookoła woda. Bez wątpienia to jeden z najpiękniejszych widoków w tej części Europy i zarazem jeden z najbardziej rozpoznawalnych.

Marta, współautorka tekstu, odwiedziła Troki po raz pierwszy zaraz po rozpadzie ZSRR. Wilno trochę ją – wówczas 12-latkę – wynudziło, ale Troki to była miłość od pierwszego wejrzenia. Zapamiętała je jako miejsce surowe, nieco opuszczone – zamek stał, ale wokół był tylko pusty plac i kilka straganów.

Teraz zobaczyła to miejsce z perspektywy matki trójki dzieci. Kawiarnie, wypożyczalnie sprzętu, tłumy turystów. To, co łączy tamte wspomnienia z obecnym pobytem, to jeszcze piękniejszy, bo świetnie odrestaurowany zamek, który potęguje magię tego miejsca. Zwłaszcza w oczach najmłodszych.

Tak już jest, że dzieci lubią zamki. W kościołach trzeba zachowywać ciszę i powagę, a w zamkach jest miejsce na beztroskę i odkrywanie. I najwyraźniej zarządcy trockiego zamku-muzeum mają tego świadomość, bo wszystko tu zachęca małych gości do samodzielnych wędrówek po komnatach i dziedzińcach.

Przez ponad 30 lat głównym wspomnieniem Marty z Troków nie były potężne mury ani kręte schody, lecz... średniowieczna toaleta. I to ją postanowiliśmy najpierw pokazać dzieciom. Trzeba obejść zamek dookoła i uważnie patrzeć w górę, bo można ją przeoczyć. Z perspektywy dziecka wydawała się ogromna, dziś okazuje się zdecydowanie mniejsza. Przyklejona do muru mała przybudówka, przypomina, że nieczystości trafiały kiedyś wprost do jeziora. Ten, kto pierwszy ją wypatrzy, zdobywa maksymalną liczbę punktów. Ale nie ma odważnego, który i teraz stanąłby dokładnie pod nią – ze względów oczywistych.

Czas na wędrówkę po komnatach. Przejścia między salami potrafią zaskoczyć. Łatwo się zgubić i tajemnicze korytarze sprawiają, że nigdy nie ma pewności, gdzie za chwilę się wyjdzie. Trzeba tylko uważać na schody – są strome i miejscami śliskie. Warto też mieć w plecaku dodatkowy sweter. Jeden z kustoszy opowiada nam, że nawet w największe upały w zamku panuje chłód i wilgoć. Już w XIV wieku radzono sobie z tym, ogrzewając wnętrza gorącymi kamieniami.

No i najlepiej zwiedzać rano, tak o godz. 10 lub jeszcze lepiej po godz. 17– wtedy jest najmniej turystów.

Dzieci szukają wejścia do podziemi, które – według legendy – prowadzą pod jeziorem Galvé aż do Wilna. Janickas opowiada, że niektórzy turyści wracają tu co roku, z nadzieją, że ktoś wreszcie odnalazł tajne wejście.

Najbardziej zapamiętaliśmy jednak nie sale, rycerskie zbroje czy inne eksponady, lecz magiczny widok z jednego z okien na najwyższym piętrze. Tafla jeziora lśniła w słońcu jak stopione srebro, żaglówki sunęły dostojnie po wodzie, a w tle majaczył ciemny pas lasu. Na chwilę zniknęli inni turyści i zrobiło się zupeł-

eprasa.pl d324f0b119

nie cicho. Bo największym skarbem trockiego zamku jest jego lokalizacja. Ten krajobraz, który od 600 lat jest jego najcenniejszą i najpiękniejszą komnatą.

W ogródku Karaimów rosną mity

Może to przypadek, a może po prostu Troki takie już są, ale najbardziej zapamiętaliśmy nie tylko zamek, jezioro czy karaimskie domy, lecz ludzi. Każdy z naszych rozmówców pokazywał nam inne Troki.

Semionové zwracała uwagę na to, co w Trokach wciąż żyje – karaimski język w kienesie, rodzinne tradycje i kulturę przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Opowiadała też o turystach z Azji, którzy byli przekonani, że do Zamku na Wyspie można dojechać autem i byli zaskoczeni, że nie można , że przez te mosty trzeba przejść.

Mówiła też, że nie warto ograniczać się do Zamku na Wyspie – trzeba poznać okolice od strony jezior, podczas rejsu łodzią lub pływania na SUP-ie między wyspami (Galvé ma sumie 21 wysp). Polecała: Wzgórze Aniołów, dwór w Zatroczu i spacer ścieżkami przyrodniczymi z drewnianymi pomostami, i punktami widokowymi, które prowadzą przez bagna i pierwotny las w rezerwacie Varnikai.

Janickas uchylił drzwi do świata miejscowych legend, w którym duch Witolda i opowieści o skarbach ukrytych na dnie jeziora są równie ważne jak historia samego zamku.

Dr Karina Firkavičiūtė z portalu karaim.eu, do której skierowano nas w Litewskim Instytucie Historycznym opowiadała nam o współczesnych Karaimach. Jest muzykolożką i wieloletnią przewodniczącą Litewskiego Karaimskiego Stowarzyszenia Kulturalnego. Swoją opowieść tak podsumowała: „Chcielibyśmy, aby ludzie wiedzieli, że Karaimi to naród który mieszka na Litwie już ponad 625 lat, który wciąż istnieje i zachował do dziś swoje dziedzictwo kulturowe ".

I wtedy zrozumieliśmy, co tak naprawdę powtarzało się we wszystkich rozmowach: nie chodziło o daty ani legendy, lecz o to, że Karaimi w Trokach nie są muzealnym eksponatem. Oni tu są – mieszkają, modlą się, pieką kybyny i mówią własnym językiem.

Wspomniała też o figurze św. Floriana obok remizy strażackiej przy ulicy Karaimskiej, którą turyści biorą za postać starego Karaima. Figura ma długą brodę i stoi w samym sercu karaimskiej części Trok, a nie wszyscy wiedzą, że to patron strażaków. Sama słyszała, jak przewodnicy opowiadają tę anegdotę. I tak właśnie rodzą się lokalne legendy. Dopowiedzmy: w Trokach niecodzienne historie mają początek nawet i dziś.

W Trokach czy w trokach?

Ale jeszcze jedno nie dawało nam spokoju. Czy w Trokach też znają polskie powiedzenie „wziąć tyłek – albo dosadniej „dupę" – w Troki"? Pytaliśmy naszych rozmówców i wszyscy byli zaskakująco zgodni.

Janickas nigdy wcześniej go nie słyszał. **Pracownicy Centrum Informacji Turystycznej**: „Nie możemy odpowiedzieć, bo w Trokach nie mamy takiego powiedzenia". **Semionové** znała zwrot, ale uważa, że źródła należy szukać w języku i kulturze polskiej niż w litewskiej etymologii nazwy miasta.

Potwierdziła to dr Karina: przysłowie nie ma żadnego związku z miastem, lecz z dawnym polskim słowem „troki", oznaczającym rzemienie przy siodle. Innymi słowy – w tym wypadku słowo „troki" piszemy małą literą i należałoby je czytać: zepnij zadek i znikaj stąd.

I tu pojawia się jeszcze jedno skojarzenie. Troki, troczki to nie tylko paski czy sznurki. W anatomii są też troczki, pasma włókniste utrzymujące ścięgna we właściwym położeniu. Oczywiście nie jest to wyjaśnienie nazwy miasta, lecz niezgorsza metafora.

Bo trudno oprzeć się wrażeniu, że właśnie takie były przez wieki Troki. Spinały to, co litewskie, polskie, ruskie, karaimskie i tatarskie w jedną, choć niejednolitą całość.

Kybyny – genialne, reszta – fatalna

Ale żeby nie było tak słodko – do listy „hit" czy „kit" wrzućmy po jednej, ale ważnej pozycji.

Lokalnym przysmakiem są kybyny, a nie „kibiny" jak błędnie zwykło się pisać. To pieczone pierogi w kształcie półksiężyca – z baraniną, wołowiną, czasem z kurczakiem. Mogą być też ze szpinakiem czy grzybami albo z twarogiem, wytrawny i na słodko. Znajdziemy też wersje wegetariańskie. Ciasto drożdżowe, chrupiące na zewnątrz, miękkie w środku. Nadzienie soczyste, doprawione cebulą, solą, pieprzem. Naprawdę świetne. Wypiekane według tradycyjnej receptury. Znajdziemy je praktycznie w każdym lokalu i wszędzie są dobre – i nie ukrywajmy, w sumie niedrogie – potrafią zrekompensować całą resztę kulinarnych rozczarowań.

Do kybynów nie udało się nam przekonać dzieci – ani rozkochanego w mięsiwach Władka i najmłodszej Ewy, ani wegetarianki z nieprzymuszonej woli, miłośniczki hulajnóg Marianki. One chciały pizzy. I tu będzie ten właśnie „kit".

Przy moście prowadzącym na zamek jest kilka restauracji z napisem „pizza" na witrynie. Wybraliśmy na chybił trafił, zajrzeliśmy do menu, a tam, że oferują aż cztery sosy do pizzy gratis. Zamówiliśmy dwie niezbyt tanie pizze i... otrzymaliśmy najpierw cztery buteleczki z sosami... znanej firmy, dostępnej w każdym sklepie: keczup, majonez, sos tatarski i dressing. A później danie główne. Mieliśmy wątpliwości, czy pizza w ogóle wyszła z pieca. Wyglądała, jak przygotowana na parze i przypominała „pizzę", jaką można było dostać na dworcu PKS w Białymstoku w latach 90. Dla nas – trochę podróż sentymentalna, ale dzieci narzekały.

Później zmieniliśmy lokal i zamawiane potrawy, wszystko jednak pod kątem dzieci. I znów jedzenie było co najwyżej przeciętne, a nietanie. Ostatecznie najlepszym i najekonomiczniejszym rozwiązaniem okazało się gotowanie w kuchni na kwaterze. I z tutejszej gastronomii więcej już nie korzystaliśmy.

Niemen o świcie

Nie wracamy do Polski bezpośrednio. Zatrzymujemy się w Druskiennikach, potem jedziemy nad pobliską granicę z Białorusią. Idziemy przez sosnowy las i stajemy nad Niemnem. Świta i nad rzeką niesie się przejmujący krzyk żurawi.

„Wziąć tyłek w troki". W Polsce oznacza zabrać się jak najszybciej ewentualnie uchylić się od odpowiedzialności. Dla nas ma nowe znaczenie. Na pewno jeszcze raz weźmiemy nasze tyłki do Trok. Tym razem marzy się nam wczesna jesień i żeglowanie po tutejszych jeziorach. Ale bez pizzy w porcie. ●

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

Sceniczna zdrada czyli polecam dramaty na wakacje

Co roku w wakacje czytamy z żoną głośno któryś z dramatów Szekspira. W ciągu miesiąca dochodzimy najwyżej do trzech. Robimy to rano, pijąc litry kawy na tarasie nadmorskiego baru.



Jarosław Mikołajewski

FELIETON Z CYKLU „ZA PIĘĆ TRZYNASTA"

W tym roku nasz wybór padł – w porządku czytania – na Otella, Juliusza Cezara i Zimową opowieść. Ta kolejność okazała się zresztą pomyłką, bo najsłabszy dramat na zakończenie cyklu trochę obniżył nam gorączkę lektury, ale i z tym daliśmy sobie radę wyciągając z poplątanej historii małości i mierności pojedyncze zdania, trafne passusy, obyczajowe smaki, których i tu przecież nie brakuje. A przecież historia skutków małostkowej zazdrości nie zatarła w nas wrażeń z pierwszych dwóch lektur.

Pierwsza – wiadomo. Otello.

Dzieje zazdrości wielkiej, niszczącej, ale też nikczemności fałszywego przyjaciela Otella o imieniu Jago. Pisana ogniem, namiętnością, nazywana – jak to u Szekspira – z trafnością, która sprawia, że pojedyncze sformułowania dorzucają węgla do paleniska szaleństwa, bólu i podłości. Nawiasem mówiąc, zaraz po czytaniu obejrzeliśmy dawny spektakl Teatru Telewizji z Danielem Olbrychskim, Piotrem Fronczewskim, Haliną Kowalską, i polecamy z całego zachwyconego i przejętego serca.

Najbardziej zaskoczył nas Juliusz Cezar

– dramat, jak pozostałe, przecież już przez nas czytany, lecz odnowiony może przez większą dojrzałość, może przez nowe odniesienia. Pierwsza refleksja, która przyszła do mnie w trakcie lektury, dotyczyła odpowiedzialności teatru za arcydzieła dramaturgii.

Kilka lat temu widziałem bowiem Juliusza Cezara, z którego pamiętam, że słowa dochodziły do mnie ze sceny w chaosie, zgiełku, chybionej emfazie. Może to wynik mojej złej dyspozycji, może – przeniesienia wydarzeń z antycznego Rzymu na współczesny stadion, nie wiem.

Wiem za to, że tekst dramatu jako rozpisanego na postaci poematu (w przekładzie Stanisława Barańczaka) przypomniał mi o istnieniu dramatów jako książek do czytania i przedstawiania w sobie, w wyobraźni, w zgodzie z autorem, który przetrwał już tyle prób, że nie ma sensu poprawiać go wybrykami własnej reżyserskiej fantazji.

Zadaniem reżyserów i aktorów jest

– i tu wiem, jak bardzo wystawiam się na teatrologiczne i teatrotwórcze drwiny – jak najlepiej warsztatowo pokazać sytuacje i powiedzieć kwestie. Nic więcej. Iść w ślady twórców ikon, którzy malują (piszą) wciąż te same motywy, a przecież różnią się w akcentowaniu przedstawień.

Jaki jest bowiem (według mnie) cel szekspirowskich spektakli? Wcielić wyobraźnię i poezję Szekspira. Otworzyć księgę, która w pozornie mniej atrakcyjnej formie książki, przed wielu mieszkańcami epoki obrazów pozostanie zamknięta. Tak uważam.

Dlatego też czytałem tym razem Juliusza Cezara jako dramat o jednostkach i grupach, o osobowościach i rolach. O tym, jak żłobią je własne decyzje. Wróciła do mnie przestroga T.S.Eliota na marginesie dantejskiego obrazu Brutusa jako największego zdrajcy, na równi z Judaszem – że będzie to kwalifikacja niepojęta dla czytelnika z obszaru kultury angielskojęzycznej.

Brutus Szekspira jest bowiem najbardziej prawym obywatelem Republiki, któremu najdalsze są myśli o zbrodni politycznej, który jednak podejmuje się ostatecznie zamachu widząc jak w Juliuszu Cezarze nad wielkością bierze przewagę poczucie wyjątkowości i żądza dyktatorskiej władzy.

Każda z postaci ma jasność swoich racji, każda waży swój udział w historii. Każda wie co robi i dlaczego. Każda jednak zostaje też wciągnięta przez zbrodnię w wir zdarzeń poza kontrolą – jak dzieje się zawsze, gdy człowiek robi coś, co powinien, co jednak przynależne jest zbrodni.

Cóż ja chcę przekazać...

...wspominając dzisiaj o wakacyjnych lekturach? Nic może poza tym, że dramaty są nie tylko do wystawiania i oglądania, lecz także do czytania własnego. Polecić dramaty jako książki na wakacje. Ponadto pragnę wyrazić wyśmiewany dziś pogląd, że genialnych dramatów nie wolno wykręcać na scenie. Należy się podporządkować. Udzielić głosu autorom, którym śmierć i pośmiertność ten głos odebrała. ●



FOT. JAN RUSEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **„Juliusz Cezar" – spektakl włoskiej grupy teatralnej „Societas Raffaello Sanzio" w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim**

eprasa.pl d324f0b119

POLECA MICHNIK ADAM

Czy filozofia może zbawić świat?



• Letnia Szkoła (filozoficzna) w Korčuli. Uczestnicy sympozjum „Marks i rewolucja" przygotowują protest przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w 1968 roku.

FOT. Z ARCHIWUM ANTE LEŠAJI / ROSA LUXEMBURG

Losy tej grupy myślicieli nie są żadnym historycznym wyjątkiem. Filozofowie często sprzeniewierzali się głoszonym przez siebie szczytnym ideałom.

Jan Woleński*

Wydana niedawno praca Katarzyny Bielińskiej, „Wolność, samorządność, rewolucja. Filozofia »Praxis« w Jugosławii" na temat marksistowskiej grupy Praxis (na okładce nad „i" w słowie „Praxis" jest umieszczona pięcioramienna gwiazda, co ma wyraźne odniesienie ideologiczne) to książka o filozofii praktyki.

Grupa ta powstała na konferencji filozofów jugosłowiańskich w Bledzie (w Słowenii) w 1960 r. i działała do lat 80. XX wieku. W latach 1964-74 wychodziło w Zagrzebiu wielojęzyczne czasopismo o takim samym tytule jak nazwa grupy.

Autorka przedstawia historię Praxis, poglądy jej głównych przedstawicieli(-lek) (wymieniam tylko kilkoro: Zagorkę Golubović, Mihaila Markovicia, Svetozara Stojanovicia, Ljubomira Tadicia, Milana Kangrgę i Gajo Petrovicia), a także rysuje ogólny kontekst społeczno-polityczny związany z działalnością jugosłowiańskich „praktycystów". Uważali oni praktykę (wolne przekształcanie świata przez człowieka) za centralną kategorię filozoficzną, co skutkowało koncentracją zainteresowań na problematyce antropologicznej i humanistycznej (mówiono o humanizmie marksistowskim).

Bielińska wyróżnia w filozofii grupy Praxis orientację epistemiczną (np. Marković) i epistemologiczną (np. Kangrga). O ile pierwsza radykalnie oddziela poznanie i byt, to druga je wiąże, co podkreślał Kant i inni filozofowie transcendentalni, stosując pojęcia / kategorie transcendentalne, np. czas i przestrzeń. Grupa Praxis była w latach 70. represjonowana przez Titę jako rewizjonistyczna. Monografia Bielińskiej jest wartościowym opracowaniem historycznym, wypełniającym lukę w naszym piśmiennictwie historyczno-filozoficznym.

Co z tą Jugosławią?

Grupa Praxis była znana w świecie i ceniona, nie tylko z uwagi na poglądy, ale też z uwagi na owe prześladowania. Spowodowały one międzynarodowe protesty akademickie z udziałem m.in. Noama Chomsky'ego.

Gdy byłem w Bostonie w 1989 r., rozmawiałem z Robertem S. Cohenem, znanym filozofem nauki z Boston University, politycznie bliskim marksizmowi i również sygnatariuszem protestu przeciwko represjom Tity wobec praktycystów. Wypowiadał się bardzo pozytywnie o grupie Praxis (jego książka o historii tej grupy, napisana wspólnie z Markoviciem, jest cytowana przez Bielińską), uważając, że wskazała ona drogę do odrodzenia marksizmu.

Zainteresowanie filozofią w Jugosławii było również spowodowane tym, że kraj ten, z uwagi na jego programowe zerwanie z ZSRR, był traktowany jako ewentualny przykład wzajemnej konwergencji socjalizmu i kapitalizmu. Ten ostatni element był istotny w Polsce.

W czasach stalinowskich propaganda rozprawiała o klice Tity-Rankovicia, porównywanych z gen. Franco [Aleksandar Ranković – wieloletni bliski współpracownik Tity]. Po 1956 r. oficjalny stosunek władz polskich do Jugosławii był pozytywny, ale z rozmaitymi znakami zapytania, czy to jeszcze jest socjalizm.

W polskim środowisku intelektualnym popularna była osoba Milovana Djilasa, polityka jugosłowiańskiego, krytyka Tity (za to był więziony) i autora głośnej książki „Nowa klasa" (wydanej po polsku w Paryżu w 1957 r.), krytykującej biurokrację partyjną jako przykład nowych wyzyskiwaczy w sensie Marksa.

Co z tą logiką?

Jeśli chodzi o znajomość filozofów z grupy Praxis w Polsce, to, opierając się na własnych wspomnieniach, mogę zaświadczyć, że jej istnienie było znane w naszym środowisku filozoficznym, ale trudno mówić o jakimś szerszym zainteresowaniu jej poglądami.

Jeszcze jako student zacząłem interesować się logiką i w 1962 r. przeczytałem wydaną u nas książkę „Formalizm w logice współczesnej" wspomnianego Markovicia, ale byłem nią wielce zawiedziony. Dla kogoś studiującego w tradycji polskiej szkoły logicznej krytyka logiki formalnej z punktu widzenia dialektyki była nie do przyjęcia.

Notabene Bielińska pisze, że polscy marksiści odrzucali tezę Markovicia o tym, że to dialektyka, a nie logika prowadzi do prawdy obiektywnej, i przywołuje recenzję Ryszarda Wójcickiego – właśnie o książce „Formalizm w logice współczesnej", opublikowaną w czasopiśmie „Studia Filozoficzne" w 1964 r. To może powodować nieporozumienie, jako że Wójcicki nie pisał z punktu widzenia marksizmu, ale jako logik.

W książce Bielińskiej jest sporo odniesień do dyskusji toczonych w Polsce. Przydałby się jednak odrębny rozdział o stosunku filozofów polskich do kwestii rozważanych przez grupę Praxis.

Z grubsza rzecz ujmując, można wyróżnić trzy podejścia do marksizmu w Polsce: redukcję tej filozofii do materializmu dialektycznego (w gruncie rzeczy do filozofii przyrody, np. Władysław Krajewski), orientację antropologiczną (np. Zygmunt Bauman, Bronisław Baczko, wczesny Leszek Kołakowski; ta była najbliższa

eprasa.pl d324f0b119

reprezentowanej przez Praxis, ponieważ czyni praktykę centralną kategorią filozoficzną) i postulat integracji materializmu dialektycznego z historycznym (np. Adam Schaff – uważał, że tylko taka wykładnia marksizmu jest prawomocna).

Może te spory sprawiły, że zainteresowanie grupą Praxis w Polsce nie było zbyt duże. Wyraźny krach marksizmu w Polsce, rysujący się od lat 70., przyczynił się do tego, że nie było specjalnej atmosfery do rozważań na temat właściwej interpretacji tej filozofii, np. w stylu grupy Praxis.

Ostatnie zdanie poprzedniego akapitu ma związek z łatwo wyczuwalną sympatią Bielińskiej dla praktycystów z byłej Jugosławii, dokładniej dla nurtu epistemologicznego. Bielińska, powtórzmy, wyróżnia w filozofii grupy Praxis orientację epistemiczną i epistemologiczną, a rzeczoną dystynkcję wprowadził Marek Siemek w ogólnym planie filozoficznym.

Bielińska argumentuje, że racja jest zdecydowanie po stronie „epistemologistów" i aczkolwiek nie można twierdzić, że sugeruje „epistemologiczne" odnowienie marksizmu, to jednak zdaje się popierać interpretację lewicowych postulatów filozoficznych w duchu myślenia nie-epistemicznego.

Mam poważne wątpliwości, czy „epistemologizm" ma taką przyszłość, jak to rysuje Bielińska. Miałem już okazję polemizować z Siemkiem w sprawie odróżnienia tego, co epistemiczne, i tego, co epistemologiczne (por. Jan Woleński, „Epistemologia i epistemika", w: „Rozum jest wolny, wolność – rozumna. Filozoficzne rozważania nad współczesnością pewnych tradycji. Markowi J. Siemkowi w 60. rocznicę urodzin", IFiS PAN 2002).

Ponieważ nie ma sensu, aby tutaj wchodzić w szczegóły tej dyskusji, ograniczam się do stwierdzenia, że to, co Siemek i Bielińska uważają za epistemologiczne, pojawiło się w myśli filozoficznej grubo przez Kantem, a samo odróżnienie obu poziomów w istocie rzeczy jest bardzo względne.

Niezależnie od tego uważam, że poglądy Kangrgi są bardzo uproszczoną wersją epistemologicznego myślenia w filozofii, np. w porównaniu z Kantem, neokantyzmem czy heglizmem. To jest dodatkowy powód dla sceptycyzmu wobec nadziei, że tzw. epistemologiczna interpretacja praktyki jest lepsza niż epistemiczna.

Serbii nie lubią

Przechodzę do rzeczy bardziej aktualnych. We wrześniu 2017 r. odbyło się w Dubrowniku posiedzenie Międzynarodowego Instytutu Filozofii połączone z konferencją „Praxis. Knowledge and Human Action" („Praktyka. Poznanie i działanie ludzkie"), której temat i tytuł nawiązywał do grupy Praxis. Na to sympozjum zgłosiłem referat dotyczący ogólnych problemów logicznych związanych z normami, wartościami i działaniem jako pasujący do ogólnego tematu spotkania w Dubrowniku.

W przeddzień sesji z moim udziałem Daniel Kolak z Chorwacji (w rzeczywistości pracuje w William Paterson University of New Jersey) wygłosił odczyt o historii grupy Praxis, a Dražen Pehar (z Bośni i Hercegowiny) – o kłopotach z dialogiem pomiędzy różnymi światopoglądami i orientacjami politycznymi.

To, co było uderzające w tych dwóch wystąpieniach, polegało na wielkiej i otwartej wrogości wobec Serbii; notabene w konferencji nie brał udziału ani jeden serbski filozof – dodam, że grupa Praxis była wspólnym przedsięwzięciem chorwacko-serbskim (z wymienionych wcześniej osób Golubović, Marković, Stojanović i Tadić reprezentowali skrzydło serbskie, a Kangrga i Petrović – chorwackie).

Negatywny stosunek Chorwatów czy ludzi z Bośni i Hercegowiny do Serbów był zrozumiały z uwagi na okoliczności związane z rozpadem Jugosławii (o innych napiszę niżej), ale skala tego zjawiska i towarzyszące mu emocje były niespodziewane dla kogoś z zewnątrz. Innym zaskoczeniem było prawie całkowite pominięcie serbskiego wątku w powstaniu i działalności grupy Praxis.

Postanowiłem zmienić temat mojego wystąpienia i opowiedzieć o polskiej drodze wychodzenia z komunizmu (czy raczej tzw. realnego socjalizmu) po 1989 r., niewolnej od konfliktów ideologicznych i politycznych, ale jednak pokojowej. Organizatorzy konferencji zgodzili się na moją propozycję. Moja prezentacja wywołała jakieś zainteresowanie, ale nie u antyserbskich uczestników konferencji w Dubrowniku.

Przygotowując nowy odczyt, miałem oczywiście na uwadze, po pierwsze, zaszłości historyczne w czasie II wojny światowej (konflikt chorwacko-serbski, symbolizowany przez ustaszy i czetników), po drugie to, że była Jugosławia była federacyjnym tworem wielonarodowościowym z wyraźnym uprzywilejowaniem Serbii (taka była polityka Tity), a po trzecie, że był to kraj wieloreligijny (Serbia – prawosławie, Chorwacja i Słowenia – katolicyzm, Bośnia i Hercegowina – islam, prawosławie, katolicyzm).

Myślenie może przyczynić się do zepsucia świata, gdy jest zbyt dogmatyczne i zamknięte. W obecnej polskiej sytuacji warto o tym pamiętać

Niemniej jednak wydawało mi się, że polskie doświadczenie może być interesujące dla uczestników konferencji w Dubrowniku, zwłaszcza z Chorwacji oraz z Bośni i Hercegowiny. Wszelako nawet ograniczony koncyliaryzm, praktykowany nad Odrą i Wisłą, okazał się mało atrakcyjny dla silnie skonfliktowanych mieszkańców Półwyspu Bałkańskiego.

Wprawdzie wyjaśnienie tej sytuacji nie stanowiło w moim przypadku jakiegoś poważniejszego problemu poznawczego, ale kwestia była (i jest) interesująca sama w sobie. A może jest tak, że duża polaryzacja polityczna w narodowościowo jednolitym społeczeństwie może doprowadzić do takich następstw, jakie pojawiły się przy rozpadzie Jugosławii? Wszak niektórzy analitycy sytuacji w Polsce twierdzą, że nasz konflikt polityczny może się nawet przerodzić w wojnę domową.

Rozsypali się

Wracam do grupy Praxis i konfliktu w byłej Jugosławii. Od razu zaznaczam, że chodzi mi nie o wydarzenia polityczne, które w odleglejszej przeszłości, tj. w czasie II wojny światowej, były znaczone przez kilkaset tysięcy ofiar (w większości Serbów) walk chorwackich ustaszów z serbskimi czetnikami, ale w czasach całkiem bliskich teraźniejszości – przez masakrę, dokonaną przez Serbów, muzułmańskiej ludności w Srebrenicy (miasto we wschodniej Bośni) – wydarzenie to jest kwalifikowane jako ludobójstwo.

Moim celem jest refleksja nad tym, jak to się stało, że profesjonalni filozofowie z grupy reprezentującej w miarę jednolite poglądy i instytucjonalnie zorganizowanej (wspólne pismo, konferencje) stanęli po różnych stronach politycznych. Moja diagnoza jest taka, że grupa Praxis reprezentowała dość eklektyczną filozofię, na dodatek opartą na dość marnej metodologii (stosunek Markovicia do logiki jest tego dobrym przykładem).

Jest oczywiste, że rozważania praktycystów o charakterze teoretyczno-filozoficznym ciągle przeplatają się z wątkami praktycznymi, np. rolą partii komunistycznej, sprawami ekonomicznymi czy bieżącymi dyskusjami politycznymi. Mimo eklektyzmu i różnorodności wątków filozofia Praxis była jednak silnie dogmatyczna.

Dopóki było to racjonalizowane opozycją wobec marksizmu radzieckiego, grupa Praxis była w zasadzie jednolita w swych poglądach. Wszelako gdy federacja jugosłowiańska rozpadła się i trzeba było się opowiedzieć po takiej lub innej stronie narodowościowej, dotychczasowe spoiwo intelektualne okazało się zdecydowanie niewystarczające – np. Marković wybrał serbski nacjonalizm reprezentowany przez Slobodana Miloševicia.

Być może było nawet tak, że uczynienie z praktyki centralnej kategorii filozoficznej sprzyjało nowym postawom grupy Praxis. Tak czy inaczej, stanęła ona po stronie wrogów społeczeństwa otwartego, by użyć znanej frazy Karla Poppera.

Byle nie dogmaty

Losy grupy Praxis nie są żadnym historycznym wyjątkiem, ponieważ filozofowie wielokrotnie sprzeniewierzali się głoszonym przez siebie szczytnym ideałom. W związku z wcześniejszą uwagą, że metodologia jugosłowiańskich praktycystów jawi się jako dość mętna z logicznego punktu widzenia, chciałbym uczynić następującą uwagę ogólną.

Jestem filozofem analitycznym i wysoko cenię logikę jako metodę analizy filozoficznej. Zgadzam się z Alfredem Tarskim, że logika łączy ludzi, natomiast religia (dodałbym, że również ideologia) ich dzieli. Lekcja, jaka z tego płynie, jest taka, że nawet o ile filozofia, nawet ta orientująca się na logikę, nie zbawi świata, to może wcale nie przyczynić się do jego zepsucia, gdy jest zbyt dogmatyczna i zamknięta. W obecnej polskiej sytuacji warto o tym pamiętać.

Grupa Praxis jest nie tylko interesująca jako epizod historyczno-filozoficzny (to jest znakomicie pokazane w książce Bielińskiej), ale rozkład tej formacji może i powinien stanowić ostrzeżenie przed uproszczonymi drogami wyborów społeczno-politycznych, nawet czynionych w imię postawy epistemologicznej czy innej transcendentalnej. Dobrze, aby współcześni polscy dogmatycy światopoglądowi, i to „wszelkiej maści", mieli to na uwadze. ●

Tytuł i śródtytuły tekstu – „Wyborcza"

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Nika Kożuszko*

* * *

Tańczyć na minutę przed przyjazdem pociągu,
Wytupując własny rytm,
Czując wagę miłości.
Ja, ty, riff gitarowy, trzy minuty –
i jeden wagon,
Wygłupiamy się jak dzieci, którymi zresztą jesteśmy,
Wykrzykując różne słowa w zapomnianym języku.
Precyzyjne ruchy bioder w kolejowym deszczu.
Zostało trzydzieści sekund,
a my nie przemokliśmy do suchej nitki!
W naszych włosach wciąż zostały igły,
W duszy żyją furiaci i trędowaci,
A nam niepotrzebne są litery, tylko dźwięki nut
I ciężki zgrzyt metalowych strun.
Niech nigdy nie przykryje nas grad artylerii,
Niech się przeterminują opaski uciskowe
Z powodu braku potrzeby używania,
Lepiej założę buty wojskowe,
A ty dalej słodko
Będziesz tańczył w deszczu.

przeł. Zbigniew Dmitroca



FOT. YA YEVHEN / WIKIMEDIA COMMONS

***Nika (wł. Weronika) Kożuszko** – ukraińska artystka, poetka i wolontariuszka. Zginęła 30 sierpnia 2024 r. w wieku 18 lat podczas ostrzału Charkowa. Pośmiertnie ukazał się tomik jej wierszy, prozy i rysunków „Czas zaczynać tango", który wstępem opatrzył zaprzyjaźniony z nią Serhij Żadan. W jej rodzinnym mieście została ustanowiona nagroda Pokolenie Nika, przeznaczona dla twórców od 16. do 21. roku życia.



FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Jan Woleński**

Ur. w 1940 r., filozof. Emerytowany profesor UJ, profesor Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, członek PAN i PAU. Zajmuje się historią filozofii, filozofią nauk, logiką i filozofią prawa.

Katarzyna Bielińska, **„Wolność, samorządność, rewolucja. Filozofia »Praxis« w Jugosławii"**, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2026.



eprasa.pl d324f0b119

Tym nasz powszedni. 40 lat Polski na felietonowo

Stanisław Tym potrzebny na co dzień. I od święta. Zapiszcie to sobie „wężykiem, wężykiem”

Agnieszka Kublik

Dla mojego pokolenia słowa „wężykiem, wężykiem” są czytelne. Może już tylko dla mojego? W PRL-u weszły do potocznej polszczyzny. Takie właśnie rzucaliśmy w towarzystwie aluzje na znak, że jesteśmy świadomi absurdu, jaki nam na co dzień towarzyszy, i że choć sobie z tego kpimy, to akceptujemy to, bo innego życia nie mamy.

Chciałabym, by Tym sprawił, że kolejne pokolenia rozsmakują się w opowieściach babersów i dziadersów typu „Kiedyś to było...”. No i w felietonach Tyma. Bo on swoim złośliwo-dociekliwym piórem kreśli tamtą rzeczywistość i najnowsze czasy III RP. To literacko-satyryczny portret naszych czasów (ponad 40 lat Polski na felietonowo). Aż dziw bierze, jak dziś spostrzeżenia Tyma (ostatnio przypomniane w zbiorze jego tekstów „Wężykiem, wężykiem, czyli utwory znalezione pod łóżkiem”) są trafne. Ale może nie ma się czemu dziwić?

A zatem skąd to „wężykiem, wężykiem”? To ze skeczu Tyma „Ucz się, Jasiu”. Cięte riposty tamtych czasów – np. „praw fizyki pan nie zmienisz”, „nie ucz pan ojca dzieci robić”, „nie bądź pan rura i nie pękaj” i oczywiście „wężykiem, wężykiem...” – właśnie stąd czerpaliśmy. Wiesław Michnikowski, Jan Kobuszewski i Wiesław Gołas mistrzowsko odgrywali ten skecz w kabarecie „Dudek”.

To ten skecz, przeczytajcie, warto. I zapewniam: tak właśnie było.

Ucz się, Jasiu

Obsada:
Klient (K) – Wiesław Michnikowski.
Pan Majster (M) – Jan Kobuszewski.
Jasiu (J) – Wiesław Gołas.
Tekst: Stanisław Tym.

Klient: Kran mi się zepsuł... Trzeba wstawić nową rurkę, kranik przelotowy i wyjście do baterii.

Majster *[chłodne spojrzenie, przekłada nogę na nogę]*: Masz Pan chwilkę czasu?

K: Mam.

M: No i patrz Pan, ze łba mnie wyszło. Jasiu! Jasiu!!!

[*Wchodzi Jasiu*].

Jasiu: Tak jest, Panie Majster.

M [*do klienta*]**:** Panie, obejrz Pan drzwi z tamtej strony, to znaczy, opuść Pan pomieszczenie pracownicze. Jak ja zawołam „EEE!”, to Pan wejdzie.

[*Jasiu piłuje rurkę*].

M: Jasiu! Jako mój uczeń kształcić się umiał na nauce. Co to jest, mój chłopcze?

J: To jest rura, Panie Majster.

M [*spokojnie*]**:** Tak jest. [*Krzyczy*]. A do czego jest ta rura?!

J: Ta rura jest do niczego.

M: Tak jest. Weź teraz kajecik, ołówek i pisz. Będzie lekcja teoretyczna: „Rozmowa z klientem”. EEE!

K: Więc, proszę Pana, pękła mi rura...

M: Zaraz, chwileczkę. A dzień dobry kto powie? Młodzież słucha, ona się uczy!

K: Dzień dobry. Więc proszę Pana, pękła mi rurka w zlewie. Trzeba wstawić nową rurkę, kranik przelotowy i wyjście do baterii.

M: Ale czy masz Pan chwilkę czasu?

K: Mam.

M: To idź Pan sobie do kina na jakiś film, co Pan jeszcze nie byłeś. [*Śmiech*]. Jasiu, podkreśl wężykiem, że to jest dowcip.

K: Proszę Pana, ale woda mi się leje!

M: I musi się lać! Dana woda podlegająca ciśnieniu napotykając na otwór, czyli szczelinę, wypływa. Praw fizyki Pan nie zmienisz, nie bądź Pan głąb. [*Do Jasia*] Głąb, zapisałeś?

J: Nie-bądź-Pan-głąb.

M: Teraz uważaj, będzie się stawiał!

K: Proszę Pana, ale ja muszę Pana uprzedzić, że ja mam gwarancję na naprawę tej rurki.

M: O, to zmienia postać rzeczy. Masz Pan tu książkę życzeń i zażaleń i pisz Pan, że Pan Majster odmawia wykonania naprawy gwarancyjnej.

K: Będzie Pan miał nieprzyjemności.

M: Kochany, wiesz, co oni mogą mi zrobić? [*histeryczny śmiech*] Jasiu, powiedz Panu.

J: Oni mogą Panu Majstrowi skoczyć. Tak?

M: Tak jest. Mogą mnie skoczyć.

K: A gdzie mogą Panu skoczyć?

M [*zniesmaczony ignorancją klienta*]**:** No Jasiu, powiedz Panu.

J: Oni mogą Panu Majstrowi skoczyć tam, gdzie Pan może Pana Majstra w dupę pocałować. Dobrze?

M: Tak jest. Z tym że, Jasiu, jeżeli używasz zwrotu: „Pan może Pana Majstra... pocałować”, zawsze zostawiaj takie niedomówienie. Więcej inteligientnie. [*Do klienta*] No pisz Pan to zażalenie i nie bądź Pan rura.

K: Jak to, ja mam nie być rura...

M: No, nie bądź Pan rura i nie pękaj Pan [*śmiech*].

J: Wężykiem?

M: Wężykiem, wężykiem.

K: Po co ja mam pisać, skoro wiem, że to i tak nic nie da.

M [*Do Jasia*]**:** O, będzie mięknął. [*Do klienta*] No dobrze, dobrze, blisko, blisko, kombinuj Pan, kombinuj. *[czeka]*

K: Proszę Pana, skoro Pan nie chce w ramach gwarancji, no to może tak jakoś... prywatnie!

M: Prywatnie?! [*Do Jasia*] To jest inna rozmowa. Pisz punkt drugi: robota prywatna. Po francusku: Travaille privaite. To jako ciekawostkie zawodową sobie zapisz.

[*Do klienta*] Więc słucham, o co się właściwie rozchodzi?

K: Więc proszę Pana, pękła mi rurka w zlewie. Trzeba wstawić nową rurkę, kranik przelotowy i wyjście do baterii.

M: Proszę Pana, nie ucz Pan ojca dzieci robić.

J: Wężykiem, wężykiem!

M: A jak!!! [*Do klienta*] Gdzie szanowny Pan zamieszkuje?

K: Przy placu Wolności.

M: [*Wstaje i patrzy klientowi prosto w oczy*]: Przy placu Wolności?...

K: A co? Nie wolno?

M: Nie, ale nie o to się rozchodzi...

K: Proszę Pana, ale ja Panu zapłacę!

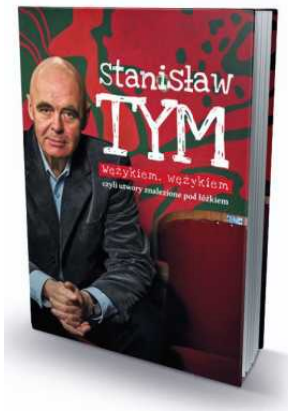
M: Pańskie pieniądze to ja...

K: Co?

M [*do Jasia*]**:** Niedomówienie. Jasiu, słuchaj tera uważnie. Weźmiesz rurkę, kranik przelotowy i pójdziesz na plac Zwycięstwa...

K: Wolności!

M: Cisza, tera ja mówię. [*Do Jasia*] Pójdziesz zatem na plac Zwycięstwa i założysz u tej Kowalskiej, ona już pół roku czeka.



• Stanisław Tym, **„Wężykiem, wężykiem, czyli utwory znalezione pod łóżkiem”,** Oficyna Wydawnicza Przybylik, Warszawa 2025

K: Ta, co te czekoladki przysyła i bilety do kina?

M: Ta sama, tylko mnie ze łba wyleciało, a tu Pan szanowny był łaskaw mi o niej przypomnieć.

K: Proszę Pana, to może przy okazji do mnie, to niedaleko. Woda mi się leje, a ja wie Pan, chciałem sobie kafelki założyć.

M: Kochany, Pan masz drobnomieszczańskie nawyki. Pan chciałbyś tak: mieć zimną wodę osobną, ciepłą osobno, szczelne rurki, kafelki, duperelki, kraniki, dywaniki. Chamstwo! [*Grozi palcem*] I drobnomieszczaństwo z Pana wylazło.

K: A Pan się zachowuje skandalicznie.

M: O kochany, nie znieważaj robotnika, któren wraz z chłopem i inteligentem pracującym stanowią zdrową siłę narodu. [*Do Jasia*]: Zapisałeś?

J: Ja to znam na pamięć.

M [*do klienta*]**:** Patrz Pan, taki szczyl i to zna na pamięć. A Pan? Pan nie zna. Bo Pan jest cham, ćwok, nieuk, swołosz i woda na młyn odwetowców ZBOR!

K: A Pan się zachowuje jak kelner, proszę Pana.

M: O Jasiu, pokaż Panu [*odsuwa krzesło*], jak się u nas zachowuje kelner przy pracy.

[*Jasiu tłucze klienta za sceną. Wraca*].

M: Nie zgrzałeś się?

J: Eee...

M: Weź kajecik, ołówek i pisz: Chamstwu w życiu... No jak piszesz chamstwo, no jak piszesz chamstwo?!

J: Tak, tak...

M: A może i dobrze. Chamstwu w życiu należy się przeciwstawiać siłom...

J: Siłą.

M: Siłom.

J: Siłą.

M: Siłom i godnościom osobistom.

J: I godnościom osobistom.

M: To była taka scenka kabaretowa do śmichu, bo wszyscy teraz lubią się pośmiać. Ale było i koniec. A teraz jak ktoś się zacznie śmiać, ten dostanie w ryj.

J: Wężykiem.

M: Tak jest!

Mętne łby

Można by pomyśleć, że książka „Wężykiem, wężykiem” to spisany w felietonach kabaret, ale to mylne wrażenie. To opis życia społeczno-politycznego, spraw tak istotnych, jak zaufanie do władzy, korupcja, złodziejstwo, kłamstwo. Oczywiście po tymowsku. Tym rozbawiał i zmuszał do myślenia tym samym tekstem.

Tym sam składał te felietony w całość, ale się rozchorował i nie był w stanie dokończyć pracy. Część miłośnicy Tyma znają, część to premiery. Zebrał je Marek Przybylik. -

Jest tu rozdział „Mętne łby”. Tytuł i pomysł Tym zapożyczył od Antoniego Słonimskiego (za jego zgodą). Słonimski („zawsze go podziwiałem” – wyznaje Tym) w 1928 r. w „Cyruliku Warszawskim” opublikował właśnie felieton „Mętne łby”, gdzie sportretował tych łbów 12.

Tym naszkicował 15, to typy charakterystyczne dla początków nowego tysiąclecia:

„1. Działacz ludowy, garbaty umysłowo mitoman. Głęboko wierzący, że tylko on potrafi rozwiązać dotąd nierozwiązane problemy. Bardzo chciałby zagrać Koziołka Matołka w filmie rysunkowym. Fenomenalny głuptas, aż rozkwita.

2. Poseł na Sejm. Konserwatysta, tradycjonalista, liberał postępowy i wszystkie inne organizacje. (...) Dobrze wychowany. Mówi »dzień dobry«, wchodząc do pustej windy. Grzeczny. Zawsze wszystkich przeprasza. Łukaszenkę za to, że Polacy go nie rozumieją.

3. Z wykształcenia dorożkarz, z zawodu wiceminister. Matoł na własne życzenie. Gdy miał 9 lat, widział słonia w zoo. Potem się dowiedział, że ten słoń był kupiony w Izraelu, więc napisał list do dyrektora zoo: »Polskie dzieci nie mają co jeść, a słoń żydowskiego pochodzenia...«. Chodzi na wszystkie zebrania i spotkania, zwłaszcza na te odwołane, gdzie chętnie zabiera głos.

4. Jedynak, stary kawaler. Dotąd nie spotkał tej, z którą związałby swój los.

5. Marksista-onanista umysłowy. Dwadzieścia sześć lat temu zapomniał napisać pracę magisterską, ale o tym zapomniał. (...) Bez nałogów i bez kompleksów, średni kretyn czesany z przedziałkiem.

6. Nieukończony fryzjer damski po kursach przyspieszonych, na które się nie dostał. Specjalność: trwała ondulacja łba własnego, a w zasadzie kory mózgowej. (...) Patriota – tak mówi sam o sobie. Nosi krawat z orłem, a orzeł nosi koronę.

7. Ogniomistrz w randze kapelmistrza i kapelmistrz w randze ogniomistrza. (...) Polityk z przypadku – wchodził do WC, ale pomylił drzwi i już tam został.

8. Działacz polityczno-społeczny, a dodatkowo magister ekonomii, czyli najgroźniejsze wykształcenie. Nic nie umie, a wie wszystko. Głupszy od samego siebie. Wykłada w kilku wyższych uczelniach najniższych i w dodatku bierze za to pieniądze.

9. Niegdyś właściwie ksiądz, ale teraz chyba w dalszym ciągu. Głęboko wierzący, że wiara przynosi góry – góry pieniędzy.

10. Opóźniony w rozwoju na peronie trzecim dyrektor jednej z central PKP. Autor hasła »PKP skraca ci czas podróży koleją, a wydłuża ci czas wolny od podróży«. Dwukrotnie żonaty, trzykrotnie rozwiedziony, z czego cztery razy nie z własnej winy.

11. Może to być prezes, może minister, ale może to też być poseł, generał, wicepremier, biskup... To facet z tej grupy, w której każdy bierze, co się trafi, i nie narzeka.

12. Dyrektor programowy lokalnego radia lub telewizji, ale także może to być redaktor naczelny ewentualnie prezes związku sportowego. Zasiada w licznych radach nadzorczych. Nic nie robi i z tego się utrzymuje. Głośno mówi, że lubi pieniądze, i dorzuca, że z wzajemnością.

13. Kobieta lwica. Pisze i jednocześnie ściera. Umie jeszcze mniej niż opisany tu powyżej dyrektor, więc – siłą rzeczy – lepiej się z tego utrzymuje. Lubi swój czar i wdzięk, dlatego jest stale roztrzepana. Zapomina i myli osoby. (...) Udziela się społecznie i współpracuje.

14. Facet-grządka narcyzów i przy tym samolot wielozadaniowy. Dwa w jednym. (...) Złośliwi mówią o nim, że jest pełen próżności. Entuzjaści kontrują, że skoro jest pełny, to nie może być próżny. Lata i biega, bo nie ma czasu chodzić przy licznych obowiązkach, które sobie wziął na piękny, mętny łeb.

15. Działacz ludowy herbu »Łeb w gipsie«. Zaczynał jako kura. (...) Z prostej kury obrósł w piórka i został stadem kur, a potem wydźwignął się na p.o. osła. Wszechstronny dureń, które to obowiązki pełni do dziś. Był trochę chory, ale czytał książki (Goebbelsa) i wyzdrowiał”.

Tym szykował portreciki przyszłych „mętnych łbów”. Bo, miał słuszną intuicję, stale ich przybywa. ●

eprasa.pl d324f0b119

POD ZNAKIEM MENORY



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

Kraj/34438707

eprasa.pl d324f0b119



ZWYCZAJNA kobieta W CZASACH RYCERZY

Nie chcę mitologizować średniowiecza, ale w różnych obszarach dawało kobietom możliwości, które potem zostały im odebrane.

Z **ANNĄ BRZEZIŃSKĄ** ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

eprasa.pl d324f0b119

DOROTA WODECKA: Tytuł twojej nowej książki „Cierpliwe Genowefy, bezwstydne Magdaleny” odwołuje się do mitu, że kobieta może być albo dziewicą, albo dziwką. Jak to możliwe, że myślący, jak mniemam, ludzie tak powszechnie mu ulegali.
ANNA BRZEZIŃSKA, mediewistka, pisarka, publicystka: Na to pytanie odpowiada jedna z moich bohaterek, Christine de Pizan, pierwsza kobieta w Europie, która utrzymuje się z pracy literackiej. Zakłada nawet własne skryptorium, gdzie jej prace są kopiowane i ilustrowane. Jako pierwsza zabiera głos w toczonym przez stulecia sporze o naturę kobiet. W swoich tekstach przedstawia je nie jako obiekty pożądania czy uwielbienia, lecz jako osoby obdarzone rozumem i dążące do cnoty. Pisze, że książki, których autorami są mężczyźni, ukazują je jako istoty słabe, głupie i lubieżne, co może jej zdaniem oznaczać tylko to, że znają wyłącznie takie kobiety. I nie dość, że smarują o nich krzywdzące książki, to jeszcze podsuwają je kolejnym pokoleniom mężczyzn, przekonując, że tak wygląda świat.

Krystyna dostrzega w tym reprodukowanie modelu przesyconego nienawiścią, wykreowanego w oderwaniu od prawdziwego życia.

Używając języka współczesności, jest feministką?
– Christine de Pizan opisuje średniowieczną manosferę, czyli wychowanków uniwersytetów, które wtedy są przestrzeniami fundamentalnie męskimi. Mężczyźni trafiają na nie jako chłopcy, dwunastoletni albo nawet młodsi, i raptem wokół nich nie ma żadnych kobiet oprócz praczek i ladacznic. Nie ma mamy, która ich przytuli, kiedy stłuką sobie kolano, i poda jabłuszko z zapewnieniem, że wszystko będzie dobrze. Jest grzeszna Ewa, która skuszona przez Szatana zrywa jabłko z zakazanego drzewa.

Przecież mężczyźni mają matki i siostry.
– Mam wrażenie, że w średniowiecznych rodzinach często obowiązuje dwumyślenie, bo stereotyp jest nieustannie konfrontowany z codziennością. Jest więc Ewa, która sięga po jabłko, wprowadzając grzech i śmierć w historię ludzkości, ale są też żona i mama, z której mężowie i synowie są dumni. Przywołuję w mojej książce Katelijne Michiels z Leuven, na którą w 1461 roku nastają członkowie cechu rzeźników. Kobieta prowadzi samodzielną działalność gospodarczą i sprzedaje flaki, pieczyste, solone mięsiwo i kaszankę. Wprawdzie wedle moralistów wszystkie kobiety są „słabe intelektualnie i moralnie”, to jednak gdy Katelijne zabrania się handlować podrobami, jej mąż idzie do sądu i upomina się o prawa swojej żony. Znacznie później jej syn, również przed sądem, opowiada z dumą o matce handlującej kaszanką i flakami. Nie próbuję obwiniać matek o wszystko, co złe w zachowaniu mężczyzn. Próbuję powiedzieć, że mamy wpływ na to, w jaki sposób myślą. Nie tylko przez wychowanie instytucjonalne czy książki, które dajemy im do czytania, ale też przez wzorce rodzinne i stosunek do kobiet, który wyniosą z domu.

Tekst o rzeźniczce z Leuven ilustruje to, że model kobiety „słabej intelektualnie i moralnie” nie determinował życia rodzinnego i nie musiał odbierać kobietom znaczenia ani władzy.

O jakiej władzy mówisz?
– Podstawowym źródłem władzy kobiety w średniowieczu jest jej rola żony i matki. Nawet jeśli cały jej majątek jest pod zarządem męża, to jednak każda jest gospodynią w swoim domu. To zaś oznacza, że ma obowiązek żywić i leczyć wszystkich domowników, a także zapewnić im odzienie. Pomaga w polu i pracuje w warsztacie męża, a dzięki nadwyżkom, które posiada – jajkom, serom, przędzy czy ziołom – może stworzyć sobie system wsparcia, przysług, wymiany i kontaktów.

Nie może być w sądzie poręczycielką ani pełnomocniczką prawną, ale jeżeli jej mąż wyjedzie daleko albo umrze, może występować jako jego pełnomocniczka i opiekunka dziecka oraz jego spuścizny. To są bardzo ważne role dające poczucie sprawstwa i władzy.

Czy konkubiny też miały władzę podobną do tej żon? Zdziwiło mnie, że w średniowieczu konkubinaty były prawnie legalizowane, a w XXI wieku słowo „konkubina” czy „konkubent” wciąż kojarzy się z patologią.
– Już prawo rzymskie uznaje konkubinat za stabilny związek mężczyzny i kobiety, w którym partnerów łączy nie tylko pożądanie, ale też miłość małżeńska.

◂ **Krystyna de Pizan (1364-1430) wręcza swoją książkę królowej Francji Izabeli Bawarskiej (1371-1435). Iluminowana miniatura z „Księgi Królowej”, zawierającej dzieła Krystyny, pierwszej kobiety utrzymującej się z pisania**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

I jak czytam, nie trzeba go było legalizować. Istniał bowiem zapis, że jeżeli kobieta mieszka z mężczyzną przez rok i nie oddala się z domu na dłużej niż cztery dni w roku, to po roku jest uznawana za jego żonę.
– Średniowiecze też zna takie pomysły, mimo że Kościół stara się przekonać społeczeństwo, że jedynym godnym aprobaty związkiem mężczyzny i kobiety jest małżeństwo. Ale dla świeckich granica między małżeństwem a pożyciem nie jest całkiem oczywista. W XIII wieku król Portugalii Dionizy I publikuje prawo opierające się na konsensualnej teorii małżeństwa, co oznaczało, że do jego zawarcia niepotrzebni są świadkowie, obecność duchownego czy kontrakty notarialne, które odgrywały istotną rolę we Włoszech. Małżeństwo portugalskie ma charakter prywatny i opiera się na zgodzie dwóch osób. Jeżeli te dwie osoby przemieszkają ze sobą siedem lat i dokonają choć jednej wspólnej transakcji finansowej, czyli wezmą jeden kredyt na mieszkanie, tłumacząc na nasze, są w oczach prawa mężem i żoną. Dziedziczą tak, jak dziedziczą mąż i żona, a ich dzieci pozostają dziećmi z prawego łoża. I pomyśleć, że my się zastanawiamy nad związkami cywilnymi.

Już się nie zastanawiamy, bo prezydent zawetował. W konkubinatach legalizowanych notarialnie w Italii albo na Półwyspie Iberyjskim na określony czas partnerzy mają zagwarantowane prawa i obowiązki.
– Moi bohaterowie, którzy podpisują kontrakt przed notariuszem, dzielą się stołem, łożem i odpowiedzialnością. Anthon deklaruje, że weźmie odpowiedzialność finansową za ich wspólne dzieci, jeśli się ich dorobią, i zobowiązuje się, że przy rozstaniu Maria otrzyma od niego 300 sueldos, ale tylko wtedy, gdy podczas trwania kontraktu będzie z nim żyła i dotrzyma mu wierności. Ona zaś oświadcza, że jeśli złamie ten warunek, pozwoli Anthonowi zabrać wszystko, co jej obiecał. Ale nie każdy konkubinat jest legalizowany, a wtedy, gdy się kończy, przyszłość kobiety jest niepewna. Z drugiej strony, jeśli w konkubinacie źle się dzieje, kobieta może odejść i szukać poprawy losu w przeciwieństwie do żony, która może jedynie walczyć w sądzie o separację.

Konkubinat jest jednak powszechną formą związków, szczególnie wśród wieśniaków i biedniejszych mieszkańców miast, którzy nie dali się przekonać Kościołowi, że cudzołóstwo popchnie ich w ogień piekielny. Nie przywiązują wagi do dziewictwa i nie budują koncepcji honoru kobiety wyłącznie wokół cnoty. Na południu Europy konkubinat od małżeństwa różni się tylko tym, że kobieta nie wnosi do związku posagu. Kościół nie uznaje jej za żonę, chociaż ona zachowuje się jak żona: dochowuje wierności jednemu partnerowi, rodzi mu dzieci, pierze, sprząta, gotuje, pracuje w polu i tak dalej. Często opisywano konkubinaty w retoryce przyjaźni, trochę na wzór współczesnego friends with benefits.

Niektóre idee, które nam się wydają bezprecedensowym owocem nowoczesności, wcale nie są ani takie bezprecedensowe, ani takie nowoczesne. To jest jedna z moich głównych myśli związanych z tą książką.

Sprawstwo twoich średniowiecznych bohaterek również może być zaskakujące. Wydaje się bowiem, że na wzór matki Chrystusa powinny być skromne, powściągliwe i pokorne, co nijak ma się do przebojowości i konieczności zabiegania o dobro swoje i swoich bliskich.
– Bycie gospodynią otwiera ścieżki do działalności gospodarczej, z czego korzysta Vannozza Catanei, kochanka papieża Aleksandra VI i matka czwórki jego dzieci, która buduje w Rzymie imperium hotelarskie.

Z takim protektorem to chyba nie jest trudne.
– Pierwsze pieniądze na biznes ma prawdopodobnie właśnie od Rodrigo Borgii, czyli papieża Aleksandra VI, ale z małżeństwa na małżeństwo, a zawiera ich trzy, widać wyraźnie, że przyrasta jej osobisty majątek. Kobiet, które wykorzystują swoją tradycyjną rolę gospodyni do prowadzenia działalności gospodarczej, jest więcej, mimo że to nie są czasy równouprawnienia. O niektórych z nich napisałam.

Masz imponującą wiedzę i zastanawiam się, czy podczas pracy nad „Genowefami i Magdalenami” była szansa, by zaskoczył cię jakiś żywot.
– Oczywiście. Jesteśmy uczeni, że w średniowieczu kobiety nie pełniły urzędów i były wykluczone z pełnienia funkcji publicznych czy wykonywania zawodów zaufania publicznego. Tymczasem ogromnym zaskoczeniem były dla mnie kobiety na urzędach, czyli pisarki śląskie, oraz skala działalności gospodarczej beginek. Oczywiście znałam beginki, ale w kontekstach związanych z religijnością i herezją. Piszę o Marguerite Porete, która spłonęła w Paryżu na stosie jako autorka słynnego traktatu mistycznego „Zwierciadło duszy”, tekstu bardzo wpływowego i tłumaczonego na wiele języków. De facto jest to podręcznik zbawienia z pominięciem Kościoła i duchownych jako szafarzy sakramentów. Nie wiedziałam natomiast, że beginki w Paryżu były potęgą w produkcji jedwabiu i sukna. Albo że mniszki z Florencji inwestowały w dług publiczny, bo takie instrumenty finansowe istniały w średniowiecznej Italii. Moim zdaniem wciąż za mało wiemy o historii gospodarczej tej epoki.

Historia wilhelmitów jest jedynym znanym mi przypadkiem, kiedy ktoś mówi wprost, że skoro wam, chłopaki, nie poszło z tym zbawieniem przez 1300 lat, to teraz kobiety stworzą Kościół i staną na jego czele

Twoja książka wzięła się między z innymi z potrzeby obalenia stereotypów, którymi obiegowo opisuje się średniowiecze.
– Ta epoka cierpi z powodu dwóch podstawowych stereotypów. Pierwszy z nich jest bardzo głęboki, dotyczy „mroków średniowiecznych” i jesteśmy go w stanie prześledzić aż do Petrarki, który z pogardą nazwał ciemnością epokę, która nastała po upadku antycznego Rzymu. O ironio, tę metaforę Petrarka ukradł pisarzom chrześcijańskim, dla których to pogaństwo było polem mroku, w którym rozbłysło światło nadziei i Dobrej Nowiny, czyli zbawczej misji Chrystusa.

Myśl tę rozwijali kolejni miłośnicy Petrarki i humaniści, którzy byli przekonani, że odkrywają prawdziwy antyk.

Średniowiecze go wyparło?
– Nie, raczej go zmieniło. Łacina pozostaje językiem liturgii, ale dostosowuje się do czasów. Nie jest już piękną, cycerońską frazą, barbaryzuje się, opisuje nowy świat, zmieniają się słownictwo i krój liter, ale łacina pozostaje językiem wiedzy i wiary i pod tym względem ciągłość z antykiem zostaje zachowana. Średniowiecze było też pełne nawiązań do mitów antycznych. Praktycznie każda dynastia usiłuje zakorzenić swoją historię w antyku, co na naszym gruncie czyni kronikarz Wincenty Kadłubek, łącząc początki polskiej państwowości z tradycją rzymską. Co druga dynastia upatruje swoich przodków wśród bohaterów „Iliady”. Jej bohaterowie bardzo by się zdziwili, ileż to mieli progenitury rozsianej po całej Europie.

eprasa.pl d324f0b119

Humaniści zanegowali ten przetworzony obraz antyku, w którym Hektor i Achilles byli najwspanialszymi rycerzami na świecie, i rozpoczęli wielkie polowanie na starożytne manuskrypty poukrywane w klasztornych skryptoriach. Chcieli dotrzeć do oryginałów i czytać pogańskich mistrzów bez żadnych poprawek i przekształceń, próbując przeskoczyć ponad dziedzictwem średniowiecza i odkryć prawdziwy antyk. Dla nich to średniowiecze było czasem mroku.

A drugi stereotyp?
– Pochodzi z naszych czasów i jest związany z paradygmatem postępu. Lubimy patrzeć na dzieje przez jego pryzmat i wnioskujemy, że skoro nastał lepszy czas, to poprzedni musiał być gorszy.

W oświeceniu łatwo było pisać pozytywnie o humanizmie, bo widziano w nim początki wartości mieszczańskich, kapitalistycznych i świeckich, uznając tym samym średniowiecze za epokę kościelnych zabobonów i feudalnej ciemnoty, kiedy palono czarownice, co też jest nieprawdą, bo paliła je nowożytność. Jeśli spojrzeć na podręczniki szkolne, to ten paradygmat postępu obowiązuje do dziś i łudzi naszą wyobraźnię.

Bardzo wyraźnie widać to w działce, którą uprawiam, czyli w prawach kobiet. Ich sytuacja w średniowieczu była lepsza niż w epoce wczesnonowożytnej, także dlatego że średniowieczne państwa nie były jeszcze na tyle silne i nie posiadały wystarczająco sprawnej administracji, by wkraczać mocno w przestrzeń obyczajową i dyscyplinować niepokornych obywateli.

Przecież regulowały, ile sukien i w jakim kolorze może mieć kobieta. W Bolonii kardynał Bessarion zakazał kobietom noszenia brokatu i tkanin ze złotą lub srebrną nicią. Podzielił je na cztery grupy według statusu społecznego i zarządził, na ile odziewków mogą sobie pozwolić.
– Średniowiecze było hierarchiczne i miało to odbicie w najróżniejszych dziedzinach życia, także w strojach. Żony lub córki rycerzy, doktorów prawa i medycyny mogą więc w Bolonii posiadać po trzy stroje ze szkarłatnego jedwabiu i jeden ze szkarłatnego sukna. Żony lub córki notariuszy lub bankierów, kupców jedwabnych lub wełnianych mogą mieć w garderobie po dwa stroje z jedwabnego szkarłatu. Im niższy status, tym mniej szkarłatu, wieśniaczki nie mogą sobie pozwolić nawet na jego skrawek. Oprócz strojów regulowano też eksponowanie klejnotów.

W Bolonii w kwestie ubioru ingeruje Kościół, bo jesteśmy w państwie kościelnym. Ale gdybyśmy byli w Genui, Sienie, Krakowie czy we Wrocławiu, to już nie Kościół, ale władza świecka wtrąca się w fatałaszki.

Skąd ten sprzeciw?
– Nie pamiętasz stosów próżności we Florencji, na których w czasach Savonaroli płonęły przedmioty zbytkowne i dzieła sztuki? Dominikański kaznodzieja widział w nich wyraz pychy i dowód, że obywatele zajmują się marnościami świata, zamiast żyć skromnie, pokutować i mieć nadzieję na życie wieczne. Ale zbytek potępiano też ze świeckich powodów. W republikach miejskich, takich jak Florencja, Siena czy Wenecja, uważano, że kasa powinna krążyć, przysparzać zysków, a nie grzęznąć w kobiecych strojach, które są bardzo drogie. Z tego powodu zresztą w nieskończoność je przerabiano, robiły to nawet królowe. Istniały też lumpeksy, one nie są wymysłem naszych czasów. Na przykład we Florencji jest całkiem wpływowy cech kupców handlujących ciuchami z drugiej ręki, tłumacząc na współczesne.

Władze republik miejskich usiłują więc ograniczać zbytek indywidualny, który kojarzy im się z arystokratycznym próżniactwem i rozrzutnością, a nie mieszczańskimi wartościami, takimi jak oszczędność i pracowitość. Równocześnie mocno dowartościowują przepych publiczny przejawiający się w gmachach miejskich i uroczystościach publicznych.

Przywołujesz w swojej książce regulacje dotyczące liczby gości zapraszanych na rodzinne uroczystości, takie jak chrzty czy śluby. Dlaczego państwo się w ogóle tym zajmowało?
– Dlatego że te uroczystości mają kontekst polityczny. Pozwalają jednym obywatelom obnosić się z dostatkiem i wynosić ponad innych, ale służą też temu, żeby aktualna opozycja mogła się zebrać i knuć. Średniowieczne włoskie miasta są laboratoriami spisków. Ale kolejny raz poszłyśmy w dygresje.



• **Vannozza Catanei (1442-1518), kochanka papieża Aleksandra VI i matka czwórki jego dzieci. Autor portretu: Innocenzo di Pietro Francucci da Imoli**
FOT. ZBIORY GALERII BORGHESE

We wcześniejszym piśmiennictwie chrześcijańskim pojawiają się głosy, że jeżeli mężczyzna nadmiernie kocha swoją żonę, to grzeszy z nią, czyni z niej ladacznicę

Nie sądzisz, że na nich opierają się ciekawe opowieści?
– Na pewno, ale chciałabym jednak dokończyć wątek dotyczący praw kobiet, tym razem ekonomicznych. Średniowieczne sądy potrafią dostrzec przemoc ekonomiczną. Mąż ma obowiązek utrzymywać żonę, a jeśli się z niego nie wywiązuje, niektóre lokalne prawa pozwalają żonie oskarżyć go przed sądem o zaniechanie, a nawet zażądać wydania swojego posagu i zacząć nim samodzielnie zarządzać. Poza tym miłosierdzie jest uważane za wartość, w związku z czym grzesznicy mają się przede wszystkim nawrócić i odpokutować, ale też persones miserabilis, czyli osoby słabe, takie jak wdowy, dzieci, pielgrzymi, są pod szczególną opieką Kościoła, co przekłada się również na opiekę świecką. Nie chcę mitologizować epoki, ale podkreślam, że w różnych obszarach dawała kobietom możliwości, które potem zostały im odebrane.

Przywołujesz gwałt zbiorowy na niemej Lucii, zwanej Mutą. Jej oprawcy zostali przykładnie ukarani przez sąd w Bolonii. Czy istniała w prawie kategoria gwałtu małżeńskiego?
– Nie istniała, dlatego że w małżeństwie ciała należą nawzajem do małżonków. I zarówno żona ma prawo do ciała męża, jak i mąż ma prawo do ciała żony. Przyznam jednak, że w źródłach częściej widziałam mężów pragnących korzystać z ciała żony.

Seks w średniowiecznej Europie był przyjemnością czy, tak jak chce go widzieć Kościół, „narzędziem prokreacji”?
– We wcześniejszym piśmiennictwie chrześcijańskim pojawiają się głosy, że jeżeli mężczyzna nadmiernie kocha swoją żonę, to grzeszy z nią, czyni z niej ladacznicę, ale im dalej w średniowiecze, tym bardziej to się zmienia i miłość małżeńska jest coraz mocniej dowartościowywana. Poza tym na postrzeganie kobiecej rozkoszy wpływała teoria podwójnego nasienia, która jak wszystko w życiu jest mieczem obosiecznym. To bardzo wpływowa teoria medyczna, zakorzeniona jeszcze w pismach rzymskiego lekarza Galena, mówiąca o tym, że do poczęcia dziecka konieczne jest wyemitowanie przez kobietę odpowiednika męskiego nasienia. By tak się stało, musi ona odczuwać przyjemność. Ergo – czasami przykazuje się mężczyznom, że powinni dostarczać kobiecie seksualnej przyjemności, oczywiście w zbożnym celu przedłużenia rodu. W prywatnych komnatach włoskich mieszczan pojawiają się sugestywne malowidła i przedmioty z majoliki, które przynależą do sztuki erotycznej.

Gdzie jest haczyk w tej historii?
– Jeżeli kobieta odczuwa przyjemność w momencie, kiedy dochodzi do poczęcia, to trudno jej argumentować, że została zgwałcona, jeżeli wskutek gwałtu zaszła w ciążę.

Ta teoria wpływa na publiczne postrzeganie ciąży aż do naszych czasów, bo zdarza mi się słyszeć takie opinie, że skoro zgwałcona kobieta zaszła w ciążę, to gwałtu nie było. Osoby wygłaszające je nie wiedzą, że przybredzają po galeńsku.

Bohaterkami twoich opowieści są kobiety zajmujące się prozą codzienności, biznesem, wykonujące zawody zaufania publicznego, jak położne z Norymbergi czy praktykujące medyczki. Są też autorki traktatów krytykujących nierówność płci i Kościół, beginki, które służą ludziom, ale nie składają ślubów, mieszkają w domach prywatnych i pielęgnują swoją wolność poza Kościołem. Są mistyczki, które doczekały się własnych hagiografów, ale w małżeństwie nie wywalczyły sobie wolności.
– Twoja imienniczka, Dorota z Mątowów, wielka mistyczka, musi spełniać obowiązki małżeńskie, mimo że to dla niej dopust boży. Pisząc o niej, chciałam pokazać zwykłą dziewczynę, która marzy o świętości i szamocze się pomiędzy swoimi pragnieniami a losem, który wybiera dla niej rodzina. Brat znalazł jej dobrego kandydata na męża, bogatego rzemieślnika mieszkającego przy ulicy Długiej w Gdańsku. To nie jest zły adres nawet dzisiaj, prawda? Ale co z tego? Kiedy on marzy o młodej, płodnej żonie, która ogarnie wszystko w domu i warsztacie i urodzi tuzin dzieciaków, ona marzy o tym, żeby móc się modlić przez całe życie, co zresztą robi. Rozmawia z Chrystusem częściej i dłużej niż z własnym mężem. I w efekcie mamy dwie bardzo głęboko nieszczęśliwe osoby. Dorotę i Wojciecha, który dostał za żonę świętą, a życie ze świętą nie należy do łatwych.

Anna Brzezińska

• pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka. Ukończyła historię na KUL oraz mediewistykę na Central European University w Budapeszcie. Autorka m.in. powieści „Córki Wawelu”, „Woda na sicie. Apokryf czarownicy”, „Mgły”, eseistycznego „Zmierzchu świata rycerzy” oraz wielu zbiorów opowiadań. Trzykrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla. Stała felietonistka „Ale Historia”.

eprasa.pl d324f0b119

Wyjątkową pośród twoich bohaterek wydała mi się Maifreda de Pirovano, pierwsza papieżyca, prawdziwa, a nie legendarna jak Joanna.
– Historia wilhelmitów jest jedynym znanym mi przypadkiem, kiedy ktoś mówi wprost, że skoro wam, chłopaki, nie poszło z tym zbawieniem przez 1300 lat, to teraz kobiety stworzą Kościół i staną na jego czele.

Członkowie tej sekty wierzyli, że zmarła w 1281 roku Guglielma, czyli Wilhelmina, była wcieleniem Ducha Świętego. Albo Duchini. Nie wiem, jak to powiedzieć.
– Ja używam słowa duszyca. Mainfreda i Andrea Saramita, świecki pełnomocnik cystersów z klasztoru w Chiaravalle, którego Guglielma miała uważać za swojego duchowego syna, przekształcają w heretycki kult pamięć o kobiecie, która przez wiele lat mieszka w Mediolanie, gdzie żyje skromnie i pobożnie. Opiekuje się potrzebującymi i naucza, głównie kobiety, o miłości bliźniego. Nie wydaje się, by występowała wtedy przeciw naukom Kościoła. Była przecież pod opieką cystersów, a kiedy zmarła w glorii świętości, pochowali ją na terenie opactwa, traktując jako potencjalną świętą. Maifreda de Pirovano i Andrea Saramita przebóstwiają tę postać, by stworzyć własny heretycki Kościół, liturgię i święte pisma. Nauczają, że w osobie Wilhelminy dokonało się nowe wcielenie, wcielenie Ducha Świętego będące konsekwencją zepsucia toczącego Kościół.

Napisałam o niej, by pokazać, że w średniowieczu istniały idee mówiące o tym, że kobiety w instytucjonalnym Kościele mają do odegrania ważną rolę, co współcześnie bywa bardzo kontestowane. Pamiętasz, jaki podniósł się w styczniu wrzask, kiedy w Kościele anglikańskim arcybiskupką Cantenbury została Sarah Mullally? A tutaj na białym koniu wjeżdża papieżyca Maifreda de Pirovano i mówi: hola, hola, myśmy w tym ciemnym średniowieczu nawet mieli duszycę świętą, czyli Wilhelminę.

Dlaczego zajęłaś się średniowieczem?
– Przez całe dzieciństwo czytałam książki o starożytności i chciałam być hetytolożką. W liceum zaczęłam się uczyć jednego z hetyckich języków ze zdobytego z trudem niemieckiego podręcznika. Kiedy szłam na studia, mieszkaliśmy w Lublinie, więc do wyboru były dwa uniwersytety: UMCS i KUL. I na UMCS-ie tłukli historię rzymską, która mnie nigdy nie interesowała, więc pomyślałam, że pójdę na KUL. Dostałam się, a potem odbył się pierwszy wykład z profesorem Edwardem Zwolskim, który przez półtorej godziny mówił o wędrówce rdzenia „su” przez języki indoeuropejskie.

Półtorej godziny o jednej sylabie?
– Właśnie. Zaczęło do mnie docierać, że będę musiała w tej starożytności wkuć nie wiadomo ile języków, a zdobywanie kompetencji lingwistycznych nie jest moją mocną stroną. W średniowieczu najistotniejszy jest jeden język, łacina, więc pomyślałam, że jakoś dam radę. Życie szykuje nam jednak przewrotne niespodzianki. Zorientowałam się, że nasze najlepsze seminarium średniowieczne prowadzi świetna naukowczyni, siostra profesorka Urszula Borkowska, która zajmowała się Jagiellonami. Więc i ja, siedząc okrakiem na krawędzi średniowiecza, zajęłam się Jagiellonami, a ci złośliwie wydawali swoje córki po okolicy, więc chcąc nie chcąc musiałam analizować źródła po węgiersku, niemiecku i litewsku. Nie można uciec przeznaczeniu.

Nie wiem, czy mogę sobie pozwolić na takie wyznanie, ale uwielbiam cię słuchać, czytać twoje książki, felietony i historie, które zamieszczasz na Facebooku.
– Zaczęłam publikować na Facebooku, bo zirytowałam się na świat w czasie strajku nauczycieli. Przeraziło mnie, jak łatwo jednych ludzi poszczuć na innych ludzi, używając tradycji i przeszłości. Nie pochodzę z rodziny nauczycielskiej, ale widziałam, jak rozwalany jest ważny dla mnie etos. Pomyślałam, że jako twórczyni niewiele mogę zdziałać, podobnie zresztą jako historyczka. Poza momentem głosowania w wyborach nie jestem w stanie wpłynąć na to, jak będzie wyglądała debata publiczna w Polsce, ale mogę spróbować pokazać ludziom, że przeszłość i tradycja mieszczą bardzo wiele różnych postaw. I wtedy zaczęłam prowadzić ten profil jako mój osobisty przejaw buntu. Chciałam czuć, że nie jestem zupełnie bezradna wobec tego, co się dzieje. Teraz właściwie prowadzę tam na dość dużą skalę warsztaty z interpretacji źródeł oraz pokazuję, jak fakty oddzielają się od interpretacji. Zdolność do rozróżnienia pierwszych od drugich jest kluczową umiejętnością we współczesnym świecie. Promując „Cierpliwe Genowefy, bezwstydne Magdaleny”, słyszę od wielu dziennikarzy, że znają mnie z Facebooka, co też jest zabawnym doświadczeniem.

Dlaczego?
– Bo dla wielu jestem facebookową autorką, a wydałam właśnie czternastą książkę.

Napisałaś, do jakiej tragedii mogą doprowadzić podsycane przez polityków prawicy nastroje antyukraińskie.
– Napisałam o Evil May Day, czyli rzezi włoskich kupców w Londynie. Bogaci kupcy angielscy, którzy rywalizowali z bogatymi kupcami włoskimi, w pogarszającej się sytuacji gospodarczej, wykorzystując stereotypy, zdołali popchnąć angielskich czeladników i pospólstwo do mordowania Włochów i plądrowania ich sklepów. Wykorzystali historię Grimaldiego, czyli Włocha, który w ówczesnej literaturze popularnej oszukuje, kradnie i uwodzi oraz porzuca „nasze” Angielki. Brzmi znajomo, prawda? Sięganie po „nasze kobiety” jest jednym z toposów wykorzystywanych przeciwko obcym. Jesteśmy w takim momencie, kiedy wybierane są grupy społeczne, na które przekierowana jest nienawiść w takiej formie katarktycznej wręcz. Byli taką grupą nauczyciele, lekarze, LGBT, a teraz są Ukraińcy.

Wychowywałam się na Dolnym Śląsku. Moja rodzina pochodzi spod Stanisławowa, przeszła przez rzezie, co jest częścią mojej pamięci rodzinnej. Ale nie wyobrażam sobie, żeby moja babcia, która uciekała z maleńkim dzieckiem przed UPA w kartoflisko, chciała teraz odgrywać się na innych kobietach, które, na Boga, też uciekły ze swoich domów z dzieckiem na ręku.

Łatwo rozhuśtać nastroje społeczne i doprowadzić do wybuchu przemocy. Dlatego warto pamiętać, że przeszłość nieustannie jest redefiniowana w tradycji, pamięci zbiorowej, polityce historycznej i wreszcie propagandzie w taki sposób, żeby dostarczyła narzędzi do interpretowania teraźniejszości. Historia nie jest niewinną nauką. ●



Cierpliwe Genowefy, bezwstydne Magdaleny

Anna Brzezińska
Marginesy 2026

Jasne strony dziejów

Szczęśliwe stolice

Budapeszt już w XIX wieku został stolicą, Praga kilkadziesiąt lat później, Zagrzeb i Lublana w 1991 roku, a Kraków całkiem wypadł z tej listy.

Brzeziecki



Czesi z politycznych porażek wyciągnęli lekcję „taktyki małych kroków i walki o drobiazgi”. Zadbali choćby o renowację praskich zabytków, nadając im czeski sznyt.

Gdy popularne destynacje polskich wczasowiczów typu all-inclusive zagrożone są irańskimi dronami, a na zachodzie Europy panują nieznośne upały, szeroko rozumiana Europa Środkowa wydaje się oazą spokoju. Na stosunkowo niewielkiej przestrzeni nagromadziło się tu tyle różnorodności, że na ich odkrywanie poświęcić można całe lata. Z pomocą przychodzi tu krakowskie Międzynarodowe Centrum Kultury i jego wydawnictwa. W ostatnich miesiącach ukazały się w ramach serii Biblioteka Europy Środka, dwie niesamowite książki: Macieja Janowskiego „Karpaty. Opowieść o pewnych górach” i Łukasza Galuska „Wyobrażone stolice. Miasta monarchii habsburskiej jako centra narodów 1815-1918”.

O książce poświęconej Karpatom rozmawiałem z autorem na łamach „Ale Historia”. Dodam jedynie, że jego dzieło już porównuje się z pracą Fernanda Braudela o Morzu Śródziemnym. Sam autor skromnie stwierdził na łamach portalu PAN „Academia”: „Nie porównuję się do Braudela, który był jednym z największych historyków XX wieku, ale miałem podobne przekonanie, że istnieją pewne warunki naturalne, historyczne i kulturowe, które pozwalają spojrzeć na Karpaty jako na całość”.

Kto jednak od znoju górskich wycieczek woli teatry i kawiarnie, niech zejdzie na równiny i sięgnie po „Stolice Wyobrażone” Łukasza Galuska. Tematyka geograficzna obu książek nie pokrywa się w stu procentach, a jednak wspaniale się one uzupełniają. Jeśli Janowski bada „górskość”, to Galusek przygląda się „stołeczności”. Sprawa wcale nieoczywista, bo wiele czynników wpływa na to, dlaczego dane miasto staje się stolicą.

Galusek, historyk, architekt i wybitny znawca Europy Środkowej, opisuje miasta, które w okresie stu lat, od kongresu wiedeńskiego do upadku imperium Habsburgów, wybiły się na stołeczność. Budapeszt dość szybko, bo jeszcze w XIX wieku osiągnął oficjalny status, Praga kilkadziesiąt lat później, a Zagrzeb i Lublana musiały czekać do 1991 roku. Losy Preszburga/Bratysławy są bardziej skomplikowane i niemniej ciekawe – bo przez pewien czas centrum narodowego odrodzenia Słowaków był maleńki Martin. A taki Kraków, który w XIX wieku odgrywał taką rolę, w ogóle musiał wypaść z listy, bo tytuł oficjalnej stolicy przypadł w 1918 roku Warszawie. Gród Kraka musiał zadowolić się tytułem kulturalnej stolicy Polski, który ostatnio traci na rzecz tytułu jarmarczno-biesiadno-balangowej stolicy turystycznej tandety. W książce Galuska (wydanej zresztą w Krakowie) o tym mieście jest jednak całkiem sporo.

Różne to miasta – wielki Budapeszt i maleńka Lublana. Galusek ze znawstwem i swadą opisuje, jak ośrodki te, rozpoznając szansę, jaką dało liberalne imperium Habsburgów, choćby w postaci samorządu, świadomie budowały swoją wyobrażoną stołeczność, by w odpowiednim momencie ukoronować ją formalnym statusem. Środkowoeuropejskie narody bez państw, politycznej (z wyjątkiem Węgrów) i ekonomicznej siły stawiały na kulturę, architekturę, symbolikę. Fundowały muzea, budowały teatry i pomniki, wokół których organizowała się narodowa i polityczna moc. Przestrzeń miejska nasycała się znaczeniami. Czesi, jak pisze Galusek, z politycznych porażek wyciągnęli lekcję „taktyki małych kroków i walki o drobiazgi”. Zadbali choćby o renowację praskich zabytków, przy okazji nadając im czeski sznyt.

Ciekawie na tym tle wypada sam Wiedeń. Miasta regionu zarazem starały się mu przeciwstawić, jak i się z konieczności na nim wzorowały. „Węgrzy wierzyli, że Budapeszt jest lepszym Wiedniem” – pisze Galusek.

Ale jak się okazuje i dla samych Austriaków Wiedeń stał się problematyczny. Jako centrum wielonarodowego imperium tracił austriackość.

Wiele się narody Europy Środkowej wycierpiały w ostatnim stuleciu. Książki wydawane przez MCK, dowodzą, że na przekór tym nieszczęściom ludzie żyjący w tym regionie potrafili tworzyć rzeczy wspaniałe i nigdy nie dali się stłamsić do końca. Od dwóch dekad, choć nieopodal trwa, niczym memento, wojna, choć populizmy rosną w siłę, a długie rządy Victora Orbána nie były epizodem, region Europy Środkowej przeżywa zasłużone prosperity.

Oby trwało jak najdłużej. ●

Andrzej Brzeziecki
– historyk, dziennikarz, publicysta



Maciej Janowski

„Karpaty. Opowieść o pewnych górach”,
Kraków 2025

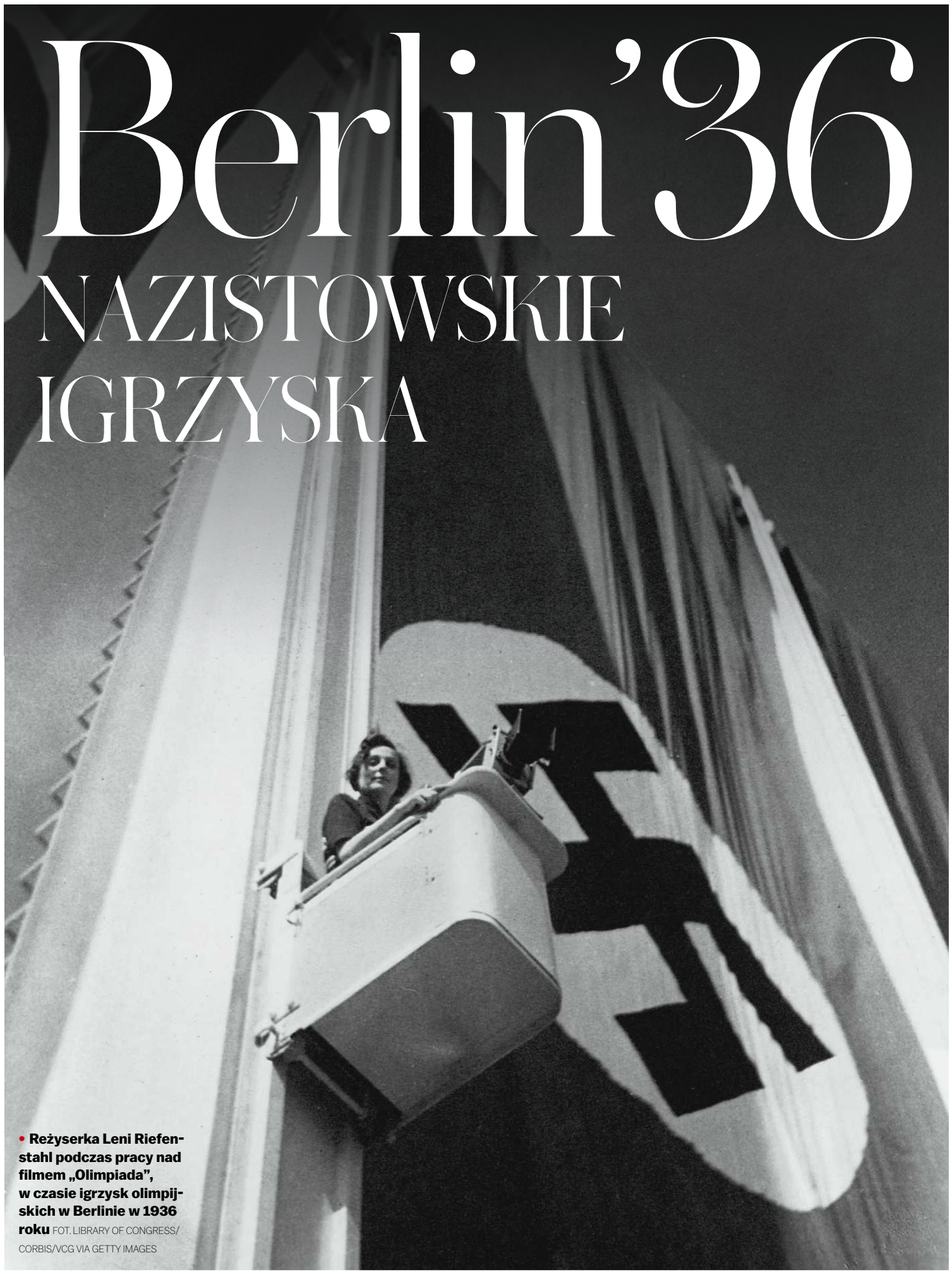


Łukasz Galusek

„Wyobrażone stolice. Miasta monarchii habsburskiej jako centra narodów 1815-1918”
Kraków 2026

eprasa.pl d324f0b119

Berlin'36 NAZISTOWSKIE IGRZYSKA



• **Reżyserka Leni Riefenstahl podczas pracy nad filmem „Olimpiada", w czasie igrzysk olimpijskich w Berlinie w 1936 roku** FOT. LIBRARY OF CONGRESS/ CORBIS/VCG VIA GETTY IMAGES

90 lat temu świat zachwycił się olimpiadą w Berlinie. W tej reklamie nazizmu pierwsze skrzypce grała słynna Leni Riefenstahl. Przydatny okazał się też działacz Theodor Lewald, który skorumpował barona Pierre'a de Coubertina.

Waldemar Kumór

Organizację letnich i zimowych igrzysk w 1936 roku Niemcy dostały pięć lat wcześniej, czyli jeszcze zanim kanclerzem został Adolf Hitler. Wywalczyli to Theodor Lewald, przewodniczący Niemieckiego Komitetu Olimpijskiego, i jego sekretarz Carl Diem. Byli z tego bardzo dumni, bo Międzynarodowy Komitet Olimpijski nie dopuścił Niemiec do udziału w dwóch kolejnych igrzyskach po zakończeniu Wielkiej Wojny – w 1920 i 1924 roku.

Początkowo naziści nie byli entuzjastami olimpiady. Czołowa gazeta NSDAP „Der Angriff" („Atak"), dwa tygodnie po igrzyskach w Los Angeles w 1932 roku, nazwała członków Niemieckiego Komitetu Olimpijskiego „zdrajcami", ponieważ pozwolili, żeby niemieccy sportowcy rywalizowali z Żydami i „czarnuchami".

Gdy Hitler został kanclerzem, sytuacja się jednak skomplikowała. Goebbels nie interesował się sportem, a Führer długo nie wiedział, po co mu impreza, za którą stoją Żydzi. Obaj szybko zmienili zdanie. Zrozumieli, że dzięki igrzyskom można pokazać światu wielkość Niemiec. By to osiągnąć, nie zawahali się wytoczyć największych dział propagandowych, by zmanipulować światową opinię publiczną, wydać miliony na monumentalny stadion, na luksusową wioskę olimpijską oraz na film, który pokaże zmagania sportowe jak nigdy dotąd.

Hitler planował, że – jak już podbije Europę i świat – igrzyska już zawsze będą odbywały się w Berlinie.

DLA KARIERY I ZE STRACHU

Theodor Lewald stawał na głowie, by przekonać nowego kanclerza, że dzięki igrzyskom nowe Niemcy tylko zyskają. Sytuację komplikował fakt, że dla nazistów był Żydem (od strony babki) i nie powinien pełnić tak znaczącej funkcji. Mimo nacisków jednak nie nie zrezygnował – obronił go ówczesny szef MKOl hrabia Henri de Baillett-Latour. Układ był taki, że Lewald miał zrezygnować natychmiast po imprezie, pozostać jedynie tytularnym szefem komitetu olimpijskiego, a faktycznym miał być Carl Diem, z którym wywalczył dla Niemiec igrzyska. Niemiecki Komitet Olimpijski bezpośrednio podlegał ministrowi sportu Hansowi von Tschammer und Osten.

Naziści wiedzieli, jakim autorytetem na świecie cieszy się 75-letni wówczas Lewald. Dlatego wymusili, by to właśnie on – Żyd zapewniał świat, że III Rzesza to państwo, w którym nie prześladuje się Żydów. I Lewald słał zakłamane raporty do MKOl: „Jego Ekscelencja doktor zapewnił, że za zgodą jego rządu wszelkie prawa rządzące Igrzyskami Olimpijskimi będą przestrzegane" oraz że „generalnie niemieccy Żydzi nie zostaną wykluczeni z niemieckiej reprezentacji na Igrzyska XI Olimpiady".

Lewald manipulował i kręcił: „rząd" to jeden człowiek: Hitler, a słowo „generalnie" jest niejednoznaczne i w tym przypadku pokrętne. Wiedział przecież, że rekrutacja Żydów do szkół i uczelni sportowych została praktycznie wstrzymana; zostali wykluczeni ze wszystkich turniejów tenisowych; Niemiecki Związek Wioślarski przyjmował tylko aryjskich członków; Niemiecki Związek Narciarski zakazał przyjmowania osób pochodzenia żydowskiego; Żyd nie mógł być także bokserem.

BOJKOT? JAKI BOJKOT?

O to, co naprawdę dzieje się w Niemczech, najbardziej dopytywali Brytyjczycy. Lewald i naziści zdawali sobie sprawę, że gdyby zbojkotowali igrzyska, za nimi poszliby inni, co oznaczałoby wizerunkową katastrofę. Brytyjczycy dopytywali Lewalda, czy „niemiecki rząd dotrzymuje ducha swej obietnicy" i czy Żydzi „są przywracani na swe dawne pozycje w niemieckim środowisku sportowym".

Brytyjski członek MKOl lord Clarence Aberdare pytał o los czterech żydowskich sportowców i działaczy pozbawionych stanowisk: wybitnego tenisisty Daniela Prenna, sędziego piłki wodnej doktora Naussbauma z Monachium, sekretarza Międzynarodowej Komisji Skoków do Wody J. Sterna z Berlina oraz honorowego sekretarza Niemieckiego Związku Pływackiego Walthera Binnera. Lewald odpowiedział, że Naussbaum zrezygnował dobrowolnie, Sternowi dowiedziono korupcję, Binner nie był Żydem, a los Prenna nie ma związku ze sprawą, bo tenis nie jest dyscypliną olimpijską.

Przede wszystkim jednak w swoim liście sam atakował Brytyjczyków: „Prosiłem uprzejmie, by powiedział mi Pan, czy w skład brytyjskiej reprezentacji w Los Angeles wchodził choć jeden Żyd". Bagatelizował jednocześnie nieobecność żydowskich sportowców w ekipie III Rzeszy, podkreślając, że na igrzyskach w Amsterdamie, Los Angeles i Lake Placid wśród aż 414 niemieckich uczestników było ich zaledwie trzech. „Brytyjska Rada może z tego wyciągnąć wniosek, że cała sprawa pozbawiona jest jakiegokolwiek realnego znaczenia" – pouczał.

1 RP

eprasa.pl d324f0b119

Lewald przekonał Brytyjczyków, a ruch domagający się bojkotu berlińskiej olimpiady wyraźnie wygasał.

ŁAPÓWKA DLA BARONA

Niemcom najbardziej zależało na wsparciu barona Pierre'a de Coubertina, bo jak dotąd schorowany, 73-letni twórca ruchu olimpijskiego nie zaaprobował igrzysk w Berlinie. Na nic się zdały zabiegi Lewalda, który w wazeliniarskich listach zapewniał barona, że „wszyscy, którzy pracują na rzecz igrzysk olimpijskich, mówią wciąż o Panu z ogromną serdecznością i szacunkiem".

Lewald zdawał sobie sprawę, że de Coubertinowi bardzo zależy na uznaniu i zaszczytach, dlatego informował go, że III Rzesza lobbuje w Oslo za tym, by dostał pokojowego Nobla. „Sądzę, że po pomyślnym zakończeniu igrzysk w Berlinie Nagroda Nobla trafi z pewnością w Pańskie ręce" – przekonywał.

Baron z pewnością wiedział, że chodzi o układ: wsparcie za nagrodę. Ale naziści Niemcy mogli mieć też inny powód, by za nim lobbować. W 1934 roku faworytem do pokojowego Nobla był Carl von Ossietzky, więziony w obozach koncentracyjnych antynazistowski dziennikarz. Naziści nie byli w stanie zablokować jego nominacji, ale gdyby Lewald poprzez MKOl zdołał skłonić Komitet Noblowski do przyznania nagrody za 1936 rok Coubertinowi, chwała spadłaby na berlińską imprezę. Baron jednak nadal zwlekał z poparciem.

I wtedy stało się coś, o czym dziś się nie mówi, recytując frazesy o idei olimpijskiej i jej twórcy: Hitler przy pomocy Lewalda wykorzystał próżność barona oraz – jak się okazało – jego ubóstwo. Naziści postanowili go przekupić i im się to udało.

Guy Walters, autor książki „Igrzyska w Berlinie. Jak Hitler ukradł olimpijski sen", cytuje list Lewalda do barona z maja 1936 roku: „Musiał Pan zwrócić uwagę, że w Garmisch-Partenkirchen [gdzie odbyły się w 1936 roku zimowe igrzyska] padła inicjatywa oddania do Pańskiej dyspozycji – na znak głębokiego szacunku dla dzieła Pańskiego życia oraz ulżenia Pańskim troskom – pewnych sum, które będzie Pan mógł rozdysponować według własnego uznania, ze szczególnym uwzględnieniem swej rodziny".

I dalej: „Z ogromną radością dowiedziałem się właśnie od naszego Führera i kanclerza, który jak Panu wiadomo, żarliwie broni idei olimpijskiej i który niezmiernie żałuje, że nie może pan przybyć, by uczestniczyć w przygotowaniach do Igrzysk, że oddał do mojej dyspozycji sumę 10 tysięcy marek – albo 12 tys. 300 franków szwajcarskich z prośbą, by przesłać je Panu. Nie muszę Panu przypominać, że o czynie tym nie należy wspominać publicznie, a w razie jakichkolwiek pytań, odpowiedziałbym, że Niemcy jako organizator Nowożytnej Olimpiady, pragną wesprzeć finansowo Fundację Coubertina".

Jaka to była realnie kwota? Dziś wyniosłaby ponad 450 tysięcy dolarów. Pokusa była więc ogromna, a schorowany, ubogi baron musiał sprzedawać meble, by mieć za co żyć. Gdy tylko Coubertin przyjął pieniądze – podkreśla Walters – lizusowski ton Lewalda ustąpił miejsca jawnym rozkazom i reprymendom. Gdy baron ośmielił się zaproponować, że wygłosi krótką mowę do sportowców w czasie otwarcia igrzysk, Lewald odmówił: „Nie zrobiłoby to w Niemczech dobrego wrażenia, gdyby pierwsza mowa wygłoszona na monumentalnym stadionie zabrzmiałaby nie po niemiecku, ale po francusku".

Mało tego, Lewald był zły, bo w zaproponowanej mowie barona do biegaczy sztafety niosącej znicz olimpijski „nie zawarł Pan ani jednej wzmianki o fakcie, że pomysł biegu ze zniczem jest czysto niemiecki; to nasz wspólny znajomy Diem napomknął mi o tym podczas rejsu do Aten w maju 1934 roku".

„ŚW. OLIMPIADA"

NSDAP i Hitler mieli więc po swojej stronie MKOl i w kieszeni twórcę nowożytnych igrzysk. Mogli sami decydować, jak ma przebiegać olimpiada. Tysiące sportowców z całego świata między 1 a 14 sierpnia 1936 roku miało uczestniczyć nie tylko w święcie sportu, ale i nazizmu.

Przed rozpoczęciem igrzysk naziści usunęli wszystko, co mogło się nie spodobać wizytującym. Nie było tabliczek „Żydom nie sprzedajemy" czy „Żydzi niepożądani", a z kiosków zniknęła antysemicka gadzinówka „Der Stürmer".

Niemieccy Żydzi jednak doskonale wiedzieli, że to tylko chwilowy stan i ściema dla świata. Ten pozorny spokój zawdzięczali – jak ironicznie mówili – „Św. Olimpiadzie". Językoznawca Victor Klemperer, czujny obserwator i analityk nazistowskich czasów, już w lutym 1936 roku uważał poluzowanie antysemickiej nagonki za przejściowe. Oceniał, że kiedy sportowcy i goście wyjadą, na ławki w parkach i na drzwi sklepów wrócą antysemickie tabliczki, a kelnerzy m.in. z Cafe Kranzler wyjmą srebrne tace z widocznym wytłoczonym napisem: „Pańska wizyta jest tu niepożądana".

WYPISZ, WYMALUJ CHAPLIN

Od rana 1 sierpnia Berlin celebrował zaplanowane na godzinę 16 otwarcie igrzysk. Msze, parady, warty, składanie wieńców pod pomnikami poległych w Wielkiej Wojnie, wszędzie orkiestry wojskowe. W Lustgarten paradowało 30 tysięcy członków Hitlerjugend i dziewcząt z Bund Deutscher Mädel. Wszędzie umundurowani na brązowo członkowie SA i esesmani w czarnych mundurach. Goście igrzysk odnosili wrażenie, że Niemcy nie szykują się do zawodów sportowych, ale pokazują swoją potęgę militarną.

Nad Stadionem Olimpijskim unosił się gigantyczny sterowiec „Hindenburg" ze swastykami wymalowanymi na ogonie i łopoczącą pod kadłubem flagą olimpijską. Hitler wyjechał z Kancelarii Rzeszy czarnym mercedesem ubrany w wojskowy mundur dokładnie o 15.18. Na ulicach, w drodze na zapełniony stutysięczny stadion, pozdrawiało go 40 tysięcy Berlińczyków.

Brytyjski dziennikarz Georg Ward Price notował, że „wszyscy, bez względu na wiek i pozycję, mieli na twarzach ten sam wyraz ekstatycznej radości". Pisarz Thomas Wolfe był na stadionie: „Wreszcie nadjechał. Przez tłum przebiegło drżenie, jakby wiatr poruszył kłosy na polu, jakby fala z oddali wzbierała i rosła: to był głos, nadzieja, modlitwa tego kraju. Wódz zbliżał się powoli w lśniącym samochodzie, drobny ciemnowłosy człowieczek z operetkowym wąsikiem. Stał w wozie wyprostowany, nieruchomy, bez uśmiechu, z uniesioną ręką, nie w pozdrowieniu nazistowskim, lecz w geście błogosławieństwa – jak Budda, jak Mesjasz".

Wolfe, jak każdy gość z zagranicy, zauważał ogromną liczbę ludzi w mundurach. Do swojego wydawcy wysłał pocztówkę z żołnierzem na warcie przy Bramie Brandenburskiej. Napisał: „Nigdy nie nauczymy się maszerować jak ci chłopcy. Sprawiają wrażenie nieomal gotowych znów ruszyć do boju".

Otwarcie igrzysk było imponujące, przed Hitlerem maszerowali sportowcy. Amerykanie zdjęli słomkowe kapelusze i przycisnęli je do serca. Flagi innych państw w czasie defilady nie były trzymane wysoko, tylko – jak na wojskowych paradach – w chwili przemarszu przed Wodzem opuszczone, tak jakby kłaniały mu się w hołdzie. Gdy chorąży ekipy USA niósł ją wysoko, stadion przyjął to pomrukiem niezadowolenia. Jeden ze sportowców tak opisywał chwilę, gdy jego ekipa mijała Hitlera: „Unieśliśmy wzrok na trybunę honorową, gdzie stał otoczony przez Goeringa, Goebbelsa, Hessa, Himmlera oraz resztę nazistowskiej hierarchii. I słychać było, jak przez naszą gromadę przebiega szept: »Hej, on wygląda jak Charlie Chaplin«".

Na koniec na stadion wbiegł Fritz Schilgen w białych szortach i koszulce, długodystansowiec, wysoki, muskularny, uosobienie germańskiej męskości. W prawej dłoni trzymał rurę ze stali Kruppa, w której palił się olimpijski ogień.

Schilgen był 3075. uczestnikiem sztafety, która niosła pochodnię z oddalonej o 3075 km greckiej Olimpii, gdzie zapalono ją rano 20 lipca. Przez pierwszy kilometr z pochodnią biegł Grek Constantine Condylis, a za nim jechał samochód – z zapasową pochodnią oraz z Leni Riefenstahl z kamerą.

FAWORYTKA HITLERA

To ona miała nakręcić film o olimpiadzie. Formalnie na zlecenie MKOl, a faktycznie NSDAP. I zrobiła to genialnie. Jej pomysły i techniczne triki widać do dziś we wszystkich transmisjach zawodów sportowych: zbliżenia, ruchoma kamera na linach czy szynach, dzięki której mamy poczucie, że biegniemy razem ze sportowcem i widzimy z bliska jego wysiłek.

Leni była aktorką, a wkrótce reżyserką. Ambitna, niesłychanie pracowita, zdolna. Ale też wrażliwa na nawet najmniejszą krytykę. Zdaniem jej ówczesnych przyjaciół i współpracowników właśnie to spowodowało, że stała się zwolenniczką NSDAP i zbliżyła się do Hitlera, wbrew temu, co opowiadała po wojnie.

Każdą niepochlebną opinię traktowała jak osobistą zniewagę. Harry Sokal, jej współpracownik, opisywał ataki złości, gdy po premierze debiutanckiego filmu „Błękitne światło" z 1932 roku czytała niepochlebne recenzje. „Riefenstahl obwiniała żydowskich krytyków, że rujnują jej karierę. Mówiła, że są »cudzoziemcami« nierozumiejącymi jej sztuki. Hitler, gdyby miał dojść do władzy, nie pozwoliłby na coś takiego".

Najpierw przeczytała uważnie „Mein Kampf", potem poszła na jego wiec. „Byłam pod tak ogromnym wrażeniem Pana oraz entuzjazmem uczestników, że chciałabym się poznać z Panem osobiście" – napisała w liście do Hitlera. Odpowiedział natychmiast – sam uwielbiał kino i – wbrew recenzjom – zachwycił się „Błękitnym światłem". Po wojnie będzie przekonywała, że tak naprawdę Hitlera spotkała przypadkowo, nigdy nie była nazistką, a przypisywanie jej antysemityzmu jest totalną bzdurą, bo współpracowała z wieloma Żydami.

Gdy się spotkali w maju 1932 roku, a więc zanim Hitler został kanclerzem, ona miała 29 lat, on 43. Z miejsca się zaprzyjaźnili i doskonale rozumieli. Rozmawiali o filmach, polityce, wizjach przyszłości Niemiec. Hitler miał wtedy powiedzieć: „Kiedy dojdziemy do władzy, pani będzie robiła moje filmy".

I robiła. Najsłynniejszy, dokument „Triumf woli", pokazywał zjazd NSDAP w Norymberdze. Był nowatorski, przekonujący, inteligentnie, a nie nachalnie propagandowy, dostała za niego najwyższe odznaczenia państwowe.

Musiała współpracować Goebbelsem, który chciał ją sobie podporządkować, a nawet próbował uwodzić. Goebbels zaprosił ją na premierę „Madame Butterfly" do Opery Wiedeńskiej. Poszła. Siedziała po jego prawej stronie, a za nimi żona ministra Magda i ambasador Włoch. „Gdy światła zgasły i orkiestra zaczęła grać, poczułam z przerażeniem, że ręka Goebbelsa wsuwa mi się pod spódnicę. Dotykał mojego kolana i sięgał już niemal do uda. Złapałam go za rękę i próbowałam ją strząsnąć, ale zaplątała się w fałdy spódnicy. Jakiż to obrzydliwy człowiek! Chciałam wyjść podczas przerwy, ale obawiałam się skandalu. Zostałam z Magdą Goebbels, która mi powiedziała, że spodziewa się kolejnego dziecka. Uderzyła mnie nieoczekiwana naiwność, z jaką mówiła o wszystkich zabiegach, które robiła, by swoim wyglądem mogła konkurować z gronem pięknych aktorek krążących wokół jej męża. O jego eskapadach miłosnych mówiono w całych Niemczech. Biedna Magda, pomyślałam. Nie wiedziała, że poślubiła diabła". Co ciekawe, Goebbelsowie usiłowali swatać Leni z Hitlerem.

Riefenstahl robiła wszystko, by wybić się na niezależność nawet od nadzorującego całą niemiecką kinematografią Goebbelsa. Przekonała do tego Hitlera. Ale najpierw musiała zrobić film o tym, co się wydarzyło w Berlinie 1936 roku.

KAMIEŃ MILOWY W HISTORII KINA

17 sierpnia 1935 roku Goebbels zanotował w dziennikach: „Panna Riefenstahl donosi o przygotowaniach do filmu z olimpiady. Niegłupia z niej osoba!". Dla niej to był wymarzony temat – nie musiała już rejestrować niekończących się partyjnych pochodów i przemówień oficjeli. Sama była zapaloną sportsmenką i zdawała sobie sprawę, że podjęła się prestiżowego zadania. W dodatku wiedziała, jak pokazać igrzyska – dynamicznie, z bogactwem obrazów i sportowego napięcia.

Wiedziała, że ma to być film kinowy, a nie nudna kronika. Dostała wielkie pieniądze i ogromy sztab ludzi. Wspomagali ją reporterzy kronik sportowych, którzy na koniec igrzysk oddali Leni cały materiał, by mogła go dowolnie zmontować. W sumie sztab liczył 300 osób: operatorów, oświetleniowców, kierowców itd.

Riefenstahl zastosowała kamerę ręczną, tzw. wąskotaśmową firmy Siemens, co dawało większą swobodę niż stare ciężkie urządzenia. Dzięki specjalnie skonstruowanym szynom i systemom prowadnic mogła po raz pierwszy w historii filmować biegi i zawody pływackie ruchomą kamerą, bardzo blisko zawodników. Miała stalową wieżę, dzięki której kręciła zawody z lotu ptaka. Przy filmowaniu biegów zastosowano specjalnie skonstruowaną kamerę katapultową, która poruszała się wraz z zawodnikami, a mały balon na uwięzi zaopatrzony w kamerę miał pokazać pełną perspektywę stadionu czy regat wioślarskich.

„Riefenstahl stworzyła pod wieloma względami zupełnie nowe, niepowtarzalne obrazy i wprowadziła obowiązujące do dziś standardy nowoczesnych relacji sportowych. Stąd »Olimpiada«, niezależnie od osądu tego filmu w kontekście historycznym czy w jego wymiarze politycznym, może bezsprzecznie uchodzić za kamień milowy estetyki kina" – uważa biograf reżyserki Juergen Trimborn.

Film podbił świat, był nagradzany na wszelkich możliwych festiwalach. Zarobił wielkie pieniądze. Dał sławę reżyserce, dzięki niemu stała się milionerką. I pokazał Niemcy pod wodzą Hitlera jako nowoczesny, pokojowo nastawiony kraj.

●

Carl von Ossietzky dostał Pokojową Nagrodę Nobla w 1935 roku, zmarł trzy lata później w szpitalu więziennym w Berlinie. Baron Pierre de Coubertin nigdy pokojowego Nobla nie dostał, zmarł rok po berlińskich igrzyskach. Theodor Lewald po olimpiadzie został odsunięty od wszelkich urzędów, zmarł w 1947 roku w Berlinie. Leni Riefenstahl przez całe życie tłumaczyła się ze współpracy z nazistami, nigdy już nie zrobiła filmu tak perfekcyjnego jak „Olimpiada". Zmarła w 2003 roku, dwa tygodnie po swoich 101. urodzinach. ●

Korzystałem z książek: Guy Walters „Igrzyska w Berlinie. Jak Hitler ukradł olimpijski sen" (Rebis 2008); Juergen Trimborn „Riefenstahl. Niemiecka kariera" (W.A.B. 2008); autobiografia Leni Riefenstahl (Świat Książki, 2003).

eprasa.pl d324f0b119

OPOWIEŚĆ O ZNIKANIU

Tydzień przed przejęciem władzy przez Hitlera w Berlinie otwarto Muzeum Żydowskie. Przetrwało tylko do nocy kryształowej.

Sebastian Pawlina

Od 10 kwietnia w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie można oglądać wystawę „Obrazy tożsamości. Kolekcja przedwojennego Muzeum Żydowskiego w Berlinie". Ekspozycja będzie czynna do 30 listopada.

SEBASTIAN PAWLINA: Muzeum Żydowskie w Berlinie, którego kolekcję pokazujecie na wystawie, otwarto 24 stycznia 1933 roku. Tydzień później władzę w Niemczech przejęli naziści. Czy twórcy Muzeum odczuwali grozę sytuacji?
MARTA KAPEŁUŚ, Żydowski Instytut Historyczny: W badanych przeze mnie dokumentach dotyczących początków instytucji nie widać tego. Ale w spisanych później wspomnieniach jej twórcy i pierwszego dyrektora, Karla Schwarza, historyka sztuki, pada zdanie, że gdy ostatniego dnia pracy w muzeum szedł jego korytarzami, w powietrzu już było czuć oddech śmierci.

A ten ostatni dzień jego pracy, to...
– Było to już 16 czerwca. Schwarz zrezygnował po zaledwie kilku miesiącach od otwarcia Muzeum i wyjechał do Palestyny.

Pomimo tego instytucja działała.
– Tak. Miejsce Schwarza zajęła Erna Stein-Blumenthal, a po niej prof. Franz Landsberger, który został do końca. I choć nie mamy informacji na temat tego, z jakimi dokładnie prześladowaniami mierzyła się ich instytucja, to wiemy, że od początku działała w atmosferze prześladowań Żydów. Już w 1933 roku mamy przecież bojkot sklepów żydowskich, na stosach płoną książki żydowskich autorów, w 1935 roku pojawiają się ustawy norymberskie, a w 1937 roku w Monachium zostaje otwarta wystawa „sztuki zdegenerowanej", na której pokazywano głównie prace artystów żydowskich.

W tych warunkach Muzeum Żydowskie w Berlinie stało się azylem, miejscem wsparcia artystów. Regularnie powstawały tam wystawy czasowe, organizowano jubileusze, spotkania przy herbacie. Żeby móc wspierać twórców finansowo sprzedawano obrazy, kalendarze z ich reprodukcjami. Przeglądając dokumentację, miałam poczucie, że udało im się stworzyć społeczność, która w tych trudnych warunkach próbowała się sama organizować, sama wspierać. Może to była ich odpowiedź na represje.

Ale ta działalność nie mogła trwać w nieskończoność. Jej i całego muzeum koniec nastąpił z 9 na 10 listopada 1938 roku, w noc kryształową. Kolekcja jednak została. Jaki był jej dalszy los?
– Po zamknięciu Muzeum kolekcja została zarekwirowana przez nazistów. Niektóre obrazy po wojnie odkryto w budynku Izby Kultury Rzeszy, powołanej do życia we wrześniu 1933 roku i będącej dla Josepha Goebbelsa narzędziem kontroli kultury i artystów. Natomiast część obiektów – jak udało mi się ustalić – w tym ikonograficzne archiwum dziś znajdujące się w ŻIH, najprawdopodobniej trafiły do pałacu w Sławie na Dolnym Śląsku. Znajdował się tam ośrodek zajmujący się badaniami wyimaginowanych wrogów Niemiec. Wśród nich byli Żydzi, masoni, czarownice. To był ośrodek z olbrzymią dokumentacją, którą Niemcy częściowo spalili pod koniec wojny. Nie zniszczyli jednak wszystkiego. Później zabezpieczeniem tych obiektów zajęła się strona polska. Na mocy dekretu z 8 marca 1946 roku, majątki opuszczone i poniemieckie przechodziły na własność Skarbu Państwa. Udało się zidentyfikować, że archiwum ikonograficzne Muzeum Żydowskiego w Berlinie znajdowało się w pałacu w Sławie, dzięki pomocy pracowników z Muzeum Narodowego we Wrocławiu. To właśnie tam znajduje się notatka służbowa Stefana Styczyńskiego – delegata Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki ds. zabezpieczenia zabytków ruchomych, który opisuje kolekcję i wspomina o jej odnalezieniu.

Później zbiór trafił do Składnicy Muzealnej Ministerstwa Kultury i Sztuki w Bożkowie, gdzie zbierano przemieszczone w trakcie wojny obiekty, a stamtąd do Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Czy ŻIH przejął kompletne zbiory z Berlina?
– Po 1945 roku to, co zostało po zachodniej stronie żelaznej kurtyny, zostało umieszczone przez organizacje restytucji mienia żydowskiego w różnych miejscach na świecie. Głównie w Palestynie i w Stanach Zjednoczonych. Większość obiektów dziś znajduje się w Muzeum Izraela w Jerozolimie oraz w Skirball Cultural Center w Los Angeles.

Do tego dochodzą obiekty wywiezione w czasie wojny na Dolny Śląsk, w tym do pałacu w Sławie. One zostały przekazane do co najmniej trzech polskich instytucji: ŻIH, Muzeum Ziemi Lubuskiej oraz do Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu. Część obiektów mogła być też zniszczona, zagubiona lub rozkradziona. Cały czas pojedyncze eksponaty z Muzeum Żydowskiego wypływają w różnych miejscach, np. w antykwariatach. Dużo niewiadomych jest w tej historii, dużo znaków zapytania i sporo też domysłów.



MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Marta Kapełuś

• historyczka sztuki, kuratorka – m.in wystawy „Obrazy tożsamości. Kolekcja przedwojennego Muzeum Żydowskiego w Berlinie", pracowniczka Działu Sztuki w Żydowskim Instytucie Historycznym im. Emanuela Ringelbluma oraz doktorantka w Instytucie Historii im. Tadeusza Manteuffla Polskiej Akademii Nauk.

A wiemy w ogóle, jak pokaźne były zbiory Muzeum Żydowskiego w Berlinie?
– Taką rekonstrukcją zbiorów zajmowała się Fundacja Neue Synagoge – Centrum Judaicum w Berlinie. W 2011 roku wydali dwie książki, w których badali losy tej kolekcji i to, gdzie co jest. Interesowali się głównie obiektami trójwymiarowymi, płótnami, rzeźbami, czyli tą bardziej okazałą częścią kolekcji. O części, która jest w ŻIH-u, jedynie wspomnieli.

Czyli o czym dokładnie?
– To jest przede wszystkim około 4000 plansz, z najróżniejszymi papierowymi materiałami ilustrującymi żydowskie dziedzictwo kulturowe. Przeważnie fotografie, ale też bardzo dużo grafik – miedziorytów, drzeworytów, akwafort, akwatint. Są tam również wycinki z gazet, druki pamiątkowe i zaproszenia. To bardzo zróżnicowany materiał, przyklejony na tekturowe plansze o wymiarach 45 cm na 32 cm. Myślę, że mogło być takich plansz łącznie nawet około dziesięciu tysięcy – co oznacza, że dziś wiemy o jedynie 40 proc. Pojedyncze egzemplarze znajdują się również m.in. w Centrum Judaicum oraz w nowym Muzeum Żydowskim w Berlinie, otwartym w 2001 roku.

Jak wspomniałam, ta kolekcja przyszła do ŻIH-u razem z dużą liczbą obiektów dotyczących społeczności żydowskiej z powojennej Składnicy Muzealnej w Bożkowie. W naszym archiwum znajduje się protokół zdawczo-odbiorczy z 1951 roku, zawierający wykaz tych przedmiotów. Pokazujemy go na wystawie. Są tam takie pozycje jak „dwanaście plakiet", „czternaście pergaminów" czy „siedem rogów do trąbienia", w tym wypadku chodzi o szofary, czyli dęte instrumenty używane na święta. Spis jest bardzo nieprecyzyjny i lakoniczny. Dziś, po 75 latach, identyfikacja tych obiektów i zbadanie jej proweniencji jest bardzo trudne. Żadnych wątpliwości nie ma jedynie do jednej pozycji z tej listy – jest to archiwum ikonograficzne, o którym opowiada wystawa. Na każdej planszy są naklejone nalepki inwentaryzacyjne z tytułem dzieła, autorem, numerem inwentaryzacyjnym oraz napisem, że obiekt pochodzi z gminy żydowskiej w Berlinie.

Kiedy zaczęto gromadzić te grafiki? Czy to było w całości dzieło Muzeum Żydowskiego, czy jednak ktoś wcześniej rozpoczął jej tworzenie?
– Kolekcja powstała dużo wcześniej niż muzeum. Pierwszym krokiem do jej stworzenia była działalność Alberta Wolfa, drezdeńskiego jubilera pochodzącego z rodziny kolekcjonerów. Urodził się w połowie XIX wieku. Zbierał najróżniejsze artefakty, takie jak grafiki, manuskrypty, a nawet wykopaliska archeologiczne z Palestyny. Zmarł w 1907 roku. Wcześniej jednak swoje zbiory zapisał w testamencie gminie żydowskiej w Berlinie. Początkowo kolekcja była wystawiana dla publiczności w pokojach administracyjnych gminy. Później zatrudniono Karla Schwarza, który zaczął rozwijać także część ikonograficzną zbiorów. Wówczas sfotografowano całość zasobów

eprasa.pl d324f0b119



• **Jeden z eksponatów wystawy „Obrazy tożsamości”** MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Muzeum Żydowskiego, ale dokumentowano również zbiory innych muzeów żydowskich, synagog oraz obiekty pochodzące z prywatnych kolekcji – i to nie tylko w Europie. W archiwum znajdują się fotografie ze Stanów Zjednoczonych, Australii czy Algierii.

Wydaje mi się, że ten zbiór zdjęć i grafik, przez wiele lat był traktowany po macoszemu. Chyba uważano, że w tym nie ma nic wartościowego. To nieprawda! Tam jest bardzo dużo ciekawych materiałów, dużo oryginalnych prac. W tym takich artystów jak Zygmunt Menkes czy Max Liebermann. To pokaźny zbiór, który ma ogromną wartość dokumentacyjno-edukacyjną.

Imponujący jest też zakres czasowy opowieści, która się wyłania z wystawy. Jedną z pierwszych postaci, z którymi się stykamy, jest Filon z Aleksandrii. Czyli wychodzimy już od starożytności i dochodzimy do pierwszych dekad XX wieku. A jakie najważniejsze tematy znajdziemy w tej kolekcji – i na wystawie?

– Poruszającą częścią tej kolekcji są materiały dotyczące antyjudaizmu czy antysemityzmu na przestrzeni wieków. To są ryciny z wizerunkami osób bezpodstawnie oskarżonych o tzw. mord rytualny – antysemicki mit wykorzystywany do podsycania nienawiści wobec Żydów – a także wizerunki oskarżycieli i ofiar służących jako pretekst do takich pomówień. Albo też zdjęcia budynków zniszczonych po pogromach. To, że ta społeczność mierzyła się z tym tematem i go dokumentowała, może robić wrażenie. Wrażenie robi też kolekcja dokumentacji synagog, głównie z terenów niemieckich. Dzięki niej możemy zobaczyć zdjęcia fasad, architektury, wnętrz nieistniejących już budynków. Świadomość tego, że te zdjęcia robiono tuż przed nocą kryształową, gdy większość z tych synagog spłonęła, jest poruszająca. Ale są też zdjęcia innych obiektów, które nie przetrwały wojny, jak np. rzeźby lub płótna.

Podobnie jak wcześniej, gdy należały do Muzeum Żydowskiego w Berlinie, fotografie te nadal pełnią ważną funkcję naukową i popularyzatorską. Cały czas zwracają się do nas badacze z prośbami o kopie cyfrowe tych obiektów i wykorzystują je w swoich publikacjach. Jest to kopalnia materiałów badawczych. Są amulety kabalistyczne z XVIII wieku, przerysy nagrobków z cmentarzy, z graficznymi motywami na szczytach macew, prace członków école de Paris i Berlińskiej Secesji, architektura modernistyczna, teatr.

Czyli ta kolekcja jest nie tylko ostatnim śladem istnienia wielu zabytków, eksponatów, ale też szansą na ich drugie życie.

– Zdecydowanie. To jest charakterystyczne, że obok postaci tak znanych, jak Zygmunt Freud albo Albert Einstein pojawia się wiele nieznanych, często zapomnianych mikrohistorii. Dzięki temu, że są na tych planszach, można odkopać ich historię. Jest na przykład fotorelacja z pogrzebu rabina z jakiejś małej miejscowości. Albo malutka synagoga w mieścince w Rumunii. Dzisiaj trudno już powiedzieć, gdzie to dokładnie jest, czy w ogóle istnieje. Pozostało jednak zdjęcie, na którym widać tę synagogę i stojących przed nią ludzi. I to jest to, co lubię w tym zbiorze – często pozwala wydobywać z niepamięci historie małych miejsc i anonimowych ludzi, którzy bez tych fotografii zniknęliby całkowicie.

Oglądając wystawę, cały czas w głowie miałem to, co można znaleźć w powieściach Josepha Rotha, czyli tęsknotę za światem, który umiera, albo już umarł. A przecież Roth tworzył wtedy, gdy Muzeum Berlińskie wiodło swój krótki, ale intensywny żywot. Czy prezentowana na ekspozycji kolekcja nie jest dowodem na istnienie wśród jego twórców świadomości, że ich rzeczywistość się rozpada?

– Twórcy tej kolekcji nie mogli wiedzieć, co się wydarzy. Pewnie sobie nawet nie wyobrażali, do jakiego rozpadu tego świata dojdzie. Przypuszczam, że to było zupełnie niewyobrażalne, ale jednak funkcjonowali w okresie brutalnych antysemickich prześladowań i prób niszczenia tej kultury...

... którą oni po coś i dla kogoś zachowywali.

Przeglądając tę kolekcję, można na pierwszy rzut oka odnieść wrażenie, że archiwizowano niemal wszystko. Zakres tematyczny jest niezwykle szeroki. Rodzi się jednak pytanie o kryteria wyboru: co postanowiono zachować jako element reprezentujący żydowską tożsamość, a co z tego obrazu wyłączono. Nie znamy pełnej kolekcji, dlatego trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, możemy jednak analizować to, co przetrwało. A to sugeruje dość otwarte podejście do budowania zbioru. Wydaje się, że była to kolekcja dokumentująca dorobek Żydów, tworzona przez środowisko ukształtowane przez idee oświeceniowe i judaizm reformowany. Tę otwartość widać także w obecności tematów i postaci niegdyś wykraczających poza tradycyjny kanon – takich jak Baruch Spinoza, wyklęty ze społeczności żydowskiej, czy fotografie kobiet w synagogach. Nowoczesny charakter tej kolekcji ujawniał się przede wszystkim w szerokim i inkluzywnym rozumieniu żydowskiego dziedzictwa.

Co warto zapamiętać po wyjściu z wystawy?

– Może taką refleksję o kruchości pamięci, o roli muzeów i takich instytucji, które dbają o tę pamięć i gromadzą jej ślady. To jest także wystawa o instytucji w pewnym sensie podobnej do ŻIH-u, który przechowuje świadectwa i zbiory dokumentujące Zagładę, w tym Archiwum Ringelbluma. Muzeum Żydowskie dokumentowało z kolei żydowskie życie, kulturę i dziedzictwo przed Zagładą. Obie instytucje łączyła idea dokumentowania i zachowywania pamięci. A jednocześnie jest to opowieść o bogactwie tego świata przedwojennego, o ogromie jego dziedzictwa. ●

Antypolityka historyczna

„Superlatywne niedołęstwo”

„Nędza Galicji w cyfrach” to jedna z najwybitniejszych książek o problemach polskiego zapóźnienia.

Maciej Janowski



Są książki, które wzbudziły wielkie emocje, a pozostał po nich jedynie tytuł. Oto „Nędza Galicji w cyfrach” Stanisława Szczepanowskiego (1888). Tytułowa fraza przeszła do podręczników szkolnych i stała się hasłem, znanym wielu ludziom, którzy nie tylko książki tej nigdy nie mieli w ręku, ale nawet o niej nie słyszeli. Bolesław Prus ironizował, że przeciętny warszawski inteligent wie o Galicji tylko tyle, że ma ona „nędzę w cyfrach”.

Szczepanowski, inżynier i przedsiębiorca naftowy, przybył do Galicji z Wielkiej Brytanii. Przybył, złapał się za głowę, i napisał książkę o tym, jak wydobyć Galicję z zacofania, jak zbliżyć ją do Wielkiej Brytanii, najwyżej rozwiniętego wówczas kraju na świecie. Pisał błyskotliwie, rzucał bon motami, jak choćby, że Galicjanin pracuje za ćwierć, a je za pół człowieka – czytelnik zapamiętywał takie zdania, ale obok była tabelka porównująca wyżywienie i wydajność pracy w różnych krajach Europy. Bon mot zmienia się więc w podsumowanie analizy danych statystycznych.

Atakując zasiedziałe opinie, Szczepanowski umiał wybrać zaskakujący punkt widzenia. „Główną wadą Żydów jest chciwość i wyzyskiwanie, główną wadą Polaków niedbalstwo, próżniactwo i lekkomyślność. [...] Zdaje mi się, że wady polskie szkodliwsze są dla społeczeństwa, przynajmniej pod względem ekonomicznym”, bo człowiek więcej szkód ponosi „przez niedbalstwo swoje i innych” niż „przez cudze wyzyskiwanie”. Apelował do emocji, do patriotyzmu – i podbudowywał te apele twardymi danymi. Krytyk literacki Wilhelm Feldman pisał, że Szczepanowski jest poetą cyfr, że pisze jak romantyczni poeci o rzeczach tak prozaicznych, jak zacofanie gospodarcze. Coś w tym jest.

Nasz autor z godną romantyków pasją kreśli więc smutny obraz społeczeństwa zacofanego, w którym bardzo wysoka gęstość zaludnienia łączy się z bardzo niską wydajnością pracy, a co za tym idzie – bardzo niskim dochodem na głowę mieszkańca. Podatki w liczbach bezwzględnych są jedne z najniższych w Europie, ale liczone jako procent dochodów należą ze względu na ubóstwo kraju do najwyższych na kontynencie. Niski poziom oszczędności oznacza brak kapitału. Nadmiernie rozbudowana biurokracja obciąża niski budżet, przez co uniemożliwia inwestycje. Ten obraz jest bliski dwudziestowiecznym analizom gospodarki wielu państw pozaeuropejskich.

Szczepanowski podkreśla: winne nie jest państwo zaborcze, winne jest „nasze własne superlatywne niedołęstwo”. Myśli podobnie jak Prus, który dlatego ukrył obecność Rosjan w „Lalce”, aby nie dać czytelnikowi zbyt taniego pocieszenia, że biedzie i zacofaniu ziem polskich winni są zaborcy. Autor „Nędzy Galicji” oskarża inteligencję o bierność, ale zarazem ukazuje Polakom kierunki działania. Jego przekaz, że sytuacja jest naszą winą, jest w gruncie rzeczy optymistyczny, bo oznacza, że co sami popsuliśmy, sami możemy naprawić. Szczepanowski uważa zresztą, że transfer pieniędzy z Wiednia do Galicji w formie inwestycji jest większy niż transfer pieniędzy z Galicji do Wiednia w formie podatków; nie ma więc wyzysku gospodarczego.

Rozumie, że potrzebne jest to, co Walt Rostow prawie sto lat później nazwie startem do wzrostu – że zmiana musi nastąpić jednocześnie we wszystkich dziedzinach gospodarki, bo każdą zmianę cząstkową udaremni inercja systemu. Drogą modernizacji ma być szeroki program inwestycyjny finansowany ze środków publicznych. Niebezpieczeństwa nietrafionych inwestycji hamujących rozwój nie brał pod uwagę – dla nas, po doświadczeniu komunistycznej industrializacji jest ono dość oczywiste. Zresztą był lepszym publicystą niż przedsiębiorcą; jego inwestycje naftowe we wschodniej Galicji zbankrutowały.

„Nędza Galicji w cyfrach”, niewznawiana od ponad stu lat, dotyczy w zasadzie spraw przebrzmiałych. Nie istnieje Królestwo Galicji i Lodomerii, nie ma szlachty, żydów ani chłopów. A jednak jest to książka ponadczasowa: mówi o społeczeństwie peryferyjnym, które może, jeśli tylko będzie chciało, zdobyć samodzielność, nie polityczną, lecz samodzielność w sensie równowagi społecznej i stabilnego, długofalowego rozwoju. Przy wszystkich niedociągnięciach jest to jedna z najwybitniejszych, najgłębszych analitycznie książek o problemach polskiego zapóźnienia. Choć świat i Polska są dziś inne, Szczepanowski nie zasługuje na zapomnienie. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

eprasa.pl d324f0b119

weekend ówka

CZOŁEM PSZCZOŁOM!

Jeśli pszczoły znikną z powierzchni Ziemi, człowiekowi pozostaną tylko cztery lata życia". Nie, tych słów, wbrew dość powszechnie przyjętej opinii, nie wypowiedział Albert Einstein. Za to absolutną prawdą jest coś innego – gdyby nie pszczoły, z człowiekiem istotnie byłoby bardzo, bardzo kiepsko.

Otóż szacunki FAO, czyli Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa, pracę pszczół miodnych (ale też i m.in. trzmieli i motyli) w kwestii zapylania można wycenić nawet na ponad 500 mld euro w skali roku.

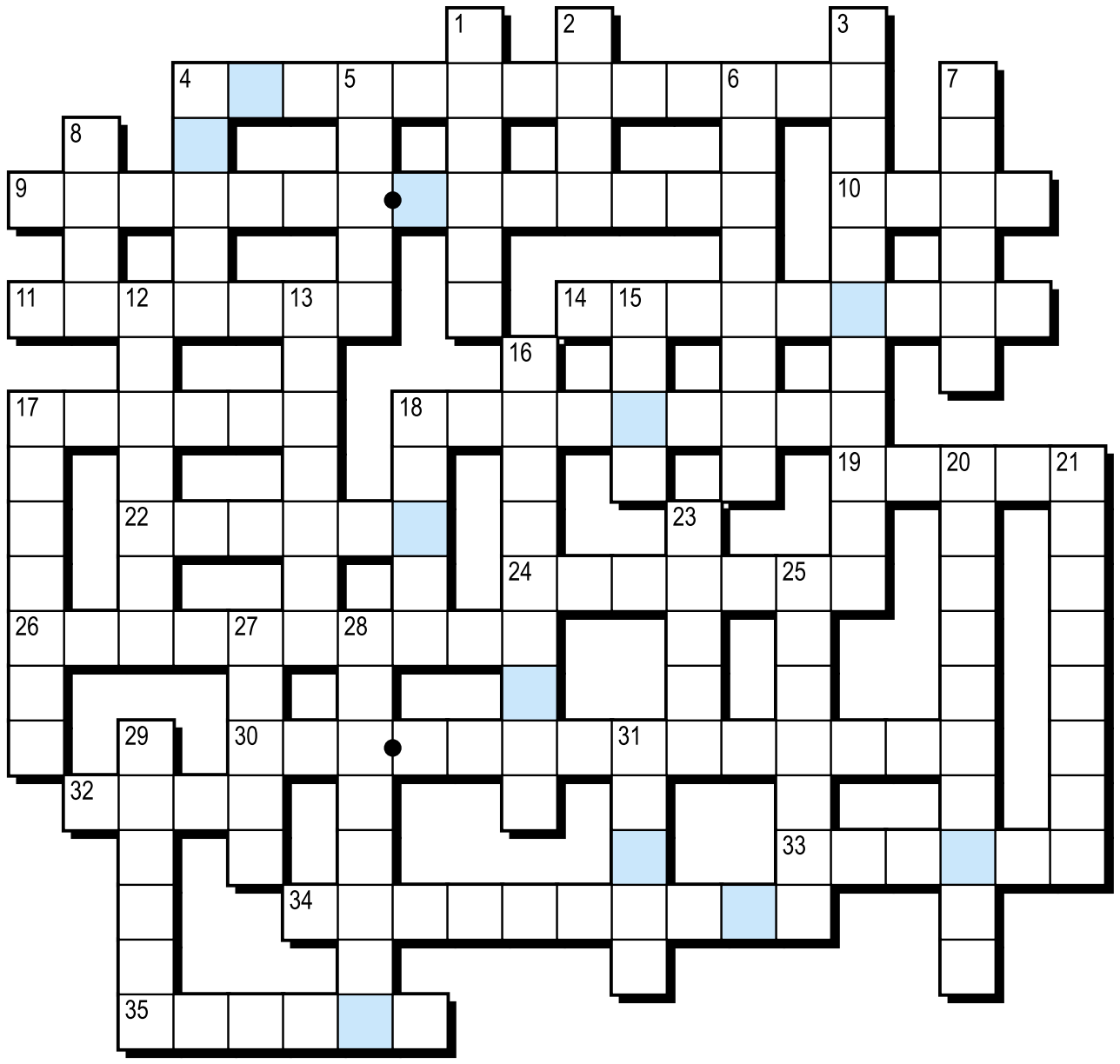
Owady zapylające przyczyniają się do ok. 35 proc. światowej produkcji roślinnej, a przeszło trzy czwarte gatunków roślin uprawnych, wykorzystywanych do produkcji żywności przynajmniej częściowo zależy od nich. Bez tych owadów moglibyśmy zapomnieć o jabłkach, truskawkach, malinach, kakao, rzepaku, migdałach czy kawie.

I rzecz jasna miodu. A jest z tym nielicho roboty. Aby wyprodukować kilogram tego smakołyku, pszczoły muszą odwiedzić jakieś 4 mln kwiatów i przelecieć setki tysięcy kilometrów, czyli lekko licząc okrążyć kilka razy Ziemię. Mało tego – jedna pszczoła jest w stanie wyprodukować w ciągu całego życia (liczącego w przypadku robotnic jakieś 6 tygodni), jakieś 0,08 g miodu. To jakaś 1/12 łyżeczki... Nie wszystkie pszczoły wprawdzie produkują miód, ale te, które to robią, mają pełne nogi roboty.

Ale znacznie ważniejsze dla człowieka, niż produkcja miodu, jest w przypadku pszczół zapylanie roślin. A tu wielką pracę wykonują nie tylko hodowlane pszczoły miodne, ale też i te dzikie, żyjące samotnie. A o ile te hodowlane pszczoły mają się dobrze, to z tymi dzikim już tak dobrze nie jest. Zagrażają im pestycydy, nadmierny rozwój rolnictwa i monokultur, a co za tym idzie znikanie naturalnych łąk. Zagrażają im też... te hodowlane pszczoły, które zarażają dzikie koleżanki pasożytami i chorobami (przy zapylaniu tych samych roślin).

Właśnie po to, by zwrócić uwagę na wszelkie pszczele problemy oraz docenić tytaniczną pracę, jaką wykonują dla człowieka te dzielne owady, w Polsce celebruje się Wielki Dzień Pszczół, który przypada na 8 sierpnia. Dlatego, pałaszując kanapkę z pysznym miodem do filiżanki kawy, wspomnijmy choćby dziś, komu w wielkiej mierze te frykasy zawdzięczamy. Zapraszamy do „Weekendówki" miodem płynącej!

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



MIODOWA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) hodowla owadów w celu pozyskania miodu, mleczka, wosku
9) pierwsze tygodnie po ślubie
10) dziupla z pszczelim gniazdem
11) rzędy uli
14) 9 poziomo spędzają tylko we dwoje
17) z klepkami i obręczami, jak znalazł na miód
18) „proletariuszka" w ulu
19) ciastko z wafli przełożonych orzechowo-miodową masą
22) słodki sok wydzielany przez kwiaty i nęcący owady
24) ... miodów (faceliowy, akacjowy, gryczany, spadziowy, rzepakowy...)
26) potocznie o miodzie z nektaru różnych roślin
30) bohater piosenki Jacka Kaczmarskiego z frazą: „Im mniej cię co dzień, miodzie, tym mi smakujesz słodziej" (skojarz z 8 pionowo)
32) ... miodowa, czyli spadź zbierana przez pszczoły
33) ... miodu, ucieszy Kubusia Puchatka
34) „Bez zachodu nie ma miodu", „Kto ma pszczoły, ten ma miód, kto ma dzieci, ten ma smród" (w liczbie mnogiej)
35) Samson z trylogii husyckiej Sapkowskiego, nauczycielka z powieści Dahla „Matylda" lub Jan, językoznawca

Pionowo:
1) „Miodowe lata"
2) pokarm dla pszczół, przyrządzony z cukru i roztopionego miodu
3) ... uli, czyli opróżnianie z części miodu
4) żółto-czarne – na tułowiu pszczoły
5) lepkość lub słodkość (... miodu)
6) cykl powieści, w których szlachcic z bielmem często sięga po miód i wino
7) smak, któremu daleko do słodkości
8) miododajne drzewo
12) ... miodu, czyli przerabianie go na pitny
13) niejeden zapylany przez owady
15) Puchatek – miody, Kłapouchy – ?
16) łakomczuch, żarłok
17) ... olimpijscy, popijali nektar
18) ... fermentacyjna, do wina, miodu
20) krystalizacja, krzepnięcie miodu
21) miód pitny, w którym na jedną część miodu przypadają dwie części wody
23) naczynie na wino, miód
25) marka miodu pitnego (imię żeńskie)
27) ... plastra miodu, o torbielach widocznych na rentgenie klatki piersiowej
28) wytwórcy win, miodów pitnych
29) pierzga to ... dla młodych pszczół (grudki pyłu kwiatowego zlepione miodem)
31) Bartosz Opania („Miłość jak miód")

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 216 z 1.08:

Poziomo: 5) kawki 7) Autobiografia 10) iglice 11) lukarny 12) drabina 13) liny 14) drzwi 15) prostokąt 17) rynna 21) krokiew 23) lunatyk 24) klip 25) ptaki 26) strzecha 28) podbitka 30) suszarnia 31) podnośnik 33) utknięcie 34) katastrofa.

Pionowo: 1) musical 2) kominiarze 3) Williams 4) przeciekanie 5) kaskader 6) wiersz 8) filmy 9) żywica 12) dekarstwo 16) talerz 18) nacieki 19) skok 20) wydarzenie 22) wysokość 24) kierowca 27) czubek 29) budowa 31) papa 32) kuna.

HASŁO: GONTY PAPOWE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

Słówko
Wybierz słowo, sprawdzaj litery i kombinuj, aż skończą Ci się próby

Literówka
Kilka liter i jedno zadanie: ułożyć jak najwięcej słów

Jeszcze więcej rozrywki w Aplikacji Wyborczej
Szukaj w aplikacji

Zakreślanka

Skojarzenia

1 RP

eprasa.pl d324f0b119

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

wyborcza

14 / Być kobietą w Polsce
Łyżeczkowanie? Przestarzała metoda to norma

22 / Kultura
Niedocenione kobiety „Odysei”



OLGA SOLARZ

Na wojnie nie ma ateistów

– rozmowa Joanny Mosiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej”. Sprzedaż łącznie z „Wyborczą” wysokieobcasy.pl NR 32 (1403) SOBOTA – CZWARTEK, 8-13 SIERPNIA 2026

Słabsza płeć



JOANNA WRÓŻYŃSKA

Jak silna musi być „silna kobieta”? Czy o jej sile świadczy to, że maszeruje na froncie ramię w ramię z mężczyznami? Czy może to, że próbuje przekonać lekarzy, że należy jej się bezpieczna procedura medyczna zamiast stosowania przestarzałej, często powodującej komplikacje metody? A może to, że swoimi trudnymi doświadczeniami potrafi podzielić się z innymi, przekładając je na język komiksu?

W tym numerze „Wysokich Obcasów” poznacie różne kobiety – od mitycznych bogiń, królowych i czarodziejek po współczesne pisarki, wolontariuszki, narzeczone i żony. Są tak różne, jak tylko różne mogą być dwie nieznajome osoby, a jednak są do siebie w jakiś szczególny sposób podobne. „Za każdym razem, gdy komuś opowiadam tę historię, to od razu sama siebie uciszam. Mówię sobie, że pewnie dużo osób przeżyło to, co mnie spotkało, i nie jest to nic wyjątkowego. Potem jednak myślę, że może moja historia wpłynie na zmianę opieki okołociążowej i okołoporonnej w Polsce” – mówi Katarzyna, bohaterka reportażu Pauliny Reiter, której lekarka zamiast bezpiecznego zabiegu aspiracji zaproponowała tzw. skrobankę.

Olga Solarz, wolontariuszka, pisarka, członkini batalionu Dzikie Pole: „Jak chłopaki idą na miesięczną rotację do okopów, tak ja jestem teraz na rotacji w Polsce, to dla nich po prostu nie ma mnie w domu. Tam są moje rzeczy: materac, śpiwór, poduszki, kapcie. Od 2022 roku zostawiam tam swoje klamoty, a kiedy jednostka przechodzi z miejsca na miejsce, moje rzeczy wędrują razem z nią. To jest mój dom” – opowiada Joannie Mosiej.

„Przełamanie wstydu wokół kobiecego pożądania lub jego braku było tak ważne, że byłam dumna, że wywołałam na ten temat dyskusję. Czuję się też bezpieczna, ponieważ mam wsparcie przyjaciół i rodziny” – podkreśla Alix Garin, autorka i bohaterka komiksu „Odzyskać pożądanie”, w rozmowie z Agatą Napiórską.

„»Odyseja« to przecież także opowieść Penelopy, Kirke, Kalipso, Euryklei, Heleny i Ateny. Nolan wybrał świetne aktorki, ale napisał im role płaskie, jak morze podczas flauty” – komentuje najgłośniejszy film ostatnich tygodni Barbara Sadurska, pisarka, scenarzystka i prawniczka, autorka m.in. opowiadania o kobietach Odyseusza.

Motyw silnej kobiety jest jednym z najczęściej spotykanych motywów w literaturze, filmach czy serialach. Mówiło się tak o bohaterce, która była niezależna, wpływała na bieg wydarzeń, podejmując ważne decyzje, potrafiła przeciwstawić się normom społecznym, miała własne cele, motywacje, nie oglądała się na innych, a zwłaszcza na mężczyzn. Była odporna psychicznie i odważna. I wcale nie musiała być silna fizycznie. Mam jednak wrażenie, że współcześnie rzadziej używamy tego określenia, choć pasuje do wielu kobiet, które, podobnie jak bohaterki tego numeru, każdego dnia walczą o siebie – o bezpieczne, godne życie, spokojną przyszłość i teraźniejszość, która jest przynajmniej wystarczająca. Chciałabym wierzyć, że wynika to z tego, że świat wreszcie zauważył, że tak, jak nie trzeba podkreślać siły mężczyzn, tak nie trzeba już też nikomu udowadniać, że kobiety wcale nie są słabszą płcią. ▲

Joanna Wróżyńska – redaktorka prowadząca





JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

■ **NA OKŁADCE:** Kate Moss wciąż prowokuje • Mery Spolsky zdejmuje maskę
■ **TEMAT NUMERU:** Presja wyglądu • Jacob Elordi: trochę mroku, sporo uroku • Pary z ADHD: jak ze sobą wytrzymują? • Co AI robi nam z głową? • Annette Bening: coraz ciekawsza • Na górskich ścieżkach w Kirgistanie • Jak latem zadbać o włosy

www.wysokieobcasy.pl **wysokieobcasy** **wysokieobcasy.pl** **listy@wysokieobcasy.pl**

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Joanna Wróżyńska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 3, 10-13, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 32 (1403)
NA OKŁADCE: OLGA SOLARZ
FOT. JAKUB WŁODEK/ AGENCJA WYBORCZA.PL



SKECHERS

HANDS FREE Slip-ins

GLIDE-STEP

Air-Cooled MEMORY FOAM™



BEZ UŻYCIA RĄK PO PROSTU WSUŃ STOPY I GOTOWE

Zakładanie butów jeszcze nigdy nie było łatwiejsze dzięki Skechers Hands Free Slip-ins®. Zero schylania się. Bez dotykania butów. Po prostu wsuwasz stopy i gotowe.

Heel Pillow™ utrzymuje stopy bezpiecznie w miejscu!

NIGDY WIĘCEJ DOTYKANIA BUTÓW RĘKAMI

NIGDY WIĘCEJ SCHYLANIA

MOŻNA PRAĆ W PRALCE



skechers.pl



OLGA SOLARZ

– ukrainistka, doktor etnologii. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego (wydział filologiczny, Instytut Filologii Wschodniosłowiańskiej), stała wolontariuszka ukraińskiej 128. Brygady „Dzikie Pole", autorka popularnego bloga „Magia ludowa Karpat" i książek, m.in. „Dzikie Pole. Wojenna opowieść" i „Dzikie Pole. Kontrofensywa"

OLGA SOLARZ

Rezydencja literacka *w okopach*

Nie ma nic poza wojną, co może dotknąć tak głęboko człowieka. To są najbardziej pierwotne doświadczenia, trudne do opowiedzenia komuś, kto tego nie przeżył



Z **OLGĄ SOLARZ**, ANTROPOLOŻKĄ, WOLONTARIUSZKĄ, AUTORKĄ „DZIKIEGO POLA", ROZMAWIA **JOANNA MOSIEJ**

j

Jak trafiłaś na baby połowieckie?
– Zupełnie przypadkowo. Pojechałam na step na rekonesans z żołnierzami, szukali wysokiego punktu do strzelania z Mistrali, francuskich pocisków przeciwlotniczych. Oni się rozglądali, a ja zwróciłam uwagę na kamienie leżące na ziemi. Były obrobione, miały gładką powierzchnię. Przez osiem lat zajmowałam się cmentarzami pozbawionymi opiekunów i nauczyłam się podstawowych metod konserwatorskich: czyszczenia, klejenia kamienia. Od razu wyczułam, że coś jest z tymi kamieniami nie tak. Kiedy wróciłam do domu, w internecie znalazłam zdjęcie połowieckiej baby, czyli posągu, który stał w tym miejscu przed pełnoskalową wojną. Takie rzeźby ustawiał koczowniczy lud zwany Połowcami lub Kumanami na istniejących już wcześniej kurhanach, np. z czasów scytyjskich. To bezcenne zabytki kultury sprzed tysiąca lat.

Nie wiedziałaś wcześniej, że coś takiego istnieje?
– Sztuką kamienną interesuję się od dawna, ale nie miałam pojęcia, że taka baba mogła stać akurat na tym kurhanie. Kiedy jednak zobaczyłam jej zdjęcie w Google'u sprzed inwazji na stronie promującej turystykę w obwodzie donieckim, wiedziałam od razu, że znalazłam jej fragmenty. I już nie mogłam spać. Namawiałam chłopaków: jedziemy, trzeba je uratować. Na początku próbowałam stoczyć z kurhanu głowę i kawałek tułowia z jednym tylko żołnierzem. Okazało się to pierońsko ciężkie, a do tego trzeba było toczyć kilkaset metrów do samochodu. Z góry szło łatwo, dalej już wcale. Następnego dnia wzięliśmy dwóch dodatkowych chłopaków i taczkę. Pojechaliśmy o zachodzie słońca, to był najlepszy moment. I jeszcze wtedy, w listopadzie 2023 roku, co jest bardzo istotne, nie był to okres dronów FPV.

Dziś już by się to nie udało.
– Wtedy drony FPV latały tuż przy samej linii starcia, czyli „zerówce", ale nie wlatywały jeszcze cztery kilometry w głąb. Udało się, taczką, w pośpiechu. Nie zdążyłam wykuć wszystkiego, bo baba była zabetonowana w podstawie, część została w ziemi. Nigdy już tam nie wróciłam, choć kupiłam dłuta. Najważniejsze fragmenty jednak wywieźliśmy, wystarczające, żeby ją zrekonstruować, żeby miała swój kształt. Przywiozłam ją do Lwowa, do pracowni konserwatorskiej. Trzech rzeźbiarzy zajmowało się nią przez rok. Teraz stoi przed Muzeum Narodowym we Lwowie. Jak byłam tam ostatnio i zobaczyłam ją z daleka, podeszłam i przytuliłam się do niej jak do kogoś bardzo bliskiego.

To zwykły kamień, ale dla mnie ona jest żywą istotą. Dałam jej kawałek swojego życia.

Później były trzy kolejne baby z Wielkiej Nowosiłki. Zorganizowałam ich ewakuację, bo były już lekko uszkodzone, wtedy nie sądziłam, że za rok ta miejscowość będzie pod rosyjską okupacją. Dobrze się stało, że zdążyłyśmy. Teraz stoją w Narodowym Muzeum Historycznym im. Dmytra Jawornickiego w Dnieprze.

Twoja pierwsza książka nosi tytuł „Dzikie Pole", od nazwy brygady, którą wspierasz. Ale to także nazwa stepu, który opisujesz i o którym pisał też Henryk Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem" – uczniowie ziewają, czytając jego opisy.
– Step nie jest nudny, to fascynujący palimpsest, nakładające się warstwy historii i przyrody. Jest symbolem wolności i przestrzeni. Jeśli spojrzysz na mapę, na której widać wszystkie zagłębienia terenu, okazuje się, że step ma niesamowity krwiobieg, wszędzie tam, gdzie były rzeki: Dniepr, jego dopływy, strugi.

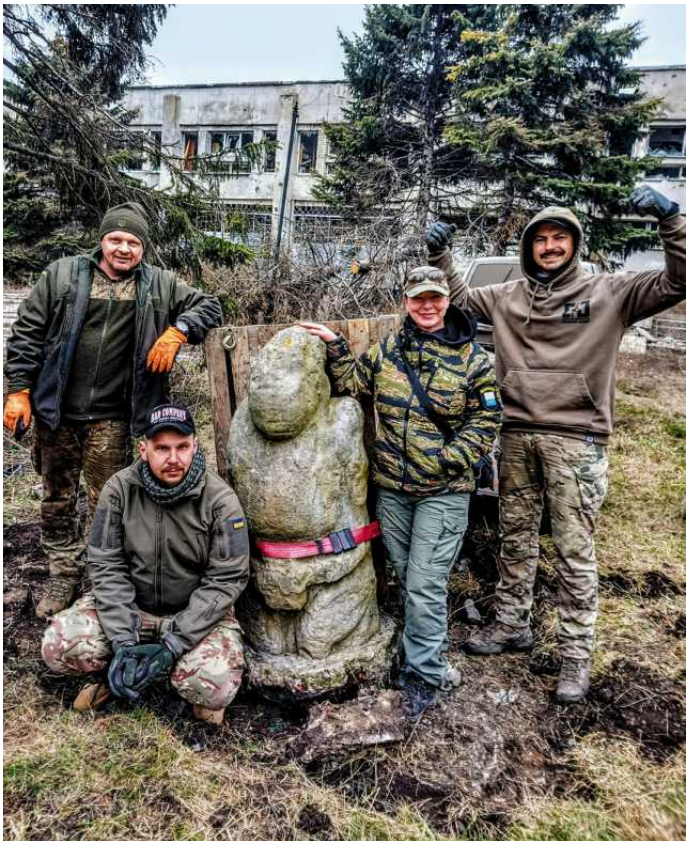
Jedziesz przez płaski teren i nagle niesamowity jar. Sucho, resztki trawy, żadnego cieku. Ale wiesz, że to dawna arteria, że sto, dwieście lat temu jeszcze coś tu płynęło. Step jest pofałdowany, ale łagodnie, górki przechodzą powoli w równiny, dlatego krajobraz otwiera się na kilkanaście kilometrów do przodu. A jak na takiej górce został usypany kurhan, to masz punkt widokowy, z którego przestrzeń sięga jeszcze dalej.

Miałaś ustabilizowaną karierę akademicką, doktorat, przez wiele lat prowadziłaś głównie w zachodniej Ukrainie badania etnograficzne. Zajmowałaś się ludowymi metodami leczenia, myśleniem magicznym.
– Uwielbiałam te badania, głównie ze względu na bezpośredni kontakt z ludźmi. Jeździłam dużo, przede wszystkim w Karpaty, do kobiet, do znachorek i znachorów. Zaczęłam jeszcze jako studentka, pierwszy raz pojechałam w dziewięćdziesiątym siódmym roku, na Huculszczyznę. I tak zaczęła się moja pasja do kultury ludowej i dawnych metod lecznictwa. Zaczęłam rozmawiać z szeptuchami i zrozumiałam, że to świetny temat na pracę magisterską. Później zrobiłam z tego doktorat, jeździłam po konferencjach, napisałam mnóstwo artykułów. Po obronie dostałam etat na uczelni w Przemyślu. Wykładałam etnologię, kulturoznawstwo, praktyczną naukę języka ukraińskiego, komparatystykę kulturową, komunikację kulturową... Kiedyś policzyłam, że miałam jedenaście różnych przedmiotów. Przez pierwsze pięć lat pracy nic innego nie robiłam, tylko się do nich przygotowywałam. I czułam, że czas przecieka mi przez palce. Że nie żyję. Dlatego kiedy rozwiązano Instytut Lingwistyki Stosowanej, w którym pracowałam i straciłam etat, poczułam... ulgę. Potraktowałam to jako dobry moment, żeby zacząć coś innego.

Wtedy zaczęłaś prowadzić blog „Magia ludowa Karpat"?
– Tak. Uważałam, że taką wiedzę trzeba popularyzować, wyprowadzić ją poza hermetyczne kręgi naukowe. Na Facebooku zaczęłam pisać prostym językiem o tym, czym wcześniej zajmowałam się akademicko, na przykład, dlaczego nie

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM PRYWATNE





Po lewej: wieś Sicznewe w strefie przyfrontowej, przekazywanie pomocy humanitarnej dla osób cywilnych. Po prawej: ewakuacja trzech połowieckich bab z Wielkiej Nowosiłki

wolno witać się przez próg albo dlaczego plujemy przez lewe ramię. I odkryłam, że ludzie są tym ogromnie zainteresowani.

A gdzie ten mistycyzm jest silniejszy: w Polsce czy w Ukrainie?

– W Ukrainie jest moim zdaniem mocniej zakorzeniony. Po pierwsze, Ukraińcy w większości są dopiero w drugim, trzecim pokoleniu mieszkańcami miast, a wiadomo, że na wsi kultura tradycyjna trzyma się mocniej niż w mieście. Drugi powód, prawosławie jest bardziej mistyczne niż katolicyzm. I choć na przykład Ukraińcy na wschodzie nie są specjalnie religijni, ten element mistyczny wciąż gdzieś przenika.

Widzę to nawet wśród żołnierzy. Mówi się, że na wojnie nie ma ateistów i jest w tym wiele prawdy. W ekstremalnych sytuacjach człowiek szuka czegoś, co go podtrzyma. Wstrząsnęła mną ostatnio rozmowa z jednym z żołnierzy, niewierzącym, który wyznał, że poczuł swoją duszę. Określił to jako coś, co siedzi w człowieku bardzo głęboko, jak pierwotna larwa. I że to wcale nie jest przyjemne uczucie. Dużo o tym rozmawiamy, i to są wyjątkowe rozmowy, bo nie ma niczego innego poza wojną, co może dotknąć tak głęboko człowieka. Do żywego. To są najbardziej pierwotne doświadczenia, trudne do opowiedzenia komuś, kto tego nie przeżył. Momenty, które zdarzają się na granicy śmierci, coś, czego doświadczają mistycy, ludzie w głębokiej medytacji.

Nie jesteś częścią batalionu, jesteś wolontariuszką, ale żołnierze biorą cię na akcje.

– Chciałam doświadczać różnych rzeczy. Jestem wolontariuszką, ale właściwie nie jestem, bo wolontariusz przyjeżdża i wyjeżdża, a ja ostatnio siedziałam tam dwa miesiące.

Chcą, żebyś siedziała dwa miesiące?

– Jestem członkiem rodziny. Jestem swoja. Jak chłopaki idą na miesięczną rotację do okopów, tak ja jestem teraz na rotacji w Polsce, to dla nich po prostu nie ma mnie w domu. Tam są moje rzeczy: materac, śpiwór, poduszki, kapcie. Od 2022 roku zostawiam tam swoje klamoty, a kiedy jednostka przechodzi z miejsca na miejsce, moje rzeczy wędrują razem z nią. To jest mój dom.

Dlaczego wybrałaś Dzikie Pole?

– Od 2014 roku pomagałam żołnierzom z samodzielnego, ochotniczego batalionu Ajdar, stacjonującego na Ługańszczyźnie, w Starobielsku. Kiedy zaczęła się inwazja na pełną skalę, czyli wielka wojna, jak ją nazywam, Starobielsk został okupowany w ciągu dwóch dni. Żołnierze, którzy stanowili trzon Ajdaru, doskonale rozumieli, że nie mogą zostać na terenach okupowanych: byli pierwsi na listach do zabicia. Sformowali kolumnę i pojechali w kierunku Dniepru, szukając kogoś, kto ich przyjmie. Akurat w tym momencie tworzyła się 128. Brygada Obrony Terytorialnej, która później dostała nazwę 128. Samodzielna Ciężka Zmechanizowana Brygada „Dzikie Pole". Dzikie znaczy też nieokiełznane, wolne, a wojownicy z Dzikiego Pola to ludzie wolni, walczący o wolność.





Po lewej: wieś Szewczenko w strefie przyfrontowej, przekazanie karmy dla kobiety, która przygarnęła kilkanaście porzuconych psów. Po prawej: wojownicy Dzikiego Pola, obwód doniecki

Ci żołnierze ze Starobielszczyzny, pozbawieni domów, ziemi, biznesów, często rodzin, po prostu zaczęli walczyć. Dla mnie pomaganie im stało się priorytetem. Jak wyjeżdżali, nie mieli nawet mundurów. Zaczęłam ich kompletować od podstaw: kurtki zimowe, rękawice, buty, hełmy, kamizelki kuloodporne, apteczki. Wszystko, czego żołnierz potrzebuje. Konkretnie pomagam jednemu batalionowi i książka też jest o tych kilkuset osobach. Najbliżej byłam z jedną kompanią, po ukraińsku rotą, z kilkudziesięcioma chłopakami. Na okładce pierwszej części jest Monach, dowódca tej kompanii. To mój przyjaciel jeszcze z 2014, który poległ w 2023 roku w czasie letniej kontrofensywy.

Piszesz, że oni nie używają wielkich słów, jak ojczyzna, patriotyzm. Mówią, że walczą o swój dom, swoje rodziny, swoją ziemię. Że to jest dla nich ta wolność, której bronią.
– To jest konkretne. Dom, życie, ziemia.

Jak pisałaś książkę w blindażu, w okopie?
– Kończyłam pierwszą część w schronie na brzegu Dniepru, od wroga dzieliło nas dziesięć, dwanaście kilometrów, więc w miarę bezpiecznie, jak na warunki frontowe. Od zeszłego roku mieszkałam w trzech różnych miejscach, częściowo w Małokateryniwce, która dziś jest kompletnie zniszczona, potem w Kuszuhum w piwnicy na tak zwanych daczach. Tam mi się świetnie pisało: na zewnątrz było ponad czterdzieści stopni, w piwnicy dwadzieścia. Czułam się bezpiecznie, nawet kiedy przelatywały KAB-y. Siedziałam tam kilka miesięcy. Chłopaki wiedzą, że piszę i potrzebuję przestrzeni, mówią, że to moja rezydencja literacka, i zostawiają mnie w spokoju.

W schronie na pozycji czułam się bezpiecznie: potrójna warstwa brusów na górze, zasypana ziemią, worki z piaskiem przykryte gałęziami. Do blindażu przylegała podziemna kuchnia, a dalej, przez przepierzenia z koców i starych dywanów, transzeja i kolejne pomieszczenia, razem cztery.

W środku miałam materac na paletach, poduszkę, śpiwór i kozę w rogu. To był styczeń, luty, marzec, paliłam w niej i było ciepło. Mieszkałam tam ponad dwa miesiące. Jedynym minusem było to, że bardzo mało widziałam dziennego światła.

Nie mogłaś pisać w domu, po powrocie?
– To jest reportaż, muszę tego doświadczać, nie wiem, jak inaczej mogłabym to opisać. Bycie na froncie składa się z drobnych chwil. Rano wchodzę do kuchni i widzę płaczącego żołnierza. On szybko wyciera łzy i pyta, czy „zjem kartofelki". I rozumiem, że to jest właśnie ten kawałek codzienności, którego nie dotkniesz, przyjeżdżając na dwa dni, trzeba tam mieszkać, być z nimi. Ten żołnierz, który płakał przy kartoflach, ma za sobą dwadzieścia pięć lat służby. Na Majdanie stał naprzeciwko mnie, po drugiej stronie barykady, w szeregach wojsk wewnętrznych. Wiem, że mógł mnie tam zabić. A teraz proponuje mi smażone ziemniaki.

O czym rozmawia się przy kolacji? O Trumpie? Korupcji w Ukrainie? Rozmawiacie w ogóle o polityce?
– Polityka to temat marginalny, prawie go nie ma. Pamiętam, jak pisałam pierwszą część na pozycji o pięknej nazwie Jamajka, akurat podczas słynnego spotkania Trumpa z Zełenskim w Gabinecie Owalnym. Cały internet huczał, wszyscy się bali. Wychodzę do trzech chłopaków, którzy właśnie kopią kolejną transzeję, i mówię: „Nie przejmujecie się tym?". Oni kopią dalej i odpowiadają: „A czym tu się przejmować?". Nikt nie miał żadnych nadziei, że będzie inaczej.

Nie komentują tego, na co nie mają wpływu. Tematy to głównie tu i teraz: co przywieźć, gdzie zawieźć, jak dostarczyć na pozycję. Wracają też opowieści z przeszłości. Chłopaki dużo rozmawiają o wędkowaniu, są tacy, którzy będą mówić o rybach godzinami. Inni pokazują zdjęcia dzieci, opowiadają o rodzinach. I plotki, bo plotkują, i to jest zupełnie normalne, jak na bazarze. Temu się rano spalił samochód, tamtych pomogli wyciągnąć.

Widziałaś tyle okropności, słyszałaś o nich. Można się uodpornić?
– Są takie momenty, kiedy po prostu nie jesteś w stanie przyjąć więcej. Coś wewnątrz sztywnieje. Widzę, jak zmieniała się moja reakcja między 2022 a 2024 rokiem, kiedy strat było bardzo dużo. Pamiętam, jak siedziałam przy radiostacji i słyszę kolejny komunikat, że ktoś zginął. I zapada cisza. Absolutna wsobność wszystkich. Każdy zapada się w sobie na pięć, dziesięć minut. A potem wracamy do normalnego życia. Ani jednej łzy. Czułam, że jestem tak wypełniona tym wszystkim, że nie jestem już w stanie nawet zapłakać. Ale mam też straszne wyrzuty sumienia, największe paradoksalnie z powodu psów, że tylu nie uratowałam.

O psach to nie mogę słuchać. Bo wstyd przyznać, ale poruszają mnie chyba bardziej niż ludzie.
– Mnie też poruszają. Może nie powiem, że bardziej niż ludzie, ale inaczej. Ostatnio chłopaki wzięli mnie na rekonesans do wsi widmo. Zatrzymujemy się, wyskakujemy z auta. Idę z detektorem, obserwuję niebo i od razu siedem psów, zjawiły się znikąd. Wszystkie niegroźne, sympatyczne, szukające kontaktu. Widzę z daleka, że mała ruda suczka idzie w moją stronę. Przykucnęłam i wołam: „Chodź mała, wezmę cię, obiecuję". Chłopaki mnie wołają, odchodzę, a ona jeszcze idzie za mną, taka chuda, że żebra wystają. I w tym momencie na detektorze widzimy, że leci dron. Uciekamy. Kiedy wracamy, rozglądam się za nią, ale już jej nie ma. Wróciłam z totalnym poczuciem winy. Obiecałam temu psu, że go wezmę, i zostawiłam. Drugi raz już mnie tam nie chcieli zabrać, choć próbowałam wyprosić. Drugą suczkę oswajałam w innej miejscowości, gdzie mieszkałam przez dwa tygodnie. Ostatniego dnia przed wyjazdem wyszła z krzaków i zaczęła do mnie szczekać, pierwszy raz się przywitała. A ja następnego dnia musiałam wyjechać. Mam je wszystkie na zdjęciach. I to są właśnie te psy, o których myślę, wspomnienia zwierząt, które czuję, że zawiodłam. Ale nie mogę narażać życia żołnierzy, żeby szukać małego rudego psa.

Co trzyma żołnierzy przy życiu?
– Relacje. Mało tu patosu o walce za ojczyznę, walczą o bezpieczeństwo bliskich. Czasem to jest wszystko, co mają. Myślą o rodzinie, o najbliższych, że kiedyś to się skończy i wrócą. A jeśli zanim wojna się skończy, tamto się już skończyło, kończy im się wszystko. W książce opisałam historię żołnierza o pseudonimie Zwierz. Mieszkaliśmy razem w rozwalonym ambulatorium, spotykałam go na korytarzu, bo oboje paliliśmy. Zawsze się z kimś kłócił przez telefon. Trzymałam dystans, wymienialiśmy się tylko uwagami o pogodzie. Powiesił się. Próbował też wysadzić się granatem, ale znaleziono go pod jego nogami, kiedy już wisiał. Żona go zostawiła, wzięła córkę i wyjechała. Zawsze miał do czego wracać, a wtedy nagle nie miał już nic.

Rozmawiacie o tym, kiedy to się skończy?
– Rzadko. A jak ktoś zadaje to pytanie, brzmi raczej jak retoryczne, rzucone w przestrzeń. To dobry mechanizm obronny: kiedy nie masz na coś wpływu, lepiej się z tym nie mierzyć, bo tylko tracisz energię. Więc żyją tu i teraz, zadaniowo. Codzienność, kolejne zadania to gorset, który trzyma w pionie. Dlatego wielu żołnierzy rozsypuje się po demobilizacji. Kiedy organizm nie ma już tego usztywnienia, wracają choroby. Wojna to ekstremalna mobilizacja organizmu, nie możesz się rozpaść. A jak tak się stanie, przychodzi PTSD i spędzasz miesiąc, dwa w szpitalu psychiatrycznym. I zwykle kończy się na lekach nasennych, uspokajających. Nikt głębiej nie pracuje z tobą nad traumą, bo to wymagałoby prawdziwej, długotrwałej terapii.

Jak dbasz o siebie?
– Dwa lata temu zrobiłam kurs interwencji kryzysowej, dał mi teorię, narzędzia, jak się zachować, kiedy ktoś jest w poważnym kryzysie. Teraz, w ramach projektu mojej fundacji, dyżuruję na telefonie zaufania dla uchodźców z Ukrainy. Samoświadomość to klucz. Kiedy strach przeszywa do szpiku kości, trzeba coś z nim zrobić, przegadać, wyrzucić z siebie, zmienić miejsce.

W 2022 roku, po pierwszym ostrzale, skorzystałam z metody EMDR. Nie mogłam spać, miałam potworne bóle głowy, reagowałam na każdy dźwięk. To był moment kryzysowy, z którego na szczęście wyszłam. Teraz, gdy wracam do Polski, to pracuję fizycznie, lubię się zmęczyć, lubię pracę w ogrodzie, głowa jest wtedy gdzie indziej. To mnie resetuje. I pisanie, pisząc, wyrzucam z siebie te lękowe kawałki. Bo kiedy umierają naprawdę bliscy ludzie, umiera kawałek ciebie. Trzeba się na nowo poukładać bez tego jednego elementu.

I mam swój świadomy rytuał przejścia między tymi światami. Jadę samochodem sama, dwa dni, absolutna cisza, czasem jakaś muzyka, krajobrazy za oknem. Dwa dni bycia pomiędzy.

Pewnie wszyscy cię o to pytają: boisz się?
– Myślę, że rodzimy się z różnymi temperamentami. Dla mnie zawsze ważne było zdobywanie doświadczeń. Miałam kiedyś takie motto: doświadczenie jest czymś, co dostajesz, kiedy nie dostajesz tego, czego chcesz. Pewnie jestem też naturalnie odważna, ale tylko do pewnych rzeczy. Nie wiem, czy sama poleciałabym na wycieczkę na przykład do Stanów Zjednoczonych czy Australii. ▲

Od 2022 roku zostawiam tam swoje klamoty, a kiedy jednostka przechodzi z miejsca na miejsce, moje rzeczy wędrują razem z nią. *To jest mój dom*

TEKST REKLAMOWY

Trentino – tam, gdzie jesień zachwyca najbardziej

Jeśli chcesz poczuć powiew ciepłego, jesiennego wiatru, wspinając się na szczyty pieszo lub rowerem i na każdym kroku podziwiając niesamowite widoki, koniecznie musisz wybrać się do Trentino. Nigdzie indziej nie zachwycisz się przyrodą tak bardzo, doświadczając jednocześnie włoskiego stylu życia.



Trentino to region jedyny w swoim rodzaju. Trudno o drugie takie miejsce w Alpach, gdzie można podziwiać naturę w takim wyjątkowym wydaniu. To przede wszystkim zasługa Dolomitów. Te majestatyczne szczyty były około 250-230 milionów lat temu częścią rozległej rafy koralowej. Kiedy afrykańska płyta kontynentalna naparła na europejską, zostały wypiętrzone. Na wysokości 2000 m n.p.m. nadal można znaleźć muszle zatopione w skałach, które są najlepszym świadectwem tej niesamowitej historii.

O wyjątkowym bogactwie przyrody Trentino świadczą trzy rozległe obszary chronione: Park Narodowy Stelvio oraz parki przyrodnicze Adamello Brenta i Paneveggio – Pale di San Martino. To tereny, w których lasy, jeziora, alpejskie łąki i monumentalne szczyty tworzą pejzaże zachęcające do zatrzymania się i bliskiego kontaktu z naturą.

Jesień jest tu szczególnie urzekająca. Złocące się modrzewie, drzewa liściaste mieniące się odcieniami czerwieni oraz krystalicznie czyste powietrze sprawiają, że każda wędrówka staje się chwilą wyciszenia i zachwytu nad pięknem gór. To doskonały czas, by zwolnić tempo, zanurzyć się w naturze i odkrywać Trentino wszystkimi zmysłami. I to we włoskim stylu!



Niespieszny aperitif na słonecznym tarasie, kieliszek lokalnego wina i kolacja przygotowana z regionalnych produktów. Rodzinne winiarnie i przytulne kawiarnie zapraszają, by celebrować proste chwile, a serdeczność mieszkańców sprawia, że każdy gość czuje się tutaj mile widziany.





Rowerem wśród jezior i sadów złotych jabłoni

Jeśli marzysz o miejscu, które można poznawać z perspektywy roweru, a podczas jazdy podziwiać, jak złociste lasy odbijają się w tafli jezior, wsłuchiwać się w szum drzew i rzek, to jesienną przygodę w Trentino zacznij od doliny Valsugana.

Valsugana to malownicza dolina we wschodniej części Trentino, rozciągająca się wzdłuż rzeki Brenta. Zachwyca alpejskimi krajobrazami, krystalicznie czystymi jeziorami oraz urokliwymi miasteczkami, w których można poczuć autentyczny klimat regionu.

Przez dolinę Valsugana prowadzi jedna z najpiękniejszych tras rowerowych we Włoszech. Rozpoczyna się w miejscowości Pergine Valsugana, a kończy w Bassano del Grappa w regionie Wenecji Euganejskiej. Mierzy 80 km długości. Biegnie wzdłuż jeziora Caldonazzo, a następnie rzeki Brenta, wijąc się przez górskie wioski, pola uprawne i sady jabłoni. Trasa jest łagodna i w większości płaska – w całości zanurzona w naturze. Została nawet nagrodzona tytułem „Italian Green Roads Award 2020" – to włoski Oscar turystyki rowerowej, coroczne wyróżnienie dla zielonych szlaków.

Wycieczkę rowerową najlepiej rozpocząć z samego rana. Około 30-kilometrowy odcinek z Pergine do Borgo Valsugana polecany jest na chłodne, jesienne poranki – słońce wspaniale podkreśla kolory krajobrazu i wody jeziora Caldonazzo. Dalej jedzie się w otoczeniu sadów jabłkowych, które jesienią mienią się pięknymi barwami.

Aby wyruszyć w trasę, nie trzeba posiadać własnego roweru. W dolinie Valsugana działają wypożyczalnie, a na szlaku rowerowym zlokalizowane są punkty, w których można oddać rower, chcąc zakończyć etap danego dnia. Warto jednak wcześniej skontaktować się z wypożyczalnią, by zarezerwować rower oraz ustalić dokładnie miejsce jego zwrotu. Na szlaku nie brakuje również stacji serwisowych i miejsc na odpoczynek. A dobre połączenia kolejowe sprawiają, że z roweru można przesiąść się do pociągu i kontynuować podróż tym środkiem transportu.

Spacerem wzdłuż brzegów jezior i wśród górskich szczytów

Rowerowa przygoda wzdłuż rzeki Brenta to dopiero początek poznawania Trentino. Po zejściu z roweru warto ruszyć jeszcze dalej – tym razem pieszo, górskimi szlakami prowadzącymi wśród lasów, alpejskich łąk i panoram, które jesienią zachwycają wyjątkową paletą barw.





Dolina Valsugana warta jest tego, by zostać w niej na dłużej, a po rowerowej przygodzie oddawać się innym aktywnościom. Valsugana to pierwszy region turystyczny we Włoszech, który otrzymał certyfikat zgodności ze standardami Global Sustainable Tourism Council, potwierdzający jego zaangażowanie w rozwój odpowiedzialnej i zrównoważonej turystyki.

To zasługa troski o naturę. Obydwa duże jeziora w dolinie Valsugana są wyróżnione europejskim znakiem Błękitnej Flagi, będącym gwarancją wysokiej jakości wody i infrastruktury. Po jeziorze Caldonazzo można pływać kajakiem, żaglówką, na desce windsurfingowej, a także na nartach wodnych. Jezioro Levico, osadzone w oprawie zielonych wzgórz porośniętych lasami, jest doskonałym miejscem relaksu.

Valsugana to miejsce, gdzie naturę można odkrywać w swoim własnym rytmie: spacerując wzdłuż brzegów jezior albo wśród górskich szczytów. Można rozłożyć koc i godzinami podziwiać jesienne barwy, pozwalając myślom odpocząć od codziennych trosk.

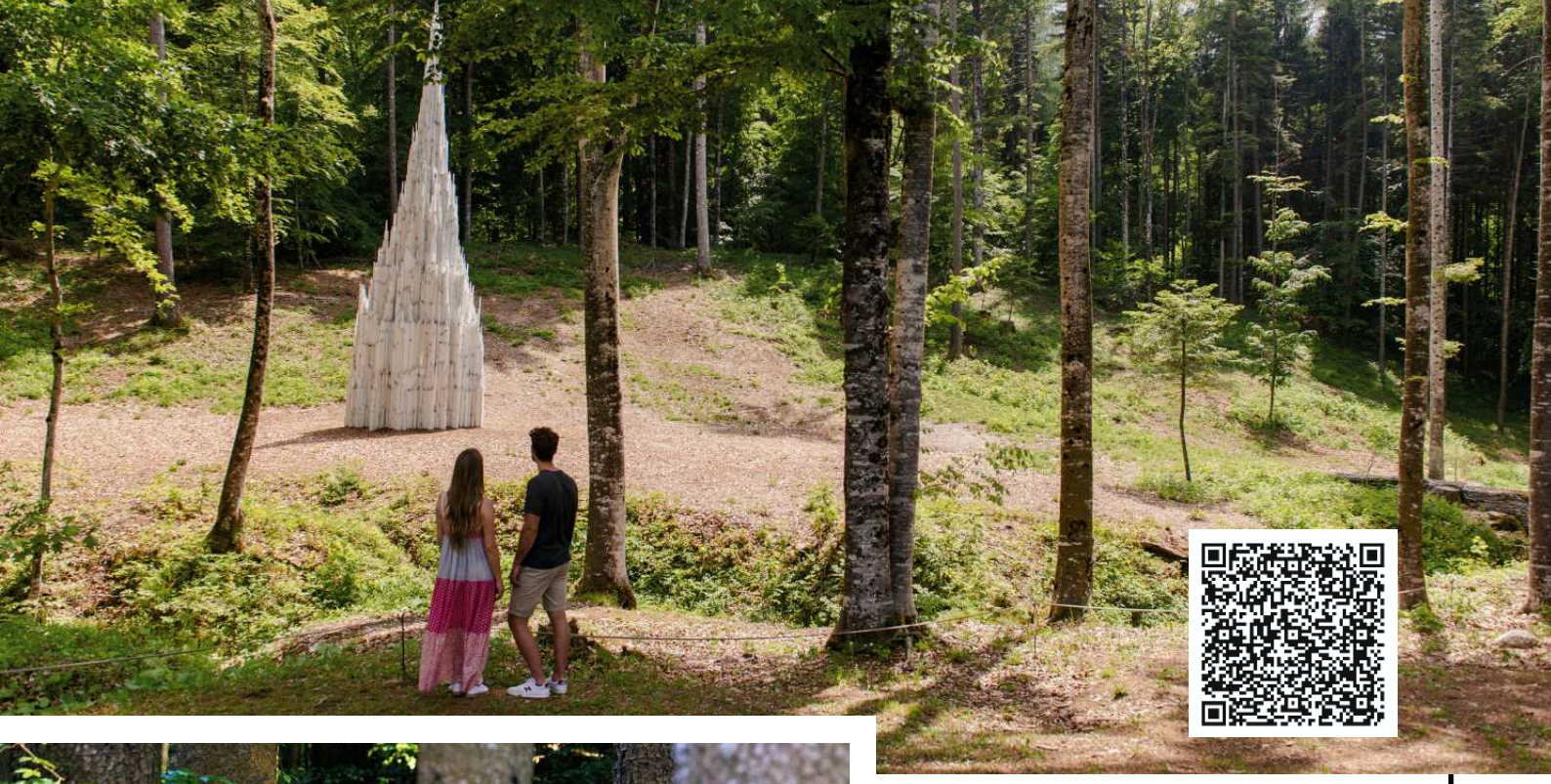
Wyjątkowym miejscem na pobyt tutaj jest Zamek Pergine – średniowieczna twierdza górująca nad doliną, w której mieszczą się hotel i restauracja. To niezwykła okazja, by zamieszkać w murach zamku i poczuć klimat dawnych czasów. Szczególnie magiczne są wieczory, gdy po krótkiej wspinaczce na wzgórze można zatrzymać się na aperitivo z widokiem na Valsuganę i spokojną taflę jeziora Caldonazzo.

Dzięki licznym kempingom, plażom i miejscom przygotowanym z myślą o rodzinach Valsugana pozwala cieszyć się jesiennym urlopem blisko natury – aktywnie, komfortowo i w zgodzie z rytmem włoskiego dolce vita.

Arte Sella – wystawa sztuki w... lesie

Jest jeszcze jedno miejsce, które koniecznie trzeba zobaczyć w dolinie Valsugana – Arte Sella. Ponad 300 artystów z różnych krajów zdecydowało się stworzyć miejsce dla duszy – wystawę sztuki w lesie, dostępną dla każdego – tak jak natura.







Arte Sella to coś więcej niż muzeum na świeżym powietrzu. To proces twórczy, prezentacja nieustannie zmieniającej się interakcji między człowiekiem a środowiskiem, na wzór natury. Skały, gałęzie, liście, pnie drzew, gleba posłużyły do stworzenia dzieł sztuki, które, dosłownie, zakorzeniają się w miejscu, stając się jednością z naturą.

Pomysł na wystawę sztuki w lesie zrodził się już w 1986 roku. Od tego czasu przyłączyło się do niego ponad 300 artystów z różnych krajów. Ich dzieła stały się częścią krajobrazu i zmieniają się wraz z upływem pór roku.

Spacer pośród drzew i niezwykłych dzieł sztuki pozwala doświadczyć miejsca w zupełnie inny sposób – spokojnie, uważnie i wszystkimi zmysłami. Jesienią Arte Sella zachwyca szczególnie mocno. Złote korony drzew, miękkie światło i kontrast między surową formą rzeźb a kolorami lasu tworzą niemal magiczną atmosferę. To doskonałe dopełnienie podróży po Valsuganie – regionie, w którym natura, kultura i włoska sztuka czerpania przyjemności z życia tworzą wyjątkową harmonię.

Pobyt w Trentino to doświadczenie, które na długo zostaje w pamięci. Zachwycające górskie krajobrazy, bliskość natury i spokój sprawiają, że można tu naprawdę odpocząć i nabrać energii. Do tego włoski styl życia – niespieszne tempo, serdeczni i otwarci ludzie oraz mnóstwo jesiennego słońca – tworzy wyjątkową atmosferę.

W pełni korzystać z pobytu pozwala Trentino Guest Card. Karta Gościa Trentino umożliwia uzyskanie zniżek na wizyty w zamkach, muzeach, fortecach, parkach przyrody i ośrodkach wypoczynkowych. Upoważnia również do bezpłatnych i nieograniczonych przejazdów środkami transportu publicznego, w tym pociągami, autokarami i autobusami miejskimi. Dzięki temu zwiedzanie regionu jest wygodne, swobodne i pozwala w pełni odkryć jego różnorodność. Trentino to miejsce, do którego wraca się nie tylko dla spektakularnych widoków, ale także dla wyjątkowej atmosfery i poczucia, że każdy dzień można przeżyć tu naprawdę blisko natury.



Chcesz więcej informacji, odwiedź www.visittrentino.info

Szpital bez *aspiracji*

Lekarka upierała się przy łyżeczkowaniu. Katarzyna poprosiła o aspirację. Usłyszała, że ta metoda jest niedostępna

TEKST **PAULINA REITER**
RYSUNEK **MAGDA PANKIEWICZ**

Katarzyna: Nie spodziewałam się, że szpitalu w Warszawie, który kobiety wybierają najczęściej i gdzie rodzi się około 6 tys. dzieci rocznie, aspiracja nie będzie dostępna. Lekarka przedstawiła mi skrobankę jako kuszącą opcję.

Pielęgniarka ze szpitala na Żelaznej: Aspiracja? To taki wielki odkurzacz. Gizela Jagielska: Metoda łyżeczkowania jest przestarzała.

Natalia Broniarczyk: Lekarze mają podejście: „Po co mam się uczyć czegoś nowego, skoro wszystko wiem".

SAMA SIEBIE UCISZAM

– Za każdym razem, gdy komuś opowiadam tę historię, to od razu sama siebie uciszam. Mówię sobie, że pewnie dużo osób przeżyło to, co mnie spotkało, i nie jest to nic wyjątkowego. Potem jednak myślę, że może moja historia wpłynie na zmianę opieki okołociążowej i okołoporonnej w Polsce. Żeby była to opieka na poziomie rekomendowanym przez Światową Organizację Zdrowia – mówi Katarzyna. Ma 36 lat, od kilku lat stara się zajść w ciążę. Rok temu ona i jej mąż zgłosili się do kliniki leczenia niepłodności. Zdecydowali się na zapłodnienie in vitro. Dziesięć dni po transferze zarodka Katarzyna zrobiła test ciążowy – wynik był pozytywny. W siódmym tygodniu zrobiła USG – wszystko było w porządku. Na USG w ósmym tygodniu powiedziano jej, że widać bicie serca. Na USG w dziesiątym tygodniu lekarka, która prowadziła jej ciąże w LUX MED-zie, powiedziała: „Zobaczmy, co tam u dzieciaczka słychać".

– Pomyślałam, że w sumie to miło, że tak mówi, bo sama nie dałam sobie jeszcze przyzwolenia, żeby się do ciąży przyzwyczajać. Od momentu, gdy zobaczyłam dwie kreski na teście ciążowym, powtarzałam sobie, żeby się nie cieszyć za bardzo przed 12. tygodniem, bo ciąża może się różnie skończyć – mówi Katarzyna. – Ale wszystko szło dobrze. Mówiliśmy znajomym o ciąży, wielu z nich wiedziało, że jesteśmy w procedurze in vitro. Nie chciałam tego ukrywać, bo nie chciałam się pozbawiać możliwości przeżywania wspólnie z bliskimi tego również, gdyby się nie udało. Gdy jednak lekarka powiedziała „dzieciaczek", ta ciąża się dla mnie urealniła, stała się prawdziwa.

Pięć minut później lekarka powiedziała jej, że nie ma przepływów i że ciąża się prawdopodobnie nie rozwija od tygodnia. Zaleciła, że powinna zgłosić się do szpitala na indukcję poronienia. Zaproponowała, że zadzwoni do szpitala na Żelaznej, gdzie sama pracuje i Katarzynę umówi.

– To było dla mnie trudne, więc skorzystałam z jej propozycji chętnie. Załatwiła mi miejsce za trzy dni, w sobotę – mówi Katarzyna. – Gdy wyszłam z gabinetu zadzwoniłam do męża, a potem do rodziców. Zaskoczyło mnie to, że mój tata wyraził wątpliwość, czy w szpitalu na pewno mi pomogą, czy nie będą chcieli czekać, skoro nie mam żadnego krwawienia. Jego niepokój wynikał z tego, co spotkało Izę z Pszczyny, która dostała sepsy, bo personel medyczny czekał zbyt długo z usunięciem płodu. Mnie samej do głowy nie przyszło, że w szpitalu mogliby mi nie pomóc.

– Dosłownie dwa tygodnie wcześniej słuchałam w podcaście Co To Będzie wywiadu Marty Nowak z Natalią Broniarczyk z przychodni AboTak. Z tej rozmowy dowiedziałam się, że na oddziałach ginekologicznych stosowane są tabletki, które wywołują poronienie. Zresztą lekarka w LUX MED-zie również to potwierdziła, że w szpitalu podadzą mi leki. Zapytałam ją nawet, czy nie mogę po prostu tych tabletek przyjąć w domu, że byłoby to dla mnie bardziej komfortowe, a z wywiadu z Broniarczyk wiedziałam już, że jest to bezpieczne. Myślałam, że będę mogła wziąć tabletki i pochodzić, bo jak mówiła Broniarczyk, grawitacja pomaga w procesie oczyszczania macicy, a do szpitala miałam się zgłosić wieczorem, więc obawiałam się, że będę zmuszona leżeć. Ale lekarka powiedziała mi, że w szpitalu będzie łatwiej zabezpieczyć materiał genetyczny do badania. Chciałam zrobić badania DNA, choć są rekomendowane od drugiego czy trzeciego poronienia, ale ja wolałam nie czekać na trzecie poronienie, żeby się czegoś dowiedzieć, bo zaraz będę miała 37 lat. Zdecydowałam się na szpital, mimo że tata zasiał we mnie wątpliwości, i mimo że nigdy wcześniej nie byłam hospitalizowana i samo to było dla mnie stresujące.

OD RAZU POŻAŁOWAŁAM

W sobotę Katarzyna zgłosiła się do szpitala na Żelaznej w Warszawie. – Może spodziewałam się za dużo, ale myślałam, że w szpitalu ktoś mi powie, że jest mu przykro, że mnie to spotkało. Czułam dysonans pomiędzy tym, że ciągle słyszę, jak w debacie publicznej mówi się o życiu od poczęcia, a tutaj nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby okazać trochę współczucia. Może nie chcą, żeby pacjentka przeżywała znów trudne emocje? Nie wiem – wspomina.

Od lekarza który przyjmował ją na oddział, usłyszała tylko, że nawet jedna na trzy ciąże kończy się poronieniem w pierwszym trymestrze. Dostała też do podpisania zgodę na podanie mi leku off-label. Dopytała, czy to znaczy, że szpital podaje lek na wrzody w celu wywołania poronienia. Usłyszała potwierdzenie oraz zapewnienie, że to praktyka stosowana od lat i ma się nie martwić.

Lek dostała o godzinie 23. Plan, żeby spacerować, gdy dostanie leki, od razu spalił na panewce. Szpital jest w remoncie, mogła co najwyżej pochodzić kilka metrów w kółko po korytarzu. Dopiero po chwili zorientowała się, że podano jej sam misoprostol, ale nie dano mifepristonu.

– Od razu pożałowałam, że nie zrobiłam jednak tego sama w domu – mówi.

WHO rekomenduje podanie mifepristonu, bo odcina progesteron, a dopiero po 24-48 godzinach misoprostolu który pomaga w obkurczeniu macicy. O tym, że mifepriston nie jest dopuszczony do



obrotu w Polsce, Katarzyna dowiedziała się z internetu, będąc w szpitalu.

– Trafiłam do sali szpitalnej, w której były cztery łóżka, ale tylko jedna osoba oprócz mnie. W łazience natomiast, koło toalety stały cztery zakrwawione słoje z przyklejonymi do nich nazwiskami. Domyśliłam się, że to są właśnie słoje z zebranym materiałem genetycznym. Czy one powinny być wystawione na publiczny ogląd? Dostałam instrukcję od położnej, że gdyby pojawiły się jakieś skrzepy, by ją wołać i ona pomoże ocenić, czy w tych skrzepach są tkanki, które będą nadawały się do badania.

Drugą dawkę misoprostolu Katarzyna dostała o 2 rano, kolejną o 5 i jeszcze kolejną o 8 rano. Za każdym razem po cztery tabletki, czyli razem 16. I kolejne 24 tabletki w czasie kolejnego dnia. Razem to było 40 tabletek misoprostolu. – Tymczasem jeśli, zgodnie z rekomendacją WHO, najpierw weźmiemy mifepriston, to wystarczają cztery tabletki misoprostolu. Chcę, żeby to wybrzmiało – cztery tabletki w porównaniu z 40 tabletkami leku, który ma bardzo nieprzyjemne efekty uboczne – mówi. – Miałam straszną biegunkę i bardzo się pociłam, w nocy trzy razy musiałam zmieniać koszulkę, pościel była mokra. Po pierwszej nocy o 7 rano wyleciał jakiś duży skrzep, w którym prawdopodobnie był zarodek. Myślałam, że jest po wszystkim i mnie wypiszą do domu, ale usłyszałam, że macica nie oczyściła się do końca – wspomina.

– Wiedziałam, że będą chcieli mi zaproponować teraz łyżeczkowanie, bo przeczytałam o tym wcześniej w internecie. I wiedziałam też, że nie chcę się na to zgodzić, bo WHO odradza łyżeczkowanie, bo zwiększa ono ryzyko infekcji, przebicia ściany macicy i zrostów, które utrudniają zajście w ciążę, i zaleca aspirację próżniową. Poprosiłam o aspirację. Nie spodziewałam się, że w szpitalu w Warszawie, który kobiety najczęściej wybierają i gdzie rodzi się około 6 tys. dzieci rocznie, ta metoda nie będzie dostępna.



ASPIRACJA? TO TAKI DUŻY ODKURZACZ

– Lekarka przedstawiła mi skrobankę jako kuszącą opcję – ciągnie Katarzyna. – Powiedziała, że jeśli zrobimy dziś łyżeczkowanie, to będę mogła od razu wyjść do domu. Szczerze mówiąc, odebrałam to jako jedyną opcję, nie przedstawiono mi żadnego wyboru. Ale w tej kwestii byłam kategoryczna i nie zgodziłam się. Dlatego musiałam spędzić kolejną dobę w szpitalu. Kiedy wróciłam do łóżka, przyszła do mnie życzliwa pielęgniarka, starając się mnie uspokoić. Zapytałam, dlaczego w tym szpitalu nie jest dostępna metoda próżniowa. Usłyszałam, że to nie jest taka bezpieczna metoda, bo daje lekarzowi mało kontroli, że nie widać dokładnie, co się zasysa, i że maszyna do aspiracji to właściwie taki duży odkurzacz.

Kolejnego dnia rano na badaniu USG lekarka powiedziała Katarzynie, że nie wszystko się oczyściło i znów zaproponowała łyżeczkowanie. Tym razem przedstawiła różne możliwości, powiedziała, że nie musi się na to godzić, może poczekać jeszcze jeden dzień, tyle że będzie krwawić.

– Znów byłam stanowcza i powiedziałam, że poczekam i że nie chcę ryzykować – mówi Katarzyna. – Czytałam historie o tym, że po łyżeczkowaniu mogą być komplikacje, które mogą utrudnić zajście w ciążę. A ja chciałabym mieć dziecko. Wtedy lekarka zmieniła front i zaczęła na mnie naciskać. Mówiła, że nie jest pewna, czy mają dla mnie miejsce na oddziale, bo mają kolejne pacjentki. Poczułam się źle. Jeszcze przed chwilą zdawało mi się, że ma na myśli moje dobro, kiedy mówiła, że możliwe, że kolejny dzień będę krwawić i mnie to osłabi, teraz okazało się, że po prostu chodzi o to, żebym zwolniła łóżko. Ja jednak jeszcze raz powiedziałam, że wolę poczekać, aż macica się sama oczyści, i wróciłam na salę szpitalną.

Po jakimś czasie ta lekarka wróciła do Katarzyny i powiedziała, że ordynator wyraził zgodę na wypisanie jej do domu.

– Uderzył mnie absurd tej sytuacji – jeszcze godzinę temu lekarka przekonywała mnie, że czekanie i krwawienie jest dla mnie niebezpieczne i że powinnam zgodzić się na łyżeczkowanie, a nagle się okazało, że mogę iść do domu. Wyszłam z poczuciem satysfakcji, że udało mi się nie ulec im i nie dałam się namówić na łyżeczkowanie.

Przy wypisie ze szpitala Katarzyna dostała materiał genetyczny do badania w pojemniku na mocz.

– Ostatecznie okazało się, że w szpitalu tego badania nie robią. Tym bardziej poczułam, że skoro łapałam materiał genetyczny w słoik w szpitalu, to równie dobrze mogłam łapać w domu i wyszłoby na

to samo. I tak musiałam go odesłać do badania na własną rękę.

LEKARKA: TO NIE ODE MNIE ZALEŻY

Po powrocie do domu, w weekend, przyjęła mifepriston, który udało jej się załatwić. Cały weekend stresowała się, że może się okazać, że macica się nie oczyściła i znów będą ją namawiać na łyżeczkowanie. Ale USG tydzień po wyjściu ze szpitala wykazało, że endometrium zmniejszyło się z 2 centymetrów do 8 milimetrów, wszystko jest dobrze i nie wymaga żadnych interwencji.

– Dlaczego opowiadam tę historię? Bo zastanawiam się, dlaczego nie możemy mieć nowoczesnej opieki okołoporonnej. Ta sprawa mnie nurtowała i napisałam na grupie Dziewuchy Dziewuchom na Facebooku. Kilka kobiet skomentowało, że je w tym samym szpitalu wyłyżeczkowali za bardzo i miały problem z zajściem w ciążę. Przeczytałam też na stronie szpitala, że „powyżej dwóch poronień z wyłyżeczkowaniem w wywiadzie jest jednym z przeciwwskazań do rodzenia w Domu Narodzin na Żelaznej", a w szpitalu zarówno lekarka, jak i pielęgniarki przekonywały mnie, że to zupełnie bezpieczny zabieg.

Została po tym doświadczeniu z mnóstwem pytań: – Z jakiego powodu mifepriston nie jest dopuszczony do obrotu w Polsce? Może z powodów ideologicznych? Dlaczego szpitale nie mogą korzystać z metod zalecanych przez Światową Organizację Zdrowia i wskazanych jako bezpieczne? Dlaczego w tak trudnym momencie szpital nie dba o komfort psychiczny i poczucie bezpieczeństwa pacjentek i każe im podpisywać dokument zgody na podanie misoprostolu niezgodnie z zaleceniami użycia leku. Dlaczego szpital upiera się przy robieniu łyżeczkowania? Czy dlatego, że jest to interwencja chirurgiczna, za którą dostaje finansowanie z NFZ? I wreszcie, dlaczego nie jest stosowana metoda próżniowa?

– Gdy zapytałam lekarkę, czy słyszała coś o tym, żeby aspiracja próżniowa miała być dostępna w ich szpitalu i innych szpitalach w Polsce, odpowiedziała mi: „To nie ode mnie zależy".

To Katarzynę dziwi. W branżach, w których pracowała, gdy pojawia się jakaś nowość, która ułatwia pracę, to się z niej korzysta. Skoro są dostępne lepsze metody, do tego zalecane przez WHO, to dlaczego ich nie stosować?

ŁYŻECZKOWANIE? PRZESTARZAŁA METODA

Czy Katarzyna słusznie odmawiała łyżeczkowania, domagając się aspiracji próżniowej? O komentarz proszę dr Gizelę Jagielską, ginekolożkę i położniczkę. – Tak, miała rację. Podstawową metodą, kiedy musimy opróżnić z jakichś względów jamę macicy, jest metoda aspiracji. Łyżeczkowanie jest metodą przestarzałą i nie jest akceptowane w międzynarodowych wytycznych i standardach jako metoda, która ma zastosowanie przy opróżnianiu macicy.

Dlaczego jest stosowana powszechnie w polskich szpitalach? – To bardzo dobre pytanie, na które szukam odpowiedzi od kilku lat – mówi Jagielska. – Ja również stosowałam tę metodę, bo tak zostałam nauczona w ośrodku klinicznym i przez lata nie miałam pojęcia, że powinno być inaczej. Pewnego dnia jedna z moich rezydentek zapytała, dlaczego stosujemy przestarzałe metody. Wtedy dopiero poznałam te wytyczne i przeczytałam o tym, jak to się robi w innych krajach, gdzie odchodzi się od łyżeczkowania. Postanowiłam, że musimy zacząć robić to właściwie. Zaczęłam pytać na forach, które gromadzą ginekologów, kto ma jaki sprzęt i jak to się robi. Nie uzyskałam odpowiedzi. Zaczęłam więc tego szukać na własną rękę. Okazało się, że nie jest to takie proste, bo żadna firma w Polsce nie sprzedawała sprzętu jednorazowego do aspiracji, a sprzęt wielorazowy też musiałam zamówić z zagranicy. To mi jasno pokazało, że w Polsce się tego po prostu nie robi. I nie jest przypadkiem, że byłam zbywana na forach. Udało mi się namówić jedną z polskich firm, żeby sprowadziła sprzęt jednorazowy, na który przeszliśmy. Niestety, nadal jest tak, że z tego sprzętu korzysta mniejszość szpitali.

> Dlaczego szpitale nie mogą korzystać z metod zalecanych przez Światową Organizację Zdrowia *i wskazanych jako bezpieczne?*

Gizela Jagielska ma na myśli szpital w Oleśnicy, w którym przez dziesięć lat była kierowniczką oddziału położnictwa, do grudnia zeszłego roku. Obecnie pracuje w Lubaniu, gdzie również udało jej się wprowadzić do użytku aspirację próżniową. Zapowiada, że na jesieni zamierza również wprowadzić ją we Wrocławiu.

Sprzęt jednorazowy to jest koszt około 150-200 złotych na pacjentkę i w tej chwili jest powszechnie dostępny. Dr Jagielska zapewnia, że metoda jest bardzo prosta do opanowania.

SPRAWA JULII BIESIADY

Pod koniec maju tego roku Iga Dzieciuchowicz i Aga Lisotoś-Kostrzewa opisały w TVN 24 sprawę Julii Biesiady, której po aborcji w macicy zostało puste jajo płodowe. Biesiada chciała skorzystać z aspiracji jako metody bezpieczniejszej i zaleconej jej przez lekarza. W żadnym ze stołecznych szpitali, które obdzwoniła, ta metoda nie była dostępna, jedynie w klinikach prywatnych za kilka tysięcy złotych. Dziennikarki poszły tym tropem i obdzwoniły 50 oddziałów ginekologicznych w publicznych szpitalach w całej Polsce, zadając pytanie: czy wykonujecie czyszczenie jamy macicy metodą próżniową? W większości usłyszały, że nie.

Do podobnych wniosków doszła w opublikowanym niedawno reportażu dla OKO.press Oliwia Gęsiarz. „Polscy ginekolodzy wciąż skrobią kobiety metalowymi łyżkami, choć świat od lat ma metodę bezpieczniejszą, tańszą i mniej inwazyjną. Aspiracja próżniowa w wielu szpitalach nie istnieje. W czym problem? Spoiler: nie chodzi o pieniądze" – pisze Gęsiarz. Jej zdaniem to kwestia braku wiedzy i uprzedzeń wśród personelu medycznego, bo aspiracja może się kojarzyć z aborcją. Wielu polskich ginekologów nie wykonuje aspiracji, bo po prostu nie umieją tego robić. Nigdy w życiu nie mieli sprzętu do zabiegu próżniowego w dłoniach i nikt nie pokazał im, jak z niego korzystać. Problem tkwi w starych nawykach i niechęci do rozwoju.

Dominik Przelakowski, ginekolog ze Szpitala Położniczo-Ginekologicznego „Ujastek" w Krakowie komentuje w tekście Gęsiarz, że przejście z łyżeczkowania na aspirację nie wymaga od placówek medycznych wielkiego wysiłku. To kwestia zakupu odpowiedniej końcówki do systemu ssącego, co nie jest ani drogie, ani trudne. U niego w szpitalu aspiruje się od trzech lat.



JAKA JEST RÓŻNICA?

■ **Łyżeczkowanie**, inaczej abrazja, polega na opróżnieniu jamy macicy za pomocą metalowej chirurgicznej łyżki. Możliwe powikłania to zespół Ashermana polegający na powstawaniu blizn i zrostów wewnątrz macicy, krwawienie, infekcja czy perforacja macicy.

■ **Aspiracja próżniowa** polega na opróżnieniu jamy macicy z wykorzystaniem podciśnienia, które pozwala usunąć jej zawartość przez cienką rurkę. Jest standardem rekomendowanym przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) przy usuwaniu ciąży, niepełnych poronieniach czy leczeniu poronień zatrzymanych w pierwszym trymestrze. W porównaniu z tradycyjnym łyżeczkowaniem ta metoda jest szybsza, mniej bolesna i znacznie bezpieczniejsza. Wykonuje się ją do 14. tygodnia.
W przeciwieństwie do łyżeczkowania (tzw. skrobanki) nie kaleczy głębszych warstw mięśnia macicy. Pacjentka może wrócić do domu i normalnego funkcjonowania zazwyczaj już kilka godzin po zabiegu. Znacznie rzadziej prowadzi do powstawania blizn i zrostów wewnątrzmacicznych.

BRONIARCZYK: UCZCIE SIĘ OD AKTYWISTEK

– Od 2023 roku wspólnie z Women Help Women wysyłamy pompy aspiracyjne za darmo do szpitali. Chętne osoby muszą napisać e-maila z prasowego adresu szpitala na kontakt@adt.pl – mówi Natalia Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu, która tłumaczy mi, że manualne pompy do aspiracji próżniowej mają już ponad 50 lat, są sprzętem tanim i łatwym w użyciu.

– Gdy amerykańscy, francuscy czy niemieccy lekarze uczyli się używania pomp często od aktywistek, w latach 70., to w Polsce aborcja była legalna i stosowało się tzw. skrobankę, czyli łyżeczkowanie. Wtedy ta metoda była uznawana za bezpieczną. To, że nie ma pomp manualnych w polskich szpitalach, jest konsekwencją ustawy z 1993 roku, która praktycznie zatrzymała aborcje w polskich szpitalach, ale też rezultatem podejścia: u nas tak się robi, tak się robiło i tak się będzie robić. Jakby czas zatrzymał się przed 1993 rokiem.

Broniarczyk twierdzi, że poza kilkoma przypadkami ginekolodzy nie chcą poznawać nowych, bardziej komfortowych, rekomendowanych przez organizacje eksperckie czy stowarzyszenia medyczne, takie jak: WHO, FIGO, RCOG i ACOG, metod. – To, że aspiracja jest w Polsce słabo rozpoznaną metodą, to wynik patriarchatu w medycynie, zwykłych oszczędności i lekarskiego ego – podejścia: „po co mam się uczyć czegoś nowego, skoro wszystko wiem" – mówi.

– Prawda jest taka, że jak w innych zabiegach medycznych, w sektorze prywatnym masz dostęp do nowocześniejszych metod, i tam, gdzie się płaci, dostajesz wybór metody, szerszy zakres usług i możliwości – dodaje.

– Mifepristone, misoprostol czy pompa próżniowa mają szerokie zastosowanie – przypomina Broniarczyk. – Są używane nie tylko do aborcji, ale też do leczenia poronień, krwotoków po porodzie. Nie trzeba mieć legalnej aborcji, żeby móc korzystać z tych metod, ale dla lekarzy ciągle jest ważniejsze prawo niż faktyczne zdrowie swoich pacjentek. A w Polsce ciągle słyszymy od lekarzy, że najpierw trzeba zmienić prawo. Nie trzeba, możecie używać nowoczesnych metod, uczyć się ich i stosować również do innych rzeczy, jak np. poronienie. Wystarczy chcieć – kwituje.

SZPITAL NA ŻELAZNEJ: NIE KOMENTUJEMY

Do szpitala na Żelaznej, na telefon kontaktowy dla mediów, nie udało mi się dodzwonić. Na zapytanie e-mailem o to, czy szpital dysponuje sprzętem do aspiracji, czy zabieg jest wykonywany oraz jeśli tak, dlaczego ich pacjentka Katarzyna nie mogła z nie go skorzystać, dostaję wymijającą odpowiedź od rzeczniczki szpitala Małgorzaty Górniak-Jaworskiej: „Centrum Medyczne Żelazna Sp. z o.o. udziela świadczeń zdrowotnych zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa, aktualną wiedzą medyczną, obowiązującymi standardami postępowania oraz rekomendacjami polskich i międzynarodowych towarzystw naukowych. Dobór sposobu leczenia oraz zastosowanie określonej metody medycznej każdorazowo zależą od indywidualnej sytuacji klinicznej pacjentki, wskazań medycznych oraz decyzji lekarza prowadzącego.

Nie komentujemy publicznie hipotetycznych scenariuszy dotyczących procesu leczenia, ponieważ każda decyzja medyczna wymaga indywidualnej oceny stanu pacjentki i nie może być rozpatrywana w oderwaniu od konkretnego przypadku".

Gdy dopytuję, czy szpital dysponuje sprzętem i wykonuje aspiracje próżniowe, dostaję odpowiedź, że w szpitalu wykonywane są zabiegi z zastosowaniem aspiracji próżniowej. Dlaczego Katarzyna nie mogła skorzystać z aspiracji, pozostaje tajemnicą. Lekarską tajemnicą. I tajemnicą dla niej samej. ▲

Miłość jest *czuciem*

Gdybyśmy nie stracili wzroku i też się spotkali, to również bylibyśmy razem. Niezależnie od tego, czy się widzimy, czy nie

TEKST **IZABELA O'SULLIVAN**

Musieli mijać się wiele razy. Być może nawet kiedyś się widzieli, jeszcze zanim stracili wzrok. Chodzili do tego samego liceum na warszawskim Muranowie, ale dzieliły ich trzy lata, więc gdy Marek kończył, Ada zaczynała. Szkoła była naprzeciwko przychodni dla niewidomych. Nie przyszło im do głowy, że może to być jakiś omen. Ada wtedy nawet nie kojarzyła, co to za budynek. Studiowali oboje na UW, mieli zajęcia na tym samym wydziale. Wykładowcą Marka był wujek Ady.

Twarzą w twarz po raz pierwszy spotkali się na Niewidzialnej Wystawie. Ada starała się tam o pracę i w ramach procesu rekrutacji musiała wcielić się w rolę zwiedzającej. Oprowadzał Marek. Tego dnia miało go nie być, zgłosił się na zastępstwo. – Wciska mi kit, że już wtedy się zakochał, a ja pamiętam jedynie, że miał ładny głos. Wiedziałam, że jest wysoki, bo dźwięki dochodziły z przestrzeni ponad moją głową. Ubzdurałam też sobie, że ma jakieś 40 lat i wąsy – wspomina Ada. Na zwiedzanie przyszła ze swoim ówczesnym chłopakiem, ale mówi, że już wtedy zmierzali w stronę rozstania. Dostała pracę i kilka dni później zaczęła szkolenie. Długo jednak nie mogła namierzyć Marka. Nie pamiętała jego imienia, ale słyszane wśród pracowników głosy się nie zgadzały. Na ponowne spotkanie czekała prawie miesiąc.

Częścią ich zadań na Niewidzialnej Wystawie jest uczenie się od siebie nawzajem poprzez obserwowanie swojej pracy. Któregoś dnia Ada dołączyła do angielskiej grupy i nagle zorientowała się, że przewodnik mówi to samo, co podczas jej pierwszej wizyty, tylko w innym języku.



Ada i Marek

FOT. PAWEŁ RUTKOWSKI

PSTRYK

Marek miał 29 lat, gdy stracił wzrok. Pamięta dokładną datę: 10 sierpnia 2020.

Wcześniej przez pięć tygodni bolała go głowa, brał tabletki, bo lekarze zajęci byli COVID-em. W końcu trafił do szpitala, gdzie leżał przez tydzień. Badano go neuropsychologicznie i neurochirurgicznie, i jedyne, co stwierdzono, to wysokie ciśnienie śródczaszkowe, które miało być przyczyną przewlekłego bólu. Lekarze je uregulowali, ale po wypisie nic się nie zmieniło. – Wróciłem do domu i zemdlałem. Mieszkałem wtedy z rodzicami, ale akurat ich nie było. Gdy się ocknąłem, stwierdziłem, że najbezpieczniej będzie położyć się spać. Po przebudzeniu zorientowałem się, że przestała mnie boleć głowa. Pamiętam, że była burza. Wstałem do łazienki, nie trafiłem w drzwi. Nadal je widziałem, ale nie w tym miejscu, gdzie były. Potem poszło już błyskawicznie: podwójne widzenie, przemieszanie kolorów, a później pstryk i wszystko zniknęło – opowiada Marek.

Nie mogli pojechać do szpitala ze względu na pandemię, zadzwonił więc do lekarza, który go wtedy wypisał. Ten potrzebował skierowania, żeby ponownie Marka przyjąć. Na neurochirurgii usłyszał, że prawdopodobnie nigdy nie będzie widział, że jedyne, co mogą zrobić, to przenieść go na laryngologię. Tam ustalono, że odbarczą [zmniejszą nacisk] mu lewy nerw wzrokowy. Pomogło na dwa tygodnie, po tym czasie siadło prawe oko. Ta sama operacja, tylko na drugą stronę. – Po wypisie nie widziałem już nic – mówi Marek. Wykonany później rezonans oczodołów pokazał, że nerw wzrokowy ścieśnił się tak bardzo, że nie przekazuje nic przez oczy. – Co z tego, że działały mi monitorki, jak kabelki nie – stwierdza Marek i dodaje, że do momentu bólu głowy nie było żadnych sygnałów. – Cieszę się, że to wszystko stało się nagle.

SZARPANIE

U Ady było odwrotnie. Nie pamięta dokładnie, kiedy przestała widzieć. Wie tylko, że był 2017 rok, miała 22 lata, i że utrata wzroku wyjęła jej pięć lat z życia. Następowała stopniowo. Od dziecka choruje na reumatoidalne zapalenie stawów. Jaskra przyszła jako powikłanie po lekach. Po pierwszym roku studiów zaczęły się pobyty w szpitalach i operacje. Cykl powtarzał się kilka razy: zaczynała źle widzieć, szła do okulisty, ten kierował ją do szpitala. Huśtawka „widzę – nie widzę" trwała trzy lata. Kiedy zostało jedynie poczucie światła, potrzebowała kolejnych dwóch lat na oswojenie się z nową rzeczywistością. Przerwała wtedy studia, chciała być sama – w złości i bezsilności. Na nic nie miała ochoty, pomagało jedynie słuchanie audiobooków. I tak przez rok. W kolejnym zaczęła chodzić na zajęcia z orientacji przestrzennej i uczyła się poruszania z laską. A potem wróciła na studia, ale zmieniła kierunek. Wcześniejszą amerykanistykę zastąpiła filologią włoską. Zawsze podobał jej się ten język i stwierdziła, że będąc niewidomą, nie musi już patrzeć na praktyczność wyboru. Nadal wściekała się, że nie widzi, że zrobienie wielu rzeczy trwa u niej dłużej niż u znajomych z roku, ale aktywność na uczelni pomogła jej dojść do siebie. Trudno powiedzieć, kiedy pojawiła się akceptacja. – Nie przychodzi z fanfarami. Nie jest żadnym szczególnym momentem. Po prostu nagle się orientujesz, że już o tym nie myślisz. Przestajesz się zastanawiać, co by było, gdyby – wyznaje.

> Wciska mi kit, że już wtedy się zakochał, a ja pamiętam jedynie, że miał ładny głos. *Wiedziałam, że jest wysoki, bo dźwięki dochodziły z przestrzeni ponad moją głową*

CZEGO CHCĘ

Marek miał podobne podejście, co Ada, trochę na zasadzie: „Jestem niewidomy, więc co mi szkodzi?". Gdy stracił wzrok, dostał z pracy wypowiedzenie. Było zgodne z zapisem, który pojawił się w trakcie pandemii – o możliwości zwolnienia kogoś, kto dłużej przebywa na zwolnieniu lekarskim, niż wynosi czas jego zatrudnienia. Marek miał pecha, bo akurat trzy miesiące wcześniej zmienił pracę. Gdy został bezrobotny, stwierdził, że musi coś robić, zapisał się więc na lekcje gry na pianinie. – Nauczyciel powiedział, że krótsze klawisze mogą być punktem odniesienia, a moim zadaniem jest pamiętać, co ma robić ręka lewa, a co prawa i to łączyć. Granie było moim remedium – opowiada Marek. W pierwszych miesiącach po utracie wzroku słuchał też na potęgę audiobooków. Dawały odprężenie, dzięki nim znów się śmiał. A potem wszystko zaczęło się samo układać. Okazało się, że jego dentystka leczyła byłą prezes Związku Niewidomych na Warszawę. Dostał od tej kobiety namiar na psycholożkę, która pokierowała go do osoby uczącej orientacji przestrzennej i poleciła do pracy na Niewidzialnej Wystawie. Akurat potrzebowali kogoś z angielskim. Niedługo potem w Teatrze Guliwer szukali do spektaklu niewidomej osoby. Do Marka wróciło marzenie sprzed lat – po szkole średniej zastanawiał się nad zdawaniem do akademii teatralnej, ale kolega mu odradził, przekonując, że nie będzie miał życia towarzyskiego. Zdecydował się więc na studia językowe, a zawodowo związał się z handlem. Teraz poczuł, że to okazja do realizacji dawnego pragnienia i zgłosił się na casting. Dostał rolę w spektaklu „Wszystko w głowie", brał udział w pisaniu scenariusza. Właśnie ze względu na próby mijali się z Adą w pierwszym miesiącu jej pracy.

NIE SPŁOSZYĆ

– Marek na początku się mnie bał – twierdzi Ada, a on od razu uzupełnia, że nie chciał jej spłoszyć. – Byłem też strasznie rozczarowany, że ma chłopaka – podkreśla. Gdy tylko zakończyła tamtą relację, zadbała, by Marka jak najszybciej poinformować i rzuciła coś mimochodem, ale dobitnie. Jakiś czas później zaczęli chodzić razem po pracy na tramwaj. Zawsze wybierał dalszy przystanek, bo zyskiwali wtedy dodatkowe pięć minut. Jechali razem, potem Marek przesiadał się w kolejną linię. Rozmowy w drodze do domu, w pracy przyczajony flirt, aluzje, podchody – to trwało miesiącami. W czasie wolnym – żadnego kontaktu, on nie pisał, nie dzwonił. Ada zaczęła analizować z koleżankami przypadek Marka: czemu się nie odzywa, czy to znak, że mu nie zależy? Znali się od lutego, na randkę poszli dopiero w grudniu. – Kombinowałem, żeby zaprosić Adę wcześniej, ale nie było okazji. Chciałem, żebyśmy oboje mieli tego i następnego dnia wolne – tłumaczy Marek. W październiku przyszła obejrzeć spektakl, w którym grał. Rozmawiali w przerwie, ale po przedstawieniu nie mogli się spotkać, bo grał kolejne tego samego wieczoru. – Listopad z kolei upłynął na „głupawce" w pracy. Zasta-

nawialiśmy się z ludźmi, jak by to było, gdyby zrobić o nas telenowelę. Wymyśliliśmy tytuł: „Kalejdoskop uczuć". Stwierdziliśmy, że musi być biedna dziewczyna – Milagros, która sprząta u kogoś w domu. Dostałam tę rolę. Potem obsadzaliśmy dla niej absztyfikanta, więc od razu wykrzyknęłam: „Marek!", i tak został Pedro Álvarezem. Wymyślaliśmy wątki, dopisywaliśmy kolejne zdarzenia. Któregoś dnia koleżanka zaproponowała, że może Markowi zamiast Milagros damy jakąś Juanitę, a on się zasmucił i powiedział do niej: „Nie odbieraj mi tego". Potem w pokoju socjalnym ubolewał, że w takiej telenoweli długo się czeka na ślub, że minie chyba z pięć tysięcy odcinków. Musiałam iść do klientów, więc rzuciłam tylko: „To zrób tak, żeby było szybciej" – opowiada Ada.

W mikołajki, gdy jechali tramwajem, wcisnął jej w rękę zawiniątko. Była to mała czapeczka z czekoladkami w środku – nawiązanie do tego, że Ada nie znosi czapek. Marek chciał dać jej taką, która jej się spodoba. Jeszcze tego samego roku zawisła u Ady na choince i do tej pory służy jako gwiazda betlejemska.

18 grudnia zaprosił ją w końcu na randkę. Ważne było, żeby restauracja była w na tyle poręcznej lokalizacji, żeby mógł odprowadzić Adę do domu, a potem bez problemu trafił do siebie. Znalazł włoską knajpę w okolicy jej mieszkania. Rozmawiali tak długo, że kelnerka musiała ich delikatnie wyprosić, bo zamykali. – Kiedy zapytał, czy może mnie odprowadzić do domu, wyobraziłam sobie, że potem ja będę musiała odprowadzić jego na przystanek, bo nie będzie znał drogi. Ale okazało się, że pamięta układ ulic, bo kiedyś w tej dzielnicy chodził na karate – mówi Ada. Gdy się pożegnali, musiał iść pół godziny na metro, bo było tak późno, że pouciekały mu wszystkie tramwaje. – Zgubiłem się parę razy, ale dałem radę – śmieje się.

Potem był wspólny sylwester u Ady. Dziesięć osób, jej przyjaciółki z partnerami. O północy wszyscy chcieli zobaczyć fajerwerki, ona z Markiem zostali w środku. W perspektywie romantyczne kilka minut poświęcili na otwieranie szampana. Korek nie chciał odpuścić. Gdy po skończonej zabawie goście poszli do domów, oni siedzieli do 10 rano i rozmawiali.

Pocałował ją dopiero na kolejnej randce. Wybrali się do kina i podczas seansu Ada czuła Marka wahającą się rękę. Miała ochotę sama go chwycić, ale stwierdziła, że ma swoją godność i niech chłopak kombinuje. Wieczorem zaprosiła go do siebie, a Markowi znowu pouciekały wszystkie tramwaje i autobusy. Tym razem został. Kilka tygodni później stopniowo zaczął się wprowadzać.

IDEAŁ

Jak to jest, gdy zakochują się w sobie osoby niewidome? Co pojawia się w miejsce wizualnego przyciągania? – To dzieje się na bazie energii, tembru głosu, rozmowy. Nie ma dotykania się po twarzy, jak na filmach. W normalnym życiu nikt tak nie robi. Po prostu wiesz, że to ta osoba, i już – tłumaczy Ada. Marek jest dla niej uosobieniem idealnego faceta. – Jest dokładnie taki jak w moich wyobrażeniach – twierdzi. Oboje mówią, że czują totalny spokój, który pojawił się po pierwszej randce. U Marka zniknął wtedy strach przed odrzuceniem, u Ady – niepewność, czy jemu zależy. Nie ma żadnej huśtawki i zastanawiania się, jak będzie, bo wiedzą, że dobrze.

Układają sobie podobnie grafik w pracy, by mogli razem jeździć i wracać. Jeśli Marek ma wolne, odwozi Adę tramwajem i po nią przyjeżdża. Śmieją się, że to prawie jak samochodem. Wspólnie gotują – on zajmuje się technikaliami: krojeniem, zmywaniem, ona składaniem wszystkiego w całość. Uwielbiają teatr. Policzyli, że w trakcie swojego dwuipółletniego związku byli na blisko 40 sztukach. Chodzą też na kurs tańca towarzyskiego. Przyda im się 8 sierpnia, bo wtedy biorą ślub.

Podobne perypetie jak z pierwszą randką mieli z zaręczynami. Marek zamierzał poprosić Adę o rękę w sylwestra. Mieli być wtedy sami, ale w ostatniej chwili znajomi wyciągnęli ich na wspólną imprezę. Musiał więc przełożyć uroczysty moment na kolejny dzień. Ada od razu czuła, co się święci, bo przez cały grudzień jej chłopak zachowywał się dziwnie. Chował się w łazience, żeby odsłuchiwać wiadomości od brata, jeździł z nim gdzieś w tajemniczych okolicznościach. 1 stycznia rano wiedziała, co za chwilę nastąpi. Nie chciała być w piżamie, więc szybko włożyła sukienkę. Wtedy on klęknął i zaczął przemowę o tym, jak bardzo ją kocha. Musiała mu przypomnieć: „No to spytaj". Zbiła go z tropu: „Ale o co?".

Prawie od razu zaczęli szukać sali. Wybrali piękny pałac za miastem, który Ada i jej mama od dawna chciały odwiedzić. Okazało się, że nieruchomość leży 15 minut spacerem od domu Marka rodziców.

Wszystko inne, czego szukali, też było w zasięgu ręki: białe okulary, obrączki, suknia ślubna. Tę ostatnią Ada kupiła przecznicę od swojego mieszkania. – Jak się nie widzi, to suknię ślubną wybiera się niby inaczej, a jednak tak samo. Przymierzałam kilka i od razu po ich włożeniu czułam, że to nie to. Wiedziałam, że źle wyglądam. W końcu założyłam tę, którą wybrałam, i od razu byłam pewna, że to ta. Mama potwierdziła, że jest najlepsza. Typ księżniczki, opadające ramiona, a na nich perełki, błyszczące koraliki na gorsecie, welon też z perełkami – opisuje Ada.

KUPIĆ OCZAMI

– Mieszkamy sami, nie mamy nalotów, żyjemy normalnie – mówią jednym głosem, gdy pytam, czy w życiu codziennym odczuwają wyzwania ze względu na to, że są niewidomi. Zakupy robią online, a kiedy muszą wskoczyć do supermarketu po pojedyncze artykuły, proszą o pomoc obsługę. Suknię ślubną Ada kupowała z mamą, ale która panna młoda nie robi tego przy wsparciu rodziny czy przyjaciółek? W zeszłe wakacje byli sami nad morzem. Pomagała nawigacja w telefonie, a gdy ją w końcu wyłączyli, też byli w stanie znaleźć drogę. – Telefon gada, komputer gada, wszystko da się zrobić. Prawie – stwierdza Ada. Czasami nie można bez oczu. Tak było na przykład w tym roku, gdy kupowali bilety PKP w swoją podróż poślubną. Zaplanowali wyprawę pociągiem do Chorwacji i aplikacja, której używają na polskie przejazdy, nie zadziałała. Poszli na stację, licząc na pomoc obsługi. Pani w okienku stwierdziła, że bilety na wybraną przez nich datę są niedostępne i nic nie da się zrobić. W końcu musieli poprosić Marka brata, by kupił im online.

– Wiele osób niewidomych mówi, że rodzina traktuje ich jak sierotki boże. My tak nie mamy. Dostajemy pomoc, ale wtedy, gdy poprosimy – podkreśla Ada. Czy gdyby jedno z nich widziało, byłoby łatwiej? Marek uważa, że szybciej, że może mniej by się gubili na mieście. I śmieje się, że gdyby spotkali się kilka lat wcześniej, to byłoby jeszcze bardziej romantycznie: ona niewidoma, on traci wzrok, żeby do niej dołączyć. – To by było bardzo, bardzo dziwne – stwierdza Ada i dodaje: – Gdybyśmy nie stracili wzroku i też się spotkali, to również bylibyśmy razem. Niezależnie od tego, czy się widzimy, czy nie. ▲

Penelopa mogła rządzić

Nolan kreśli kobiety płaskie jak morze podczas flauty. Najbardziej żal mi Euryklei. Jej historia jest przejmująca, pełna bólu i miłości



Anne Hathaway jako Penelopa

TEKST **BARBARA SADURSKA**

Podczas seansu „Odysei" w reżyserii Christophera Nolana przypomniała mi się podróż do Stanów Zjednoczonych. Ameryka sprzed 11 września jawi mi się dzisiaj tak odległa jak homerycka Grecja. Wieczorami pracowałam w klubie muzycznym, rano chodziłam na kurs pisania scenariuszy. Poznałam tam zasady, które amerykańscy script doktorzy wpajali przyszłym adeptom sztuki filmowej: scenarzysta ma wiedzieć o bohaterze wszystko, nawet najmniejsza rola musi nieść opowieść. Każdego bohatera trzeba zbudować, uwiarygodnić, ulepić z krwi i kości.

„Jeśli chcesz, by widz polubił bohatera – mówił prowadzący z amerykańskim uśmiechem – pokaż go w otoczeniu dzieci, jeśli chcesz, byśmy mu zaufali, daj mu psa, najlepiej takiego, którego uratował i który gotów dla niego umrzeć. Nazwij go »politropos«, inteligentnym lub mądrym, niech tak o nim powie jego przyjaciel i wróg, w połowie filmu przypomnij, że ta inteligencja protagonistę przygniata, bo widzi i wie więcej niż inni i wolałby nie być taki inteligentny, no ale jest. Żeby widz uwierzył w inteligencję bohatera, potrzebuje tych trzech; przyjaciela, wroga i narratora, np. Menelaosa, Antinousa i sceny w retrospekcji na wyspie Kalipso. Czy nie tak przedstawiony jest Odys? A jeżeli twoim celem jest wywołanie współczucia, musi on w samotności zmagać się ze swoimi demonami, najlepiej pokazać go, gdy reflektuje uniwersalny problem etyczny. Co zrobić, by film był poruszający i głęboki? Nic prostszego. Wykorzystaj kontrasty".

Można się z tego śmiać, myśmy się śmiali, ale film ma do dyspozycji światło, dźwięk i ruch. Po scenach ciemnych, oświetlonych drgającym płomieniem następują sceny jasne, chłodne, błękitne. Obrazy pełne splątanych ciał kończą się plenerowo szerokim horyzontem, łodzią Odyseusza, która ledwie porusza się naprzód. Po huku, gdy burza, trzask żagli, ludzie ledwie przekrzykują ryk wiatru, następuje cisza. Reżyser traktuje ciszę lub fałszywy brzdęk cięciwy łuku Odyseusza jak kontrapunkt, a muzyka w filmie to zasługa Ludwiga Göranssona.

Nolan sięga też po chwyt szekspirowski. Ostatnie słowa sceny powinny być na tyle wieloznaczne, by mogły odnosić się do sceny, którą kończą, i zapowiadać następną. Gdy Odyseusz, odzyskując pamięć, pyta, czy ma syna, na ekranie pojawia się Telemach.

Jeśli dołożymy do tego repetycje i retrospekcje kulminacyjne, to mamy przepis na monumentalny epos heroiczny w wersji filmowej. Nolan potrafi naprawdę efektywnie wykorzystać narzędzia, przykuć uwagę, poruszyć emocje i zbudować postaci. Z tym że nie zawsze to robi.

Od pierwszej do ostatniej sceny było jasne, że sir Nolan jest wierny Homerowi, jak... chciałoby się powiedzieć: Penelopa Odyseuszowi, ale jednak nie. Jak Telemach. Syn szuka ojca, potrzebuje potwierdzenia, że Odys żyje lub że poległ pod Troją, ale nade wszystko chciałby objąć po nim tron.

W sieci trwają dyskusje o rzetelności filmowej adaptacji, w tym rozważania nad losem Eola, oraz pytania o to, czy Helena miała bliźniaczkę. Spory mądrych głów są jak wir Charybdy, lecz sir Nolan kieruje swą łódź ku cieśninie Scylli. Ratuje świat, lecz poświęca sześć ofiar. Nie, nie chodzi o fabułę ani o to, czy cyklop wyglądał tak czy inaczej, lub jakie ramię miała Helena. Chodzi o narrację, o przyjęty przez nich obu punkt widzenia. O to, komu oddają głos. Kogo rozumieją, czyje racje uznają. Oczywiście „Odyseja" to opowieść Odyseusza, Telemacha, Menelaosa i Antinousa. Nolan dołożył znakomitą rolę Sinona (to młody wojownik, który jako chłopiec wyrusza z Odyseuszem, pojawia się w kilku komplementarnych scenach, ale jest tak zbudowany, że staje się jedną z najważniejszych postaci). Śledzimy narodziny buntu Eurylochosa, rozpaczamy razem z Eumajosem, bo wiemy, kogo stracił. Nawet pies Odyseusza ma rolę, w której jest cała opowieść. Dlaczego Argos tak nas wzrusza? Bo znamy go od szczeniaka, widzieliśmy podczas polowania na dzika, byliśmy świadkami jego upokorzenia i przeżyliśmy śmierć psa w kulminacyjnym momencie, gdy Odys powrócił.

W przypadku ważnych bohaterek *Nolan odsyła moją wyobraźnię i uwagę do świata pozafilmowego*

Tak, Nolan potrafi zbudować postać. Dlaczego więc podjął decyzję, że poświęci tych sześć? Mógłby je uratować jedną sceną, jednym zdaniem. A jednak tego nie zrobił.

Odyseja to przecież także opowieść Penelopy, Kirke, Kalipso, Euryklei, Heleny i Ateny. Nolan wybrał świetne aktorki, ale napisał im role płaskie, jak morze podczas flauty.

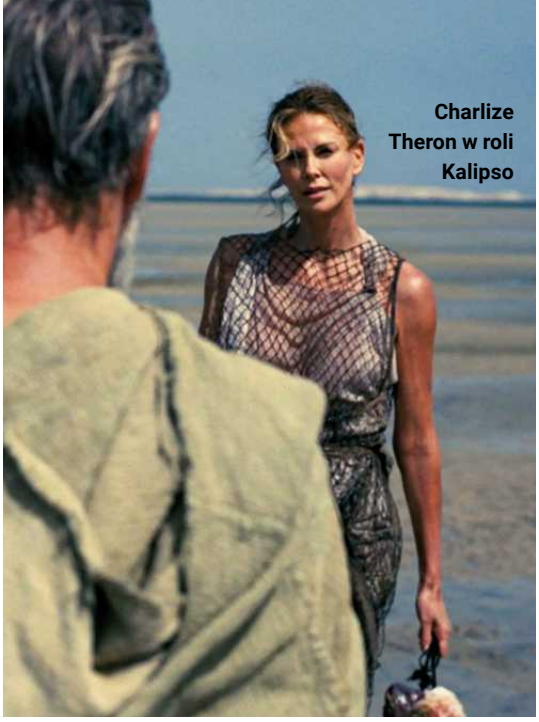
Przeznaczając im w filmie dokładnie tyle samo czasu, mógł zbudować opowieść, która pozwoliłaby uwierzyć w Atenę, wystarczyłaby scena tak krótka, jak wtedy, gdy Antinous cofa się jako chłopiec i kryje za plecami innych dzieci, kiedy dzik szarżuje na Odyseusza, scena jak mgnienie oka, działa niezauważalnie, a jednak pozwala nam uwierzyć we wszystko, co nastąpi potem. Nie musimy wiedzieć, skąd to wiemy, ale wiemy.

Wiemy, dlaczego Odyseusz widzi Atenę, wiemy, dlaczego bogini powraca w jego wizjach. Rozumiemy etyczne dylematy bohatera, bo zostały nam dobrze zaprezentowane, aż nazbyt dosłownie. Ale nie rozumiemy Ateny. Dlaczego bogini stoi po stronie Odyseusza? Zwłaszcza gdy wiemy, czyją ma twarz. Bogini jest w filmie Nolana dekoracją, nie bohaterką. Ornamentem dla zbudowania Odyseusza, elementem pięknym, ale pozbawionym wiarygodności i sprawstwa.

Penelopa. Gdy wykrzykuje Telemachowi w twarz, że jej doświadczenie i władza nie zasługują na tron, bo jest kobietą, słowa przez nią wypowiedziane brzmią jak pusta pretensja. Królowa pokazana jest raz w objęciach Odysa i później głównie przy krosnach. Jak mam uwierzyć, że Penelopa wie cokolwiek o rządzeniu Itaką, skoro film ani razu nie pokazuje, jak zbiera informacje od swoich zaufanych, jak wydaje polecenia. Wystarczyłaby jedna scena, w której Penelopa ukazana byłaby jako ta, która ma moc i faktycznie sprawuje rządy. Ktoś przecież musiał zarządzać Itaką przez 20 lat i trudno uwierzyć, że był to chłopczyk czy sługa, choćby najwierniejszy. Musiał to być ktoś, kto mógł wydawać polecenia i oczekiwać, że zostaną wykonane. Inaczej w Itace wino i jedzenie skończyłoby się po roku, a tymczasem dwór był w stanie utrzymywać tłum zalotników przez co najmniej kilka lat. Jedyną osobą mającą wiedzę i legitymację do sprawowania rządów była żona Odyseusza. Penelopa mogła rządzić! Nolan zrezygnował z uwiarygodnienia tej postaci, pokazał ją przy krosnach, nic więc dziwnego, że kiedy Penelopa krzyczy, że to ona mogłaby objąć tron, aktorka gra pięknie, ale Penelopa brzmi niepoważnie.

Niestety, podobny jest los kochanek Odyseusza. Rola Kirke sprowadzona jest do stereotypowego lęku samotnej kobiety przed mężczyznami. Nie dostajemy sceny, która uzasadniałaby zachowanie Kirke. Zmienia towarzyszy Odyseusza w świnie (świetna scena, bardzo plastyczna), ale czy za to, że

FOT. MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL PICTURES; LANDMARK MEDIA / ALAMY STOCK PHOTO



Charlize Theron w roli Kalipso

tak nieelegancko jedli jej zupę? Wszak żaden z nich nic złego jej nie zrobił. Niewiarygodna jest też scena, w której tak szybko ulega Odysowi i przywraca jego towarzyszom ludzką postać, choć wypowiada przy tym mocne słowa, odwracając porządek rzeczy. W to, że Odys odgadł, kim jest ptak w klatce, wierzymy, bo już wiemy, że jest bystry i przebiegły. Ale dlaczego Kirke tak szybko mu ulega? Nolan pozbawił sceny z Kirke erotyki i nie dał nic w zamian. Mógł zrezygnować z obecności Telegonosa, syna Odyseusza i Kirke, film na tym nie stracił, ale rola czarodziejki bez miłości i pożądania Odyseusza jest nieuzasadniona. Skoro nie kocha Odyseusza, skoro nie ma z nim dziecka, skoro nie spędza z nim roku, podczas którego ten na wszelkie sposoby stara się ją przekonać, by odczarowała jego towarzyszy – to po co jest w filmie?

Inaczej wygląda relacja Odysa z Kalipso. Zapomnienie, którego bohater doznaje na jej wyspie, jest fabularnie nie tylko uzasadnione i potrzebne, Nolan wręcz tworzy z niego oś narracyjną. Wiele scen rozgrywa się w retrospekcjach wywołanych powracającymi do Odyseusza wspomnieniami, oszczędnie dawkowanymi przez piękną Kalipso. No i znów mamy kobietę, która co prawda dobrze robi kreacji głównego bohatera, ale sama jest jednowymiarowa, od początku do końca pokazana w jednym stanie emocjonalnym. Nolan nie zadał sobie trudu, by zbudować tę bohaterkę, pokazać motywy jej decyzji i ich konsekwencje. Domyślamy się ich, sięgając poza film, ale to bardzo dla reżysera niebezpieczne.

Znacznie niebezpieczniejsze niż uczynienie sióstr przyrodnich bliźniaczkami i obsadzenie w ich roli wybitnej czarnoskórej aktorki. Helena ma jedną scenę, gdy siedzi obok niezadowolonego męża i mimo jego sprzeciwu opowiada Telemachowi, co się stało z Agamemnonem. To pierwszy raz, gdy wspomina Klitajmestrę. A szkoda, bo byłaby okazja, aby ją pokazać na początku, gdy mała Ifigenia niesiona na stracenie woła: mamo. Gdybyśmy wtedy zobaczyli rozpacz Klitajmestry, jakże inaczej odebralibyśmy opowieść Heleny o tym, co jej siostra uczyniła zwycięskiemu mężowi powracającemu spod Troi. Emocje tej kobiety pracowałyby w nas do finałowej sceny w łożu Agamemnona, która nie kończy się seksem, lecz morderstwem. No, ale nie. Jej twarz ujrzymy znacznie później. Czyn bohaterki wspomniany jest nie po to, by pokazać, że nie warto ignorować emocji kobiet, ale po to, by ostrzec Odyseusza, aby nie wkraczał do Itaki jako król, w glorii i chwale, lecz by sprytnie wybadał grunt, po którym będzie się poruszał. Czy Klitajmestra i Helena mogłyby mieć ważniejsze, lepiej zbudowane role? Tak. Czy Christopher Nolan, po podjęciu decyzji o obsadzie, mógł w ich usta włożyć słowa, które mocniej odnosiłyby się do roli natywnych mieszkańców Sahary, ignorowanych i traktowanych przedmiotowo podobnie jak Helena, żona Menelaosa i Klitajmestra, żona Agamemnona? Tego nie wiem. Wiem, że tego nie zrobił.

Najbardziej żal mi jednak Eurykleі. To kobieta, której można byłoby poświęcić powieści i seriale, a która w scenariuszu Nolana pojawia się dwa razy: raz w kuchni, drugi raz u stóp Odyseusza, gdy myjąc mu nogi, odkrywa, kim jest. Mamka i stara piastunka zna Odyseusza najdłużej. Jej historia jest przejmująca, pełna bólu i miłości. Według mitologii została sprzedana przez swego ojca, a rodzice Odyseusza wzięli ją na mamkę syna. Żeby być mamką, trzeba móc karmić piersią, a żeby karmić piersią, trzeba urodzić dziecko. Ale nie wolno go mieć, gdy się ma karmić królewskiego syna. Co stało się z tym, które Eurykleja jako młodziutka dziewczyna urodziła, by mieć mleko dla Odysa? Nie wiemy. A jednak przelała na tego chłopca swoją miłość.

Eurykleja. Zna dwór od podszewki, wie, kto jest kim, jaki jest stan zapasów i nastroje wśród służby. Gdyby Penelopa miała rzeczywiście sprawować rządy, wystarczyłaby jedna scena ze starą Eurykleją, kiedy rozmawiają o finansach i zaopatrzeniu. Może by ją ostrzegła przed fałszywą służką? Może scena, w której Penelopa zamyka przed młodą służącą drzwi, skazując ją tym samym na śmierć, byłaby wiarygodniejsza?

Christopher Nolan, reżyser i scenarzysta, dysponował środkami, które pozwoliłyby mu zbudować mocne, ugruntowane i uwiarygodnione w filmie postaci kobiece, ale skupił się na mężczyznach, w tym, oczywiście, na Odyseuszu. Zachowanie bohatera jest dobrze uzasadnione wieloma scenami. Dopóki nie muszę sięgać poza dzieło filmowe, by zrozumieć i współczuć Odysowi, wszystko jest spójne. Nolan robi jednak coś bardzo niebezpiecznego. W przypadku ważnych dla filmu bohaterek odsyła moją wyobraźnię i uwagę do świata pozafilmowego. Muszę odwołać się do wiedzy, której dzieło Nolana mi nie dostarcza, by zrozumieć i docenić role kobiet Odyseusza. Jeżeli się postaram, zrobię to, ale jeżeli zastosuję tę metodę wobec głównego bohatera, misternie utkana przez Nolana postać herosa spod Troi legnie w gruzach jak Ilijon.

Nolan, zmuszając mnie do dointerpretowania postaci kobiecych, wprowadza do filmu konia trojańskiego, który „burzy to miasto".

I „Odyseja" Homera, i film Nolana są dziełami spójnymi wewnętrznie. Wierzę w świat przedstawiony u Homera, nawet w cyklopy i bogów, dopóki nie muszę sięgać do świata zewnętrznego. Wierzę w świat „Odysei" Nolana, w poczucie winy Odyseusza, PTSD i targające nim wątpliwości, w uzależnienie od przynoszących zapomnienie kwiatów lotosu, w jego powrót i rzeź zalotników. Ale jeżeli reżyser wyposaża bohatera we współczesne atrybuty weteranów wojennych, to niech by był konsekwentny i dokończył scenariusz, nie zostawiając bohaterek talentowi i urodzie aktorek.

Mierzyć się z Homerem na kreację herosów to jak próbować napiąć łuk Odysa, nie będąc Odyseuszem. Ale przejąć tron aoidy, budując zaufanie i wiarygodność tam, gdzie on tego nie robi – to zadanie, którego mógłby się podjąć tylko reżyser i scenarzysta polytropos. Czy sir Nolan taki jest? ▲

BARBARA SADURSKA

– pisarka, scenarzystka i prawniczka, autorka m.in. opowiadania o kobietach Odyseusza w zbiorze „Ziarno granatu. Mitologia według kobiet"



Alix Garin „Odzyskać pożądanie" w tłumaczeniu Olgi Mysłowskiej, wydawnictwo Kultura Gniewu

Intymność jest *polityczna*

Chciałam, żeby pożądanie wróciło. Chciałam znowu je poczuć. Nie mogłam znieść myśli, że zostanę pozbawiona przyjemności

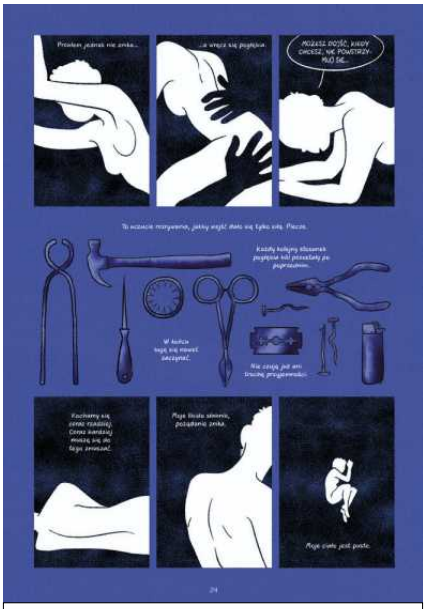
Wyobraź sobie dotkliwy fizyczny ból, który sprawia, że myślisz, że już nigdy nie zaznasz przyjemności seksualnej. Czujesz się bezsilna i samotna, czujesz wstyd i myślisz, że naprawdę jest z tobą coś nie tak. I wyobraź sobie, że chodzisz od gabinetu do gabinetu i żaden lekarz ani specjalistka nie znajdują rozwiązania twojego problemu. Kiedy już tracisz nadzieję, trafiasz wreszcie do terapeutki uroginekologicznej. Po długiej terapii powoli odzyskujesz pożądanie. Ale teraz musisz się zmierzyć z normami społecznymi. Bo okazuje się, że monogamia, której byłaś podporządkowana całe życie, nie jest dla ciebie. Tak czuje się Alix Garin, główna bohaterka, a zarazem autorka, powieści graficznej „Odzyskać pożądanie". Najbardziej wywrotowe okazuje się dla niej posłuchanie własnych pragnień.

Z **ALIX GARIN**
ROZMAWIA **AGATA NAPIÓRSKA**

Twój komiks jest bardzo osobisty. Wspominasz zresztą sama o momencie wątpliwości. „Nie, to zbyt prywatna historia, by pokazać ją światu" – piszesz. Dlaczego więc mimo wszystko zdecydowałaś się ją opowiedzieć?
– Jestem głęboko przekonana o tym, że intymność jest polityczna. Od momentu, w którym zdecydowałam się podzielić moją historią, wiedziałam, że muszę obnażyć swoje myśli, nawyki i zachowania, aby wyjaśnić, co się stało. Ostatecznie byłam gotowa przekroczyć wszelkie granice mojej prywatności, jeśli coś było kluczowe dla samej opowieści.

Jak radziłaś sobie ze stanem emocjonalnego obnażenia przed obcymi ludźmi, którzy teraz mogą przeczytać o twoim ciele i najgłębszych lękach? Miałaś w tym jakieś wsparcie?
– Nie przeszkadza mi takie obnażenie, ponieważ twórcy komiksów i tak są mało rozpoznawalni. Poza tym czuję, że to wszystko, czym się podzieliłam, jest słuszne. Przełamanie wstydu wokół kobiecego pożądania lub jego braku było tak ważne, że byłam dumna, że wywołałam na ten temat dyskusję. Czuję się też bezpieczna, ponieważ mam wsparcie przyjaciół i rodziny.

Kiedy moi rodzice przeczytali tę historię po raz pierwszy, byli w szoku. Jednak nigdy nie kwestionowali moich ambicji stworzenia autobiograficznego komiksu, za co jestem im bardzo wdzięczna. Wiedzieli, że to dla mnie ważna sprawa.





Przeniesienie traumy i fizycznego bólu na strony komiksu było dla ciebie formą autoterapii czy raczej zmusiło cię do ponownego przeżywania cierpienia?
– Trudno powiedzieć. Przepracowanie tego na papierze to nic – dojście do momentu, w którym byłam gotowa, by przeczytali to moi rodzice, to dopiero było coś. Kiedy nad tym pracowałam, nie czułam, jakie to trudne, rozsypałam się dopiero później. Ale nie mam pewności, czy przez opowiadanie o swoich dawnych traumach, czy może przez to, że przez dwa lata pracowałam po 70 godzin tygodniowo. Albo dlatego, że czułam presję drugiej książki? Tworzenie komiksów jest dla mnie bardzo bolesne, a jednocześnie jest powodem, dla którego żyję. Pot i krew to jedyne składniki procesu twórczego, jakie znam.

Siłą rzeczy twój komiks opowiada również o twoim partnerze. Jak zareagował, gdy pokazałaś mu gotowe strony przedstawiające wasz kryzys i brak intymności?
– Płakał z dumy. Wspierał mnie w pełni od pierwszego dnia. Nawet jeśli oglądanie tego smutnego etapu naszego życia w drukowanej formie jest dla niego trudne. Powiedział mi też zdanie, którego nigdy nie zapomnę: „Jeśli ciężko mi patrzeć, jak tworzysz tę książkę, to dlatego, że w pewien sposób czuję zazdrość. Opowiesz własną wersję, ze swojego punktu widzenia, i każdy cię zrozumie, a nikt nigdy nie dowie się, jak to wyglądało z mojej strony". Współczuję mu i go rozumiem.

Odwiedziłaś wiele gabinetów lekarskich, zanim wreszcie trafiłaś do właściwej specjalistki, która zdiagnozowała pochwicę. Podejście środowiska medycznego i psychologicznego do kobiecej seksualności wciąż wydaje ci się protekcjonalne? Czy spotkałaś kogoś, kto zmagał się z podobnymi co ty problemami?
– Zdrowie to bardzo złożony temat, zarządzany przez ludzi, którzy mają swoje ograniczenia: fizyczne, czasowe, finansowe, brak informacji itp. Jest to problem szczególnie dla kobiet, ponieważ nie poświęca się im wystarczająco dużo uwagi w badaniach i nie słucha się ich należycie. Prawdą jest jednak to, że wyzdrowiałam właśnie dzięki lekarzom. Nic nigdy nie jest czarno-białe. Niektórzy ludzie robią wszystko, co w ich mocy, żeby pomóc innym, zgodnie ze swoim powołaniem – inni są odzwierciedleniem tego patriarchalnego i neoliberalnego świata.

I to właśnie ze względu na patriarchalne wychowanie, dolegliwości typu pochwica czy utrata libido wywołują tyle wstydu i poczucia winy wśród kobiet.
– Nadal wychowujemy się wśród opowieści przekonujących, że zostaniemy porzucone, jeśli nie będziemy mogły uprawiać seksu, że mężczyźni nie mogą żyć bez seksu, a kobiety cały czas się do niego zmuszają, i to jest w porządku, bo takie są reguły gry. Potem pojawia się wstyd, a po nim poczucie winy. Dokładnie dlatego byłam gotowa tak bardzo obnażyć się w tej książce: ponieważ wszystko sprowadza się do opowieści. Musimy mówić prawdę: kobiety cierpią z powodu zmuszania się do seksu, a ich part-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, MANUEL LAGOS CID

nerzy nie odejdą, jeśli przestaniemy się do niego zmuszać. Reprezentacja i pokazywanie kontropowieści do tych, którymi futrowano nas od dziecka, są kluczowe.

Co było najtrudniejszą częścią procesu akceptacji własnego ciała, które przez długi czas odmawia posłuszeństwa i sprawia ból?
– Rezygnacja z przyjemności. Łatwiej było mi radzić sobie z bólem, niż zaakceptować to, że prawdopodobnie nie będę w stanie doświadczać przyjemności. Chciałam znowu poczuć pożądanie. Nie mogłam znieść myśli, że zostanę pozbawiona przyjemności. Dlatego tak mocno walczyłam – w głębi duszy nie potrafiłam się poddać, znieść myśli, że nie zaznam już przyjemności seksualnej.

Możemy wpływać na nasze fantazje, uczucia, zmieniać partnerów, odkrywać swoje fetysze czy cokolwiek innego, ale pożądanie musi być tym fizycznym odczuciem w brzuchu. Jeśli nim nie jest, prawdopodobnie oszukujesz samą siebie – i to właśnie robiłam przez lata.



ALIX GARIN

– urodziła się w Belgii w 1997 roku. Studiowała w Saint-Luc Art College w Liège, w 2017 roku zdobyła nagrodę Young Talent na festiwalu Quai des Bulles w Saint-Malo. Jej pierwszy komiks „Nie zapomnij mnie" został nagrodzony m.in. Le prix Rossel 2021 oraz Prix France Culture BD des étudiants 2021. W 2024 roku nakładem belgijskiego wydawnictwa Lombard ukazał się jej drugi album „Impenetrable", który zdobył Audience Award na Międzynarodowym Festiwalu Komiksu w Angoulême. Komiks ukazał się właśnie w Polsce pod tytułem „Odzyskać pożądanie" w tłumaczeniu Olgi Mysłowskiej nakładem wydawnictwa Kultura Gniewu

Jak udaje ci się chronić swoje granice i unikać sytuacji, w których robisz coś wbrew sygnałom płynącym z ciała?
– Nadal nie jestem w tym dobra. Wciąż zdarza się, że jestem z facetem w łóżku i kończy się na robieniu rzeczy, o które nie prosiłam. Zdarza się to również niektórym moim kumplom. Ale jest coraz lepiej; więcej rozmawiam, ponieważ w wielu sytuacjach moi partnerzy nie chcą mnie skrzywdzić, po prostu nie wiedzą, co dzieje się w mojej głowie. I unikam sypiania z ludźmi, którzy wydają się zbyt egoistyczni, bo to oni są najniebezpieczniejsi.

Musimy mówić prawdę: kobiety cierpią z powodu zmuszania się do seksu, a ich partnerzy nie odejdą, *jeśli przestaniemy się do niego zmuszać*

W swojej historii pokazujesz momenty, w których tradycyjna monogamia zaczyna pękać pod ciężarem choroby. Czy wejście w poliamorię czy otwarty związek było próbą ratowania relacji, czy początkowo wywołało jeszcze większy lęk przed utratą siebie nawzajem?
– Właściwie to chodziło o coś innego. Choroba dała mi okazję do przerwania monogamii, której przecież sama świadomie nie wybrałam, ale bardzo starałam się ją przyjąć. Nienawidzę wierności. Nienawidzę jej przez całe moje życie uczuciowe. Zdradzałam moich partnerów, odkąd skończyłam 14 lat. Jednak równocześnie jestem najbardziej lojalną osobą na świecie. Nauczyliśmy się utożsamiać wierność z lojalnością, ale moim zdaniem to dwie zupełnie różne koncepcje. Eksplorowanie otwartego związku z moim głównym partnerem, tym przedstawionym w książce, z którym jestem już prawie dziesięć lat, było jedynym sposobem, abyśmy zostali razem: ponieważ nie mogłam już dłużej udawać. „Kochaj mnie taką, jaka naprawdę jestem, albo odejdź" – to jedyny sposób, w jaki chcę żyć. Jestem dziewczyną, która uwielbia flirtować. Zaakceptuj to albo odejdź. Ale wiedz, że nigdy cię nie zawiodę – ani dla flirtu, ani z żadnego innego powodu.

Sądzisz, że kultura tak głęboko zakorzeniła mit, że miłość i pożądanie muszą zawsze iść w parze w formacie „jeden na jeden", że utrudnia to szukanie alternatywnych rozwiązań w czasie kryzysu?
– Absolutnie. Ten pomysł to w stu procentach konstrukcja kulturowa – wcale nie taka współczesna, ale na pewno mocno skupiona wokół kultury Zachodu. Myślę, że rodzi to mnóstwo nieporozumień między partnerami, i to jest smutne. Statystyki są jasne: 40 proc. ludzi przyznaje, że zdradziło już swojego partnera. Miłość i pożądanie to zdecydowanie dwie różne rzeczy i powinno to być czymś zupełnie normalnym.

Ale uważam, że wybór niemonogamii nigdy nie powinien być traktowany jako rozwiązanie jakiegokolwiek kryzysu w związku. W większości przypadków to się nie uda. Jeśli wasza więź jest już osłabiona z powodu kryzysu, nie będziecie mieć w sobie tego poziomu zaufania i pewności siebie, który jest niezbędny, by poradzić sobie z taką zmianą. Niemonogamię powinno się wprowadzać wtedy, gdy czujecie się ze sobą bezpiecznie, po długich rozmowach upewniających was, że oboje zgadzacie się z tym, iż wasze ciała należą wyłącznie do was samych. Bo przecież w monogamii chodzi właśnie o to: możesz mieć przyjaciół, możesz jeść, co chcesz, iść, dokąd lubisz, ale nie możesz uprawiać seksu z nikim innym. Twoje ciało ma być wyłączną własnością jednej osoby i nie masz w tej kwestii nic do powiedzenia. Jakie to dziwne, prawda?

Jaka była najbardziej poruszająca lub zaskakująca opinia, jaką otrzymałaś od czytelników po premierze komiksu?
– Mężczyźni w wieku 50 plus, którzy mówili mi, że lata temu doświadczyli pochwicy ze swoją partnerką i dopiero czytając tę książkę, zrozumieli, co tak naprawdę się stało.

Mężczyźni, którzy czytają tę książkę lub kupują ją jako prezent dla swoich partnerek, są moimi ulubieńcami.

Gdybyś mogła dać radę komuś, kto obecnie traci nadzieję na satysfakcjonujące życie intymne z powodu bólu lub braku libido, co byś mu powiedziała?
– Życie jest długie. Wyobraź sobie, gdzie byłaś dziesięć lat temu; kto wie, gdzie będziesz za kolejne dziesięć? Tyle rzeczy tylko czeka, by się wydarzyć, tylu ludzi czeka, by ich poznać – i znajdziesz siłę, o której posiadaniu nie masz nawet pojęcia. Walcz dalej, walcz bez przerwy, a jeśli ta walka oznacza po prostu dotrwanie do jutra, to też jest w porządku. Najtrudniejsze bitwy wcale nie są tymi najbardziej spektakularnymi. ▲

KONKURS



KOBIETY W PODRÓŻY

Weź udział w konkursie i opowiedz nam, co TY robisz przed lub podczas wyjazdu, aby czuć się bezpiecznie?

NAGRODY:



5 x Zestaw kosmetyków **NEO MAKE UP**



1 x SUBARU FORESTER z pełnym bakiem na okres 7 dni



5 x Zestaw kosmetyków do opalania marki **Yves Rocher**

5 x Walizka kabinowa z kolekcji **Circle Line** od marki **WITTCHEN**







5 x Zestaw 10 klasycznych lakierów do paznokci wraz z innowacyjnym topem oraz kolekcja **Foot Care** do pielęgnacji stóp marki **NEONAIL**

5 x Voucher na zakupy w aplikacji **Wolt**



Konkurs trwa od 26 czerwca do 31 sierpnia 2026 r. Żeby wziąć w nim udział należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie **www.wysokieobcasy.pl/kobietywpodrozy**

REGULAMIN KONKURSU DOSTĘPNY JEST NA STRONIE **WYSOKIEOBCASY.PL/KOBIETYWPODROZY**

SPONSORZY:

NÉONAIL NÉO MAKE UP SUBARU Wolt WITTCHEN YVES ROCHER FRANCE